

MARIUSZ KANIOS

# ZATOKA syren

Spoglądam  
w ciemną toń  
i widzę siebie,  
opadającą  
na samo dno...

piąte  
marzenie  
WYDAWNICTWO

MARIUSZ KANIOS

# ZATOKA syren

  
pięte  
marzenie  
WYDAWNICTWO



**Redakcja i korekta:**

Małgorzata Starosta

**Redakcja techniczna:**

Joanna Ardelli

**Grafika na okładce:**

Przemysław Adamowski

@Jazzus76 • [facebook.com/Jazzus76/](https://www.facebook.com/Jazzus76/)

Projekt okładki i łamanie:

Joanna Ardelli

**Opracowanie formatów mobilnych**

Jakub Pilarski, [eBooki.com.pl](https://www.eBooki.com.pl)

Copyright © by Mariusz Kanios 2023

profil autorski: [facebook.com/mariusz.kaniosautor](https://www.facebook.com/mariusz.kaniosautor)

Copyright © by Wydawnictwo PIĄTE MARZENIE 2023

# Spis treści

Strona tytułowa  
Karta redakcyjna

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

Epilog

**KSIĄŻKI MARIUSZA KANIOSA:**

**SERIA Z ZUZANNĄ:**

„Uczynkiem i zaniedbaniem”

„Karty zła”

„Dobry człowiek”

SERIA Z ALICJĄ:

„Szepty moich lęków”

„Zatoka syren”

## Prolog

Obudził ją poranny chłód i ciche kwilenie dziecka. Mokra ziemia wokół była przykryta cienką kołdrą mgły. Otworzyła oczy. Nad jej głową, na tle bladego nieba kołysały się gałęzie, poruszane podmuchami wiatru. Pierwsze promienie słońca przebijały miejscami korony drzew, oświetlając fragmenty leśnego poszycia. W cieniu, tam, gdzie listowie było gęstsze, panowała jeszcze noc. Jednak dookoła powoli budziło się życie, czego pierwszą oznaką były dobiegające z różnych stron nieśmiałe ptasie trele.

Charakterystyczne pohukiwania kukułki skojarzyły się jej ze starym zegarem w domu rodziców. Odruchowo zaczęła je liczyć, jakby dzięki temu mogła dowiedzieć się, która jest godzina i czy pora już wstawać. Ta myśl przypomniała jej o uciekającym czasie. Drgnęła, co wyczuło przytulone do niej niemowlę i rozplakało się rzewnie, uciszając w ten sposób zaskoczonych mieszkańców lasu. Jak na kilka dni życia, w dziecku zebrało się sporo żalu do świata.

Kobieta uniosła się powoli i oparła plecami o gruby pień. Stara sosna, która też była matką rosnącej wokół gromadki małych drzewek, dała jej oparcie i odrobinę ciepła z suchej kory. Nie wyjmując dziecka spod puchowej kurtki, dziewczyna ułożyła je na swoim brzuchu. Wysunęła ze stanika nabrzmiałą pierś i włożyła synkowi do buzi, podtrzymując malca drugim ramieniem. Płacz ucichł, usłyszała za to ciche mlaskanie i pierwszy raz od kilku dni się uśmiechnęła. Rozczulona wytarła małemu z czoła łzę porannej rosy, która spadła z gałęzi, i pocałowała go w główkę. Chwilę trwali oboje w tym błogim stanie. Powoli jednak, rozbudzona ostatecznie przez rześkie powietrze, zmierzała myślami do ostatnich wydarzeń.

Wraz ze wspomnieniami powracał strach, z każdą sekundą zalewając coraz bardziej jej umysł. Uśmiech zniknął z twarzy, a w jego miejsce pojawił się najpierw niepokój, a potem przerażenie. Nie wytrzymała rosnącego w niej napięcia. Nie przerywając karmienia, tuląc dziecko do piersi, wsparła się o drzewo i powoli wstała. Bolały ją wszystkie mięśnie. Rozejrzała się czujnie dookoła. Nikogo w pobliżu nie zobaczyła, odetchnęła więc z ulgą. Byli w lesie sami. Chwilowe uczucie spokoju szybko jednak zniknęło, kiedy uświadomiła sobie, że ta sytuacja może się zmienić w każdej chwili. Spojrzała najpierw w prawo, potem w lewo, próbując przypomnieć sobie, skąd tu przyszła. Uciekała nieprzerwanie kilka godzin, przedzierając się przez ciemny las, niemal po omacku. Biegła prawie całą noc, aż w końcu całkiem opadła z sił. Potknęła się i wywróciła na miękką ściółkę, ostatnim wysiłkiem osłaniając ramieniem delikatne ciało synka przed upadkiem. Nie dała rady już się podnieść. Z trudem uspokoiła oddech, zamknęła usta i nasłuchiwała. Nikt już jej nie gonił. Żłudne poczucie bezpieczeństwa całkiem odebrało jej władzę w członkach. Wyczerpana do granic możliwości, bardziej straciła przytomność, niż usnęła. Teraz, kiedy nastał ranek, bliska płaczu próbowała odgadnąć, skąd przybiegła. W końcu postanowiła pójść na wschód. W stronę, z której do lasu wpadały pierwsze promienie słońca. Nie była pewna swojej decyzji, ale musiała obrać jakiś kierunek.



Mały najadł się i puścił pierś, więc wsunęła ją z powrotem do biustonosza. Zasuwała zamek kurtki, żeby chłopczyk nie zmarł. O tej porze roku było chłodno, zwłaszcza w wilgotnym lesie, a on był okryty jedynie błękitnym kocykiem. Termin porodu miała ustalony na koniec października, po powrocie ze szpitala spędziła w domu za wsią jeszcze cztery dni. Był więc początek listopada. Na szczęście dziś w nocy nie było przymrozka.

Szła teraz przed siebie. Po kilkuset metrach, odsunęła gałąź i rozejrzała się ostrożnie. Przed sobą miała fragment lasu z młodymi nasadzeniami, co oznaczało, że w pobliżu może być jakaś osada.

Ruszyła dalej, trochę odważniej stawiając kroki. Nagle dobiegło do niej z oddali szczekanie psa. Stała w bezruchu i nasłuchiwała, żeby się upewnić. Tak, nie było wątpliwości. Nadzieja znów wycisnęła jej z oczu łzy. Za młodnikiem weszła w zagajnik, porośnięty rzadszymi, starymi drzewami. Teraz prawie biegła, bo wyraźnie słyszała coraz głośniejsze ujadanie. W gospodarstwie poprosi o telefon i zadzwoni na policję. Będzie uratowana. Uda się! Musi się udać! Przecież nie odmówią pomocy kobiecie z małym dzieckiem. Przedarła się przez krzaki i wypadła na polną drogę. Las skończył się, jakby ktoś go uciął nożem.

W tej samej chwili ich zobaczyła i stanęła sparaliżowana strachem, a serce podeszło jej do gardła. Zakryła dłonią usta i wstrzymując w płucach powietrze, wydała z siebie stłumiony jęk. Pięćdziesiąt metrów przed nią, na drodze, stał znajomy szary bus, a obok niego kręciło się trzech mężczyzn. Dwaj mieli na sobie kurtki moro, a na nogach trapery. Wyższy trzymał na smyczy groźnie wyglądającą parę brytanów. Trochę z boku stał trzeci mężczyzna, ubrany w dżinsy, gruby golf i marynarkę.

Obserwował okolicę. Dojrzał dziewczynę prawie natychmiast, szturchnął jednego z kompanów i podał mu lornetkę. Ten chwilę patrzył przez soczewki w jej stronę, po czym skinął głową. Na jego znak wysoki kucnął, wyciągnął w jej kierunku palec i spuścił psy.

Dziewczyna odruchowo zrobiła kilka kroków w tył i rzuciła się do ucieczki. Wpadła do lasu i biegła przed siebie, nie zwracając uwagi na kaleczące jej twarz gałęzie. Pod kurtką ścisnęła swoje dziecko, które czując strach matki, płakało na całe gardło. Potknęła się o wystający korzeń i prawie upadła. Wstając, obejrzała się za siebie. Psy już nie ujadają, pędziły, nie spuszczając wzroku ze swojej ofiary, sprawnie omijając pnie drzew. Dalsza ucieczka nie miała sensu, było pewne, że ją dopadną.

Rozejrzała się w panice, ale drzewa wokoło miały za wysokie pnie. Wiedziała, że nie da rady się na nie wdrapać, zwłaszcza z synkiem. Synek! Wyjęła zawiniątko zza pazuchy, stanęła na palcach i próbowała powiesić je na najwyższej gałęzi, do której zdołała dosięgnąć. Materiał nie chciał się jednak zaczepić. W końcu, w panice, tłumiąc płacz, szarpnęła z całej siły wystający uschnięty patyk. Udało się jej odłamać cienki konar i powiesiła zawiązany błękitny kocyk na wystającym kikucie gałęzi. Zdołała to zrobić w ostatniej chwili, bo sekundę potem poczuła uderzenie w klatkę piersiową i wywróciła się na plecy. Zakryła rękami twarz. Czowała, jak jeden z rozwścieczonych psów z ogromną siłą rozrywa kurtkę, szarpiąc jej ciałem na lewo i prawo, drugi złapał ją za udo i wgrzyził się w mięsień. Próbowwała odepchnąć go drugą nogą, ale wtedy ból przeszył jej ramię. Potężne szczęki zacisnęły się na ręce, kości chrupnęły i dłoń opadła bezwładnie na pierś. W tym samym momencie pies zatopił kły w jej szyi i rzucił kilka

razy łbem na boki. Jeszcze chwilę rozjuszony bestie wyrywały sobie bezwładne, martwe już ciało, warcząc gardłowo.

Nagle ich uwagę przykuły odgłosy dochodzące z wiszącego na gałęzi tobołka. Oba pitbulle stanęły na tylnych łapach, wsparte o pień, i ujadając, podskakiwały, próbując sięgnąć wiszącego zawiniątka. Jeden z nich wybił się i chwytając zębami, rozdarł kocyk. Z środka wysunęła się mała nóżka. Nagle w lesie rozległ się ostry gwizd i psy zastygły w bezruchu z podniesionymi na sztorc uszami. Drugim gwizdem ich pan przywołał je do siebie. Położyły się teraz u jego stóp i merdając ogonami, czekały na nagrodę.

- Dobre pieski. Dopadłyście tę dziwkę. - Oba dostały po kawałku surowego mięsa, po czym męczyzna podrapał je pieszczotliwie za uszami. - Nogi mi już prawie w dupę wlażyły. Całą noc za nią po lesie zapierdalamy.

- Zobaczymy, co z niej zostało. - Niższy ruszył w stronę, z której przybiegły psy. - Swolocz...

- Czekajcie! - zawołał z tyłu elegancko ubrany męczyzna i przyspieszył kroku, żeby ich dogonić.

Zatrzymali się, kiedy tylko ją zobaczyli. Ciało martwej dziewczyny leżało kilkanaście metrów przed nimi.

- Nie podchodźcie bliżej, bo zostawicie ślady. - Facet w marynarce wyciągnął dłoń w kierunku niższego. - Daj lornetkę.

Przyłożył do oczu i chwilę przyglądał się martwej kobiecie z tej niewielkiej odległości, regulując ostrość urządzenia. W końcu oddał je kompanowi.

- Nie żyje. - Zrobił krok w tył. - Zostawimy ją tak, jak leży. Będzie wyglądało, że zagryzły ją dzikie zwierzęta.

- A dzieciak?

- Chuj z nim, bez niej na nic się nie przyda. - Elegant odwrócił się na pięcie, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił. - Wracamy do busa.

Wysoki zapiął psy na smycze i wszyscy ruszyli powoli w stronę drogi, gdzie zostawili samochód. Żaden z nich nie obejrzał się nawet, kiedy za ich plecami rozległ się cichy płacz dziecka.

## 1

Mira weszła do pokoju i z ulgą zrzuciła wielką torbę ze zdrętwiałego ramienia na łóżko. Oksana, koleżanka, z którą dzieliła pokój w akademiku, odwróciła się i klasnęła w dłonie na widok bagażu.

- Zgodzili się? - Uśmiechała się od ucha do ucha. - Mira, zgodzili się, tak?!

- Tak. - Dziewczyna skinęła głową.

- Cudnie! - Dосkoczyła i chwyciła przyjaciółkę za ręce.

- Jedziemy! Jedziemy razem!

- Daj usiąść, wariatko! - Stała z niepewnym uśmiechem. - W pociągu był taki zaduch, że ledwo żyję.

- To siadaj, Mireńka. - Oksana trochę ochłonęła. - Siadaj i opowiadaj, co ci starzy powiedzieli.

Dziewczyna przycupnęła na krzesle przy stole, upiła łyk zimnej herbaty ze stojącego na blacie kubka i opowiedziała przyjaciółce zmyśloną historię. Nie powiedziała, jak było naprawdę, bo w rzeczywistości rodzice nie zgodzili się na jej wyjazd do Polski. Matka próbowała jej to wyperswadować, a ojciec w ogóle nie chciał na ten temat rozmawiać. Jedyne, co miał do powiedzenia, to że uczciwie pracując to i na Ukrainie da się godnie żyć. Z trudem się powstrzymała, żeby nie powiedzieć, co myśli o tym jego „godnym” życiu. Kiedyś pokazała mu na starym paragonie, ile kosztuje cappuccino w kawiarni w Kijowie. Następnego ranka zrobił jej rozpuszczalną kawę ze świeżym mlekiem prosto od krowy i jeszcze zapytał, która lepsza. Na samo wspomnienie zgrzytała ze złości zębami. Całe życie spędził, nie wystawiając nosa z tej zabitej dechami wsi i ją też tam chce uwięzić! Ciemnogród zasrany! Boże, jak ona czasami miała dosyć tego ich pierdolenia! Bali się wszystkiego, co było spoza ich zapyziałego, zaściankowego świata. Ciągłe ją tylko przed wszystkim i wszystkimi ostrzegali. Miała tego po kokardy! Co oni w ogóle wiedzieli o prawdziwym życiu?! Gówno! Ojciec od zawsze prowadził niewielkie gospodarstwo, a matka uczyła w miejscowej szkole języka rosyjskiego. Po tym, jak ruscy zajęli Krym, ludzie zaczęli jej to wypominać, ale ona z uśmiechem powtarzała, że język wroga trzeba znać. Tak naprawdę uważała, że samo danie uczniom możliwości przeczytania Dostojewskiego w oryginale uzasadnia jej lekcje.

Była zresztą osobą wszechstronnie wykształconą, w przeciwieństwie do ojca, który ukończył tylko zawodówkę. Mira nigdy nie dowiedziała się, jak się poznali. To był rodzinny sekret. Kiedy pytała o to rodziców, mama, uśmiechając się tajemniczo, odpowiadała, że mąż ją porwał. Ojciec wtedy milczał. Matka grała też pięknie na pianinie. Stary instrument stał w pokoju, obok zużytych mebli pamiętających jeszcze czasy, kiedy Ukraina była radziecką republiką. Siadała wieczorami, a jej długie palce tańczyły w rytm smutnych melodii. Mała Mira wdrapywała się wtedy tacie na kolana i słuchali oboje w milczeniu. Kiedy muzyka cichła, ojciec zdejmował ją z kolan, stawiał na podłodze, wycierał oczy rękawem koszuli i nalewał sobie pół szklanki samogonu. Potem mruczając pod nosem, szedł do sypialni, gdzie na ścianie wisiało monidło, a pod nim stał ich małżeński tapczan. Czasami matka szła z córką do pokoiku i czytała jej na dobranoc *Annę Kareninę*. Częściej jednak wysyłała naburmuszoną Mirę spać i szła za ojcem, aby kochać się z nim namiętnie. Tego ostatniego Mira domyśliła się dopiero, kiedy chodziła już do liceum.

Okres szkoły średniej, to był dobry czas w jej życiu. Nauka przychodziła jej łatwo, w soboty pomagała ojcu w polu, a w niedziele czytała grube książki i grała z przyjaciółmi w piłkę. Później zdała maturę i wyjechała na studia do Kijowa. I tam otworzyły się jej oczy, bo zobaczyła inny świat. Świat, który był pełen śmiechu, który jej ojciec nazywał rechetem, i blasku, określanego przez matkę jako blichtr. Ale czy im się to podobało, czy nie, to był prawdziwy świat, w którym żyli wszyscy inni ludzie i w którym ona też teraz chciała żyć! Chciała sobie kupować markowe ciuchy, a nie chodzić na imprezy w pożyczonych od Oksany dżinsach. Pragnęła też mieć modne białe adidasy, z najnowszej kolekcji. Marzyła o iPhone i

torebce od Louisa Vuittona, a przynajmniej jej porządnej podróbce. Potrzebowała tego wszystkiego, żeby przystojni chłopcy zabierali ją swoimi drogimi samochodami do klubów, gdzie chciała tańczyć do rana, wśród ich pożądliwych spojrzeń. Dlatego zdecydowała się na wyjazd do Polski. Tam można było zarobić w kilka tygodni bardzo dużo pieniędzy. Koleżanka jej powiedziała, że w Polsce kupiła wymarzony telefon za jedną pensję! Jedną! Tutaj musiałyby pracować na niego pół roku!

Wzięła od dziewczyny numer do agencji organizującej zarobkowe wyjazdy na zachód i zadzwoniła w obecności Oksany. Kobieta z biura pośrednictwa przedstawiła im warunki, miały pracować legalnie w fabryce konserw. Najkrótszy możliwy wyjazd był na trzy miesiące i na taki dziewczyny się zdecydowały. Na próbę w sam raz. Po potrąceniu prowizji agencji miały dostać po sześćset dolarów za miesiąc pracy! To było tak piękne, że aż wydawało się nierealne. Pojechały więc do siedziby firmy, gdzie kobieta rozwiązała ich wszelkie wątpliwości. Pokazała zdjęcia fabryki i uśmiechniętych dziewczyn pracujących przy produkcyjnej taśmie. Pokoje, gdzie miały być zakwaterowane, były o wiele większe i lepiej wyposażone niż ich klitka w akademiku. Stołówka też prezentowała się okazale, miały otrzymywać trzy posiłki dziennie. Wszystko to pracownica agencji pokazała im na ekranie komputera, po czym zamknęła laptopa i podsunęła umowy do podpisu. Kiedy Mira zawahała się i wspomniała coś o rozmowie z rodzicami, kobieta zapewniła ją, że w każdej chwili może się wycofać z wyjazdu. Dziewczyny, teraz już spokojne, podpisały we wskazanych miejscach. Nie przeczytały treści dokumentu, nawet po wyjściu z eleganckiego biura. Stwierdziły, że jeżeli rodzice się nie zgodzą, to najwyżej wyrzucą do kosza wręczone im przed chwilą bilety, a same nie pojawią się na dworcu, skąd miał odjechać za tydzień bus do Polski.

Wieczorem kupiły sobie butelkę słodkiej wódki i omówiły temat wyjazdu jeszcze raz, utwierdzając się tylko w przekonaniu, że to doskonały pomysł. Następnego dnia Oksana zadzwoniła do matki, a ta bez wahania zgodziła się na jej wyjazd. Mira włożyła do plecaka umowę i z duszą na ramieniu pojechała do domu. Wolała porozmawiać z rodzicami twarzą w twarz. Całą drogę przygotowywała argumenty, począwszy od prostych wyliczeń ekonomicznych, a skończywszy na filozoficznym traktacie o samorozwoju jednostki w kontekście empirycznego poznania świata, czy jakoś tak. Niestety ani ekonomiczne aspekty, ani wizja wyjścia na świat z platońskiej jaskini nie podziałały. Spakowała się więc w tajemnicy, zabierając więcej rzeczy niż zwykle, i wyjechała cichcem, żeby rodzice się nie zorientowali, że coś kombinuje. Dręczona po drodze wyrzutami sumienia, postanawia, że zadzwoni do nich zaraz po przyjeździe do Polski i wyśle zdjęcia, aby się o nią nie martwili. Za trzy miesiące wróci w glorii i chwale i wreszcie będzie mogła pierwszy raz w życiu powiedzieć im: „a nie mówiłam?”

## 2

Komisarz Alicja Romska porządkowała dokumenty załączone do końcowego raportu sprawy, którą właśnie z sukcesem zamknęła. Krótka historia, równie tragiczna, co banalna, z miłością

w tle i finałem w postaci trupa. W trakcie libacji alkoholowej mąż zdrzemnął się na chwilę, a kiedy się przebudził, ujrzał swoją ślubną w objęciach serdecznego przyjaciela, którego poznał tego wieczoru pod sklepem. Może by nawet i wybaczył wiarołomnej żonie i temu zdrajcy, gdyby nie osuszili bez niego ostatniej flaszki taniej wódki. Ponieważ nie było nawet czym przepić na zgodę, małżonek w szale zazdrości zabił łobuza. Kulminacyjna scena balkonowa miała trochę inny przebieg niż u Szekspira, bo kochanek, odwrotnie niż Romeo, najpierw był na górze, a potem na dole. Leżącego na trotuarze przed wejściem do kamienicy patrol znalazł dopiero w południe dnia następnego. Nikt z przechodniów nie zawiadomił służb, ponieważ widok zalegającego na chodniku mężczyzny z zakrwawioną głową nie był w tej okolicy taką sensacją, żeby od razu wydzwaniał na policję.

Początkowo sprawa była dość zagmatwana, bo o ile komisarz Romska od razu odgadła, że facet „wyszedł” przez balkon z jakiejś suto zakrapianej imprezy, to już wskazanie konkretnego mieszkania nie było łatwe, ponieważ tego wieczora uczutowano w kamienicy na trzech piętrach. Na szczęście żona winowajcy wypła wodę spod ogórków i wszystko sobie przypomniała. Z nieukrywaną dumą opowiadała policjantom, jak się o nią mężczyźni pobili. Policjanci uwierzyli, bo powszechnie wiadomo, że kobiety od zarania dziejów były przyczyną wojen, a tę tutaj od Heleny Trojańskiej różniło tylko to, że nie miała zęba na przedzie.

Dźwięk dzwonka telefonu oderwał Alicję od papierkowej roboty. Dzwonił dyżurny.

– Pani komisarz, jest tu na dole dziennikarz z telewizji, który chce z panią rozmawiać.

– Ze mną?

Romska była zaskoczona, nie miała pojęcia w jakiej sprawie facet się naprzykrza. Nie miała najlepszego zdania na temat dziennikarzy i mediów w ogóle. Zawsze szukali sensacji i serwowali ogółowi często niesprawdzone informacje, szkodząc tym śledztwu i utrudniając pracę policji. Odwoływali się przy tym do szczytnych idei, jak wolność słowa i prawo obywateli do informacji, a tak naprawdę liczyły się tylko słupki oglądalności.

– Odesłaj go do rzeczniczki – ucięła sprawę. – Ona jest odpowiedzialna za kontakt z mediami.

– Tak mu powiedziałem, ale twierdzi, że ma informacje na temat przestępstwa.

– Dlaczego więc nie zgłosi sprawy u was? – zdziwiła się. – Daj mu formularz.

– Nie chce, upiera się, że powie tylko pani.

– Ja pierdołę...

– Słucham?

– Mówię, że zaraz zejdem.

Na dole, przed dyżurką siedział starszy, łysiejący facet w okularach, w niczym nieprzypominający modnie ubranych dziennikarzy ze śniadaniowych telewizji, celebrytów uśmiechających się durnowato od rana z ekranów telewizorów.

– To ten? – Romska zapytała dyżurnego, zanim otworzyła szklane drzwi. – Z jakiej on jest telewizji?

– Lokalnej, z Krakowa. – Spojrzał na wizytówkę. – Maciej Kołęda.

– Aha – mruknęła z przekąsem, bo to wiele wyjaśniało w kwestii jego wyglądu.

Alicja w biegu przywitała się z dziennikarzem i wskazała mu drzwi do małego przeskolonego pokoju, znajdującego się na lewo od wejścia do komendy. Darowała sobie pytanie, czemu to akurat z nią chce rozmawiać, bo nie była ciekawa. Usiedli naprzeciw siebie i mężczyzna po krótkim wstępie przeszedł do rzeczy.

- Dziękuję, że zgodziła się pani mnie wysłuchać.

- Położył na biurku starą skórzaną raportówkę. - Chodzi o sprawę kobiety, której ciało odnaleziono dwa miesiące temu w Bieszczadach, niedaleko Lutowisk.

Słyszała pani o tym?

- Nie - ucięła, choć coś tam oboito się jej o uszy.

- Było o tym głośno, bo ludzie znaleźli zagryzioną przez wilki kobietę. - Mężczyzna wydawał się mocno przejęty. - Sprawa szokująca, zwłaszcza że wilki nie atakują ludzi, bo to wbrew ich naturze. Był tylko jeden przypadek w Polsce pogryzienia człowieka przez te drapieżniki. Wilk ugryzł turystkę na polu namiotowym w Wetlinie, ale zoologdy podejrzewają, że ten konkretny osobnik był schwytyany jako szczenię i hodowany przez człowieka.

Dlatego nie bał się ludzi i szukał wśród nich jedzenia.

W każdym razie to się bardzo, bardzo rzadko zdarza. Dlatego pojechałem nakręcić o tym materiał.

- Rzeczywiście sprawa bardzo smutna - przerwała mu. - Ale Bieszczady to jest jurysdykcja podkarpackiej komendy. Do Rzeszowa musi pan pojechać po informacje, bo to oni się pewnie zajmują sprawą.

- Byłem w Rzeszowie, proszę mnie wysłuchać do końca. - mężczyzna mówił spokojnie. - Jest w tej historii, według mnie, bardzo dużo niewiadomych. Po pierwsze: kobiety nie zidentyfikowano. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Nie wiadomo, jak się nazywała i skąd się tam wzięła.

- Na spacer do lasu nie zabiera się dowodu osobistego. - Alicja zdecydowanie była nastawiona do faceta negatywnie.

- Ale już telefon raczej tak, prawda? Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Jakby pani szła sama do lasu, to chyba chciałaby pani mieć kontakt z bliskimi? Mężem, dziećmi?

Pytanie było retoryczne, zwłaszcza że Alicja nie miała męża i na dziecko też się raczej nie zanosilo, zbyła je więc milczeniem.

- No i właśnie, bliscy! - Dziennikarz zrobił krótką pauzę, jakby chciał wzbudzić u niej wreszcie zainteresowanie. - Nikt z rodziny kobiety nie szuka! Do tej pory nie odnotowano zgłoszenia o jej zaginięciu. Znika młoda kobieta i nikogo to nie interesuje?! Dziwne, nieprawdaż?

- Tak. - Romska, mimo swojego sceptycyzmu, musiała się z nim w tej kwestii zgodzić.

- Właśnie! - Uśmiechnął się triumfująco, zadowolony z jej reakcji. - À propos spaceru, jak to pani określiła, to do najbliższej miejscowości, czyli Lutowisk, z miejsca, gdzie odnaleziono ciało, jest siedem kilometrów! Policja nie znalazła w pobliżu żadnego samochodu, którym kobieta mogłaby przyjechać. Siedem kilometrów w jedną stronę, czyli w tę i z powrotem czternaście. Ładny spacerek, przyzna pani?

- Rzeczywiście niecodzienna sytuacja. - Irytowało ją, że nie ma jakiś sensownych kontrargumentów. - Ale na świecie pełno jest dziwaków.

- Podejrzywałem ofiarę o ucieczkę z jakiegoś szpitala psychiatrycznego, tym bardziej że pod za dużą puchową kurtką miała na sobie tylko cienki dres, w jakich często chodzą pacjenci. - Zamyślił się. - Ale wówczas przecież personel zgłosiłby zaginięcie.

- Na pewno.

- Wszystko, co pani opowiedziałem, wiem od dziennikarza lokalnej gazety, który był na miejscu odnalezienia zwłok. Opisał to w swoim artykule. - Mężczyzna wyjął z raportówki numer „Gazety Bieszczadzkiej”.

- Chciałem się sam sprawie lepiej przyjrzeć, więc zadzwoniłem do Rzeszowa. Wizytę u prokuratora było trudniej uzyskać niż audiencję u papieża. Dwa razy się umawiał i dwa razy mnie wystawił do wiatru, zasłaniając się nagłymi okolicznościami. Za trzecim razem wzięłem go z zaskoczenia. Nie miał wyjścia i musiał ze mną porozmawiać.

- No i jak wyjaśnił zawiłość? - Na chwilę obudził jej zawodową ciekawość.

- Niczego mi nie wyjaśnił. - Kołęda zmarszczył czoło.

- Powiedział, że sprawa jest już umorzona. Stwierdził, że to był nieszczęśliwy wypadek, a ja mam zbyt bujną wyobraźnię.

- Skoro sprawa jest już zamknięta, to czego oczekuje pan ode mnie?

- Chcę, żeby pani się temu przyjrzała, bo to mocno podejrzane. - Nachylił się w jej stronę.

- Pani nie będą mogli tak łatwo spławić. Może pani uzyskać wgląd do dokumentacji z sekcji zwłok.

Komisarz Romska wysłuchiwała dziennikarza i nawet w wielu kwestiach zgadzała się z nim, ale nie miała zamiaru wtrącać się w sprawy prowadzone przez inną komendę. Odnosnie do sugestii, że w Rzeszowie coś okrywają, miała inną teorię. Skoro nikt z bliskich zmarłej nie interesował się sprawą, a wszystko wskazywało na nieszczęśliwy wypadek, to prokuratura poszła po linii najmniejszego oporu i zamknęła śledztwo, bez zagłębiania się w trudne do wyjaśnienia niuansy. Pewnie gdyby rodzina patrzyła im na ręce, byłiby bardziej dociekliwi. Tak czy inaczej, sprawa została zamknięta i koniec.

- Muszę pana rozczarować. - Odsunęła krzesło, jakby chciała wstać, sugerując koniec rozmowy. - Nie mogę panu pomóc i to nawet nie jest kwestia mojej dobrej czy złej woli, ale wewnętrznych przepisów w resorcie. Na pocieszenie mogę panu powiedzieć, że z mojego wieloletniego doświadczenia w pracy w Policji wynika, że często takie zagadkowe kwestie mają bardzo proste wyjaśnienia. Jestem przekonana, że i w tym przypadku prokurator mając pełną wiedzę operacyjną, znał odpowiedzi na pana pytania i na podstawie pełnego obrazu sytuacji podjął właściwą decyzję.

Dziennikarz wysłuchał wygłoszonych przez nią frazesów i nie kryjąc rozczarowania, wstał pierwszy od stołu. Zarzucił starą raportówkę na ramię i skierował się do wyjścia. W progu zatrzymał się i odwrócił.

- Szkoda. - rzucił z zatrokaną miną i nacisnął klamkę.

- Zawiodłem się na pani.

Alicja chciała posłać mu jakąś ciętą ripostę, na przykład, że ze swoją skłonnością do wymyślania niestworzonych historii powinien pisać scenariusze kryminałów, ale na szczęście się powstrzymała. I bez tego poczuła się nieszczęśliwie, jakby na imprezie przepiła wódkę drinkiem.

### 3

Marek zwolnił i delikatnie wcisnął hamulec. Samochód bezszelestnie dojechał do przejścia dla pieszych i się zatrzymał. Starowinka, ciągnąc za sobą wózek z zakupami, powoli dreptała przez pasy. Nie spieszyło mu się, miał jeszcze pół godziny do planowego przylotu Julii, a do lotniska pozostało już tylko kilka przecznic.

Spojrzał przez boczne okno auta. W lustrzanej elewacji nowoczesnego budynku stojącego przy ulicy odbijała się elegancka linia elektrycznego suv-a. Odebrał to cacko z salonu dwa miesiące temu, ale wciąż nie mógł się nim nacieszyć. Czuł się jak mały chłopiec, który dostał wymarzoną zabawkę. Uśmiechając się do siebie, odwrócił wzrok w kierunku jazdy i cierpliwie obserwował, jak starszuszka maszeruje, kiwając się na boki. Mimo że w mieście o tej porze panował przecież spory ruch, ona była na ulicy zupełnie sama. Spostrzeżenie to wywołało u niego dziwny niepokój. Poczuł się nieswojo, bo ten obrazek stanowił swoistą alegorię samotności. A on samotnej starości bał się bardziej niż śmierci. Co prawda oba te pojęcia były jeszcze dla niego abstrakcyjne, ponieważ był zdrowym mężczyzną w sile wieku, jednak samotność była w ich domu w ostatnim czasie coraz częstszym zjawiskiem.

Odsunęli się z żoną od siebie. Dokładnie od momentu, kiedy zrozumieli, że nie będą mieć dzieci. Julia jeszcze tego faktu nie zaakceptowała, wciąż próbowali różnych terapii, a ostatnio nawet metody in vitro, jednak jak na razie bez pozytywnego skutku. Wiedzieli już od lekarzy, że to ona nie może urodzić. Znali też przyczynę. Powodem była aborcja sprzed lat. Julia usunęła ciążę, kiedy była w maturalnej klasie. Ich dziecko. Też nie był wtedy gotów do roli taty i na te wszystkie życiowe obowiązki, które się z nią wiązały. Kiedy powiedziała mu, że ojciec załatwił zabieg, nie próbował jej od tej decyzji odwieść. Nie namawiał do usunięcia, ale też nie powiedział ani jednego słowa, które dałoby jej wsparcie i pomogło sprzeciwić się rodzicom. Dziś wiedział, że wówczas tego od niego oczekiwała. Przez lata nie rozmawiali o tamtych wydarzeniach. Życie potoczyło się dalej, oboje skończyli studia, on socjologię, ona prawo, potem pobrali się i zamieszkali w eleganckim mieszkaniu, które kupił im jej ojciec. Formalnie apartament nabyła córka, bo tatuś jako poseł musiał przedstawiać do publicznej wiadomości swoje zeznanie podatkowe, a widniejące tam dochody nijak nie umożliwiały mu zakupu bardzo drogiego lokum w centrum Warszawy.

Zięciowi też pomógł, Marek nie mógł narzekać. Choć teściem, bardziej niż sympatią do niego, kierowało przeświadczenie, że mąż jego córki nie może być byle kim i pracować na uczelni za marne grosze. Kazał mu więc założyć biuro badania opinii publicznej i zapewnił stały napływ zleceń. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, a współpraca obopólnie korzystna. Marek wywiązywał się ze swoich zadań wzorowo. Szybko zrozumiał, jaki wpływ



mają sondaże na kreowanie poglądów elektoratu, i wyciągnął właściwe wnioski: nikt nie chce głosować na partię, której popularność spada. Zadaniem jego biura było więc takie przeprowadzanie sondaży, aby wyniki obozu rządzącego, który reprezentował w sejmie teść, były wzrostowe i pokazywały Polkom i Polakom, na kogo w najbliższych wyborach warto stawiać. Marek nie na darmo skończył socjologię z wyróżnieniem, wiedział więc dokładnie, jakich użyć sposobów, aby osiągnąć oczekiwane przez zleceniodawców rezultaty. Wystarczyło wystawić rano w niedzielę starszych ankietowanych w pobliżu kościoła, aby wynik oceny społeczeństwa na temat związków partnerskich był druzgocący dla lewicy. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że gdyby młode osoby zadawały te same pytania „reprezentatywnej grupie respondentów” w sobotni wieczór w okolicach klubów i dyskotek, to wynik sondażu byłby zgoła odwrotny i też nie miałby wiele wspólnego z prawdą. Kreował więc rzeczywistość, zawsze ku chwale aktualnie miłościwie panujących, bo teść miał tak elastyczny kręgosłup moralny, że bez względu na to, która opcja rządziła, zawsze się do koryta dopchał. W zależności od politycznej koniunktury tanecznym krokiem prowadził uczestników marszu równości, lub defilował ulicami w listopadowe święto, dzierżąc nad głową biało czerwony sztandar. Za każdym razem z równym zaangażowaniem. Marek uważał go zresztą za bardzo ciekawe, jednoosobowe zjawisko socjologiczne. Zmieniał poglądy i partie jak rękawiczki, ale wciąż z pełną wiarą potrafił wygłaszać płomienne przemowy, zawsze zgodne z linią partii, w której szeregach aktualnie ratował swój umiłowany kraj. Zachowywał się tak nawet prywatnie, w rodzinnym gronie, kiedy wokół nie było telewizyjnych kamer. Był tak dobrym kłamcą, że potrafił oszukać nawet siebie i w swoje przemowy naprawdę wierzył. Przynajmniej, kiedy je wygłaszał. Jedynie teściowa była sceptyczna, a po paru kieliszkach wytrawnego wina w trakcie rodzinnych spotkań przechodziła do totalnej opozycji, wyraźnie dobrze się bawiąc kosztem męża. Do czasu, bo te świąteczne przekomarzanki zawsze kończyły się tak, że szanowny pan domu tracił nerwy i przypominał małżonce, że gdyby nie on, toby do dzisiaj srała za stodołą.

Z rozmyślań wyrwał Marka dźwięk klaksonu. Staruszki nie było już na przejściu. Spojrzał we wsteczne lustro i wcisnął gaz. Samochód ruszył energicznie, zostawiając zniecierpliwionego kierowcę daleko z tyłu.

Zadzwoił telefon. Wcisnął guzik na kierownicy i w głośniku zestawu usłyszał znajomy głos doktora Lubery.

- Dzień dobry, panie Marku. - Jego ton nie zwiastował dobrych wiadomości. - Dzwonię, tak jak się umawialiśmy, najpierw do pana.
- Słucham, panie doktorze.
- Przykro mi, ale się nie udało. - Lekarz westchnął do słuchawki. - Mam zadzwonić do żony czy pan przekaże informację?
- Sam jej powiem. - Marek posmutniał. - Kiedy możemy umówić się na kolejną wizytę?
- Niestety mam też drugą złą wiadomość. - Teraz w jego głosie pojawiła się nuta pretensji.
- Jesteśmy zmuszeni zawiesić program zapłodnień in vitro.
- Jak to?
- Nie dostaliśmy rządowych funduszy.
- My możemy zapłacić za zabieg. - Teraz rozumiał jego słabo skrywany żal.

- To nie jest kwestia jednego zapłodnienia, tylko finansowania całego programu. - Lubera rozwiął resztkę jego nadziei. - Nic na to nie poradzę. Zamykamy ten obszar naszej aktywności.
- Rozumiem. - Marek był rozżalony, nie chciał ciągnąć tej rozmowy.
- Naprawdę mi przykro.
- Dziękuję, panie doktorze.
- Powodzenia - mruknął lekarz i się rozłączył.

Marek zatrzymał się na chwilę w autobusowej zatoce. Włączył światła awaryjne i pochylił się nad kierownicą. Teraz już zupełnie mu się nie spieszyło na lotnisko. Nie wiedział jak, ale musiał powiedzieć Julii, że ich marzenia o dziecku po raz kolejny legły w gruzach. On sobie z tym jakoś poradzi, ale bał się o nią. Odkąd weszli do programu, odżyła w niej wiara i trzymała się jej kurczowo. Teraz musiał tę ostatnią iskierkę nadziei w jej sercu zgasić i bał się reakcji żony. Dwa lata temu z trudem wyszła z depresji, to był bardzo trudny dla nich okres. Oddalili się wówczas od siebie, bo wrócili demony przeszłości. Raz po jakiejś kłótni zobaczył nawet w jej oczach nienawiść. Ich małżeństwo wisiało na włosku. Dopiero pomysł z zapłodnieniem in vitro wrócił jej chęć do życia. A teraz było już po wszystkim. Znów usłyszał dzwonek telefonu, przestraszył się, że to żona. Na szczęście dzwonił Antek. Poznali się w klinice pół roku temu, oni również starali się o dziecko.

- Cześć. - Po głosie przyjaciela od razu poznał, że z nimi też doktor rozmawiał. - Dzwonił do ciebie Lubera?

- Tak. - Marek nie miał ochoty na rozmowę i roztrząsanie problemu. Musiał to najpierw przetrwać.

- Chujnia do kwadratu.

- No.

- Jagoda siedzi w pokoju i płacze. - U nich też było nieciekawie.

- Ja zaraz odbieram Julkę z lotniska - westchnął ciężko. - Muszę jej powiedzieć.

- Przejebane.

- No. - Spojrzał na zegar, uruchomił kierunkowskaz i włączył się do ruchu. - Muszę kończyć, do zobaczenia w sobotę.

- Zaczekaj, w tej sprawie też dzwonię. - Antek brzmiał, jakby czuł się niezręcznie. - Lepiej nie przychodźcie do nas w ten weekend.

- Dlaczego? Może sobie dziewczyny pogadają i będzie lepiej. Nie ma co się teraz w domu zamykać.

- Nie o to chodzi. - Antek przestał owijać w bawełnę

- To wszystko wina tego rządu i tej całej kościelnej nagonki na in vitro.

- Człowieku, a co my mamy z tym wspólnego? - Marek wiedział do czego kumpel zmierza.

- Mój teść siedzi w tym gównie, a nie my!

- W każdym razie teraz to nie jest dobry moment na spotkanie.

- Jak chcesz - parsknął i zatrzymał auto na lotniskowym parkingu. - Nie będziemy się narzucać.

Wsiadł z samochodu już całkiem przybity. Z daleka zobaczył żonę machającą obiema rękami na powitanie. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegła wyraz jego twarzy, spoważniała i ręce

opadły jej bezwładnie wzdłuż ciała.

## 4

Mira nie odkładając noża, otarła czoło rękawem. Uważała, żeby nie dotknąć twarzy zakrwawioną, gumową rękawiczką. Kosmyki włosów lepiły się do mokrej skóry. Mimo że w pomieszczeniu było zaledwie kilka stopni, czuła stróżki potu spływające jej po plecach. Z obrzydzeniem spojrzała na piętrzącą się w stalowej miednicy pod nogami górę flaków. Smród parujących wnętrzności mieszał się z odorem wyparzonych wrzątkiem, bladoróżowych tuszek, pokrytych resztkami pierza. Na szczęście nie miała czasu na przyglądanie się im, bo tempo pracy dyktowała szybko przesuwająca się taśma. Wbiła ostry nóż i jednym sprawnym ruchem rozcięła brzuch kolejnego kurczaka. Drugą ręką sprawnie wyjęła wnętrzności i zrzuciła na dół.

Pracowała tu zaledwie dwa tygodnie, a miała wrażenie, jakby trwało to już co najmniej rok. Codziennie rano po przebudzeniu była bliska kapitulacji. Chciała się poddać, rzucić tę parszywą robotę i wrócić do domu, do Ukrainy. Czuła się oszukana, bo wszystko było nie tak.

Do Polski przyjechały nocą, pewnie ta pora nie była przypadkowa. Kierowca busa wysadził je pod kwadratowym, nieotynkowanym domem z pustaków, w jakiejś zapyziałej wsi, trzasnął drzwiami i już go nie było. Ledwie zdążyły wyjąć walizki, od razu odjechał, jakby obawiał się, że wsiądą z powrotem i każą się odwieźć do granicy.

Dom miał kilka sypialni. W każdym pomieszczeniu było pięć starych tapczanów. Poza nimi w pokoju mieścił się tylko stół i dwa krzesła. Większość czasu kobiety spędzały więc na swoich posłaniach, jedząc tam, odpoczywając i śpiąc. Nie było nawet szafy, więc rzeczy osobiste cały czas przechowywały w torbach i walizkach. Dom miał dwie łazienki, z tym że w tej na parterze była tylko ubikacja. U góry zlikwidowano wannę i dorobiono dodatkowy prysznic, aby mogły jednocześnie kąpać się dwie osoby. Prowizoryczne zasłony z ceraty, wiszące na rozciągniętym w poprzek sznurku miały zapewnić intymność. Zakupy spożywcze mieszkanki domu robiły według ustalonego harmonogramu. Te, które miały drugą zmianę, rano wyprawiały się do wiejskiego sklepiku, gdzie zaopatrywały wszystkich w jedzenie, papierosy i wódkę.

Pierwszego dnia w zakładzie zrobiono im badania na obecność salmonelli i pasożytów. Na korytarzu dostały fiolki i patyczki, które miały w ubikacji włożyć sobie w odbyt, po czym oddać w zaklejonej i podpisanej kopercie. Później dowiedziały się, że każda ma pokwitować odbiór zaliczki, jednak żadnych pieniędzy nie zobaczyły. Poinformowano je, że siedemset złotych, o które zostanie pomniejszone ich pierwsze wynagrodzenie, przeznaczono na zapłatę za mieszkanie i dojazd do pracy. Dziewczynom zrzedły miny, bo nikt w agencji o tych kosztach wcześniej nie informował, ale przełknęły to jakoś, bo kobieta na pocieszenie wspomniała coś o dodatkowych pieniądzach za nadgodziny. Po tej krótkiej pogadance podpisały potwierdzenie odbycia szkolenia ze znajomości przepisów BHP, po czym nie czekając na wyniki badań zdrowotnych, wysłano je na halę.

Pierwsze wrażenie było przerażające. Wzdłuż pomieszczenia przesuwała się taśma z metalowymi uchwytami, na których na rozcapierzonych łapach wisiały martwe, białe

kurczaki. Z pozbawionych głów szyj wciąż kapala krew.

Przerażona Mira przytuliła przyjaciółkę.

- Damy radę, Ksenia - pocieszała Oksanę, ale też i siebie. - Trzy miesiące jakoś wytrzymamy.

Poranna zmiana rozpoczynała pracę w ubojni o godzinie piątej, więc dziewczyny musiały wstawać o trzeciej, żeby zdążyć na autobus. Później mogły się jeszcze pół godziny przespać podczas jazdy, co według Miry było najprzyjemniejszym momentem poranka, a właściwie jeszcze nocy, bo odwlekało w czasie nadchodzący kolejny koszmarny dzień.

Pracowały po dziesięć godzin, z trzydziestominutową przerwą na posiłek. Na obiad codziennie dostawały pieczone lub gotowane kurczaki albo potrawy z drobiowych podrobów. Przyprawiało to Mirę o mdłości, bo patrząc na talerz, miała przed oczami wiszące na hakach martwe ciała ptaków. Na szczęście na ich zmianie brygadzystą był starszy, sympatyczny mężczyzna, Janek Badura. Widząc ich przerażenie, krok po kroku tłumaczył, co mają robić.

Spojrzała teraz na zegar, było już dziesięć minut po piętnastej. Z niecierpliwością wypatrywała pierwszego pustego haka, wjeżdżającego na halę, co oznaczało koniec roboty. Zwłaszcza, że przez pół zmiany musiała pracować za dwoje. Kobieta z sąsiedniego stanowiska dostała wysokiej gorączki. Już rano źle się czuła, ale szkoda jej było stracić dniówkę. Mira, widząc, że ślania się na nogach, wysłała ją do szatni i musiała pracować dwa razy szybciej, żeby obsłużyć taśmę. W końcu rzeka kurczaków przestała płynąć, w zawieszalni też na dziś skończyli. Mira wypatroszyła ostatnią tuszkę i z ulgą zdjęła rękawiczki.

- Ciężko, co? - zagaił po ukraińsku brygadzysta. Stał obok i patrzył ze smutkiem na jej zmęczoną twarz.

- Dzielna jesteś, mam córkę w twoim wieku.

- Jakoś daje się radę, panie Janku. - Uśmiechnęła się do niego wdzięczna za życzliwe słowa. - Jak to mówią: co cię nie zabije, to cię wzmocni.

- Trzymaj. - Wyjął z kieszeni fartucha czekoladę. - Nabierzesz siły.

- Dziękuję. - Dawno nie jadła nic słodkiego, bo ceny w sklepie były wysokie, a nie po to się tu męczyła, żeby wrócić do domu z pustymi rękami.

- Jak chcesz, to ci mogę lżejszą robotę załatwić i to za wyższą stawkę. - Zrobił krok w jej stronę. - Tylko musisz być miła.

- Jak miła? - Uśmiech zniknął z jej twarzy. Domyśliła się już, co to za rodzaj życzliwości.

- Zrobisz mi dobrze, to ja zrobię dobrze tobie. - Dotknął swojego krocza i rozpiął rozporek. - Ja tu dużo mogę.

- Córkę też gwałcisz? Zboczeńcu jeden?! - Chwyciła leżący obok nóż i wysunęła przed siebie. - Wyjmij go tylko, to ci obetnę!

- Do swojego przełożonego tak?! - Patrzył na nią wściekły. - Napiszę na ciebie raport!

- Tu są kamery! - Próbowiła zachować pewność siebie. - Wszyscy zobaczą, jak się łapałeś za fiuta!

- Kamery są dla picu, idiotko! Myślisz, że ktoś nagrywa całe to gówno? - Zaśmiał się i czując, że zdobył przewagę, zrobił kolejny krok w jej stronę. - Odlóż to, bo za napaść na polskiego obywatela pójdziesz do pierdla.

- W więzieniu jest lepiej niż w tym syfie! - krzyknęła bliska płaczu. - Tu jest jak w obozie!

Wykorzystał moment jej słabości i chwycił za nadgarstek. Mira zacisnęła usta, nie mogła wyrwać ramienia z mocnego uścisku, błyskawicznie przełożyła więc nóż do lewej ręki i skaleczyła go mocno w dłoń. Stalowe ostrze przecięło bez trudu skórę i mięsień kciuka. Badura zaklął, puścił ją i uciskał głęboką, obficie krwawiącą ranę.

- Ty ukraińska suko! - wyszczał. - Masz przejebane! Słyszysz?!

Biegła, nie oglądając się za siebie. Rozpinając fartuch, wpadła do korytarza szatni, tu zorientowała się, że wciąż trzyma w dłoni zakrwawiony nóż. Wyrzuciła go do kosza, zdjęła robocze ubranie i wybiegła z budynku.

## 5

Alicja właśnie dotarła do pracy. Gapiała się w wyświetlacz obok wejścia do windy, obserwując zmieniające się powoli cyfry. Wreszcie na ekranie pojawiło się zero i drzwi się otworzyły.

- Pani komisarz! - Dyżurny wbiegł po schodach na półpiętro. - Proszę zaczekać!

- Co się dzieje?

- Pamięta pani tego dziennikarza? - Grzebał w trzymany w dłoni dokumentach. - Maciej Kolęda. Ten, który był tu kiedyś i o panią pytał. Z krakowskiej telewizji.

- Tak. - Romska skrzywiła się, ale pozwoliła windzie odjechać. - Znowu przylazł?

- Nie. - Policjant pokręcił przecząco głową. - Godzinę temu był tu jego syn i zgłosił zaginięcie. Twierdził, że ojciec wyjechał służbowo, od trzech dni nie odbiera telefonu i to nie jest normalne, bo do tej pory, nawet jeżeli nie mógł rozmawiać, zawsze oddzwaniał. Zgodnie z przepisami przyjąłem zgłoszenie i zacząłem od sprawdzenia kartoteki NN. Od razu trafiłem na niezidentyfikowane zwłoki w okolicy wskazanego miejsca zaginięcia tego Kolędy.

- To znaczy gdzie?

- W Polańczyku nad Soliną. - Wyjął dwa zdjęcia i podał Romskiej. - Proszę spojrzeć. To zdjęcie przyniósł dziś syn, a to fotografia zwłok wyłowionych z jeziora wczoraj rano. Trup pływał w wodzie ze dwa dni, czyli czas by się zgadzał. Stuprocentowej pewności nie mam, ale jak tak patrzę, to wydaje mi się, że ten sam.

Alicja porównała zdjęcia. Pierwsze przypomniało jej, jak mężczyzna wyglądał. Drugie przedstawiało napuchniętą, bladoróżową twarz z sinymi ustami. Resztki włosów na głowie były mokre. Z nozdrzy wpływał zabarwiony krwią śluz. Fotograf ujął w kadrze też szyję, ramiona i część klatki piersiowej denata.

- Nie miał ubrania? - Na zdjęciu nie było widać żadnych fragmentów garderoby. - W marcu chyba za wcześnie na kąpiel.

- Chyba że morsował - zastanawiał się głośno policjant. - Teraz to modne.

- Tak, to on - stwierdziła i zabrała od niego teczkę z pozostałymi dokumentami. - Daj, wezmę to.

W pokoju usiadła za biurkiem i zaczęła przeglądać papiery. Na razie nie było tego wiele. Lakoniczna notatka w formularzu zgłoszenia zaginięcia informowała, że Maciej Kołęda wyjechał służbowo do Polańczyka. Syn nie wiedział, jaką sprawą zajmował się obecnie ojciec, po pierwsze dlatego, że był już dorosły i nie mieszkał z rodzicami. Po drugie, jak stwierdził, ojciec nigdy roboty do domu nie przynosił.

Alicji wciąż kołatały w tyle głowy ostatnie słowa rozmowy z dziennikarzem. Wypomniął jej wtedy, że go zawiodła swoją odmową pomocy. Formalnie nie miała sobie nic do zarzucenia, ale gdzieś pod skórą czuła, że powinna była wtedy zachować się inaczej. Zbyła go, a on teraz nie żyje. Miała irracjonalne wrażenie, że jest mu coś winna.

Poskładała papiery i poszła do naczelnika. Po drodze postanowiła nie wspominać w rozmowie o martwej kobiecie, której sprawa tak niepokoiła Kołędę. Wiedziała, że Wawer nie będzie zachwycony pomysłem grzebania w zakończonym już śledztwie, w dodatku prowadzonym na terenie innej komendy. Mieszanie się w cudze sprawy nie było w resorcie mile widziane. Policjanci mieli się trzymać razem i nie kopać pod sobą dołków. Chciała, żeby dał jej to śledztwo, i nie miała zamiaru mu tej decyzji utrudniać.

- Dlaczego pani ma prowadzić tę sprawę? - Naczelnik był trochę zdumiony jej pomysłem. - Przecież ciało odnaleziono w Bieszczadach? Tamtejsza policja już się tym na pewno zajmuje.

- Ale to mieszkaniec Krakowa. - Romska próbowała znaleźć jakiś punkt zaczepienia. - A zaginięcie zgłoszono w naszej komendzie.

- I co z tego? - Nie rozumiał, o co jej chodzi, i zaczęło go już irytować jej zachowanie. - Prześlijcie im informację o zidentyfikowaniu zwłok i protokół zgłoszenia zaginięcia. Na tym nasza rola się kończy.

- To dziennikarz z telewizji - podjęła ostatnią, desperacką próbę. - Miejscowi gamonie spięrzą sprawę i będzie pan naczelnik w mediach!

- Już ja się wolę w telewizorze tłumaczyć niż komendantowi wojewódzkiemu! - On też tracił cierpliwość. - Mnie tam morderstw wystarczy w naszym rejonie, nie muszę szukać po Polsce. A jak się pani nudzi, to niech sobie pani jedzie na strzelnicę postrzelać! Nie po to zostałem rok dłużej w komendzie, zamiast regulaminowo iść na emeryturę, żeby się teraz z innymi rejonami kłócić!

- To może przynajmniej sama im te papiery zawiozę?

Spojrzał na Alicję groźnie, ale po chwili westchnął, złagodniał i zwrócił się do niej już spokojnie:

- Niech pani weźmie dwa tygodnie wolnego, polecą do Egiptu, czy gdzie tam teraz wy, młodzi, latacie. Odpocznie, oczyści głowę i...

- Ale...

- I nie zawraca mi więcej dupy!

Romska wyszła zła jak osa. Nie czekała na windę, zbiegła po schodach i wpadła na dyżurkę.

- Prześlij to na posterunek w Polańczyku.

Bez słowa rzuciła z impetem dokumenty na biurko Bogu ducha winnego dyżurnego i wyszła, trzaskając drzwiami. Windą dotarła na trzecie piętro, gdzie mieściły się kadry. Bez zbędnych komentarzy wypisała wniosek urlopowy. Przed wyjściem z komendy poinformowała

aspirant Ewę Kwiecień, z którą pracowały w jednym pokoju, że wyjeżdża do Egiptu. Na pytanie, kiedy wróci, odparła ze złością, że nigdy. Wzięła co prawda tylko dwa tygodnie urlopu, ale ponieważ była wściekła, to oberwało się i Ewce. Zanim opuściła pokój, przyszła jej do głowy pewna myśl. W sumie nic nie stało na przeszkodzie, żeby na urlop pojechał w Bieszczady. Była tam kilka razy z przyjaciółmi, bardzo dawno temu. Przechodząc koło dyżurki, zajrzała tam ponownie.

– Skseruj mi te papiery.

Odpocznie sobie, a przy okazji zapyta na tamtejszym posterunku, co ustalili w sprawie Kolędy.

## 6

Marek spodziewał się ostrej reakcji ze strony teścia, ale fakt, że ten pofatygował się do jego biura osobiście, mimo wszystko go zaskoczył.

– Powiedz mi, Maruś – stary rozsiadł się bez zaproszenia na fotelu w kącie gabinetu – co to za kocopoły żeś mi wczoraj wysłał?

Widać było, że zachowanie spokoju w obecnej sytuacji sporo go kosztuje. Dzień wcześniej Marek przekazał mu wyniki ostatnich badań poparcia społecznego, dla rządowego programu refundacji metody zapłodnienia in vitro. Były one dla jego partii wręcz druzgocące. Siedemdziesiąt osiem procent respondentów było zdania, że nieplodne pary powinny w tym zakresie liczyć na pomoc państwa.

– Uznałem, że skoro znakomita większość wyborców popiera metodę in vitro, to może warto zmienić w tej materii strategię.

– Maruś, nie pierdol. – Poseł Sękul skrzywił się z niesmakiem, jakby jego rozmówca puścił bąka. – To, że większość tak myśli, nie oznacza, że mają rację. Miliony much jedzą gówna, ale to jeszcze mnie nie przekonuje, że są smaczne.

– Po co walczyć w tej sprawie z ogółem? – Marek próbował go przekonać argumentami rozsądku. – Nie lepiej popłynąć z prądem?

– My na to patrzmy w szerszej perspektywie. – Zapalił, nie pytając o pozwolenie. – Zresztą to nie twoja broszka. Ty masz mi dawać takie słupki, żeby można było nimi podeprzeć właściwe teorie. A to, co mi wczoraj od ciebie przyszło, to się nie nadawało do niczego. Ty wiesz, że pod te badania już był materiał nagrany dla wiadomości?! Trzeba było wszystko wstrzymać! Musiałem przez ciebie kłamać, że mieliście jakąś awarię serwera. Co ci odbiło? Mało mam problemów z córką? Lata na te marsze, a ja tylko się modłę, żeby jakaś kamera jej nie wyłapała. Dopiero byłaby gratka dla pismaków! Córka posła na marszu opozycji! A tak już przy okazji, nie możesz jej tego jakoś wybić z głowy?!

– Ona mnie nie słucha.

– To co z ciebie za chłop?! – Strzepnęła popiół do stojącej na stoliku filiżanki. – Że żony nie umiesz upilnować?!

– Ma mi za złe, że dla was pracuję – odgryzł się za jego złośliwość.

- Bo głupia jest. - Stary machnął ręką. - Myśli, że tamci są lepsi? Wszystkie grabie grabią do siebie.

- Zrobię badanie jeszcze raz. - Uznał, że nie było sensu się sprzeczać. - I porozmawiam z Julią.

- No. - Sękuł wstał zadowolony i rzucił pojednawczo: - Jutro będę się widział z biskupem, poproszę go o odprawienie mszy w waszej intencji, to może doczekam się wnuka.

- Bardzo dziękuję. - Sam nie wierzył, że to mówi.

- Tylko ty też musisz się postarać. - Klepnął go w ramię i zaśmiał się rubasznie. - Bo rozumiesz, że wszystkiego biskup za ciebie nie załatwi! Żeby wygrać na loterii, trzeba najpierw kupić los!

Wyszedł zadowolony, że jego mała misja zakończyła się sukcesem. Marek odetchnął, bo w obecności teścia nigdy nie czuł się komfortowo. Co go podkusiło, żeby zrobić te badania, jak trzeba? Przecież wiedział, jak to się skończy. Było pewne, że im się to nie spodoba. Tego, że zabraknie mu odwagi do obrony swoich poglądów, też mógł się po sobie spodziewać. Chodziło mu o Julię, zrobił to dla niej. Dla ratowania ich małżeństwa. Nie miał zamiaru odwozić jej od uczestnictwa w tych marszach. Tak naprawdę teraz była to jedyna forma jej aktywności, bo tylko udział w manifestacjach był w stanie wyciągnąć ją z mieszkania. Zresztą w domu też nic nie robiła. Ciepłe jedzenie na stole pojawiała się tylko za sprawą dostawców. Julia całymi dniami leżała na kanapie i gapiała się w telewizor. Na podłodze obok niej zawsze stała szklanka napełniona alkoholem. Nie zwracał jej już uwagi, bo reagowała agresją. Miał wręcz wrażenie, że specjalnie go prowokuje, aby doprowadzić do awantury. Krzyczała wtedy, miała pretensje o różne rzeczy, ale tak naprawdę nienawidziła go za to, że jej wtedy nie przeszkodził. Nie mogła tego powiedzieć otwarcie, bo miała świadomość, że oboje byli tak samo winni. Siebie też nienawidziła.

Zadzwonił telefon i Marek wyrwany z zadumy sięgnął po smartfona.

- Halo? - odebrał zaskoczony. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz dzwoniła do niego żona.

- Cześć! - Julia miała dziwnie pobudzony głos. - O której dziś będziesz w domu?

- Za godzinę. - Spojrzał na zegarek. - Stało się coś?

- Nie.

- Na pewno wszystko w porządku? - Ta lakoniczna odpowiedź bynajmniej go nie uspokoiła. - Mogę przyjechać wcześniej.

- Nie, za godzinę będzie w sam raz. - Po barwie jej głosu, dało się teraz wyczuć, że się uśmiecha. - Zdążę przygotować obiad.

- Coś kupić? - zaoferował się.

- Nie, zrobiłam zakupy.

Nie był pewien, co zastanie w domu, ale każda zmiana wydawała mu się dobra. Tego dnia w pracy nie mógł się już skupić. Ze spodka filiżanki, z którego teść zrobił sobie popielniczkę, wyjął spory niedopałek papierosa. Spróbował go rozprostować, ale tytuń wysypał się na podłogę. Wrzucił kiepa do kosza i po chwili namysłu uchylił oszklone drzwi swojego biura.

- Marta, poczęstuj papierosem.

- Ty palisz? - Zaskoczona asystentka sięgnęła do torebki.



- Nie. - Nie chciało mu się tłumaczyć. - I zapalniczkę też daj.

Wrócił do gabinetu, uchylił duże okno, zapalił i zaciągnął się mocno. Dym w pierwszej chwili przyjemnie podrapał gardło, od kilku lat nie miał papierosa w ustach. Rzucili razem, zgodnie z zaleceniami lekarzy. Teraz to już nie miało znaczenia. Zakręciło mu się w głowie. Papieros nie smakował, przyjemne wspomnienie tej czynności było tylko w jego głowie. Zgasił prawie całego w drugiej filiżance, z niedopitą kawą i powąchał dłoń. Skrzywił się, zapach go drażnił. Spojrzał na zegarek, wciąż było za wcześnie na powrót do domu, ale zdjął z wieszaka płaszcz i wyszedł z biura.

Na podziemnym parkingu, zanim wysiadł z samochodu, odczekał jeszcze kwadrans, po czym z duszą na ramieniu ruszył w stronę windy. Był zdenerwowany, bo nie wiedział, co poprawiło nastrój żonie i jak długo ten stan potrwa. Domyślał się, że ma to coś wspólnego z dzieckiem, bo jej myśli krążyły tylko wokół tego tematu, a to go nie uspokoiło. Szczerze mówiąc, nie miał ochoty przerabiać tego korowodu po raz kolejny. W jakiś sposób pogodził się już z ostatnią porażką. Julia się poddała i on też odpuścił. Teraz wyglądało na to, że jednak żona podejmie znowu walkę, a nie wiedział, czy on znajdzie siłę na kolejną desperacką próbę, z góry skazaną na porażkę. Tyle razy już to przerabiali. Po okresie euforii przychodził moment rozczarowania, a po każdej przegranej ona bardziej zamykała się w sobie.

- Hej. - Wyjrzała z kuchni uśmiechnięta. Miała na sobie kolorową, krótką sukienkę. - Siadaj do stołu, już wszystko gotowe.

- Tylko umyję ręce. - Użył więcej mydła, żeby pozbyć się zapachu tytoniu.

Miał już zapytać, co to za okazja, ale ugryzł się w język. Postanowił zachowywać się naturalnie w tej nienaturalnej sytuacji. Sama mu powie, gdy będzie gotowa.

Usiadł przy nakrytym stole, a kiedy weszła z żaroodpornym naczyniem, poczuł zapach smażonych pomidorów. Lazania była jej popisowym daniem. Nauczyła się ją przygotowywać od swojej przyjaciółki, na stałe mieszkającej we Włoszech. Jedli w milczeniu, przerywanym tylko grzecznościowymi formułkami, okraszonymi wymuszonymi uśmiechami. Napięcie wypełniło pokój, wisiało pod sufitem i Marek obawiał się, że lada chwila runie na stół, tłukąc talerze i szklanki.

- Zadzwoń do mnie dzisiaj jakaś kobieta. - Julia nie czekała dłużej, widząc, że mąż skończył jeść. - Z kliniki.

- Coś się zmieniło? - wyrwało mu się. Był zaskoczony, jeszcze sam nie wiedział, czy pozytywnie. - Dostali pieniądze?

- Nie. - Skrzywiła się na samo wspomnienie. - Zaproponowała adopcję.

- Julka, już to przerabialiśmy. - Ułożył sztućce po bokach talerza. - Wiesz, jak to wygląda. To skomplikowany i długotrwały proces. Zresztą zrezygnowaliśmy wtedy, gdy przyjęli nas do kliniki, i nie wiem, czy dadzą nam możliwość ponownego ubiegania się o dziecko i czy...

- Wiem - przerwała mu. - Ale to zupełnie coś innego.

Młoda kobieta rozkodowała system alarmowy przy drzwiach i weszła do budynku. Mira sprawdziła godzinę, było kwadrans po siódmej. Schowała smartfona do kieszeni i znów spojrzała w kierunku wejścia do biurowca. Przyjechała do zakładu porannym autobusem, jak co dzień, ale nie poszła dziś razem z innymi kobietami do pracy. Podczas bezsennej nocy podjęła decyzję, że wraca do domu, do Ukrainy.

Nad ranem obudziła Oksanę i do powrotu przekonała też przyjaciółkę. Pogodziły się z tym, że harowały dwa tygodnie za darmo, i zgodnie stwierdziły, że nie zostaną tu ani dnia dłużej. Ksenia czekała na nią teraz na dworcu, razem ze spakowanymi walizkami. Mogły pierwszym, porannym pociągiem pojechać do Przemyśla, ale Mira postanowiła przed wyjazdem doprowadzić sprawę do końca. Nie mogła pogodzić się z faktem, że wczorajsza napaść ujdzie Badurze na sucho. Musiała to zgłosić, dla własnego spokoju i dla dobra innych dziewczyn. Zanim wyjedzie i zostawi to piekło za sobą na zawsze.

Naciągnęła mocniej czapkę i głęboko wsunęła dłonie do kieszeni puchowej kurtki. Czekając na parkingu ponad dwie godziny na otwarcie biurowca, zdążyła porządnie zmarznąć. Mimo to postanowiła wytrzymać jeszcze kilkana minut i poczekać, aż wszyscy pracownicy dotrą do swoich miejsc pracy i hol opustoszeje. Obserwowała cierpliwie, jak przed budynkiem parkują kolejne samochody, a ich właściciele znikają we wnętrzu. Szczególną uwagę zwracała na osoby wysiadające z eleganckich aut zaparkowanych na miejscach przeznaczonych dla kadry zarządzającej. Nie miała pojęcia, jakie stanowiska ci ludzie sprawują, ale nie ulegało wątpliwości, że są ważnymi osobami w firmie. To jednej z nich za chwilę miała opowiedzieć o swojej krzywdzie. Z niepokojem myślała o tym, jaka będzie jej reakcja.

Wątpliwości dziewczyny były uzasadnione. Z jednej strony była w europejskim, cywilizowanym kraju, gdzie dużo się mówi o prawach człowieka, z drugiej jednak zdążyła się już przekonać, że Ukraińcy są tu traktowani jak tania siła robocza, którą można wykorzystywać bez skrupułów. Ludzie gorszego sortu. Podczas swojego krótkiego pobytu nasłuchiwała się sporo potwierdzających taki stan rzeczy historii. Jej przypadek nie był odosobniony. Sytuacje molestowania seksualnego były w ubojni na porządku dziennym, a na mobbing nikt tu nawet nie zwracał uwagi. Szczególnie bolesne było to dla wykształconych Ukraińców, zmuszonych przez życie do pracy poniżej swoich kwalifikacji. Posiadanie przez nich dyplomu w żaden sposób nie przeszkadzało brygadzystom po zawodowce poniewierać ich i poniżać, przy każdej możliwej sposobności. Cham i prostak, któremu dano odrobinę władzy, nie zmarnuje żadnej okazji, aby dowartościować się kosztem słabszych.

Mira podniosła się z ławki, dość rozmyślań, musi zacząć działać. Zebrała się na odwagę, weszła do obszernego holu i zbliżyła się do lady recepcyjnej. Siedząca tam młoda dziewczyna otaksowała ją bezceremonialnie krytycznym spojrzeniem, po czym bez słowa wróciła do wcześniejszych zajęć.

- Dzień dobry. - Mira tyle umiała powiedzieć po polsku.

Może jej wymowa nie była idealna, ale na pewno dziewczyna za ładą zrozumiała przywitanie. Zignorowała je jednak całkowicie.

- Chciałabym rozmawiać z kimś z dyrekcji - oznajmiła po ukraińsku, choć miała obawy, czy uda się jej porozumieć w swoim języku.

- Pani dyrektor jest zajęta. - Ukraiński sekretarki był całkiem poprawny. Widocznie w zakładzie zatrudniającym od lat sąsiadów z za wschodniej granicy wymagano od personelu znajomości tego języka.

- To ja poczekam. - Dziewczyna rozpięła kurtkę i usiadła na brzegu jednego z ustawionych pod ścianą krzesel.

- Cały dzień będzie zajęta. - W głosie sekretarki dało się wyczuć irytację. - Nie masz na co czekać.

Mira zrozumiała, że postępując w ten sposób, nie ma co liczyć na spotkanie. Ta dziewczyna nawet nie zapytała, w jakiej sprawie tu przyszła. Chciała ją zbyć i specjalnie się z tym nie kryła. Po dobroci nic tu nie załatwi.

- Rozumiem - wydusiła, bo ścisnęło jej gardło i z trudem hamowała jednocześnie wściekłość i łzy. - Proszę w takim razie przekazać pani dyrektorze, że jadę na policję zgłosić próbę gwałtu, jaka miała miejsce wczoraj w tym zakładzie. - Odwróciła się i skierowała w stronę wyjścia.

- Czekaj! - Sekretarka przyjrzała się jej jeszcze raz, po czym ruchem ręki wskazała krzesło na końcu holu. - Tam siadaj.

Mira, sama trochę przestraszona swoją brawurą, obserwowała z daleka, jak sekretarka rozmawia z kimś przez telefon. Kiedy skończyła, podeszła do dziewczyny i ruchem głowy nakazała jej iść za sobą.

Mira ruszyła za nią po schodach, nie zamieniły po drodze ani słowa, ciszę wypełniał miarowy stukot obcasów wysokich szpilek asystentki. Kilka razy przykładła do czytników zawieszoną na szyi magnetyczną kartę, pokonując kolejne oszklone drzwi. Wreszcie dziewczyna wygładziła dopasowaną spódnicę, poprawiła włosy i zapukała do pokoju na końcu korytarza. Drzwi otworzyły się i sekretarka zaprosiła Mirę do środka.

Siedząca za ogromnym biurkiem kobieta oparła się na fotelu i krótką chwilę przyglądała się przybyłej. Mira odwdzięczyła się tym samym.

Pani dyrektor miała około czterdziestu lat, dobrze skrojony zakiet w pastelowym kolorze opinał jej szczupłą, wręcz chudą sylwetkę. Ostre rysy twarzy podkreślały kanciaste okulary. Mocno spięte z tyłu włosy sprawiały wrażenie, jakby naciągały skórę twarzy, lekko ją deformując. Kobieta wyszła z biurka, wskazała Mirze elegancki, skórzany fotel a sama usiadła na takim samym, naprzeciwko niej. Położyła przed sobą notatnik, założyła nogę na nogę i zastygła w eleganckiej pozie.

- Słucham cię - zagadnęła po ukraińsku.

- Chcę zgłosić napaść seksualną. - Mira miała plan na tę rozmowę. - Wczoraj mój brygadzysta zaproponował mi seks w zamian za przysługę, a kiedy się nie zgodziłam, próbował mnie do tego zmusić. Nie czuję się bezpiecznie, z tego powodu chcę zrezygnować z pracy.

- To poważne zarzuty, zacznijmy od początku. - Kobieta ujęła długopis w wypielęgnowaną dłoń. - Jak się pani nazywa? W jakim dziale pani pracuje?

- Nazywam się Mira Hejko. - Starła się być konkretna i rzeczowa, choć targały nią emocje.

- Pracowałam na hali G, przy oczyszczaniu kurczaków.

- Jak się nazywa ten brygadzysta?

- Badura. - Widziała, jak dyrektorka notuje. - Starszy, siwawy.

- Niestety, nie kojarzę. Zatrudniamy tu ponad cztery tysiące pracowników. - Uśmiechnęła się cierpko. - Proszę teraz opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Wczoraj na koniec zmiany brygadzista Badura zaproponował mi stosunek seksualny w zamian za lepsze zarobki. - Mira nie owijała w bawełnę, chciała, żeby dyrektorka dobrze zrozumiała sytuację. - Kiedy odmówiłam, rzucił się na mnie.

- Co było dalej?

- Postraszyłam go nożem do patroszenia kurczaków, który miałam pod ręką, i uciekłam.

- To wszystko? - Dyrektorka wyraźnie odetchnęła. - Do gwałtu nie doszło?

- Nie. - Dziewczyna w tej chwili była nawet z siebie dumna. - Skaleczyłam go chyba i dał mi spokój.

- Proszę poczekać w sekretariacie, wyjaśnimy to od razu. - Kobieta wstała i otworzyła jej drzwi, po czym zwróciła się do swojej asystentki: - Pani Sylwio, niech pani wezwie tu Badurę. Natychmiast!

Po kilku minutach w drzwiach sekretariatu stanął brygadzista. Mira odważnie spojrzała mu w oczy. Teraz, kiedy miała za sobą panią dyrektor, nie bała się go. Z satysfakcją stwierdziła, że stary jest przerażony. Nagle zniknęły jego arogancja i pewność siebie, którymi epatował, kiedy wczoraj ją napadł na hali. Ugniatając czapkę w dłoniach, jak chłop pańszczyźniany, zapukał do pokoju przełożonej.

Pięć minut później przez sekretariat bez słowa przemaszerował młody mężczyzna z laptopem pod pachą i też zniknął za drzwiami gabinetu. W końcu pani dyrektor otworzyła drzwi i spojrzała na siedzącą w kącie sekretariatu Ukrainkę.

- Proszę wejść.

Wyraz twarzy kobiety był teraz surowy, a ton nie zwiastował nic dobrego. Mira, zaskoczona zmianą jej zachowania, weszła do pokoju z niepewną miną. Na fotelu siedział Badura. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się, co całkowicie zdeprymowało dziewczynę. Zebrała się jednak w sobie i wysoko uniosła głowę. Nie wiedziała, jak przedstawił zebranym wczorajsze wydarzenie, ale była gotowa na konfrontację.

- Pani Hejko - zaczęła dyrektorka i usiadła za biurkiem. Mira stała na środku pokoju, nie wiedząc, gdzie ma usiąść. - Pan Badura opowiedział nam zupełnie inną wersję wydarzeń niż ta, którą przedstawiła pani.

- Jaką? - Czekwała na odpowiedź, gotowa zaprotestować.

- Według jego słów - kobieta zajrzała do notatek - wczoraj, po zakończeniu pracy, pani zażądała od niego wyższej stawki godzinowej, a kiedy odmówił, zaatakowała go pani nożem, raniąc w rękę, którą się osłonił.

- Co za bzdury! - Dziewczyna spojrzała wściekła na Badurę, który demonstrował właśnie zabandażowaną dłoń.

- Mamy nagranie monitoringu z korytarza szatni. - Dyrektorka odwróciła w jej stronę ekran laptopa i włączyła nagranie wideo. - Widać na nim, jak w panice próbowała pani ukryć nóż, wyrzucając go do kosza.

- Jak to: ukryć?! Niczego nie próbowałam ukrywać! – protestowała. – Obejrzyjcie nagranie z kamery na hali! Tam wszystko będzie widać!
- Na hali kamera uległa chwilowej awarii – wtrącił się technik z działu ochrony zakładu, siedzący obok Badury.
- A w szatni działa?! Ciekawe po co? Chyba żeby kobiety podglądać?!
- W korytarzu szatni zamontowaliśmy monitoring, bo były nagminne kradzieże wśród pracownic – odpowiedział spokojnie.
- Czyli zaprzecza pani, że zraniła pana Badurę w rękę, a potem wyrzuciła narzędzie do kosza? – włączyła się do rozmowy pani dyrektor.
- Ja się broniłam! – Teraz już prawie krzyczała. – On chciał mnie zgwałcić!
- Ma pani jakichś świadków na potwierdzenie swojej wersji wydarzeń?
- Nie, byliśmy na hali sami. Przecież nie napadłby na mnie przy ludziach!
- Wyjść! – zwróciła się do mężczyzn dyrektorka, ale wstał tylko Badura. – Obaj.
- Jest pani pewna? – Młodszy spojrział wymownie na Mirę. – Może zawołam ochroniarza?
- Nie trzeba, chcę porozmawiać z nią w cztery oczy, zanim przyjedzie policja.

## 8

Alicja umówiła się z Aleksandrem Wilgą, dziennikarzem „Gazety Bieszczadzkiej” na przystani w Polańczyku. Stała teraz na chybottliwym pomoście i próbowała odczytać nazwę zbliżającej się żagłówki, namalowaną fikuśną czcionką na dziobie. Samotny mężczyzna na pokładzie przerzucił nad głową bom, przesiadł się na drugą burtę i wybrał grotą. Zrobił kolejny zwrot, bo płynął pod wiatr i aby dobić do brzegu, musiał cały czas halsować.

- Pan mi to robi na złość? – rzuciła, kiedy w końcu zwinął żagiel i zbliżył się do kei.
- Słucham? – Mężczyzna był zaskoczony jej pytaniem.
- Jeździ pan tą łódką w te i we wte, zamiast przy płynąć do pomostu.
- Żagłówka to nie samochód, nie zawsze da się prosto – odparł ze śmiechem. – Złapie pani? Rzucił jej cumę. Alicja chwyciła linę i owinęła wokół dłoni.
- Co mam z tym sznurkiem zrobić?
- Proszę przyciągnąć mnie do siebie.
- Zwykle odpycham mężczyzn. – Mogła pozwolić sobie na żart, w końcu była na urlopie. – Zołza ze mnie.
- Zauważyłem – zgodził się z nią, choć wyraz jego twarzy mówił co innego.

Wskoczył na pomost, wziął od niej linę i zacumował łódkę. Rozejrzał się wokoło, dostrzegł dwóch pijaczków siedzących na pieńku, obok pomalowanej na zielony kolor starej szopy, i machnął ręką na przywitanie. Mogła teraz lepiej mu się przyjrzeć. Gęste czarne włosy zauważyła już wcześniej. Dłuższa grzywka opadała na bok, przysłaniając twarz i dotykając krótko przystrzyżonej brody. Mimo dojrzałego wieku miał oczy chłopca, nienaturalnie

niebieskie i ciekawe świata. Uśmiechnął się ujmująco, w taki szczerzy, nieskrępowany sposób, w jaki potrafią śmiać się tylko ludzie naprawdę szczęśliwi.

– To co? – Wskazał ścieżkę prowadzącą do góry, w stronę drogi. – Idziemy?

– Nie zamyka pan kabiny? – Spojrzała najpierw na łódkę, a potem wymownie na cały czas obserwujących ich pijaczków.

– Nie trzeba. – Pokręcił głową. – To straż portowa, oni tu pilnują porządku.

Nagle ich uwagę przykuł hałas. Spojrzeli oboje w górę, w kierunku wąskich schodków prowadzących do starej przyczepy kempingowej. Były wycięte w glinianej skarpie i wyłożone starymi deskami. Schodził po nich właśnie mężczyzna, którego wiek Alicji trudno było ocenić, nawet wprawnym okiem śledczej. Równie dobrze mógł mieć trzydzieści, jak i siedemdziesiąt lat. Widać było na pierwszy rzut oka, że czerpie z życia pełnymi szklankami, a podstawową jednostką miary w jego świecie jest pół litra. Na lewej stopie miał dziurawego trampka, prawa zaś była owinięta reklamówką, która chroniła wystający z niej gips. Skakał na zdrowej nodze po stromych schodach, z jednej strony podtrzymując się spróchniałej poręczy, z drugiej podpierając na ortopedycznej kuli. Sprawy nie ułatwiał mu fakt, że prawdopodobnie wypił już śniadanie. Alicja patrzyła z przerażeniem, jak z każdym krokiem ryzykuje życie.

Nagle mężczyzna zahaczył rękawem swetra o wystający z poręczy gwóźdź i stracił równowagę. Zdażył jeszcze zakląć przed wykonaniem finałowej sztuczki, następnie zjechał na dupie po schodkach i wylądował na dole glinianej skarpy. Kula wypadła mu z ręki, ześlizgnęła się ze zbocza i zatrzymała tuż obok, jakby była rekwiizytem w starannie wyreżyserowanej scenie jego spektakularnego wejścia. Alicja chciała ruszyć biedakowi z pomocą, ale Wilga w porę ją powstrzymał. Mężczyzna pozbierał się powoli i nie zwracając uwagi, że cały jest umorusany błotem, z godnością podążył w kierunku obserwujących wszystko ze stoickim spokojem dwóch pracowników przystani. Na dzień dobry opierdolił ich, że siedzą od rana, a robota czeka, po czym zapalił papierosa i przycupnął na trzeciego.

– To Gienek – wyjaśnił osłupiałej Alicji dziennikarz. – Syn właścicielki tej kei.

– Czyli dziedzic rodzinnego biznesu?

– Tak, w dodatku kawaler. – Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

– O kurwa – wyrwało się jej. – Przepraszam.

Roześmiali się oboje i ruszyli w stronę szosy prowadzącej do centrum Polańczyka, bo tam Romska zaparkowała samochód. Po drodze do Ustrzyk Dolnych, gdzie swoją siedzibę miała redakcja „Gazety Bieszczadzkiej”, Wilga zrelacjonował Alicji wyniki swojego dziennikarskiego śledztwa.

– Nie wierzę w to, że Maciek Kołęda utonął – rzucił i dodał, nie czekając na jej reakcję: – Myślę, że ktoś mu pomógł.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Jego ciało znaleziono w zatoce obok Teleśnicy. – Zapiął pas, by uciszyć uciążliwe dźwięki w aucie. – To straszne zadupie, nic tam nie ma, tylko stary, nieczynny ośrodek wypoczynkowy. Co go tam wywiało? Jeżeli chciał się wykapać, to mógł to zrobić tutaj. Do Teleśnicy nie ma nawet autobusu. Albo z kimś pojechał naokoło jeziora, albo dopłynął tam łódką. W obu przypadkach ktoś go tam podrzucił, bo jego samochód cały czas stał pod kwaterą w

Polańczyku, gdzie wynajmował pokój. Ten ktoś nie zostawiłby go przecież samego w nocy, na drugim końcu zalewu. No i skoro miał towarzystwo, to dlaczego nikt nie zawiadomił policji o utonięciu?

– Może ten ktoś przestraszył się konsekwencji, spanikował i uciekł?

– No nie wiem... – Nie przekonała go, ciągnął więc dalej: – Ciało wyłowiono tylko w slipach, ale ubrania na brzegu nie odnaleziono. Żadnych rzeczy, portfela i telefonu też nie było.

– No to akurat łatwo wyjaśnić. – Alicja swoją sceptyczną postawą próbowała pomóc ustalić fakty. – Ktoś ukradł portfel i telefon, ubranie też widocznie mu się przydało.

– W ten portfel to jeszcze jestem w stanie uwierzyć. – Pokręcił głową. – Ale w to, że ktoś w marcu zabrał kąpiącej się osobie ubranie, nawet buty, to już nie bardzo.

– Co pana tak dziwi? – Romska miała ograniczone zaufanie do ludzi, co wynikało z charakteru jej pracy. – Jeszcze tutaj, w Bieszczadach, gdzie pełno przecież różnego elementu koczującego po lasach.

– Zaskoczę panią. Tu jest więcej życzliwości niż w pani Krakowie. Poza tym jak ktoś porządnie zmarznie przespiając noc w namiocie, to nigdy nikomu ubrania nie zabierze. W morde, owszem, da, ale butów nie ukradnie.

– Ja bym taka pewna nie była. – Nie przemawiały do niej jego argumenty. – Za dużo złego w życiu widziałam.

– No i trzecia kwestia, najważniejsza – brnął dalej. – Rzecznik komendy oficjalnie poinformował, że Kołęda był pijany, kiedy utonął. A ja wiem, że on nie pił! Nawet piwka do obiadu odmówił. Twierdził, że swoje już w życiu wypił.

– Był alkoholikiem?

– Niepijącym.

– Po co on w ogóle tu znowu przyjechał? – Romska chciała mieć pełny obraz. – Dalej drażył tę sprawę zagryzionej przez wilki kobiety?

– Tak – potwierdził Wilga. – W dniu swojej śmierci planował spotkać się z kimś, kto miał podać mu jakieś zatajone w tej sprawie szczegóły.

– Nie pochwalił się panu, z kim był umówiony?

– Nie. – Pokręcił głową. – Zasłaniał się tajemnicą dziennikarską, ale obiecał, że podzieli się ze mną swoją wiedzą w odpowiednim czasie. Mieliśmy taką niepisaną umowę, że wzajemnie przekazywaliśmy sobie zdobyte w tej sprawie informacje. Niestety, nie zdążył.

– Pan też nie wierzy w to zagryzienie przez wilka?

– Oczywiście, że nie. To bzdura jakaś! – Zaśmiał się dla podkreślenia efektu. – Wilk, jeżeli zagryzłby tę dziewczynę, to po prostu by ją zjadł. Nie całą, ma się rozumieć, ale pożywiłby się swoją ofiarą, bo dziki drapieżnik zabija dla mięsa. Tymczasem na ciele ofiary nie było żadnych takich śladów. Początkowo bardziej skłaniałem się ku hipotezie, że w lesie grasowała jakaś sfora dziczających psów, może nawet mieszańców. Zdarza się, że dzikie psy krzyżują się z wilkami. Leśnicy zaprzeczyli jednak takiej wersji. Twierdzili, że wiedzieliby coś o tym. Nie było w okolicy żadnych przypadków zagryzionej zwierzyny.

– Powiedział pan „początkowo”? – Alicja była jak zwykle dociekliwa. – Coś się zmieniło? Pojawiły się jakieś nowe okoliczności?

– Rozmawiałem z ludźmi z pobliskich wiosek. – Poprawił się na siedzeniu i spojrzał przed siebie. – Pewna kobieta widziała tego dnia na skraju lasu, w pobliżu tego miejsca, myśliwych z psami.

– Uważa pan, że to ich psy zagryzły tę kobietę?

– Możliwe... – Nie chciał być zbyt kategoryczny w swojej opinii. – Uważam, że to bardziej prawdopodobne niż atak wilków. Dużo bardziej prawdopodobne.

– Próbował ich pan odnaleźć?

– Kogo?

– Tych myśliwych. – Romska zachowywała się już, jakby była w pracy. – W miejscowym związku łowieckim muszą mieć informacje o wszystkich polowaniach, jakie miały miejsce w okolicznych lasach w tym czasie.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał, patrząc na nią z uznaniem. – Jutro to sprawdzę.

– Dlaczego jutro? – Alicja była przyzwyczajona do szybkiego działania. – Związek łowiecki pewnie też jest w Ustrzykach. Możemy razem tam zajrzeć.

## 9

Marek rozejrzał się po eleganckim, jasnym wnętrzu. Spojrzał w górę, przez szklany sufit wpadało do sali dzienne światło, odbijając się od dużych liści egzotycznych roślin, kieliszków i wypolerowanych sztuców. Welurowe obicia krzeseł w odcieniu beżu sprawiały, że mimo jasnych kolorów ścian i czarnych stolików w restauracji było przytulnie. Miejsce wyglądało na ekskluzywne i odpowiednio drogie. Domyślił się, że nie zostało wybrane przypadkowo. Mocodawcy kobiety, z którą mieli się spotkać, jasno dali im do zrozumienia już na wstępie, że ich usługa nie będzie tania.

Przyszli z żoną kwadrans przed czasem. Julii zależało, żeby się nie spóźnili. W ogóle bardzo jej na tym spotkaniu zależało. Co nie znaczy, że jemu nie. Był po prostu sceptyczny odnośnie do zaproponowanego przez nieznaną kobietę rozwiązania. W domu odbyli z Julką burzliwą rozmowę na ten temat. Ostatecznie Julia postawiła na swoim; w sprawach dziecka, a raczej starań o dziecko, zawsze do niej należało ostatnie słowo. Zwykle reagowała bardzo emocjonalnie, więc odpuszczał, nie chcąc jej sprawiać przykrości i prowokować kłótni. Tym razem było podobnie. Nie podobało mu się, że ktoś z kliniki leczenia bezpłodności przekazał ich dane innej placówce medycznej. Pewnie odbyło się to nieoficjalnie, bo przecież przepisy i umowy jasno ten aspekt regulowały. Ktoś nieprzypadkowo wskazał ich jako parę, w której problem ciąży leży po stronie kobiety.

Wertowali teraz w milczeniu karty z menu, choć żadne z nich nie miało apetytu. Nerwowa atmosfera oczekiwania dawała się obojgu we znaki. Wreszcie w drzwiach pojawiła się elegancko ubrana kobieta w średnim wieku. Dochodziła dwunasta w południe, o tej porze w restauracji było prawie pusto, więc bez trudu odnalazła wzrokiem małżeństwo, z którym była



umówiona. Oddała swój płaszcz kelnerowi, zamieniła z nim kilka słów i ze służbowym uśmiechem podeszła do stolika. Kiedy zmierzała w ich stronę, Marek miał czas dokładnie się jej przyjrzeć. Nie znał się specjalnie na modzie, ale zdarzało mu się towarzyszyć żonie w zakupach i szybko otaksował, że kobieta „miała na sobie” co najmniej dziesięć tysięcy złotych. Włosy równo przycięte do ramion, wypielęgnowane dłonie, subtelny makijaż i służbowy żakiet miały budzić zaufanie, ale Marek znał to przebranie i nie zrobiło na nim wrażenia, wręcz przeciwnie.

Wstał i odsunął jej krzesło. Zrobił to tylko przez grzeczność, bo kobieta nie wzbudziła jego sympatii. Życie nauczyło go, że do większych pieniędzy ludzie rzadko dochodzili uczciwą pracą, a ona wyglądała naprawdę sztywnie. Nie było w jego stwierdzeniu hipokryzji, bo siebie w tej materii też oceniał surowo.

– Pani Julia, prawda? – Kobieta, zanim usiadła, podała na przywitanie dłoń najpierw żonie.  
– Nazywam się Maria Kurska i reprezentuję klinikę Pro Familia. Dziękuję, że zgodzili się państwo ze mną spotkać.

– Julia Szulc. – Julka uniosła się lekko. – Wiele sobie obiecuję po naszej rozmowie.

Marek w myślach dodał, że on wprost przeciwnie, ale też uściśnął rękę wyciągniętą w jego stronę, po czym usiadł bez słowa. Zauważył, że kobieta traktuje go niemal jak powietrze, całą uwagę skupiając na jego żonie. Domyślił się przyczyny takiego zachowania. Zwykle to kobiety są mocniej zaangażowane w tego typu sprawy, bo niezaspokojony instykt macierzyński jest tu silnym imperatywem, popychającym do działań. Miał jakieś wewnętrzne przekonanie, graniczące z pewnością, że Kurska cynicznie wykorzystuje tę ich słabość.

– Zanim przejdziemy do właściwej rozmowy, proszę państwa o podpisanie umowy o poufności – odezwała się kobieta, po czym sięgnęła do czarnej skórzanej aktówki i położyła dokument na stole.

– Dlaczego? – Mężczyzna nie spojrział nawet na papiery. – Macie coś do ukrycia?

– Marek... – Julia przysunęła kartkę bliżej. – Ma pani długopis? Nie wzięłam nic do pisania.

– À propos tajemnicy, to skąd właściwie miała pani telefon do żony? – Patrzył na kobietę z wyrzutem, ale i z satysfakcją. – Czy takie dane nie są poufne i objęte tajemnicą lekarską?

– Marek, proszę cię!

Kobieta spojrzała na niego chłodno, po czym sięgnęła do torebki i szperając w niej, zwróciła się do żony:

– Numer telefonu otrzymałam w mojej klinice, wraz z poleceniem służbowym kontaktu z państwem. – Podała Julii pióro. – Jeżeli macie coś przeciwko, to możemy na tym etapie zakończyć rozmowę i zapomnieć o sprawie. Nie chcę się narzucać. Mogę oczywiście sprawdzić, w jaki sposób nasza klinika weszła w posiadanie państwa danych kontaktowych, ale gwarantuję, że z pewnością odbyło się to w sposób zgodny z przepisami. Obsługę prawną zapewnią nam najlepsza kancelaria w Rzeszowie.

– Nie trzeba. – Julia podpisała w zaznaczonym miejscu i spojrzała wymownie na męża. – To tak naprawdę nie jest istotne.

Marek zobaczył, że jej oczy się zaszklily, podpisał więc papier bez dalszych oporów.

- Proszę. - Oddał dokument przedstawicielce kliniki. - Może nam pani w takim razie przedstawić, jak to wygląda.

- Najpierw zamówimy coś do jedzenia. - Uśmiechnęła się i skinęła na czekającego w kącie sali kelnera. - Możemy sobie popołgować, bo stawia klinika.

Chyba starała się rozładować żartem ciężką atmosferę, jaka zapanowała przy stoliku. Kiedy kelner przyjął zamówienie i znów zostali sami, przeszła do rzeczy:

- Opowiem państwu po kolei, jak będzie przebiegał proces adopcji. - Ostatnie słowo wypowiedziała, jednocześnie robiąc palcami znak cudzysłowu w powietrzu. - Możecie pytać od razu, jeżeli coś będzie niejasne. Nie jestem lekarzem, więc jeżeli nie będę umiała sama odpowiedzieć na jakieś pytanie, to zapiszę je sobie i po zasięgnięciu opinii, postaram się jak najszybciej przekazać informację.

- Jasne. - Julia skinęła głową, nie czekając na reakcję męża, i nachyliła się nad stołem. - Tak będzie najlepiej. - Pomoc, jaką państwu oferujemy to, jak wspomniałam przez telefon, coś więcej niż adopcja ze wskazaniem. Ale po kolei. - Złożyła przed sobą dłonie. - Jest pani prawnikiem, więc na pewno orientuje się pani, że usługi surogatek nie są w naszym kraju do końca uregulowane prawnie. W waszym przypadku dodatkową trudność powoduje też problem z zapłodnieniem in vitro pani komórki jajowej, więc standardowe świadczenie tego typu raczej nie wchodzi w rachubę. Nawet gdyby to się udało, to wciąż na drodze do rodzicielstwa stoi wiele problemów. Dość częste są przypadki, kiedy surogatka zmienia zdanie i chce zatrzymać dziecko. W świetle przepisów ma do tego pełne prawo, bo to kobieta rodząca jest matką. Decyduje tu fakt urodzenia, a nie genetyka. - Zrobiła przerwę, żeby złapać oddech. - Kolejna kwestia to konieczna zgoda sądu na oddanie dziecka. W przypadku adopcji ze wskazaniem kobieta po porodzie zrzeka się praw do dziecka i wskazuje, komu sąd ma je oddać. Przyszli rodzice składają wniosek o pełne przysposobienie noworodka, ale decyzję taką podejmuje sąd i dopiero na podstawie jego orzeczenia przechodzi na nich władza rodzicielska. Nie ma jednak gwarancji, że sędzia się zgodzi, bo w obecnym klimacie politycznym na tego typu sprawy sędziowie nie patrzą przychylnym okiem. Zwłaszcza jeżeli to nie jest altruistyczna surogacja, ale komercyjna, czyli za opłatą. Sądy z wielu powodów mogą odmówić zgody przyszłym rodzicom, również w ramach przeciwdziałania adopcji poza kontrolą. Jak wicie, standardowy proces adoptowania dziecka, na przykład z sierocińca jest obłożony wieloma obostrzeniami. - Omiotła wzrokiem ich twarze wyrażające, że coś o tym wiedzieli. - Tymczasem przy adopcji ze wskazaniem przyszli rodzice nie podlegają żadnej kontroli pracowników społecznych, a to nie podoba się przedstawicielom państwowych organów, w tym sądów. Stąd też zdarzają się złośliwe odmowy, kiedy sędzia chce pokazać, że jego jest na wierzchu.

- Więc nie ma pewności, że wszystko się uda i sąd prześle nam dziecko? - Julia mimo wszystko chciała mieć nadzieję.

- Współpracując z Pro Familia - kobieta uśmiechnęła się - macie państwo stuprocentową pewność, że wszystko skończy się po waszej myśli, bo nie stosujemy, jak wszyscy, implantacji zapłodnionej in vitro komórki jajowej. My działamy zupełnie inaczej. To pan - spojrzała na Marka - będzie biologicznym ojcem dziecka. Pełnoprawnym rodzicem już w chwili jego narodzin.

Mira stała nieruchomo na środku gabinetu, patrząc w podłogę. Powoli docierało do niej, co się właśnie wydarzyło. Przyszła tu jako ofiara, szukać sprawiedliwości, a oni zrobili z niej przestępcę. Liczyła na współczucie, a spotkała ją kolejna niesprawiedliwość. I to ze strony kobiety. Ona okazała się gorsza od Badury, bo przecież musiała wiedzieć, jak było naprawdę. Zamiast stanąć po jej stronie i pomóc skrzywdzonej dziewczynie, starała się tylko ratować interes firmy. Ale przecież Mira mogła się tego spodziewać. Jaka była naiwna, myśląc, że całe zło działo się tylko tam na dole, w hali zakładu. Przecież to nie byłoby możliwe bez przyzwolenia zarządzających tym przybytkiem. Metody brygadzystów od lat pomagały zarządowi trzymać szeregowych pracowników w ryzach i wykorzystywać bez litości. W tym zakładzie liczyły się tylko pieniądze i zyski z niewolniczej pracy taniej siły roboczej. Teraz, kiedy zobaczyła prawdziwą twarz dyrektorki, huski spadły jej z oczu.

Spojrzała na kobietę siedzącą w swoim ogromnym fotelu za biurkiem, daremnie szukając najmniejszych choćby oznak empatii. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Patrzyła na nią zimnym, obojętnym wzrokiem, jak na przedmiot. Nagle przyszło jej do głowy, żeby po prostu stąd uciec. Były w pokoju we dwie, a ta drobna kobieta na pewno nie dałaby rady jej przeszkodzić. Z sekretarką też sobie poradzi. Wybiegnie i zatrzyma się dopiero, kiedy będzie daleko. Dotrze jakoś na dworzec i wyjedzie. W Ukrainie nic jej nie zrobią, będzie bezpieczna.

Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć drogę, którą tu przyszła. Musi przebiec cały korytarz, a potem zejść na dół. Dwa piętra. Nagle uświadomiła sobie, że po drodze były drzwi zamykane na elektryczne zamki. Na dodatek w budce przy bramie siedzieli też ochroniarze. Nie miała szans, to się nie mogło udać. Załamana, poczuła się mała i bezbronna. Pomyślała o swojej mamie. Tak bardzo chciała, żeby tu teraz była. Na pewno nie pozwoliłaby jej skrzywdzić. W gabinecie, na regale pod oknem stały oprawione w ramkę kolorowe zdjęcia rodziny pani dyrektor. Chciała zapytać, ile lat ma jej córka, która uśmiechała się z fotografii, ale słowa ugrzęzły jej w gardle, a po policzkach popłynęły łzy.

– Przezań beczec i posłuchaj mnie teraz uważnie. – Kobieta wstała i wyszła zza biurka. – Za chwilę będzie tu policja i od ciebie zależy, czy wyjdiesz z tego pokoju w kajdankach i trafisz do więzienia, czy pozwolę ci wrócić do domu.

Odczekała chwilę, aby te słowa dotarły do świadomości dziewczyny. Twarz Miry stężała, dziewczyna zacisnęła usta i powstrzymała płacz. Otarła rękawem kurtki policzek i spojrzała w oczy kobiety, słuchając tego, co ma jej do powiedzenia.

– Po pierwsze, masz nie chlapać jęzorem na lewo i prawo. Od tej chwili nie rozpowiadaj o tym innym robotnicom. Tym, którym już naopowiadałaś, powiesz, że zaszło nieporozumienie. Nawet po wyjeździe z Polski będziesz trzymać gębę na kłódkę. To, co dzieje się w zakładzie, nie ma prawa wypłynąć na zewnątrz. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, ani policja, ani znajomi, ani twoja rodzina. Mówię to dla twojego dobra. Tu chodzi o duże pieniądze, bardzo duże. Jeżeli myślisz, że cię nie znajdziemy w Ukrainie, to jesteś w sporym błędzie. Na zgłoszenie napaści mamy dużo czasu, zanim ulegnie przedawnieniu. Jeżeli mnie nie posłuchasz, to będziesz ścigana, jako przestępca. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak - wycedziła Mira. Czowała wzbierającą w niej nienawiść, ale chciała się stąd wyrwać, dlatego postanowiła współpracować

- Doskonale. - Dyrektorka poprawiła okulary. - Po drugie, prosto z mojego gabinetu pojedziesz do ginekologa, żeby cię zbadał. - Po co? Mówiłam przecież, że nie doszło do gwałtu.

- Teraz tak twierdzisz. - Kobieta machnęła ręką. - A skąd mam mieć pewność, że ci się nie odwidzi i za chwilę nie zmienisz zdania? Puścisz się z kimś, a na policji powiesz, że to w zakładzie cię zgwałcili. Nie, muszę mieć czarno na białym, na papierze, że w dniu wczorajszym nie doszło do stosunku płciowego.

- Za kogo pani mnie ma? - Dziewczyna z trudem tłumiała gniew. - Chcę tylko stąd wyjechać i zapomnieć o wszystkim!

- Do lekarza zawiezie cię nasz kierowca - zignorowała jej słowa. - Do czasu, kiedy na moim biurku znajdą się wyniki badania, nie będziesz chodzić do pracy, nie chcę więcej kłopotów. Na ten czas dostaniesz zwolnienie lekarskie i otrzymasz wynagrodzenie. Żebyś nie mówiła, że cię ktoś wykorzystuje.

- Nie chcę od was żadnych pieniędzy.

- Mnie naprawdę nie interesuje, czego ty chcesz. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Zrobimy to tak, jak ja mówię, wszystko zgodnie z przepisami. Posprzątam to szambo i ja też z przyjemnością o tobie zapomnę. Rozumiesz?

Mira niechętnie skinęła głową, postanowiła nie wdawać się więcej w jałowe dyskusje. Ta kobieta miała ją za nic, a pełne wyrzutu słowa dziewczyny sływały po niej jak po kaczkę. Najważniejsze, żeby stąd wyjść, opuścić teren firmy. Potem jakoś sobie poradzi. Przy pierwszej okazji zniknie i tyle ją będą widzieli.

- I ostatnia sprawa, daj mi swój paszport. - Dyrektorka spojrzała w kierunku wiszącej na ramieniu dziewczyny torebki. - Dostaniesz go z powrotem po badaniach. Chcę mieć pewność, że nie wywiniesz jakiegoś numeru.

Mira stała skonsternowana i nie wiedziała, co zrobić. Nie chciała oddać paszportu, bez dokumentów nie wróci do domu. Nagle usłyszała pukanie i po chwili drzwi gabinetu się uchyliły.

- Pani dyrektor - odezwała się sekretarka, wsuwając głowę do środka - policja przyjechała.

- Bardzo dobrze, w samą porę. Niech poczekają.

- Sekretarka przytaknęła i zniknęła, dyskretnie zamykając za sobą. Dyrektorka podeszła do Miry i bez słowa wyciągnęła dłoń.

- Nie mam przy sobie - wyszeptała Mira, potrząsając głową. Na twarzy dziewczyny znów pojawił się strach. - Zostawiłam na kwaterze, w walizce.

Kobieta jednym ruchem wyszarpnęła jej torebkę, drugim otworzyła zapięcie.

- Zostaw! - Mira nie zdążyła jej przeszkodzić i zanim się zorientowała, dyrektorka trzymała już jej paszport w dłoni. - Oddaj!

- Przestań się rzucać, głupia dziewucho! - Zrobiła krok w tył, chowając dokument za plecami. - Mam zawołać policję i oskarżyć cię o napaść z nożem na przełożonego? A teraz jeszcze na mnie?

Mira oddychała szybko, znów z trudem hamując łzy. Cofnęła rękę i pozwoliła jej odejść. Dyrektorka oddała jej torebkę, obeszła dookoła biurko i wrzuciła paszport do szuflady. Po czym bez słowa ominęła dziewczynę i otworzyła drzwi do sekretariatu.

Na krzesłach siedziało tu dwóch mundurowych policjantów. Na jej widok wstali, zdjęli czapki i czekali w usłużnej pozie, z głupawymi uśmiechami na twarzach.

- Panowie, zdaje się, że jednak zaszło nieporozumienie – stwierdziła, rozbijając rozkładając ręce. – Na szczęście już sobie z panią wyjaśniłyśmy całą sprawę.

- Czyli wszystko w porządku? – Starszy, gruby policjant spojrzał najpierw na dyrektorkę, a potem groźnie na stojącą za nią Mirę. – Z tymi Ukraincami to wiecznie tylko kłopoty.

- Wszystko w porządku. – Kobieta odwróciła się do sekretarki. – Pani Sandro, proszę przygotować dla panów policjantów paczuszki. Niech przyniosą z produkcji do holu biurowca.

- Nie trzeba, pani dyrektor. – Gruby uśmiechnął się, zadowolony. – A jakby co, to zawsze jesteśmy pod telefonem.

- Ona – wskazała na Mirę – pójdzie teraz z wami i zaczeka na dole na kierowcę, który ją odwiezie. Dopilnujcie, żeby nigdzie nie poszła i wsiadła do samochodu. Sekretarka sprowadzi was na dół.

Starszy policjant zaszutował, jak przed przełożonym, spojrzał na dziewczynę i skinął głową, dając jej znak, że ma iść przodem.

Dojechali do Ustrzyk przed pierwszą po południu. Romska zaparkowała samochód w bocznej uliczce, obok piętrowego budynku miejscowego domu kultury. To tutaj, na pierwszym piętrze mieściła się redakcja „Gazety Bieszczadzkiej”.

Alicja szła za Aleksandrem Wilgą i żeby nie gapić się na jego zgrabny tyłek, rozglądała się wokoło. Weszli do środka, długim korytarzem pomaszzerowali w kierunku schodów na końcu.

– Ile osób pracuje w twojej redakcji? – zapytała nagle. Jadąc z Polańczyka, zdążyli przejść na „ty”.

– Trzy – odparł Wilga. – Ja, Heniek i naczelna, pani Marianna.

– Kto teraz kupuje dwutygodnik? – Romska zastanawiała się głośno. – Przecież dziś życie tak pędzi, że nikt nie pamięta, co było w wiadomościach wczoraj. Kogo interesują newsy sprzed czternastu dni?

– Tu jest inaczej.

Byli na miejscu. Olek Wilga otworzył drzwi opatrzone szyldem redakcji gazety i wpuścił Alicję pierwszą do sporego, jasnego pomieszczenia. Kobieta z zawodowego przyzwyczajenia obrzuciła pokój wzrokiem, rejestrując wszelkie nieistotne w tym przypadku szczegóły. Pod oknem stały złożone dwa podniszczone biurka, przy każdym z nich znajdowało się obrotowe krzesło nie pierwszej młodości. Na blacie po lewej, wokół przenośnego komputera dawnego typu, piętrzyły się stosy zadrukowanych kartek, starych gazet i książek. Ekran laptopa oblepiony był małymi, żółtymi karteczkami, pełniącymi rolę przypominajek. Tuż obok, na talerzyku leżały połamane wafelki. Okruchy poniewierały się wszędzie, nawet na klawiaturze komputera. Efekt bałaganu potęgował kontrast z biurkiem obok. Na sąsiednim blacie panował idealny porządek. Jedynym elementem wyposażenia był tu kubek, pełen identycznych, perfekcyjnie zaostrzonych ołówków. Żadna z kartek porzucanych na sąsiednim miejscu pracy nie przekraczała granicy stanowisk nawet różkiem, o co musiał zadbać pedantyczny sąsiad.

– Oluś, to ty? – Głos dobiegł zza niedomkniętych drzwi sąsiedniego pomieszczenia, pokój, do którego weszli, okazał się przechodni.

– Tak, pani Marianno. – Wilga zdjął kurtkę i zawiesił na oparciu krzesła. – Z koleżanką jestem.

– Masz te zdjęcia z konnego rajdu?

– Jeszcze nie, jutro przyniosę.

– Tylko nie zapomnij. – Naczelną nie wyszła do nich, widocznie była zajęta. – Zjedzcie sobie zupę, przed chwilą się gotowała, ciepła jeszcze.

Alicja spojrzała za siebie, w kącie pomieszczenia znajdował się mały aneks kuchenny. Na przenośnej gazowej kuchence stał spory, emaliowany garnek, z którego wystawała chochelka. Dziennikarz wyjął z wiszącej szafki dwa głębokie talerze i położył je na blacie obok. Bez

pytania gościa o zdanie nalał do obu ziemniaczanej i do każdego włożył łyżkę. Ostrożnie, żeby nie rozlać, przeniósł naczynia i postawił na czystym biurku.

– U Henia zjemy. – Przsunął dla niej drugie krzesło. – Bo u mnie nieporządek.

Usiadł i nie czekając na Alicję, zanurzył łyżkę w gorącej zupie. Romska uśmiechała się, obserwując tę scenkę rodzajową. Faktycznie, przypomniała sobie jego niedawne słowa, tu jest inaczej.

– Jedz, póki ciepła – zachęcił ją, wskazując drugi talerz. – Jak ci pokażę zdjęcia, to stracisz apetyt.

Kiedy skończyli, przesunął talerze na drugi koniec blatu, po czym nie zmieniając miejsca, sięgnął po teczkę leżącą na szczytce sterty papierów na jego biurku i wyjął z niej dokumenty. Dotyczyły sprawy kobiety, której zwłoki odnaleziono w lesie.

– Zdjęcia nie są idealne. – Podał jej fotografie. – Bo musiałem je robić z odległości kilku metrów. Policjanci nie pozwolili mi podejść bliżej.

– Nie są złe.

– W redakcji mamy całkiem dobry aparat. – Wyjął jej z dłoni pierwszą z fotek i położył na biurku. – Tu najlepiej widać rany od pogryzień. Zobacz, zwierzę rozszarpało spodnie i pokąsało udo dziewczyny. Przed zgonem zdążył się zrobić siniak, ale widać, że ugryzł ją, ale nie próbował się pożywić.

Alicja pokiwała głową, bo wyglądało na to, że ma rację. Nie odezwała się jednak, bo myślami była już przy kolejnym dramatycznym zdjęciu. Zbliżenie twarzy kobiety, a właściwie dziewczyny, ukazywało też rozszarpaną szyję. Wydarta krtań wisiała pod brodą. Wargi uchylonych ust miały siny, prawie czarny kolor. Trupia bladość twarzy kontrastowała z krwawymi ranami. Na kolejnej fotografii zobaczyła prawą rękę ofiary. Ułożona na piersi, musiała mieć w kilku miejscach połamane kości, bo leżała nienaturalnie wygięta. Kolejne obrazy przedstawiały pokaleczone zębami ciało. Robiły silne wrażenie nawet na doświadczonej policjantce.

– Masz te zdjęcia w komputerze?

– Tak. – Poskładał fotografie z powrotem do teczki. – Wysłać ci?

– Na ten adres. – Wyjęła z kubka ołówki i zapisała adres mailowy na odwrocie zdjęcia. – Możesz teraz?

Usiadł przy komputerze, odszukał katalog i wysłał pliki. Nagle drzwi do pokoju się otworzyły i stanął w nich niewysoki, chudy mężczyzna, z okularami w rogowej oprawie na nosie. Zaskoczony widokiem Alicji stał chwilę, nie puszczając klamki. W końcu zreflektował się, że jego zdumienie trwa zbyt długo, chrząknął zakłopotany i wszedł do środka.

– Cześć, Heniu. – Wilga wstał z krzesła, jednocześnie zabierając z oparcia kurtkę. – My już właśnie wychodzimy.

– Alicja Romska. – Komisarz podała mężczyźnie rękę na przywitanie, a właściwie na pożegnanie.

Ten uściśnął jej dłoń bez słowa. Gapił się na nią przy tym, wprowadzając w lekkie zakłopotanie.

Na schodach zwróciła Wildze uwagę, że mógłby posprzątać swoje stanowisko pracy, a przynajmniej zabrać brudne talerze z biurka pana Henia. Olek wytłumaczył jej jednak, że to zaburzyłoby harmonię panującą w redakcji.

– Czy zwróciłabyś uwagę na porządek na jego biurku, jeżeli na moim nie byłoby burdelu? – zadał retoryczne pytanie pół żartem, pół serio. – Czasem też nabałaganie u niego, przez co na drugi dzień może mnie zrugać, a potem przyjąć przeprosiny i mi wybaczyć. Dzięki temu on ma okazję przekonać się, że jest dobrym człowiekiem, co zresztą jest szczerą prawdą, a ja nie muszę sprzątać. Uczciwy układ.

– Straszny z ciebie cynik.

– Możliwe. – Uśmiechnął się łobuzersko jak mały chłopiec. – A może to on mnie wykorzystuje?

– Zamiast filozofować, przyznaj się lepiej, że po prostu nie chciało ci się pozmywać – rzuciła zaczepnie, otwierając drzwi samochodu. – Gdzie cię podwieźć?

– Wyszukałem numer telefonu osoby wyznaczonej do kontaktu z miejscowego koła łowieckiego – oznajmił i wyjął telefon. – Spróbuję nas umówić. A potem zrobimy sobie rundkę po barach w Polańczyku.

– Kawa i ciastko w cukierni na początek wystarczą. – Trochę się krygowała, ale nie miała ochoty się z nim rozstawać.

– Źle mnie zrozumiałaś. – Znów się uśmiechnął, bo dobrze się bawił jej kosztem. – Odwiedzimy knajpy, w których Kołęda mógł się spotkać ze swoim tajemniczym informatorem. Mam zdjęcie Macieja, ściągnąłem ze strony stacji telewizyjnej. Może ktoś ich widział. – Pokazał jej fotografię w telefonie.

– Poczekaj, prześlą mi z mojej komendy bardziej aktualne. – Wyszukała numer Ewy Kwiecień, nie komentując swojej wpadki. – Jego syn przyniósł zdjęcie do nas, kiedy Kołęda zaginął.

## 12

Marek wciąż siedział za biurkiem w swoim gabinecie, choć godziny jego pracy dawno już minęły. Nie spieszyło mu się do domu. Na ekranie komputera przeglądał stronę internetową kliniki ginekologiczno-położniczej Pro Familia. Witryna była profesjonalnie wykonana, jak przystało na wizytówkę ekskluzywnej placówki medycznej. Miała przekonywać potencjalne pacjentki, że tutaj „mamy i ich maleństwa” będą miały najlepszą opiekę, i musiał przyznać, że strona na pewno dobrze spełniała swoje zadanie. Zdjęcia sal porodowych, pokoi, opisane doświadczenie zespołu lekarzy i położnych, wszystko było na najwyższym poziomie. To tutaj miało przyjść na świat ich dziecko, a właściwie jego dziecko, bo to on miał być biologicznym ojcem.

Całe to rozwiązanie zaskoczyło jego i Julię. Nie rozmawiali jeszcze na ten temat ze sobą i nie wiedział, co ona naprawdę czuje. To znaczy: komentowali spotkanie i samą ofertę przedstawicielki kliniki, trudno było uniknąć najważniejszego obecnie w ich życiu tematu, ale



bardziej poruszali kwestie organizacyjne niż delikatną sferę emocji. A on miał mieszane uczucia. Po podpisaniu przez nich umowy o poufności Maria Kurska przedstawiła im, jak miał wyglądać cały proces, albo – jak go Marek w myślach nazywał – proceder pozyskania przez nich dziecka.

Przypuszczał, że kobieta celowo używała technicznego, stricte medycznego języka, aby uniknąć moralnych aspektów sprawy. Podobnie jak w przypadku procedury zapłodnienia in vitro, miał przekazać swoje nasienie. Różnica polegała jednak na tym, że nie miała być nim zapłodniona komórka jajowa żony, ale bezpośrednio jakaś młoda kobieta! Już to samo wydawało się mocno kontrowersyjne, a dalej było według niego jeszcze gorzej.

Na wstępie on i surogatka mieli przejść serię badań, umożliwiających wykluczenie konfliktu serologicznego i zminimalizowanie zagrożenia powikłaniami podczas ciąży i po urodzeniu dziecka. To było warunkiem uruchomienia dalszych działań. Szulcowie nigdy nie mieli poznać biologicznej matki, ona zaś miała zgodzić się, aby tak szybko, jak to będzie możliwe, oddać dziecko pod opiekę nowym rodzicom. Po położu miało być ono w szpitalu odseparowane od rodzącej na jej życzenie, aby uniknąć komplikacji i nie pozwolić na nawiązanie więzi z dzieckiem. Jeszcze przed porodem przyszła matka zobowiązana była podpisać wszystkie dokumenty, w których zrzeszała się praw rodzicielskich. Dawca nasienia, w tym przypadku Marek, zaraz po urodzeniu dziecka miał złożyć wniosek o potwierdzenie ojcostwa. Kurska gwarantowała, że będzie zrealizowany błyskawicznie. Samo badanie miało być czystą formalnością, a jego wynik posłużyć w sądzie rodzinnym szybkiemu załatwieniu sprawy. W ten sposób automatycznie, kilka dni po narodzinach, dziecko w świetle przepisów będzie miało jednego rodzica, swojego biologicznego ojca. Państwo Szulc mieli zapłacić za cały proces około trzystu tysięcy złotych, z czego sto tysięcy tytułem prowizji do kancelarii prawnej reprezentującej klinikę, kolejne sto tysięcy za ich pośrednictwem surogatce. Pozostała część kwoty powinna pokryć koszty wszystkich badań, w tym prenatalnych, i opiekę medyczną nad ciężarną, przed, w trakcie i po porodzie. Wszystko wyglądało nawet logicznie, ale Marek miał wątpliwości, bo cała ta operacja bardziej przypominała transakcję handlową niż adopcję, a dziecko traktowane było jak towar. Nagle drzwi jego pokoju się uchyliły i do środka zajrzała jego żona.

– Hej. – Julia uśmiechnęła się. – Sam jesteś?

– Tak. – Zaskoczyła go swoimi odwiedzinami. – Co ty tu robisz?

– Mogę wejść?

– Jasne, właśnie skończyłem. – Zamknął okno przeglądarki i strona kliniki zniknęła z ekranu.

– To zbieraj się. – Spojrzała na zegarek. – Kupiłam bilety do teatru, mamy pół godziny na dojazd.

Dopiero teraz zauważył, że była elegancko ubrana. Miała na sobie czarną, obcisłą sukienkę za kolana i wysokie szpilki. Na ramieniu przewieszony brązowy płaszcz. W dłoni trzymała aksamitną kopertówkę.

– Ładnie wyglądasz. – Patrzył na nią chwilę z uśmiechem. – A ja mogę tak iść? – Miał na sobie golf, marynarkę i dzinsy.

– Wzięłam ci świeżą koszulę, jest w samochodzie. – Podeszła i niespodziewanie pocałowała go w policzek, po czym zrobiła krok w tył. – Ale tak jest dobrze, nie musisz się przebieierać.

To był początek cudownego wieczoru. Po przedstawieniu poszli na pizzę do ich ulubionej włoskiej restauracji, a potem do klubu. Tańczyli i śmiali się, jak za dawnych lat. Julia wypila kilka drinków, on nie potrzebował wspomagania, żeby się dobrze bawić. Bardzo się za nią stęsknił.

Wracali do domu grubo po północy i oboje dopadło zmęczenie. Julia oparła głowę o brzeg fotela auta i drzemała, a on prowadził spokojnie, spoglądając przez okno na błyszczącą neonami Warszawę.

– Marek, jak to się nie uda, to ja się zabiję.

– Co? – W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał. – Co ty powiedziałaś?

– Nawet nie wiesz, ile razy trzymałam już w garści tabletki. – Nie widział jej twarzy, bo wciąż była odwrócona w stronę bocznego okna. Jedynie niewyraźne odbicie.

– Boże, Julka...

– Nie dam rady... Przysięgam.

– Przecież mamy siebie! – W jego głosie przez smutek przebiła się nutka pretensji. – Nic dla ciebie nie znaczę?

– Zabiłam nasze dziecko i teraz za to płacimy. – W szybie widział płynące po jej policzkach łzy. – Też nie zasługuję, żeby żyć.

– Nie płęć głupstw! – Był przerażony jej słowami. Nie miał pojęcia, że jest z nią aż tak źle. – Wtedy sami byliśmy jeszcze dziećmi. Przerażonymi dziećmiakami, niemającymi bladego pojęcia o życiu! Myślisz, że ja nie chciałbym cofnąć czasu?

– Nie da się cofnąć czasu. – Pociągnęła nosem. – Ale może to dziecko pozwoli mi zapomnieć? Jak myślisz? – odwróciła się i spojrzała na niego z nadzieją.

Patrzył przed siebie, mocno ściskając kierownicę. Nie powiedział jej, co myśli, bo uważał, że chociaż oboje chcieliby odkupić grzechy przeszłości, robią coś zupełnie przeciwnego. Coś złego. Kupczą losem dziecka, dobijając targu z tą babą i być może skazującą na podobne rozterki w przyszłości jakąś biedną, zagubioną dziewczynę. Może ona będzie za dziesięć lat płakać i przeklinać dzień, w którym za pieniądze oddała swoje dziecko obcym ludziom. Bo to, że wleją w nią jego spermę, w żaden sposób nie czyni go ojcem. Tak myślał, ale nie mógł Julce tego powiedzieć. Nie po tym, co przed chwilą usłyszał.

– Wszystko będzie dobrze. – Odwrócił się w końcu do niej i pogłaskał po ramieniu. – Będziemy mieli to dziecko.

Przez resztę drogi milczeli. Dojechali wreszcie na podziemny parking ich apartamentowca. Marek spoglądał, jak Julia rozpiniała pas. Chwilę siedziała w bezruchu, po czym otworzyła małą, kopertową torebkę i wyjęła z niej zdjęcie.

– To ta dziewczyna. – Podała mu. – Ona urodzi nasze dziecko.

– Skąd to masz? – Po raz kolejny tego dnia nie wiedział, co się dzieje. – Przecież nigdy nie mieliśmy się tego dowiedzieć!

– Zapłaciłam tej Kurskiej dwadzieścia tysięcy ekstra i przekazała mi zdjęcie.

Marek przyglądał się młodej dziewczynie z fotografii. Miała ładną, uśmiechniętą twarz. Związane w prosty kucyk, ciemne włosy opadały z lewej strony szyi. Patrzyła w obiektyw z lekko przechyloną głową. Zdjęcie było powiększone, ale wyglądało, jakby pochodziło z jakiegoś dokumentu.

– Jeżeli będzie dziewczynka, to damy jej na imię Mirka. – Julia otworzyła drzwi i wysiadła powoli z samochodu.

## 13

Na parking biurowca podjechał samochód dostawczy z naklejonym na pace chłodni logo firmy. Z kabiny wysiadł młody chłopak w roboczym drelichu i firmowym polarze. Rozejrzał się i różnym krokiem ruszył w kierunku drzwi wejściowych do budynku. Z uśmiechem podszedł do recepcyjnej lady i zamienił kilka słów z pracującą tam dziewczyną. Ta nie odwzajemniła uśmiechu, spojrzała beznamiętnie na Mirę i przywołała ją ruchem dłoni.

– Pojedziesz z nim – rzuciła chłodno. Nie patrzyła na dziewczynę, notowała teraz coś na skrawku papieru. Kiedy skończyła, podała kartkę kierowcy. – Tu masz zapisany adres kliniki i numer komórki. Jest umówiona na trzynastą, nie spóźnij się. Jak będziecie na miejscu, to zadzwoń pod ten numer. Ktoś po nią wyjdzie.

– Jasne. – Spojrzał na zapiski. – Mam załadowany samochód, co z towarem?

– Nie wiem, w powrotnej drodze rozwiędziesz. – Wzruszyła ramionami. – Najpierw to załatw.

– No to dawaj, dziewczuszka. – Uśmiechnął się do Miry. – Pojechali!

Poszła za nim jak skazaniec, ze spuszczoną głową, odprowadzona wzrokiem przez grubego policjanta. Wgramoliła się na wysokie siedzenie busa i odruchowo zapięła pas. Ojciec zawsze jej o tym przypominał.

Silnik dostawczaka zawył, skrzynia biegów zazgrzytała i kierowca ruszył powoli w stronę bramy zakładu. Na lusterku wstecznym zakołysała się przyczepiona tam płyta kompaktowa. Przyspieszył, kiedy minęli stróżówkę i wyjechali na asfaltową drogę prowadzącą do miasteczka. Kilka kilometrów przebyli w ciszy. Chłopak zerkał na Mirę od czasu do czasu. Widać, miał ochotę zagadać, ale nie wiedział jak, bo dziewczyna całkowicie go ignorowała. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Co ty taka smutna? – zagał w końcu.

Chwilę na nią spoglądał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zirytowało go to widocznie, bo po chwili rzucił, już mniej sympatycznym tonem:

– W ciążę zaszłaś? – Wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. – Chłopak na Ukrainie nie będzie szczęśliwy, co?

Odwrociła się gwałtownie i spojrzała na niego z wściekłością. Miała wielką ochotę dać mu w twarz. Nie liczyła na jego współczucie, ale też nie chciała słuchać obelg, a on potraktował ją jak pierwszą lepszą. Nic o niej nie wiedział, a w kwadrans zdążył ocenić i wydać opinię.

– Zamknij się i jedź!

Po kolejnych kilku minutach dojechali do rogatek miasteczka. Mira przypomniała sobie teraz, że na dworcu wciąż czeka na nią Oksana! Przyjaciółka na pewno nie wsiadła bez niej do pociągu jadącego do Przemyśla. W pierwszej chwili chciała wyjąć telefon i zadzwonić do niej, ale powstrzymała ją obecność kierowcy. Zresztą, nie mogła jej tak zostawić na dworcu. Choć były w tym samym wieku, Mira traktowała Ksenię jak młodszą siostrę i czuła się za nią odpowiedzialna.

- Nie jestem w ciąży - odezwała się pojednawczym tonem. - I nie mam chłopaka.

- To po co jedziesz do kliniki? - Zaskoczyła go przerywając milczenie. - Chora jesteś?

Miała zamiar znowu go zrugać, bo jego wścibskość graniczyła już z chamstwem, ale ugryzła się w język. Chciała poprosić go o przysługę, a to wymagało szybkiego naprawienia ich kiepskiej na tę chwilę relacji.

- Nie, kazali mi zrobić badania.

- Aż w Rzeszowie?

- Do Rzeszowa mnie wieszysz?

- No... - Spojrzała na nią zaskoczony. - To nie powiedzieli ci, dokąd mam cię zawieźć?

- Nie. - Bezskutecznie próbowała powstrzymać łzy. - Nie powiedzieli.

- Co się stało? - Zerkała na nią ze współczuciem. - O co tu chodzi?

- Jak ci powiem, to mi pomożesz? - Było jej ciężko, ale teraz potrzebowała wsparcia jak nigdy w życiu. - Zrobisz coś dla mnie?

Obiecał pomóc, więc opowiedziała mu swoją tragiczną historię, nie tłumiąc już łez. O próbie gwałtu w zakładzie i o tym, jak dyrektorka oskarżyła ją o napaść na brygadzystę. W połowie relacji Jura, bo tak młody Ukrainiec miał na imię, zatrzymał samochód na drodze i słuchał, nie zwracając uwagi na trąbiące auta. Jego czoło zmarszczyło się, oczy zwężyli, a dłonie co chwila odruchowo zaciskały się na kierownicy.

- Nienawidzę ich... - wyszczał przez zęby, kiedy skończyła. - Tych polaczków.

- To co tu robisz?

- Ojca przejechała ciężarówka, kiedy byłem mały. - Teraz on odwzajemnił się swoją smutną balladą. - W Kijowie została matka i trzy siostry. Tam pracy nie ma, a jeść trzeba. Najstarsza skończyła osiemnaście lat i chciała tu przyjechać, ale wybiłem jej to z głowy.

- Dobrze zrobiłeś. - Poczwała w nim bratnią duszę. - Pomożesz mi?

- Wysadzę cię w Rzeszowie i pojedziesz taksówką na dworzec. - Wziął do ręki smartfona. - Sprawdzę, o której odchodzi najbliższy pociąg do Lwowa. Nie mogę cię zawieźć na miejsce, bo w busie jest lokalizator i mogliby mnie sprawdzić, a ja muszę tu zostać. Muszę zarabiać na utrzymanie rodziny. Masz pieniądze na bilet? Jak nie, to ci pożyczę.

- Nie mogę wyjechać...

- Dlaczego?

- Zabrali mi paszport.

- Zabierają teraz paszporty?! - Znów ogarnęła go wściekłość. - Już całkiem robią z nas niewolników!

- Nie, tylko mnie... - Pokręciła głową. - Dziś dyrektorka mi zabrała.

- Po co jej dałaś?

- Straszyla mnie policja.

- Sucz!

- Jeżeli chcesz mi pomóc, to pojedź ze mną po moją przyjaciółkę. - Położyła mu rękę na dłoni. - Weźmiemy Oksanę, bo ona na mnie czeka na dworcu już kilka godzin i nie wie, co się dzieje. Miałyśmy razem dziś wyjechać, ale wszystko się skomplikowało.

Wbił pierwszy bieg i znów ruszyli. Wyznania spowodowały, że poczuli się w swoim towarzystwie swobodnie. Mira, śmiejąc się przez łzy ze swojej głupoty, opowiedziała mu, jak się w Polsce znalazła. Słuchał i kiwał głową, teraz oboje byli mądrzy. Po kilku minutach dojechali na miejsce spotkania z Oksaną.

- Zaczekaj na mnie. - Wskoczyła z auta i pobiegła w stronę budynku, gdzie spodziewała się znaleźć poczekalnię.

- Pójdę z tobą. - Otworzył drzwi od strony kierowcy. - Poszukamy razem.

- Nie! - Powstrzymała go. - I tak nie wiesz, jak Ksenia wygląda.

Chwilę później wyskoczył z samochodu, bo zobaczył obie dziewczyny, dźwigające przewieszone na ramionach wielkie torby. Wziął od nich bagaż i wrzucił na pakę.

- Trochę będzie waniało, ale do kabiny się nie zmieszczą.

- Tam i tak wszystkie rzeczy śmierdzą kurczakami. - Mira podała mu trzecią, mniejszą torbę. - W domu wszystko w piecu spale.

Po krótkiej naradzie ustalili, że wszyscy razem pojedą do kliniki, potem Jura odwiezie obie dziewczyny na kwatery, a towar rozwiezie później. Droga do Rzeszowa zajęła im ponad dwie godziny. Na miejscu byli w ostatnim momencie, zdążyli tuż przed wyznaczoną godziną.

Jura spieszył się i parkując, zahaczył zderzakiem o słupek. Zaklął, zatrzymał auto przed wejściem i zadzwonił pod zapisany przez sekretarkę na kartce numer. Po chwili szklane drzwi budynku otworzyły się i ukazała się w nich młoda pielęgniarka, z telefonem przy uchu. Odnalazła wzrokiem samochód, uśmiechnęła się i pomachała ręką. Mira wysiadła i ruszyła w jej stronę. Dziewczyna w dobrze skrojonym białym kitlu podała jej dłoń na powitanie i zaprowadziła do głównej sali, gdzie rejestrowano pacjentów.

- Pani Mira Hejko - podała dane pacjentki koleżance. - Ma zlecony pełny pakiet badań.

- Tak, wszystko już opłacone. - Recepcjonistka podniosła wzrok i otaksowała dziewczynę wzrokiem. - Ma pani pidżamę? Gdzie pani rzeczy?

- Nie mam. - Zaskoczyła Mirę pytaniem. - Ja tylko na badanie.

- Skierowanie ma spory zakres. - Pokręciła głową - A większość badań będziemy mogli zrobić dopiero jutro.

- Ja nie wiedziałam.

- Nic nie szkodzi. - Dziewczyna z obsługi była miła i nad wyraz wyrozumiała. - Koleżanka zaprowadzi panią do sali, przyniesie bieliznę i niezbędne kosmetyki. Odświeży się pani po podróży. W pokoju jest telefon. Jeżeli będzie pani miała jakieś życzenia, proszę zadzwonić.

Mimo że była na urlopie i było to nadużycie z jej strony, Romska pokazała mężczyźnie policyjną legitymację i wyłuszczyła powód ich wizyty. Pan Józef, szef lokalnego koła łowieckiego w Ustrzykach Dolnych, obejrzał dokument, po czym zaprosił ich do wnętrza swojego domu. Chłop miał grubo ponad sześćdziesiątkę, szpakowate włosy i jak większość ludzi na wsiach w tej okolicy chodził w starym mundurze, z odprutymi pagonami. Usiedli przy stole w salonie, a on otworzył gruby, mocno sfatygowany służbowy zeszyt. Cofnął się do starszych zapisków, przewracając powoli kartki brudnym paluchem, śliniąc go raz po raz.

– Kiedy to było? – zapytał, poprawiając na nosie zdezelowane okulary. Po czym sam sobie odpowiedział: – W listopadzie jakoś...

– Na początku miesiąca, ciało dziewczyny znaleziono szóstego. – Alicja zaglądała mu przez ramię. – Proszę sprawdzić od pierwszego do piątego listopada.

– Pierwszego to się na cmentarz chodził – skomentował pod nosem, nie odrywając wzroku od notatek. – Chyba że jacyś z zagranicy.

– Takich też ma pan w ewidencji?

– Wszystkich mam – rzucił mimochodem, cały czas wertując zapisane drobnym maczkiem informacje.

W końcu znalazł chyba odpowiednią stronę, bo odsunął kajet dalej, aby móc lepiej się przyjrzeć tekstowi.

– Do niczego już te okulary, trzeba by wymienić... – bąknął pod nosem. – Starość... Kiedyś kaskę w locie trafiałem, a teraz po sobie nie mogę się rozczystać.

Zamilkł na chwilę i zmarszczył czoło, w skupieniu próbując ustawić zapisaną kartkę w optymalnej dla oczu odległości, żeby w ten sposób ułatwić sobie odczytanie liter. Alicja traciła już powoli cierpliwość, spojrzała więc znacząco na Olka. Ten jednak błędził wzrokiem po pokoju, nieobecny myślami. Wodził oczyma po ścianach wyraźnie zniesmaczony, podążała więc za jego wzrokiem.

W salonie pełno było myśliwskich trofeów, małe czaszki z rogami wisały prawie wszędzie. Pomędzy nimi umieszczono głowy jeleni i dzików. Szklane oczy martwych zwierząt były nienaturalnie wytrzeszczone, jakby temu, kto wypchał zwłoki, zależało na utrwaleniu na zawsze ich przerażonego spojrzenia z chwili śmierci. Romska zastanawiała się, jak można zrobić ze swojego domu takie cmentarzysko, bo widok był naprawdę przykry. Jej komendant, jeszcze w Kielcach, też był myśliwym. Wdała się nawet z nim kiedyś w dyskusję na ten temat. Przedstawił jej polowanie jako sztukę kultywującą dawne tradycje, gdzie człowiek obcując z dziką przyrodą, staje w pojedynku oko w oko z dzikim zwierzęciem. Tylko że w tym „pojedynku” człowiek ma sztucer, a zwierzę nie. Nawet była skłonna się zgodzić, że samo tropienie w trudzie i znoju, przemierzając o świcie las, ma w sobie pewien romantyczny urok, ale już zabicie jelenia, aby powiesić sobie nad łóżkiem odciętą głowę tego pięknego zwierzęcia, było dla niej odrażające, wręcz budziło gniew. Z trudem się teraz powstrzymywała, aby nie okazać niechęci gospodarzowi, bo to utrudniłoby rozmowę.

– Mam! – Pan Józef wyrwał oboje z rozmyślań i wskazał palcem miejsce, gdzie w zeszycie była odpowiednia wzmianka. – Trzeciego listopada wykupił polowanie Janusz Zawiało, dwóch ich było, ale nazwiska tego drugiego w zeszycie nie mam. Elegancik taki, młodszy. Pierwszy

raz chłopca na oczy widziałem, tak że nie pomogę. W protokole jest, ale protokół odesłałem już do Krosna, do dyrekcji lasów.

- Jakie dane są w tych wysyłanych dokumentach? - Alicja skrętnie zanotowała usłyszaną informację. - Jest tam kontakt do tych osób?

- Wszystko jest. - Stary kiwnął głową. - Nazwiska myśliwych, ich adresy, jaką broń mieli i na jakie zwierzęta polowali.

- A psy? - Wilga, który do tej pory głównie się przysłuchiwał, włączył się do rozmowy. - Mieli ze sobą psy?

- Januszek miał swojego teriera, bo na dziką szli polować. - Mężczyzna kiwnął twierdząco głową. - Ten drugi bigla.

- Bigla? Przecież to małe takie - zdziwiła się Romska, bo jej sąsiadka miała psa tej rasy i bynajmniej nie wyglądał na takiego, co by był w stanie dziką pokonać, co najwyżej merdając ogonem, wytrząsać po pysku.

- Na odyńca im mniejszy, tym lepszy. - Myśliwy wskazał na wiszący nad kominkiem wielki łeb z dwoma wystającymi potężnymi kłami. - Musi zwierza tylko przytrzymać na chwilę za racicę, żeby można było przymierzyć i celnie strzelić. Mały pies jest zwinny i trudniej dzikowi go szablami zahaczyć. Dużemu raz-dwa bebechy rozpruje.

- Ale człowiekowi to by chyba te psy nie były w stanie poważnej krzywdy wyrządzić? - Olek też wiedział, jak wyglądają czworonogi tych ras.

- Najwyżej nogawkę potargać. - Stary machnął ręką, bo domyślił się, do czego tamten zmierza. - Zresztą to są psy szkolone. Człowieka by nie ruszyły.

- Wie pan, gdzie dokładnie polowali? - Alicja nie zamierzała pochopnie zamykać wątku, jedynie na podstawie jego opinii.

- Wiem, bo sam ich tam terenówką podwiozłem.

- Pokaże nam pan na mapie?

Józef wstał i wyjął z szuflady sporą, wojskową mapę. Była bardzo szczegółowa i przedstawiała tylko powiat ustrzycki.

- Tutaj ich wieczorem wysadziłem. - Wskazał punkt. - I stąd następnego dnia rano zabrałem.

- Wspominali coś o dziewczynie?

- Nie. - Pokiwał przecząco głową. - Nic nie mówili.

- Upolowali coś?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Dziwiłem się właśnie, że nic nie ustrzelili i zadzwonili, żeby ich już zabrać.

- A gdzie jest na tej mapie miejsce odnalezienia ciała? - Romska nie bardzo orientowała się w topografii okolicy, a chciała dowiedzieć się, jak najwięcej. - Gdzieś blisko nich?

- Zaraz... - Mężczyzna przejechał palcem wzdłuż krętej linii lokalnej drogi, po czym zatrzymał się i stuknął w kartę. - Tutaj, niedaleko młodnika.

Pani komisarz spojrzała na legendę w rogu mapy i starała się oszacować na podstawie zamieszczonej tam skali, jaka odległość dzieliła myśliwych od punktu, gdzie tragicznie zginęła młoda kobieta.

- Na oko mieli do niej jakieś cztery kilometry, może nawet mniej - Teraz wszyscy przypatrywali się mapie. - Jeżeli szła od strony Lutowisk, to musiała nawet przejść znacznie bliżej nich.

- Jeżeli szła drogą, to psy powinny ją wyczuć. - Stary pokiwał głową. - Wyszkolony pies może zwietrzyć zwierzynę z kilometra. Człowieka też. Dałyby znać właścicielom, że coś wniuchały.

- Chyba że nie szła drogą od Lutowisk - wtrącił się Olek. - Ale z drugiej strony, przez las.

- Są tam w pobliżu jakieś domy? - Alicja podążyła jego tokiem rozumowania. - Jakies letnisko, skąd mogłaby wyjść na spacer i zabłądzić? To nie była miejscowa kobieta, więc może jakaś turystka?

- Tu w pobliżu była kiedyś mała wieś, jakieś cztery kilometry na zachód. - Zlustrował zarys lasu na mapie i wskazał miejsce. - Takie sioło bardziej, z dziesięć dymów. Domy popadły jednak w ruinę, bo starzy ludzie przez lata poumierali, a dzieci wyjechały do miasta. Teraz to tylko sterty drewnianych belek zarośnięte krzakami. W pobliżu ostały się jednak dwa podupadłe domostwa. Nie są naniesione na mapę, bo chyba tam zezwolenia na zamieszkanie nie ma. Do rozbiórki przeznaczone.

- Mieszka tam ktoś teraz? - zapytał Wilga, a Romska ożywiła się.

- Jeden stoi pusty, bo stary Kosmala zmarł i dzieci chcą gospodarstwo sprzedać, a w drugim... - Tu twarz mu się lekko wykrzywiła w grymasie. - ...żyje Lutek Szypuła.

- Zna go pan? - Policyjne oko pani komisarz wychwyciło zmianę na jego obliczu. - Tego Szypułę?

- Znam. - Skinął głową. - Razem w straży granicznej żeśmy służyli.

- Sam mieszka? - Alicja zanotowała nazwisko i coś obok. - Nie ma rodziny?

- Miał żonę, ale go zostawiła, jak poszedł siedzieć. - Stary jakby się trochę zamyślił. - Będzie z siedem lat, jak zabrała córkę i wyjechała za granicę. Do Włoch chyba.

- Ten Lutek siedział w więzieniu? - Znów zapisała. - Za co? - Za przemyt - rzucił krótko, a widząc, że policjantka czeka na więcej informacji, dodał po chwili: - Spirytus u niego w stodole znaleźli. Dużo.

Józef zamknął energicznie swój służbowy kajet, wstał od stołu i odłożył go na miejsce. Razem z nim podnieśli się z krzeseł goście, bo słusznie odebrali jego zachowanie jako sygnał do zakończenia rozmowy.

- Tyle wiem. - Poglądził się po gładko ogolonym policzku. - Mam nadzieję, że pomogłem.

- Tak, dziękuję - rzuciła pani komisarz i wyszli na zewnątrz.

Alicja rozejrzała się jeszcze po podwórku. Panował tu ład, co nie zdziwiło jej specjalnie, znając zawodową przeszłość gospodarza. Ludzie, którzy byli kiedyś w służbach mundurowych, mieli wpojone zamiłowanie do porządku. Jej uwagę przykuł wykonany z siatki nieduży kojec. Stała tam buda dla psa, ale była pusta.

- A pan jakiego ma psa? - zapytała bez owijania w bawełnę. - Nie ma go w zagrodzie?

- Żadnego teraz nie mam. - Spojrzała na nią spode łba, chyba urażony, bo odebrał pytanie jako rzucone podejrzenie. - Nażarł się czegoś i zdechl.



Markowi miło mijał dzień, a perspektywa męskiego wieczoru wprawiała go dodatkowo w dobry nastrój. Od tygodnia mieszkał sam, bo Julia poleciała do Włoch, do swojej serdecznej przyjaciółki Niny. Miała tam trochę odpocząć, złapać promienie słońca i przy okazji znaleźć lokum, gdzie planowała spędzić kilka miesięcy.

Pomysł dłuższego wyjazdu podzuciła im Kurska, przedstawicielka Pro Familia. Trafnie zauważyła, że co prawda nie są celebrytami, ale jednak Julia jest córką znanego i dość kontrowersyjnego posła, który ma wielu wrogów. Ktoś przy okazji szukania na niego haków, mógłby zainteresować się dzieckiem. Brukowa prasa lubi wyciągać takie prywatne sprawy i choć przedstawicielka Pro Familia podkreślała przy każdej okazji, że cały proces jest zgodny z prawem, to wszyscy wiedzieli, że akcja jest grubymi nićmi szyta i media miałyby niezłe używanie. Stwierdzili więc, że Julia zniknie na kilka miesięcy przed narodzinami dziecka i wróci razem z noworodkiem. W międzyczasie Marek poinformuje najbliższych znajomych, że żona jest w ciąży, więc pojawienie się dziecka będzie naturalną konsekwencją i nikogo nie zaskoczy. Sprawę ułatwiał fakt, że prowadzili bardzo skromne życie towarzyskie, właściwie mieli powiadomić jedynie Jagodę i Antka, no i ewentualnie kilku bardziej ciekawskich sąsiadów, jeżeli będą pytać. Jedyną wtajemniczoną osobą miała być Nina. Cała ta maskarada wydawała się dość żenująca, ale Marek uznał, że woli to niż wyjaśnianie osobom postronnym, skąd się wziął potomek, bo i tu musiałby kłamać. Zresztą ostateczna decyzja, jak zawsze, należała do Julii. On sam nie mógł wyjechać i zostawić firmy na tak długi okres, bo przecież ktoś musiał zarobić te trzysta tysięcy złotych, które mieli zapłacić Pro Familia. Oszczędności zgromadzili około stu tysięcy, drugie tyle posiadał na koncie firmowym i mógł wypłacić w każdej chwili. Brakowało jeszcze kolejnych stu i te pieniądze miał nadzieję zarobić w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy. W duchu cieszył się, że ciąża trwa tak długo, miał czas na zebranie całej kwoty. Wymagało to jednak sporego zaangażowania w działania firmy, a co za tym idzie, jego pobytu w Polsce. Obiecał jednak żonie tak przeorganizować pracę i poukładać swoje obowiązki, aby móc przylatywać do niej jak najczęściej.

Spojrzał teraz na wiszący w kuchni zegar, dochodziła piętnasta. Całe popołudnie przed nim. Uśmiechnął się, bo rzadko zdarzało mu się mieć tyle czasu dla siebie. Zwykle wracał z pracy po osiemnastej, zmęczony jadł coś, chwilę gapił się w telewizor albo zasypiał nad książką, po czym brał prysznic i kładł się spać. Codzienny rytuał, żeby nie powiedzieć: kierat.

Dziś jednak nie poszedł do biura. Rano zgłosił się na wymagane w umowie z Pro Familia testy i choć zajęło mu to tylko dwie godziny, postanowił zrobić sobie wolne na resztę dnia. Wyłączył nawet telefon. Wyniki badań dostał na maila godzinę temu i od razu przesłał je Julce, bo to ona kontaktowała się w ich imieniu z kliniką i ona miała przesłać badania Kurskiej. Były tam rezultaty testów na obecność wirusa HIV, kiłę i inne weneryczne choroby, które mogły utrudnić proces zapłodnienia. Z krwi wykonano też badanie mające wykluczyć konflikt serologiczny. Wszyscy chcieli mieć pewność, że dziecko urodzi bez wad, a przynajmniej przekonanie, że zrobili absolutnie wszystko, aby wykluczyć taką sytuację. Tak naprawdę to nie ustalili, co stanie się, jeżeli dziecko przyjdzie na świat chore. Nie rozmawiali wprost na ten

temat, ale kilkakrotnie przedstawicielka kliniki dała im do zrozumienia, że dziecko będzie zdrowe. Taka „porządna” firma jak Pro Familia nie mogła sobie pozwolić na dostarczenie „wybrakowanego towaru”. Musieli zadbać o pełną satysfakcję klientów. W końcu ci ostatni placili naprawdę słono.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Marek ze zdziwieniem spojrzął odruchowo na zegar, choć chwilę wcześniej sprawdzał przecież godzinę. Umówił się z Antkiem na wieczorny mecz, a do jego rozpoczęcia zostało jeszcze kilka godzin. Uśmiechnął się i ruszył w stronę korytarza. Jeżeli teraz zaczną pić, to do pierwszego gwizdka nie doczekają. W sumie nie miał nic przeciwko temu. Mecz był tylko pretekstem. Nie spojrzął nawet w wizjer, bo nie spodziewał się nikogo innego, otworzył drzwi i stanął w progu zaskoczony. Na klatce zobaczył Stanisława Sękula, ojca Julki. Marek nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio teść ich odwiedził.

– Co tak patrzysz, jakbyś ducha zobaczył? – Polityk odsunął zięcia na bok i wszedł do mieszkania. – Trzeba było telefon odbierać, to byś nie był zdziwiony.

– Julii nie ma. – Marek ruszył za nim do salonu. – Wyjechała do koleżanki do Włoch.

– Wiem, dzwoniła do mnie. – Nie zdejmując płaszcza, usiadł na kanapie. – Przyszedłem sprawdzić, czy sobie jakichś dup nie sprowadzasz.

Żaden z nich nie zaśmiał się z kiepskiego dowcipu. Marek usiadł naprzeciwko teścia, ze zdenerwowania zapomniał nawet zaproponować czegoś do picia. Stary sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. Wyjął jednego i chwilę obracał w palcach.

– Przynies jakąś popielniczkę – polecił, przypalając papierosa, po czym odłożył zapalniczkę i paczkę na stolik przed sobą.

Marek wrócił z kuchni z jedyną popielniczką, jaką mieli, przywiezioną z podróży do Azji głową buddy. Pierwsze zaskoczenie niespodziewaną wizytą minęło, więc odzyskał spokój.

– Napije się tato czegoś?

– A nalej. – Zaciągnął się i strzepnął popiół.

– Whisky? – Domyślił się, że nie chodziło mu o kawę.

– Czystej nie masz?

Otworzył drzwiczki szafki w drewnianym barku na kółkach, przestawił kilka butelek, sięgnął głębiej i wyjął półlitrową ciepłą wódkę. Otworzył, wlał do kieliszka z ciętego szkła i postawił przed teściem. Stary ujął miarkę za stopkę, na chwilę zatrzymał w połowie drogi do ust, jakby chciał coś powiedzieć, jednak widocznie zmienił zdanie, bo wychylił jednym haustem.

– Nalej drugiego – powiedział, po czym odstawił i przesunął puste szkło po stole w jego stronę. – Sobie też.

Gospodarz wykonał polecenie bez słowa. Domyślił się już, że wizyta nie jest kurtuazyjna, i spodziewał się rozmowy dużego kalibru. Nie wiedział jeszcze skąd, ale podejrzewał, że teść dowiedział się o adopcji. Sękul uniósł swój kieliszek, dając mu sygnał, i wypili jednocześnie. Marek skrzywił się i chwilę walczył ze ślinotokiem. Nigdy nie lubił wódki i teraz też mu źle weszła, ale nie wypadało biec do kuchni, żeby przepić. Stary patrzył na jego twarz z nieukrywająco dezaprobatą i czekał, aż w końcu przejdą mu mdłości.

- To prawda, że Julka nie może mieć dzieci? - zaczął wreszcie, patrząc mu w oczy. - Że to wina tego zabiegu?

Marek bez pytania wyjął z leżącej na stoliku paczki papierosa, a Sękul bez słowa mu przypalił.

- Tak - zaciągnął się - Tak, mówią lekarze.

Na chwilę znów w pokoju zapanowała cisza. Teśc patrzył zamyślony przed siebie, a Marek obserwował z dziwnym niepokojem, jak popiół na jego papierosie wydłuża się i niebezpiecznie wygina, żeby w końcu spaść na jasny dywan. Zignorował jednak ten fakt i nie odezwał się nawet teraz.

- Chciałem dla niej dobrze. - Stary strzepnął do popielniczki resztkę popiołu. - Żeby poszła na studia, została kimś, a nie prała w liceum obsrane pieluchy. Skąd mogłem wiedzieć, że...

- Teraz to już nie ma znaczenia.

- Ta... - Zgasił papierosa. - Co się stało, to się nie odstanie.

Wstał, poprawił płaszcz, a z jego twarzy zniknął smutek i wróciła harda pewność siebie, tak bardzo do niego pasująca. Z kieszeni płaszcz wyjął sporą kopertę i rzucił na stolik między puste kieliszki. Marek podążył wzrokiem za pakunkiem.

- Co to?

- Sto tysięcy.

- Nie trzeba. - Podniósł i oddał mu zapakowane pieniądze, z trudem kryjąc złość. - Poradzę sobie.

- Weź. - Jego głos znów złagodniał. Spojrzał na zięcia w jakiś dziwny sposób. - Tyle mogę zrobić...

Marek odłożył z powrotem kopertę. Przestraszył się, że teśc za chwilę powie pierwszy raz w życiu „przepraszam”, a to mogło nie tylko na zawsze odmienić jego wizerunek, ale spowodować, że Ziemia przestanie się kręcić wokół Słońca.

Stary wyszedł, a Marek zakręcił flaszkę i zaniósł kieliszki do kuchni. W ustach wciąż czuł smak ciepłej wódki, wyjął więc z lodówki zimny sok, nalał do szklanki i wypił do dna kilkoma haustami. Niesmak w ustach zniknął, ale gdzieś tam w środku wciąż czuł się paskudnie. Nie mógł pozbyć się uczucia, że robi coś bardzo złego. Chwilę się wahał, w końcu sięgnął po kieliszek i wrócił do salonu.

## 16

Mira stała na przystanku, z którego codziennie o świcie odjeżdżał autobus do przetwórnicy drobiu. Na skraju wsi wieczorny mrok rozpraszała stara latarnia, umieszczona na betonowym słupie, stojącym obok przystankowej wiaty. W jej słabym, żółtym świetle dziewczyna próbowała wyczyścić chusteczką higieniczną obcas buta, którym po ciemku weszła w błoto. Skrzywiła się ze złością, bo w krótkiej, obcisłej spódnicy nie było jej łatwo się schylić. Zrobiła, co mogła, po czym wyszła na drogę i rozejrzała się w obie strony, ale szosa była pusta.

Spojrzała na zegarek w telefonie, dochodziła już dziewiętnasta. Cieszyła się na to spotkanie, bo już sama perspektywa wyjścia z dusznej noclegowni była bardzo miła. W pokoju ostatnio atmosfera zrobiła się nie do zniesienia. Kobiety prawie przestały się do niej odzywać, bo od powrotu ze szpitala nie chodziła do pracy, a pieniądze dostawała. Oksana przekazała jej wczoraj kolejną kopertę, którą niefrasobliwie Mira otworzyła przy współlokatorkach. Spodziewała się zobaczyć tam swój paszport, a wyjęła plik banknotów. To była spora kwota, więcej niż kobiety zarabiały w tydzień, ciężko pracując i biorąc nadgodziny. Wcześniej współczuły Mirze i przeklinały starego brygadzystę, ale teraz coś się w ich spojrzeniach zmieniło. Szeptaly między sobą i patrzyły na nią zawistnie spode łba. Tylko Ksenia, wtajemniczona we wszystko, co chwila łapała ją za dłoń i uśmiechając się, mrugała konspiracyjnie. Mimo że sama harowała całymi dniami, nie była zazdrosna, bo wiedziała, w jakiej sytuacji jest przyjaciółka.

Mira w klinice spędziła aż trzy dni. Na szpitalne warunki na pewno nie mogła narzekać, bo długa, gorąca kąpiel w wannie i pachnąca pościel w pojedynczym pokoju były miłą odmianą po wegetacji w zatłoczonej kwaterze. Rano na stoliku salowa postawiła nawet flakon ze świeżymi kwiatami. Mimo wygód nie czuła się tam jednak dobrze. Miała wrażenie, jakby była więźniem, a nie pacjentem. Pielęgniarki wydawały jej kolejne polecenia, a lekarze w gabinecie zabiegowym, bez pytania o zdanie, wykonywali coraz to nowe badania. Czuła się jak królik doświadczalny, bo o niczym jej nie informowali. Zadawali za to mnóstwo pytań, chcieli wiedzieć wszystko: jakie przeżyła choroby, kiedy ma okres, a nawet kiedy zaczęła współżyć i jakich środków antykoncepcyjnych używa. Próbowała się dowiedzieć, po co im te wszystkie informacje, ale zbywali ją, twierdząc, że takie są procedury. W końcu dała sobie spokój. Przestała pytać, bo przecież nie doszło do gwałtu, była zdrowa i chciała tylko mieć to już za sobą. Wyjść stąd, odzyskać paszport i wyjechać jak najszybciej.

W tym trudnym dla niej momencie mogła liczyć na przyjaciółkę. Oksana dzwoniła do niej codziennie, zaraz po powrocie z przetworni. Mira relacjonowała jej wydarzenia, a Ksenia pocieszała ją i dodawała otuchy. Niespodziewanie wsparcie dostała też od Jury. Chłopak obiecał nawet odebrać ją ze szpitala, kiedy tylko będzie to możliwe. Co prawda Mirka podejrzewała, że kogoś po nią przyślą i to bynajmniej nie ze względu na jej wygodę, ale żeby mieć pewność, że nie ucieknie. Nie miała co prawda paszportu, ale przecież ludzie w desperacji robią nieprzemysłane rzeczy, zwłaszcza młode dziewczyny, więc ich ostrożność byłaby uzasadniona. Nie pomyliła się, miał po nią przyjechać kierowca z zakładu. Ku jej uciesze okazało się, że odebranie z kliniki zlecono Jurze. Pewnie dlatego, że on ją tu przywiózł, a dyrektorka nie chciała mieszać w sprawę dodatkowych osób. To nie służyłoby dyskrecji, która w tej sytuacji była w interesie przetworni.

W powrotnej drodze rozmawiali ze sobą, jakby przyjaźnili się od lat. To, że młody Ukrainiec poznał historię Miry, zbliżyło ich bardzo. Po powrocie spotkali się ze sobą jeszcze kilka razy, zabrał ją na randkę do jedynej w miasteczku pizzerii. Był zabawny i potrafił sprawić, że zapomniiała na chwilę o kłopotach. Okazywał dowody sympatii, ale ona trzymała chłopaka na dystans, bo choć w niej też kiełkowało uczucie, wciąż była nieufna. Bała się zaangażować w nową relację, za dużo złego ostatnio się w jej życiu zdarzyło. Na każde

spotkanie czekała jednak z utęsknieniem i dziś także, stojąc na przystanku, cieszyła się na ich wspólny wieczór.

Najpierw usłyszała odgłos silnika dostawczaka, a po chwili zobaczyła wyłaniające się zza zakrętu snopy świateł jego reflektorów. Uśmiechnęła się i zrobiła krok do przodu. Musiał ją zauważyć, bo zatrąbił kilka razy, nie przejmując się, że zakłóca spokój powoli układającej się do snu wioski. Zaśmiała się głośno i pomachała na przywitanie. W pizzerii usiedli przy stoliku pod ścianą. Dobry nastrój uleciał, bo po drodze Jura dowiedział się, że dyrektorka wciąż nie oddała Mirze paszportu.

- Powiedziała ci chociaż dlaczego? - Upił łyk coli.

- Podobno czekają jeszcze na jakieś wyniki ze szpitala.

- Dwa tygodnie?! - Pokręcił głową ze złością. - Plecie głupoty.

- Wiem, ale co ja mogę zrobić? - odparła płaczącym głosem. - Jak zadzwoniłam do zakładu, to znów mnie straszyla policją.

Milczał, ale cały czas patrzył jej w oczy. Mira czuła, że chce jej o czymś powiedzieć, ale coś go powstrzymuje. Wahał się, nie mógł się zdecydować. W końcu nachylił się w jej stronę i rzucił szeptem.

- Jest jeden sposób.

- Jaki?

- Znam faceta, który zna faceta.

- No i co ten facet? - Przewróciła oczami zniecierpliwiona.

- Może załatwić ci paszport.

- Zmusi dyrektorkę, żeby mi oddała?

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - Może ci „wyrobić nowy” - wypowiadając ostatnie słowa, mrugnął porozumiewawczo.

- Falszywy?

Skinął głową i zamilkł, bo kelnerka przyniosła zamówioną pizzę. Czekali w napięciu, aż postawi na stole talerze. W końcu znów zostali sami.

- Skąd znasz takich ludzi?

- Czasem coś dla nich przewiozę przez granicę... - Zobaczył jej pełną dezaprobaty minę i dodał szybko. - Kilka kartonów papierosów, nic więcej. Celnicy mnie znają, więc nie sprawdzają samochodu. Jakoś trzeba wiązać koniec z końcem.

Twarz Miry złagodniała. Nie pochwałała takich rzeczy, ale nie miała zamiaru chłopaka oceniać, ani tym bardziej krytykować. Zdążyła już się przekonać, że życie nie zawsze stawia przed nami proste wybory.

- To chyba nie jest bezpieczne?

- Spokojnie - odparł, po czym ukroił kawałek pizzy i włożył do ust. - Będzie zawierał twoje prawdziwe dane, prawdziwe zdjęcie. Pokażesz razem z dowodem. Nie ma cię w rejestrze poszukiwanych osób. Młoda dziewczyna, z podręcznym bagażem nie wzbudzi podejrzeń. Ryzyko jest minimalne. Praktycznie żadne.

- Nie wiem... - zawahała się, bo perspektywa wyjazdu była kusząca, ale nie chciała wpakować się w kolejne kłopoty. - Chyba bym się bała. Od razu celnik by po mnie poznał, że

coś jest nie tak.

- Pojadę z tobą. - Uśmiechnął się. - Przejedziemy przez granicę razem i to ja będę gadał.

- Nie chcę jeszcze ciebie narażać. - Spojrzała na niego z wdzięcznością. - Ty też możesz mieć problemy, jak zatrzymają mnie razem z tobą. No i Ksenia. Przecież nie zostawię jej tu samej.

- Oksanę przewiozę wcześniej, pierwszym kursem - mówił, nie zważając na jej słowa. To, że nie odrzuciła jego pomysłu, dodało mu pewności siebie. - A o mnie się nie martw. Znam celników, jeżdżę tu od lat. Nawet mnie już nie sprawdzają, pewnie ciebie też nie będą kontrolować. A gdyby nawet, to te paszporty są naprawdę zajebiste. Nie do rozpoznania.

- Ile to kosztuje?

- Nie martw się. Dołożę, ile ci brakuje.

- Nic mi nie będziesz dokładał - zachnęła się. - Najwyżej pożyczysz, a ja w domu wezmę od rodziców i ci odeślę.

- Oddasz mi sama.

- Chyba że w Ukrainie, bo tu już na pewno moja noga nie postanie.

- Moja też nie.

Ich spojrzenia się spotkały i Mira patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, próbując ocenić, czy właściwie zinterpretowała jego słowa. On uśmiechnął się, odszukał jej dłoń i ujął w swoją rękę.

- Chcę wrócić z tobą do kraju.

- A co z twoją mamą? - Odwzajemniła uścisk. - Z siostrami?

- Damy jakoś radę. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Nie będę tu niewolnikiem do końca życia.

- Na pewno wiesz, co robisz? - Do oczu napłynęły jej łzy.

- Mira, kocham cię.

- Jura... - Poczula, że brakuje jej tchu, bo żaden chłopak nigdy jej tego nie powiedział.

- Kocham cię i nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić - dodał szeptem.

Mira nachyliła się i pocałowała go namiętnie. Po chwili osunęła usta, ale wciąż dotykała głową jego czoła. Miała gorący oddech.

- Chodźmy do samochodu.

- Chcesz już wracać? - W pierwszym momencie nie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Nie chcę wracać głupku - pokręciła głową i znów go pocałowała.

- Mira - ujął jej głowę w dłonie i rozsunął włosy - ja tak nie chcę, nie w samochodzie. Nasz pierwszy raz musi być wyjątkowy.

Spojrzała na niego mokrymi oczami, pocałowała go i przytuliła mocno.

Przejechali prawie cały Polańczyk główną ulicą miasteczka i skręcili na niewielki parking lokalnego posterunku policji. Wilga wysiadł z auta pierwszy, zaczął chwilę na Alicję i już razem ruszyli w stronę aluminiowych drzwi.

Komisariat był niedawno wybudowany. Mimo że parterowy, prezentował się przyzwoicie. W niewielkim holu zostało zaaranżowane osobne pomieszczenie, oddzielone od wejścia dużą szybą z okienkiem. Za nią siedziała śliczna, młoda policjantka w stopniu sierżanta. Od razu ich zobaczyła i widocznie rozpoznała Olka, bo uśmiechnęła się czarująco. Gapiała się na niego nienaturalnie dużymi oczyma, co nie uszło uwadze pani komisarz. Wpuściła ich dalej i wskazała krzesła pod ścianą. Komendanta posterunku nie było, ale miał się pojawić lada chwila. Nie zdążyli nawet usiąść, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i do środka wszedł starszy aspirant Rafał Mryczko.

– O! – Młoda sierżant znów się uśmiechnęła. – Szef już jest!

Komendant, kiedy ich zobaczył, nie miał zadowolonej miny. Obrzucił gości nieprzyjemnym spojrzaniem i burknął coś pod nosem. Minął ich i wszedł do swojego gabinetu, zostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi.

– Co tam znowu, Wilga? – rzucił z wnętrza pomieszczenia, rozpinając górne guziki munduru, po czym wyciągnął ze szlufek pasek od spodni i powiesił na wieszaku, uwalniając obfity brzuch.

– Mam nowe informacje w sprawie utonięcia Macieja Kolędy. – Olek wszedł do pokoju, uznając pytanie za zaproszenie.

– Jakoś nie jestem ciekawy, ale mów. – Alicję komendant ignorował całkowicie. – Marylka, zrób no mi kawę.

– Dwie? – Policjantka spojrzała na gościa.

– Co ty, głucha jesteś? – Chwycił za klamkę, żeby zamknąć drzwi do swojego pokoju. – Powiedziałem kawę, tak?

Kiedy zniknął w gabinecie, dziewczyna zwróciła się do Alicji, chcąc jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji:

– A pani może się czegoś napije?

– Nie, dziękuję. – Komisarz zacisnęła usta.

Dalszą część rozmowy komendanta z dziennikarzem Romska słyszała doskonale, mimo zamkniętych drzwi, bo rozmawiali podniesionymi głosami.

– Słucham, co to za rewelacje?

– Kolęda przed śmiercią umówił się z kimś, kto miał mu wyjawić istotne informacje na temat śmierci tej dziewczyny w lesie. – Olek poprawił się na krześle. – Wiem, bo sam mi to powiedział.

– Ty znowu o tym?!

– Wczoraj rozmawiałem z barmanem z Zakapiora. – Obaj znali restaurację położoną przy ulicy Zdrojowej. – Pokazałem mu zdjęcie Macieja Kolędy i facet go rozpoznał. Powiedział, że rzeczywiście Kolęda wieczorem, dzień przed znalezieniem jego zwłok, czekał na kogoś w restauracji.

- Skąd niby wiadomo, że czekał, a nie siedział i popijał w samotności? - Aspirant był wyraźnie wrogo nastawiony.

- Kelnerowi powiedział, że wstrzyma się z zamówieniem, aż przyjdzie ta osoba - nie dał się zbić z tropu Wilga. - I nie popijał alkoholu, zamówił tylko szklankę wody mineralnej.

- A mnie się wydaje, że ten barman to pieprzy bez sensu. - Mryczko machnął ręką. - Skąd niby pamięta, co kto zamówił tydzień temu i co gadał?

- Twierdzi, że doskonale pamięta, bo Kołęda po godzinie czekania odebrał telefon i wyszedł w pośpiechu, zapomniawszy zapłacić. - Wilga wiedział, jak wyciągać kolejne asy. - Ktoś z obsługi za nim wybiegł. Gość przeprosił za roztargnienie i tłumaczył, że się spieszył, bo ktoś na niego czekał.

- Nawet jeżeli to prawda, to co z tego? - Mryczko splótł ręce na piersi. - Potwierdza to tylko nasza wersję wydarzeń. Stary spotkał się z kumplem, popili, wpierdolił się do wody i utonął.

- Po pierwsze, to dziwne, że kolega nie wszedł do restauracji, gdzie się umówili, tylko wywołał Kołędę, jakby nie chciał, żeby ich razem widziano. - Wilga nie dawał za wygraną. - Po drugie, Maciej Kołęda był abstynentem. Tego wieczoru, jak wspomniałem, też zamówił tylko wodę. Zresztą jakby rzeczywiście chcieli się razem napić, to usiedliby w tej albo innej knajpie, a sprawdziliśmy i w żadnej tego wieczoru nie byli. Przecież poważny dziennikarz telewizyjny, w dojrzałym wieku, nie pije wódki po krzakach, jak dzieciak.

- Ja nie wiem, czy on był poważny, czy niepoważny! - Komendant nie miał argumentów, więc znów podniósł głos. - Wiem za to, że latasz po ludziach i wypytyujesz o tego starego i tę martwą kobietę!

- Pytam, bo taką mam pracę.

- Ale niektórym się to nie podoba!

- Komu na przykład?

- Józek ze związku łowieckiego mi się żalił!

- O co się żalił?! - Wilga był zaskoczony jego zarzutami.

- Że łazisz i dupę trujesz! - policjant tracił cierpliwość. - To jest miejscowość wypoczynkowa! Tu ludzie do sanatorium przyjeżdżają! Na urlop! A ty straszysz w gazecie jakimiś bajkami o morderstwach! A to były nieszczęśliwe wypadki, nie zabójstwa! Chcesz, żeby kuracjusze przestali tu przyjeżdżać?! I po co to? Nikomu te twoje historyjki nie służą, tylko szkodzą miejscowym interesom!

Wilga milczał przez moment, bo musiał się uspokoić, żeby nie powiedzieć komendantowi posterunku jednego słowa za dużo. W końcu specyfika jego pracy wymagała zachowania z policją przynajmniej poprawnych relacji. Chwilę ciszy chciała wykorzystać Marylka i ruszyła do gabinetu z filiżanką kawy. Zanim jednak zdążyła otworzyć, zza drzwi dobiegł znów głos komendanta:

- I co to w ogóle za niunia, co się z nią po mieście prowadzasz?

Młoda policjantka zatrzymała się z kawą w pół kroku i, zażenowana, po raz kolejny spojrzała przepaszająco na Romską. Ta nie wytrzymała, wstała i podeszła do pani sierżant.

- Daj. - Chwyciła za spodek i zabrała z rąk zaskoczonej policjantki filiżankę. - Ja to zaniosę.



Dziewczyna nie zdążyła zaprotestować, bo Alicja otworzyła gwałtownie drzwi i już była w środku. Energicznym krokiem podeszła do biurka i postawiła na nim filiżankę z takim impetem, że kawa rozlała się na spodek, a łyżeczka spadła na podłogę.

– Co jest, kurwa?! – Zaskoczony Mryczko nie zdążył odskoczyć i kilka kropli poleciało na jego spodnie.

Zanim zszokowany odzyskał trzeźwość umysłu, Alicja wyjęła służbową legitymację i podsunęła mu pod nos.

– Komisarz Alicja Romska z wydziału do spraw zabójstw krakowskiej komendy – wycedziła przez zęby. – A pan nadaje się do tarcia chrzanu, a nie do pracy w policji! Pana zadaniem jest przede wszystkim dbanie o bezpieczeństwo ludzi, a nie o powodzenie lokalnych biznesów! Jeżeli pan tego nie rozumie, to sugeruję zmienić zawód!

– Co pani...?

– Szacunku do przełożonych pan, widzę, też nie ma! Co mnie nie dziwi, bo pan w ogóle ludzi nie szanuje! Podwładnych pan traktuje jak służących, a gości, jak natrętów! Dlaczego pan siedzi, kiedy starsza ranga oficer stoi?!

Czerwony na twarzy aspirant, nie wiadomo czy z wściekłości, czy ze wstydu podniósł się z krzesła i stanął, jedną ręką przytrzymując niezdarne opadające spodnie.

– I niech pan założy pasek, bo jeszcze panu portki spadną, a ja nie chcę mieć takich wspomnień z Bieszczad! – zrobiła krótką pauzę, spoglądając na niego z politowaniem. – A potem proszę przygotować dokumenty obu spraw: Macieja Kolędy i tej dziewczyny, która zginęła w lesie.

– Nie mam – burknął pod nosem, zapinając guziki munduru. – Ci z wojewódzkiej wszystko zabrali. Do Rzeszowa.

– Akta Kolędy też?

– Też. – Pospiesznie włożył pasek w szlufki.

Romska była zaskoczona finałem rozmowy, bo o ile sprawa dziewczyny była dużego kalibru, co uzasadniało przejście jej przez komendę wojewódzką, to utonięciem mężczyzny w jeziorze powinni zająć się miejscowi policjanci. Ewentualnie funkcjonariusze z komendy powiatowej z pobliskiego Leska, której podlegał posterunek w Polańczyku. Ale Rzeszów? Dlaczego? Cała ta historia robiła się coraz bardziej tajemnicza.

Wyszli z gabinetu bez pożegnania. Kiedy opuszczali posterunek, Romska mrugnęła porozumiewawczo do pani sierżant, a Marylka posłała jej dyskretnie pełne wdzięczności spojrzenie.

Pięć minut później zadzwonił telefon Alicji. Spojrzała na wyświetlacz i zaklęła pod nosem. Dzwonił jej naczelnik i kobieta czuła, że to nie będzie miła rozmowa.

Marek kiwał się w drzwiach mieszkania w przód i w tył, w skupieniu grzebiąc w eleganckim skórzanym portfelu. W końcu wyjął kartę kredytową i z zadowoloną miną wręczył dostawcy.

- Gotówką musi pan zapłacić – kurier starał się mówić wyraźnie i powoli, bo widział, że facet jest mocno wstawiony. – Terminal mi nie działa.

Klient zajął się odpowiedniej przegródki, ale nie znalazł pieniędzy, spojrzał więc na dostawcę i wzruszył bezradnie ramionami. Chłopak miał doświadczenie w takich sytuacjach, widocznie nie pierwszy raz dostarczał pizzę pijanemu golcowi. Wziął więc sprawy w swoje ręce, bo nie uśmiechało mu się wracać do restauracji bez pieniędzy, z nieodebrany zamówieniem.

- Ubieraj się – rzucił surowo i schował z powrotem pizzę do torby. – Pojedziemy do bankomatu.

Szulc nie odezwał się, miał widocznie problem z artykułowaniem myśli, ale chyba uznał pomysł za dobry, bo kiwnął głową i zadowolony zniknął we wnętrzu mieszkania. Ku zaskoczeniu dostawcy wrócił po chwili z banknotem pięćsetzłotowym w dłoni.

- Proszę. – Wręczył chłopakowi, dumny z siebie, jak paw.

- Nie mam wydać. – Kurier wyczuł okazję łatwego zarobku.

- Reszty nie trzeba.

Szulc machnął ręką, uznając temat za zamknięty, i zadowolony obserwował, jak chłopak popieszczył z powrotem wyciąga pudełko z termicznej torby.

- Trzeba, trzeba. – Obaj zaskoczeni spojrzeli w kierunku windy, skąd dochodził głos i skąd zbliżała się do nich elegancka kobieta. – Ile panu dał?

Kurier skrzywił się i pokazał. Nie miał wyjścia, wciąż ścisnął pieniądze w dłoni. Ostatni raz spojrzął na banknot z takim żalem, jakby żegnał umierającego w okopie przyjaciela, bo wiedział już, że zły los rozłączy ich na zawsze.

- Ile się należy za tę pizzę? – Wyrwała mu pięćsetkę i oddała banknot Markowi, obserwującemu biernie, ale z wyraźnym zainteresowaniem całą scenę.

- Czterdzieści dwa – burknął dostawca, obrażony na nią i na cały świat.

- Masz pięćdziesiąt. – Wręczyła mu pieniądze ze swojego portfela. – Idź i nie grzesz więcej.

Podawała pudełko z jedzeniem Szulcowi i nie oglądając się za siebie, weszli do mieszkania. Panował tu, mówiąc delikatnie, ogólny nieład. Na kuchennym blacie piętrzyły się brudne talerze i szklanki, a na stole puste pudełka z niedojedzonymi daniami na wynos. Kanapa w salonie przykryta była zmiętą pościelą. Na stoliku obok stała do połowy wypita butelka wódki, a na podłodze pod spodem dwie puste półlitrowki. Maria Kurska sięgnęła po pilota i wyłączyła zbyt głośno nastawiony telewizor. Zapanowała kojąca cisza.

- Ładnie się pan zaniedbał... – Rozejrzała się wokoło z dezaprobatą. – Mężczyźni, tylko was spuścić na chwilę z oczu.

Marek pokiwał głową, dając jej do zrozumienia, że wie, co ma na myśli, i zgadza się z nią w całej rozciągłości, po czym ugryzł kawałek pizzy.

- Gdzie ma pan worki na śmieci?

Wskazał palcem w kierunku szuflad obok zlewu, w tym samym momencie szynka z pizzy spadła na dywan.

- Proszę mi to oddać. – Zabrała mu nadgryziony kawałek. – Teraz weźmie pan długi, zimny prysznic.

Weszła za nim do łazienki, Marek prawie automatycznie wykonywał jej polecenia. Kiedy jednak próbowała mu rozpiąć spodnie, powstrzymał ją.

- Pomogę panu, bo jeszcze pan się tu wywróci. - Szybkim ruchem zsunęła mu spodnie. - Niech się pan nie boi, piętnaście lat byłam pielęgniarką, to się już w życiu siusiaków naogładałam.

Pomogła mu wejść do kabiny i odkręciła zimną wodę. Kiedy poczuł uderzenie lodowatego strumienia w potylicę, otworzył usta, żeby złapać oddech. Woda popłynęła po twarzy i całym ciele, powoli przywracając mu świadomość. Oparł się rękoma o płytki i stał tak, starając się uporządkować myśli w głowie. Otrzeźwiał już prawie całkiem, ale chwilę zajął mu powrót do świata, z którego ostatnio usilnie próbował uciec w beztroską pijacką malignę. W końcu poczuł przenikliwie zimno, temperatura ciała musiała spaść pod wpływem lodowatej wody, bo targnęły nim dreszcze. Szczękając zębami, rozcierał teraz zziębnięte ciało ręcznikiem. Pozbierał z podłogi ubrania i wrzucił do kosza na brudną bieliznę. Założył szlafrok i pomaszerował do sypialni, zostawiając na drewnianych panelach mokre ślady. Przechodząc korytarzem, usłyszał dźwięk mielonej w ekspresie kawy. Chwilę później, już ubrany, wszedł do kuchni. Maria Kurska skończyła właśnie zmywać naczynia. Wytarła dłonie i podała mu kubek z czarnym jak smoła płynem. Upił łyk i poczuł się już całkiem trzeźwy.

- Dziękuję. - Rozejrzał się po czystym pomieszczeniu. - Ale nie trzeba było, sam bym posprzątał.

- Nie ma sprawy. - Podstawiła drugi kubek pod kranik ekspresu. - Najważniejsze, żeby tak zostało.

Chwilę milczeli, czekając, aż młynek zmieli ziarna.

- Proszę teraz o siebie zadbać. - Sięgnęła po napój. - Bo w najbliższy weekend musi pan być w formie.

- To już w ten weekend?

- Tak, chciałam pana wcześniej poinformować, ale nie mogłam się dodzwonić. Ani ja, ani żona - dodała wymownie.

- Trochę z kolegami zabalowałam - skłamał.

- W końcu uradziłyśmy, że przyjadę i poinformuję pana osobiście.

- Dziękuję.

- Pan przecież wie, jakie to ważne, prawda? - Spojrzała mu w oczy, jakby chcąc z nich wyczytać, czy może mu zaufać. - Druga szansa będzie dopiero za miesiąc, a tu każdy dzień kosztuje.

- Rozumiem.

- I jeszcze jedno, muszę przyjąć dziś od pana zaliczkę. - Jednak mu nie ufała. - W tym przypadku będzie to jedna trzecia całej kwoty, czyli sto tysięcy złotych.

- Dobrze, zrobię przelew.

- Nie, gotówką. - Pokręciła głową. - Dam panu potwierdzenie.

Miała przygotowanych kilka argumentów, które miały przełamać jego ewentualne wątpliwości co do wręczenia jej tak dużych pieniędzy, ale okazało się to niepotrzebne. Szul odstawił kubek i zniknął w salonie. Po chwili wrócił i stanął obok stołu.

- Tu powinna być pełna suma. - Wysypał pliki banknotów z koperty na blat. Nie było tego dużo, bo znajdowały się tam wyłącznie nominały z wizerunkiem Sobieskiego, po pięćset złotych.

Kurska usiadła przy stole i przeliczyła pieniądze.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć i pół tysiąca - ułożyła równo kasę na kupkach. - Brakuje pięciuset złotych, które pewnie ma pan w tamtych spodniach.

Wrócił z łazienki i podał jej zmięty banknot, a ona wręczyła mu pokwitowanie przyjęcia pierwszej raty płatności.

- Proszę przyjechać do Rzeszowa w piątek wieczorem. - Początkowo miał się stawić w sobotę rano, ale wolała mieć go przy sobie już dzień wcześniej, żeby znów nie zapił. - Zarezerwuję dla pana pokój w hotelu, na pańskie nazwisko. Szczegóły prześlę sms-em.

- Mam coś ze sobą zabrać?

- Nie, tylko rzeczy osobiste. Wszystkie wyniki badań mamy, nawiasem mówiąc są bardzo dobre. A w zasadzie wtedy były, bo wątrobę to by wypadło jeszcze raz zbadać - pozwoliła sobie na żart, mając na myśli jego dzisiejszą niedyspozycję. - Proszę być wypoczętym i pozytywnie nastawionym. To wystarczy.

Chciała już wyjść, ale zatrzymał ją pytaniem.

- A co, jeżeli mimo dobrych rokowań, badania prenatalne wykażą jakiś problem?

- Nie zwalnia to państwa z zapłaty całej kwoty. - Kurska się spięła, bo rozmowa zesza na grząską grunt. - Tak jest w umowie.

- Nie chodzi mi o pieniądze - zirytował się. - Co z dzieckiem?

- Cięża zostanie usunięta, a wy macie prawo do drugiej próby - cytowała zapisy kontraktu. - Jeżeli i za drugim razem się nie powiedzie, możecie się wycofać, a całkowity koszt wyniesie pięćdziesiąt procent ceny.

- A jeżeli chcielibyśmy, żeby dziecko się jednak urodziło - dążył. - I adoptować chore? Czy możemy dodać aneks z takim zapisem?

- To musi pan uzgodnić z żoną. - Kurska zarzuciła na torebkę ramię. - Bo na razie ustalenia są inne.

Marek odprowadził ją i zamknął drzwi. Poczł się lepiej, nie tylko za sprawą kawy. Samopoczucie poprawiła mu myśl, że bez względu na zdrowie dziecka, adoptują je. Tak zrobią. Najprawdopodobniej urodzi się zdrowe, ale ta myśl, pozwoliła mu wreszcie spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, bo stawiała dziecko na pierwszym miejscu. Czyniła je najważniejszym w tej układance, nadając całej sytuacji bardziej ludzki wymiar.

## 19

Mira miała na sobie tylko czarną bieliznę. Oparła dłoń na blacie łazienkowej szafki i zbliżyła twarz do lustra. Usunęła palcem nadmiar pomadki z ust i zacisnęła jeszcze raz wargi, żeby dokładnie rozprowadzić szminkę. Zrobiła krok w tył i wspięła się na palce, aby objąć wzrokiem

odbicie całej postaci. Dziś chciała wyglądać wyjątkowo atrakcyjnie, bo to miał być ich wieczór. Prawdziwy wieczór zakochanych.

Po drodze do hotelu zatrzymali się w miasteczku, żeby zrobić zdjęcie do fałszywego paszportu. Mira wykorzystwała sytuację i pod pretekstem drobnych zakupów w drogerii, w tajemnicy przed Jurą, zajrzała do sklepu z bielizną. W małym butiku nie było wielkiego wyboru, jednak dziewczyna znalazła coś odpowiedniego na taką okazję. Nie zapłaciła może zbyt dużo, ale i tak cena koronkowych fatałaszków, w stosunku do ilości materiału wykorzystanego do ich uszycia, była zdecydowanie wygórowana. Poprawiła teraz grzywkę i uśmiechnęła się do swojego odbicia. Była zadowolona z końcowego efektu swoich starań.

Przyszło jej do głowy, że ostatni raz tak się stroiła jeszcze w Kijowie. Razem z Ksenią przepychały się wtedy przed pękniętym lustrem w pokoju i ze śmiechem podkładały sobie kosmetyki. Na samo wspomnienie tych beztrudnych dni łza zakręciła się jej w oku. Ile by teraz dała, żeby znaleźć się w akademiku, gdzie jedynym problemem była poprawka z oblanego egzaminu. Gdyby można było cofnąć czas. Choć z drugiej strony smutne doświadczenia pozwolą jej teraz docenić to, od czego tak bardzo chciała uciec.

Ten miesiąc całkowicie zmienił Mirze spojrzenie na świat. Jej chciwość i głupota zostały srodze ukarane. Bolesna lekcja pozwoliła jednak zrozumieć, co naprawdę jest w życiu ważne. Może więc było warto? Zwłaszcza, że ma teraz Jurę, swojego księcia z bajki. Czy może być bardziej romantyczny początek miłosnej historii niż uratowanie ukochanej z rąk potworów?

Nagle spojrzała zaniepokojona na zegarek, bo w hotelowej łazience straciła rachubę czasu, a Jura powiedział, że załatwienie sprawy zajmie mu około godziny. Umówił się ze swoimi znajomymi spod ciemnej gwiazdy w pobliskim pubie. Miał tam im przekazać jej zdjęcia, dane do paszportu i tysiąc złotych zaliczki. Mira dała mu te pieniądze, a sama dla bezpieczeństwa została w wynajętym pokoju. Potem mieli już razem spędzić cudowny wieczór. Najpierw kolacja i kilka drinków w hotelowym barze, a potem upojna noc. Chłopak jednak nie wracał, a była pewna, że upłynęło już znacznie więcej czasu niż godzina.

Szybko włożyła na siebie swoją ulubioną, niebieską sukienkę. Ojciec mówił, że wygląda w niej jak królewna. Zaniepokojona, sprawdziła, czy Jura nie telefonował. Mogła nie usłyszeć dzwonka, będąc pod prysznicem. Nie miała jednak żadnych nieodebranych połączeń. Po chwili zastanowienia wybrała numer jego telefonu. Odrzucił połączenie po trzech sygnałach. To wywołało w dziewczynie dodatkowy niepokój. Miała nadzieję, że nie wpakowała go w jakieś tarapaty.

Myśli kotłowały się jej w głowie, nie miała pojęcia, co robić. Zdesperowana zadzwoniła jeszcze raz, ale sytuacja się powtórzyła. Bliska płaczu uświadomiła sobie, że nawet nie wie, gdzie go szukać. Zaczęła już panikować, kiedy nagle drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich uśmiechnięty Jura.

- Dlaczego nie odbierasz? - Mira wciąż jeszcze była wzburzona.

- Byłem już w windzie, kiedy zadzwoniłaś.

- Mogłeś odebrać i powiedzieć. - Poprawiła włosy. - Przestraszyłam się.

- Jacyś ludzie ze mną jechali. - Usiadł z rozmachem na kanapie. - Gdybym się odezwał, to zaraz by się zastanawiali, co Ukrainiec robi w takim eleganckim hotelu.

- Załatwiłeś?

- A jak. - Skinął głową. - Na rano paszport ma być gotowy.  
- Już jutro? - zdziwiła się.  
- Tak - uśmiechnął się. - Po śniadaniu jedziemy prosto na granicę.  
- Bez Kseni nie pojedę. - Pokręciła głową. - Jest dla mnie jak siostra, poza tym, ja ją w to wpakowałam.

- Dobrze, odbierzemy twój nowy paszport, pojedziemy po Oksanę i razem do domu.

Mira rozpromieniała się, usiadła mu na kolanach i pocałowała w usta.

- Ja już jestem gotowa.

- Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję. - Przechesała dłonią jego gęste blond włosy. - Idziemy?

Hotelowy klub znajdował się w piwnicach budynku. Sala była prawie pusta, w kącie pił jakiś samotny facet. Usiedli przy stoliku i zamówili coś do jedzenia. Mimo wczesnej pory kolorowe światła i sącząca się z głośników muzyka wprowadzały nastrojowy klimat. Nagle rozbrzmiała melodia popularnego radiowego hitu z ostatnich wakacji. To obudziło miłe wspomnienia beztroskiego lata i Mira po raz kolejny tego dnia poczuła ogromną radość, że wraca do domu i już wkrótce będzie miała ten koszmar za sobą. Rytmiczne uderzenia basowych dźwięków powoli wprowadzały dziewczynę w euforyczny stan. Prawie już czuła się wolna.

- Zatańczymy?

- Teraz? - Jura rozejrzał się zaskoczony. - Nikt przecież nie tańczy.

- Więcej miejsca dla nas.

- Najpierw skoczę do baru. - Podniósł się z krzesła. - Ale ty idź.

Mira, lekko rozczarowana, odprowadziła go wzrokiem. Usiadł na wysokim stołku, zamówił drinki i rozmawiał o czymś z barmanem. Chwilę się jeszcze wahała, ale kiedy tylko postawiła stopę na parkiecie, dźwięki poniosły ją same. Powoli rozkołysała biodra w takt piosenki, zamknęła oczy i splotła ręce nad głową. Ktoś widząc ją, pogłośnił muzykę i poczuła, że wszystko wokół nagle zniknęło. W myślach przeniosła się gdzieś daleko. Jej młode, gibkie ciało wygięło się w kształt melodii. Spojrzała w górę, po czym zmrużyła oczy i uśmiechnęła się, jakby na twarz spadło jej kilka kropel letniego deszczu. Jedną ręką zmysłowo odgarnęła włosy, drugą objęła swoje ramię. Tuliła kogoś i ktoś ją przytulał. Na ugiętych kolanach zataczała biodrami kręgi, mieszając w głowie gapiącemu się na nią mężczyźnie.

Kiedy muzyka ucichła, ten podszedł do niej. Patrzyła na faceta przez chwilę, całkowicie zaskoczona jego nagłym pojawieniem się. W tańcu zapomniała o bożym świecie i nie miała pojęcia, skąd się przy niej wziął.

- Mam na imię Marek.

Nie odezwała się, odszukała wzrokiem swojego chłopaka. Zmierzał szybkim krokiem w ich stronę. Wyminęła mężczyznę, chwyciła Jurę za rękę i pociągnęła za sobą w stronę stolika. Ten spojrzał jeszcze złowrogo w stronę obcego mężczyzny, po czym posłusznie poszedł za dziewczyną. Na blacie stało piwo, dwa kieliszki wódki i wysoka szklanka z kolorowym drinkiem.

- Palant. - Jura wychylił pierwszą porcję wódki jednym haustem, popił piwem i postawił drugi kieliszek przed sobą.

- Na drugi raz chodź tańczyć. - Mira, uśmiechając się pod nosem, ujęła w dłoń szklankę z drinkiem.

Trchę się z nim droczyła. Ewidentnie zapobiegła przed chwilą scenie zazdrości, co polechało mile jej ego i upewniło co do uczuć chłopaka. Ona też była zakochana. Po chwili atmosfera zelżała i śmiali się już z tego oboje. Nagle poczuła potrzebę pójścia do łazienki, ale kiedy podniosła się z krzesła, zakręciło się jej w głowie i usiadła z powrotem oszołomiona.

- Co ci jest? - Jura odstawił piwo.

- Nie wiem... - Oddychała szybko. - Zakręciło mi się w głowie, chyba od tych świateł.

- Albo od alkoholu. - Spojrzał na jej prawie opróżnioną szklankę. - Pewnie dawno nie piłaś.

- Muszę do łazienki.

Przeszła chwiejnym krokiem przez salę w stronę korytarza, gdzie były toalety. Odkręciła kran, wyjęła z dozownika papierowy ręcznik, zmoczyła go, po czym zwilżyła czoło i szyję. Spojrzała w lustro, chcąc sprawdzić, czy nie rozmazała makijażu. Odbicie twarzy wirowało, co przyprowadziło dziewczynę o młodości. Kolana jej drżały. Musiała stąd wyjść, z łazienki i z klubu. Opuściła toaletę, podpierając się o ścianę. Jura czekał na nią na korytarzu. Zauważył zmianę i podszedł z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

- Mira, źle się czujesz? - Zebrał jej włosy z twarzy. - Jesteś strasznie blada. Chodźmy stąd.

- No. - Przełknęła z trudem ślinę. - Muszę się na chwilę położyć.

- Daj rękę. Oprzyj się na mnie.

Z windy do pokoju mieli kilkanaście metrów, których Mira nie była już w stanie przejść o własnych siłach. Jura niósł ją prawie, ledwo powłóczyła nogami. Zapukał do pokoju i drzwi się uchyliły. Pchnął je i weszli do środka. W kącie pokoju, w mroku w stała jakaś postać.

- Wszystko w porządku? - zapytał kobiecy głos.

- Tak.

- Połóż ją na łóżku. - Kobieta założyła rękawiczki. - Nogami w stronę poduszki.

- Zdjąć jej majtki?

- Zaczekaj - uniosła powiekę i poświeciła latarką w gałkę oczną nieprzytomnej dziewczyny.

- Dobra, rozbierz ją, a potem przesuń i oprzyj nogami o ścianę.

Jura najpierw zdjął szpilki ze stóp Miry, potem rajstopy i majtki. Wszedł w butach na łóżko, chwycił ją za nogi w kostkach i podciągnął ciało, po czym oparł stopy na pluszowym wezgłowiu. Kobieta w tym czasie zaświeciła lampkę nocną. Wyjęła z niewielkiej, przenośnej lodówki szklany, hermetyczny pojemnik i plastikową pipetę zakończoną gumową gruszką. Ustawiła akcesoria na stoliku przy łóżku.

- Przytrzymaj ją - rozkazała i napełniła aplikator.

Jura chwycił rękę dziewczyny, a wtedy Mira otworzyła na chwilę oczy. Nie miała pojęcia co się wokół dzieje, uśmiechnęła się do niego i z wdzięcznością ścisnęła dłoń chłopaka.

Komisarz Romska postanowiła wrócić do Krakowa autostradą przez Rzeszów. Wybierając tę trasę, musiała nadłożyć sporo kilometrów, jednak mając w pamięci drogę, którą pokonała kilka dni temu, jadąc w Bieszczady, była przekonana, że i tak będzie w domu szybciej.

Dziś rano, po wizycie w komisariacie w Polańczyku i sprzeczce z miejscowym komendantem, zadzwonił naczelnik jej wydziału. Ktoś wysoko postawiony z Rzeszowa musiał błyskawicznie interweniować, bo bez wyjaśnienia Wawer odwołał ją z urlopu i kazał jak najszybciej stawić się w macierzystej komendzie w Krakowie. Powiedział to takim tonem, że Alicja nawet nie próbowała dyskutować. Miała świadomość, że już i tak nadwyreżyła jego cierpliwość, narażając go na nieprzyjemności. Zatankowała więc w Lesku auto do pełna i ruszyła w drogę powrotną. Chciała przed wyjazdem pożegnać się z Wilgą, ale jego telefon był poza zasięgiem.

Teraz z zamyślenia wyrwał ją dźwięk przychodzącego połączenia. Spojrzała na wyświetlacz zestawu samochodowego, z nadzieją, że może Olek oddzwania, ale numer był nieznanym. Zwykle aplikacja ostrzegała ją przed telefonami różnej maści przedstawicieli handlowych, wyświetlając komunikat o możliwym spamie. Teraz jednak nic takiego na ekranie się nie pokazało.

– Halo. – Na wszelki wypadek od razu była niemą.

– Michał Borek z Komendy Wojewódzkiej Policji w Rzeszowie.

– Słucham. – Skrzywiła się na myśl, że jeszcze będzie musiała wysłuchać pretensji tego delikwenta. – W czym mogę pomóc?

– To zależy. – Miał oschły, ale spokojny ton głosu. – Czy w ogóle chcesz pomóc, czy tylko poromansować z przystojnym dziennikarzem.

Poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

– Nie twoja sprawa, z kim romansuję!

To był szczyt bezczelności!

– Masz rację. I zwykle nie obchodzą mnie miłości starych panien. – Jednak szczyt bezczelności osiągnął dopiero teraz. – Chyba, że mi się jakaś wpięrdala w śledztwo.

– Które śledztwo?! – Z trudem nad sobą panowała. – To, które spieprzyłeś i zamiotłeś pod dywan?!

Przez chwilę w słuchawce trwała cisza, w końcu facet się odezwał, ignorując jej złośliwy komentarz.

– Podobno bardzo chciałaś obejrzeć akta sprawy Kolędy i tej zamordowanej w lesie dziewczyny – mówił powoli, jednostajnym głosem. – Przyjedź do Rzeszowa, to ci pokażę.

– Kiedy? – wycedziła przez zaciśnięte zęby, bo krew wciąż w niej kipiała.

– Kiedy chcesz – rzucił. – Choćby dzisiaj.

Trochę zaskoczyła ją ta chęć podzielenia się informacjami dotyczącymi śledztwa. Mimo całej antypatii do rozmówcy postanowiła jednak skorzystać z okazji. Tym bardziej że



wychwyciła użyte przez niego sformułowanie „zamordowanej” i to dodatkowo zaostrzyło jej ciekawość.

Przecież – zgodnie z oficjalnym stanowiskiem policji – miał to być wypadek.

– Będę w Rzeszowie za godzinę.

– Może być – odparł.

– Gdzie się spotkamy?

– Na komendzie, a gdzie? – burknął. – Ja się nie umawiam z tobą na randkę.

Rozłączyła się, bo gdyby tego nie zrobiła, obrzuciłaby go stekiem wyzwisk i do żadnego spotkania by nie doszło, a na przeglądnięciu akt sprawy jej zależało. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić. Spojrzała na prędkościomierz, jechała zdecydowanie za szybko.

– Kutas... – Zdjęła nogę z gazu. – Ale mi ciśnienie podniósł.

Facet w ciągu jednej minuty telefonicznej rozmowy od razu awansował na podium w jej osobistym rankingu osób, którym życzyła wszystkiego najgorszego. Zajmował trzecią pozycję, zaraz po jej byłym komendancie i seryjnym mordercy studentek, którego zamknęła cztery lata temu.

Wpisała adres komendy wojewódzkiej w Rzeszowie, zmieniając ustawienia nawigacji, i godzinę później była na miejscu. Zaparkowała samochód przed ogromnym budynkiem i spojrzała na zwieńczone kolumnadą monumentalne wejście. Przez chwilę zastanawiała się, czy zajrzeć do środka i zapytać dyżurnego o komisarza Borka, ale zrezygnowała. Postanowiła zachować większą dyskrecję. Zebrała się w sobie, wzięła głęboki oddech i odnalazła w pamięci telefonu numer, z którego Borek się z nią kontaktował.

– Jestem pod komendą – poinformowała go sucho.

– Wejdz i zaczekaj na dole. – On też nie silił się na uprzejmości. – Zaraz zejde.

Znów rozłączyła się bez słowa i weszła po schodach do budynku. Chwilę później pojawił się, przeprowadził ją obok dyżurki i ruszyli najpierw długim korytarzem, potem schodami w górę. Nie podali sobie rąk na powitanie, Borek bąknął coś tylko pod nosem. Nie zdołała też dokładnie się mu przyjrzeć, zakonotowała tylko, że ma ostre rysy twarzy i przenikliwe spojrzenie. Podążyła teraz krok za nim, obserwując jego barczystą postać. Miał wysportowaną sylwetkę. Włosy krótko przystrzyżone, modnie wygolone po bokach. Granatowa kangurka, jeansy i sportowe buty czyniły z niego zupełnie przeciętnego gościa, niewyróżniającego się na ulicy, co w ich zawodzie było bardzo przydatne. Jego chód świadczył o pewności siebie. Szedł swobodnie, nie przeszkadzało mu, że Alicja obserwuje go idąc z tyłu. Nie czuł się skrępowany jej obecnością, mimo ich wcześniejszej sprzeczki. W ogóle o tym nie wspomniał, jakby nie miało to dla niego żadnego znaczenia, co dodatkowo irytowało Romską, bo czuła się całkowicie zlekceważona. Całą drogę, od momentu ich wymiany zdań, przygotowywała sobie cięte riposty na okoliczność dalszej kłótni, tymczasem on zachowywał się, jakby nic między nimi się nie wydarzyło. Jakby był ponad to.

W końcu Borek zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, otworzył je i nie oglądając się na panią komisarz, zniknął w pomieszczeniu. Alicja weszła za nim.

– Krzysiu, idź sobie zapal – zwrócił się komisarz do siedzącego za biurkiem w kącie policjanta.

Ten wstał, wyjął z kurtki paczkę papierosów i wyszedł bez słowa, z ciekawością przyglądając się po drodze ładnej nieznamomej. Kiedy zostali sami, Borek podsunął krzesło gościowi, a sam usiadł po drugiej stronie biurka. Traktował Romską obcesowo, bardziej jak podejrzanego niż koleżankę z pracy. Sięgnął do szuflady po papierową teczkę, otworzył ją i wyjął dwie wydrukowane fotografie.

- Siadaj - rzucił, bo Alicja wciąż stała, i nie czekając na jej reakcję, położył na biurko zdjęcia. - Ci dwaj zabili Macieja Kolendę, a wcześniej Tamarę Woronin.

- Znacie personalia dziewczyny? - Informacja spadła na nią jak grom z jasnego nieba i ich animozje na chwilę też dla niej przestały mieć znaczenie.

Kiwnął głową twierdząco, obrócił wydruki w jej stronę. Romska usiadła, zapominając o wcześniejszych spięciach.

Policyjne zdjęcia przedstawiały portrety dwóch mężczyzn, których Alicja nie chciałaby spotkać w ciemnej ulicy. Wyglądało na to, że zostali ujęci, bo fotografie były wykonane podczas aresztowania. Pod twarzami widniały tabliczki z numerami.

- Bracia Dunin, Ukraińcy. - Dał jej czas, żeby przyjrzała się przestępcom. - Starszy ma ksywę Cyryl, młodszego nazywają Kozak. Prowadzą kilka agencji towarzyskich na Podkarpaciu.

- Zamknęliście ich? - Alicja ujęła zdjęcia w dłonie.

- Nie, to stare zdjęcia. - Borek położył przed nią kolejną fotografię, na której ci sami mężczyźni wysiadali z czarnego sportowego audi.

- Szukacie ich?

- Nie musimy. - Rzucił na blat kilka innych odbitek, przedstawiających braci w różnych sytuacjach. - Mógłbym ich zawinąć w piętnaście minut, leżą pewnie teraz w jednym ze swoich kurwidołków i odsypiają nocne chłanie.

- To czemu tego nie zrobisz?

- Przyjdzie na to czas, najpierw muszą doprowadzić nas do pewnych ludzi. - Poskładał zdjęcia z powrotem do teczek. - Duninowie zajmują się werbowaniem dziewczyn na Ukrainie, potem umieszczają je w swoich agencjach. Co jakiś czas organizują jednak przerzut kilku prostytutek do Niemiec, za dużą kasę. Wysyłają je do specjalnych burdeli dla zbrojców, gdzie kobiety przepadają bez wieści. Bracia robią to na zlecenie jakichś poważnych skurwysynów i to ich chcę dopaść.

- Tę Ukrainkę, Tamarę - przypomniała sobie imię - ją też chcieli sprzedać?

- Tak. - Spojrzał na Alicję, tym swoim obojętnym wzrokiem. - Dziewczyna zaszła niechcący w ciążę, nie zgodziła się usunąć, a po urodzeniu nie chciała dalej się prostytuować. Uciekła im, ale dopadli ją w lesie i poszczuli psami. To były pitbulle młodszego z braci. Kozak, oprócz ostrego ruchania i ćpania, ma jeszcze jedno hobby: organizuje nielegalne walki psów po ukraińskiej stronie.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Przestań robić tyle szumu wokół tej sprawy, bo mi ich spłoszysz. - Borek oparł się na krzesło. - Od pół roku ich rozpracowuję. Specjalnie zamknęliśmy to śledztwo, udając idiotów, żeby poczuli się bezkarni i dalej robili swoje. Jak będziesz robić zamieszanie, to się przyczają i

będę musiał zaczynać wszystko od nowa, a na to już, kurwa, nie mam siły. Zresztą prokurator pod wpływem opinii publicznej będzie musiał zamknąć Duninów i wszystko się zesra. Oni pójda siedzieć, ale proceder będzie kwitł dalej, bo na ich miejsce zaraz pojawią się inni. To duża kasa, która wabi najgorsze męty.

Alicji zrobiło się zwyczajnie wstyd, bo facet był porządnym gliną, a ona prawie wszystko mu spieprzyła. O mały włos zmarnowałyby całą jego mozolną robotę. Teraz rozumiała, dlaczego był dla niej taki chamski.

- Dobrze. - Kiwnęła głową. - Porozmawiam z Aleksandrem Wilgą i poproszę, żeby też nie grzebał w sprawie.

- Możesz mu obiecać, że gdy zamknę śledztwo, on będzie pierwszym, który pozna szczegóły i będzie mógł je opisać w swojej gazecie.

- W porządku. - Alicja podniosła się powoli z krzesła. - Zadzwoni na dół, żeby mnie wypuścili.

Michał Borek podniósł słuchawkę stacjonarnego telefonu i wybrał numer dyżurki. Komisarz Romska wyszła bez pożegnania.

Pędzili małym kabrioletem krętą, pustą drogą. Z lotniska w Katanii do domu Niny, a w zasadzie posiadłości należącej do Salvino, jej obecnego partnera, mieli do pokonania około sześćdziesięciu kilometrów. Opuścili wreszcie zatłoczoną, podmiejską strefę przemysłową, gdzie wzdłuż drogi piętrzyły się góry śmieci i wjechali w głąb wyspy, a tu widoki były iście bajkowe. Otwarte przestrzenie dolin aż zapierały dech w piersiach. Po morzu zieleni, niczym żaglowce, przesuwały się cienie chmur, nielicznie pojawiających się o tej porze roku na niebie. Kwitnące przy drodze opuncje, kaktusy przywiezione tu przez Kolumba z Meksyku, nadawały krajobrazowi egzotycznego charakteru. A wszystko to oblane słońcem, jak dobra pizza oliwą. Feeria barw i zapachów wręcz oszałamiała zmysły.

Nina prowadziła ostro, czerpiąc widoczną przyjemność z jazdy. Czerwona barchetta, choć miała już swoje lata i nie była wyposażona w nowoczesne systemy kontroli trakcji, dobrze radziła sobie w ciasnych zakrętach, prowadzona jej pewną ręką. Autko mknęło, mrużąc przy każdym wciśnięciu gazu, jakby też cieszyło się przejażdżką w ten piękny, słoneczny dzień. Jechali we dwójkę, bo samochód był dwuosobowy i pozostali musieli zostać w domu.

Marek wcześniej znał przyjaciółkę żony tylko z opowieści. Dużo słyszał o jej temperamencie. Sześć lat temu, aby zacząć wszystko od nowa po burzliwym rozwodzie, Nina wyjechała z Warszawy do Włoch. A właściwie to na Sycylię, bo już na samym początku rozmowy uświadomiła go, że mieszkańcy słonecznej wyspy nie uważają się za Włochów. Dumni Sycylijczycy, przywiązani do lokalnej tradycji, przy każdej okazji podkreślają swoją odrębność. W ich hierarchii najwyższą wartością są rodzina i przyjaciele, dlatego każdy wspólny posiłek urasta do rangi wydarzenia i jest celebrowany bez końca. Bo na Sycylii obowiązuje zasada, że czas nie służy do poganiania ludzi, ale do tego, aby go miło spędzać. Ma to też niestety swoje minusy, o czym Marek przekonał się już pierwszego dnia pobytu, bo Nina spóźniła się na lotnisko ponad pół godziny i nie raczyła nawet przeprosić.

– Podobam ci się? – Miała na głowie chustkę, chroniącą fryzurę przed wiatrem, a na nosie duże, przeciwsłoneczne okulary w stylu retro.

– Słucham? – Pęd powietrza zagłuszył jej śmiech.

– Pytam, czy ci się podoba Sycylia!

– Tak, bardzo.

– To miejsce albo pokochasz, albo znienawidzisz.

– Ty kochasz czy nienawidzisz?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– A Julia? – pociągnął rozmowę. – Jak się tu czuje?

– Zważywszy na okoliczności, dobrze.

Na chwilę zamilkli, każde pogrążone w swoich myślach.

– Jesteśmy już prawie na miejscu. – Wskazała kierunek palcem. – Widzisz? Tam w dole, dach z czerwonej dachówki.

Skręcili w otwartą bramę prowadzącą na posesję. Wysypana drobnymi kamieniami dróżka, wijąca się między oliwnymi drzewami o fantastycznych pniach, doprowadziła ich przed dom. Sam budynek był odrobinę zaniedbany, tu i ówdzie coś było podparte, coś odpadło. Te niedoskonałości dodawały jednak miejscu uroku.

Marek przywitał się z żoną trochę powściągliwie, za to Nina ucałowała tak soczyście Salvino, że można było odnieść wrażenie, jakby to oni nie widzieli się od kilku tygodni. Sycylijczyk był emerytowanym lekarzem, sporo starszym od swojej partnerki. Miał na oko ponad sześćdziesiąt lat, a Nina przekroczyła dopiero trzydziestkę. Był jednak uśmiechnięty, pełen entuzjazmu i witalnej siły. Objął Marka, ucałował w oba policzki na przywitanie, po czym poufale wziął gościa pod rękę i poprowadził na tyły domu, do ogrodu. Obok naturalnej altany, zaaranżowanej z odpowiednio poprowadzonej winorośli, dymił duży grill. Salvino sięgnął po szczypcę i długo przewracał mięsa na ruszcie, dokładnie oglądając każdy kawałek. W tym czasie Nina włożyła Markowi w dłoń kieliszek i naleła czerwonego wina ich własnej produkcji. Wkrótce usiedli do stołu i gość mógł się przekonać, jak ważnym elementem życia jest tu jedzenie.

Okazało się, że gospodarz, choć nie mówi po polsku, to prawie wszystko rozumie, mogli więc swobodnie rozmawiać w ojczystym języku. W towarzystwie unikali trudnych tematów, zresztą ani Julii, ani Markowi nie spieszyło się do czekającej ich rozmowy. Po makaronach, podawanych tu jako pierwsze danie zamiast zupy, i mięsach, będących głównym posiłkiem, na stole pojawiły się owoce i słodkie likiery. Ostatnim elementem obiadu była mocna, parzona w tradycyjny sposób kawa.

Dom był położony na odludziu, wokół panowała cisza, którą teraz zakłócił basowy odgłos silnika.

– To Rosario – wyjaśniła Markowi Nina i uśmiechnęła się. – Syn młodszej siostry mojego *doctore*.

Odgłos motocykla był coraz wyraźniejszy, w końcu umilkł i po chwili do ogrodu wszedł dwudziestoparoletni mężczyzna w skórzanej motocyklowej kurtce i z kaskiem w dłoni. Dość niski, jak większość Sycylijczyków, nie był może typem włoskiego amanta o tajemniczych oczach, ale niewątpliwie był przystojny. Śniadą twarz okalał starannie przycięty zarost.

Chłopak utonął w objęciach wuja i powitaniom znów nie było końca. Salvino ponownie zapalił grilla, żeby poczęstować gościa ciepłą wołowiną i w ten sposób obiad płynnie przeszedł w kolację, trwającą do późnych godzin nocnych. Atmosfera, w miarę upływu czasu i wypitego wina, stawała się coraz bardziej swobodna. Z przenośnego głośnika popłynęła włoska muzyka. Stare hity z festiwalu w San Remo znali wszyscy. Marek wyjął z walizki zakupioną na lotnisku żubrówkę i usiedli z gospodarzem z boku, z dala od tańczących, na ławce pod owocującym drzewkiem cytrynowym. Dogadywali się mieszanką angielskiego, polskiego i włoskiego.

Salvino zapalił cygaretkę i upił pół kieliszka polskiej wódki.

– Kochanie, miałeś nie palić! – rzuciła Nina, przechodząc obok, gdy wracała z piwniczki z kolejną flaszką wina.

– Pouczasz lekarza? – Posłał jej uśmiech, obracając wyrzut w żart. – Od jednego papierosa nie umrę.

Nina już go nie słuchała. Zaśmiała się perliście, bo Rosario porwał ją do tańca, nie pozwalając nawet odstawić butelki.

– Przynajmniej nie tak szybko, jak byś chciała – mruknął pod nosem, przyglądając się ich płasom i zapytał: – Wiesz, co znaczy imię chłopaka?

– Nie.

– Nina! – zawołał. – Co znaczy „rosario” po polsku?!

– Różaniec! – odzrzyknęła rozbawiona.

– Różaniec – powtórzył stary, łamiąc sobie język. – Ale święty to on nie jest i nie okazuje mi szacunku.

– Młody jeszcze. – Marek nalał do kieliszków, chcąc rozładować atmosferę. – Życia musi się nauczyć.

– Nina też jest młoda. – Patrzył, jak ręce chłopaka poczynęły sobie w tańcu coraz śmiej. – A wiesz, dlaczego nie wziąłem sobie starej kobiety? W moim wieku?

– Nie, dlaczego? – Marek po kilku głębszych był rozbijając szczyry.

– Bo wolę jeść ciastko we dwóch – wypuścił dym – niż gówno samemu.

Roześmiał się rubasznie na cały głos.

– *Buona notte*, Marko. – Salvino podniósł się ciężko z fotela, jakby rozważania o starości dodały mu lat. – Dobranoc, na mnie już czas.

– Też już chyba pójde spać. – Marek wstał i spojrzał na żonę. – Zmęczony jestem podróżą.

Julia podeszła i przytuliła męża.

– Chcesz już się położyć?

– Tak, wstałem wcześniej. – Poglaskał jej włosy. – Pokażesz mi, gdzie śpimy?

– Chodźmy.

– Jeżeli chcesz, możesz zostać. – Spojrzał na zegarek. – Jeszcze nie ma jedenastej.

Julia uśmiechnęła się i pokręciła głową. Przytulił ją, po czym ruszyli do swojej sypialni.

Kiedy wrócił z łazienki, w pokoju paliło się kilka świeczek. Zdjął koszulkę i wsunął się pod kołdrę. Julia przytuliła się do niego nagim ciałem. Kochali się, ale Marek cały czas miał otwarte oczy. Nie mógł inaczej, bo mimo że obejmował żonę, to kiedy tylko zamknął powieki, przed oczyma miał tamtą tańczącą dziewczynę. Matkę jego dziecka.

## 22

W pomieszczeniu panował zaduch. Kwaśny odór potu i nieświeżych oddechów śpiących kobiet mieszał się z zapachem mokrego prania rozwieszzonego między łózkami, na sznurku pod sufitem. Drzwi na korytarz były uchylone i z sąsiedniego pokoju dochodziło miarowe chrapanie. W drugim końcu sypialni zaskrzypiały sprężyny starego materaca, któraś ze współlokatorek przekręciła się na drugi bok, jęcząc coś przez sen.

Mira odwróciła się twarzą do ściany i zwinęła w kłębek, podciągając nogi pod brodę. Dotknęła czołem zimnej ramy łóżka. Na chwilę przyniosło jej to ulgę, lzy przestały płynąć.

Przez moment szukała w głowie jakiejś pozytywnej myśli, której mogłaby się uchwycić. Nawet nie konkretnego rozwiązania jej problemów, ale nadziei, która pozwoliłaby teraz zasnąć, a jutro dała siłę, żeby wstać. Nie znalazła jednak nic takiego i drobnym ciałem znów wstrząsnął bezgłośny, tłumiony szloch.

Mimo że dom był pełen kobiet, od dwóch tygodni czuła się samotna, jak nigdy wcześniej. Nawet Ksenia zaczęła jej unikać, bo na próby pocieszenia Mira reagował albo płaczem, albo złością. A Jura wciąż nie odbierał telefonu. Początkowo myślała, że jest mu głupio, bo nic nie wyszło z załatwienia paszportu. Falszerze nie pojawili się na drugi dzień w umówionym miejscu. Na dodatek pieniądze, które zapłaciła jako zaliczkę, też przepadły.

Potem doszła do wniosku, że może się obraził z powodu jej zachowania tamtego wieczoru w hotelu. Upiła się i cały romantyczny nastrój szlag trafił. Próbowwała go na drugi dzień przeprosić, porozmawiać o tym jeszcze w samochodzie, kiedy wracali z hotelu, ale nie odzywał się do niej przez całą drogę. Odwioził ją pod kwatery i odjechał, nie proponując nawet kolejnego spotkania. Poczowała się urażona jego zachowaniem. Uniosła się honorem i przyrzekła sobie, że nie odezwie się do niego pierwsza. Przez kolejne dni czekała, ale nie zadzwonił. W końcu schowała do kieszeni urażoną dumę, ale kiedy wybrała jego numer, usłyszała komunikat, że ten nie istnieje. Najpierw myślała, że to jakaś pomyłka, błąd sieci, jednak przez kolejne dni sytuacja się powtarzała. Ewidentnie wyłączył telefon. Sama siebie oszukując, że robi to z troski o chłopaka, pojechała rano do zakładu i poszła do dyspozytorni kierowców. Starszy mężczyzna, który tam urzędował, pokręcił głową przecząco i zapewnił:

– Znam wszystkich kierowców, żaden Ukrainiec o imieniu Jura nie rozwozi u mnie towaru.

– Musi taki być, proszę sprawdzić w dokumentach – nalegała Mira, bo myślała, że facet chce ją po prostu spławić. – Mówił, że od kilku lat pracuje w zakładzie.

– Zbałamucił cię i nawet nie powiedział, jak się naprawdę nazywa? – Dyspozytor spojrzał na nią znad okularów. – Masz jego zdjęcie?

– Nie mam.

– Nie masz zdjęcia swojego chłopaka? – Uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie. – Odwróciła się i wyszła, chcąc oszczędzić sobie dalszych upokorzeń.

Uświadomiła sobie, że to rzeczywiście dziwnie brzmi. Nigdy nie robili sobie razem zdjęć, bo też okoliczności ich relacji były tak przygnębiające, że jakoś nigdy nie przyszło im do głowy pstrykanie radosnych fotek. Dziś tego żałowała. Nawet jeżeli początkowo szukała go tylko z powodu swoich urażonych uczuć, to teraz zaczęła się o niego naprawdę martwić. Może dowiedzieli się w zakładzie o ich planie z lewym paszportem i gdzie go przetrzymują? A dyspozytor jest z nimi w zмовie? Albo, co gorsza, zrobili mu krzywdę? Ta ostatnia myśl wracała natrętnie, choć bardzo chciała ją od siebie odgonić.

Zdesperowana wyszła z biura i rozejrzała się po parkingu pełnym dostawczych samochodów. Wszystkie auta wyglądały identycznie, ale miały nadrukowane numery, tylko że Mira za nic w świecie, nie mogła sobie przypomnieć, jakie cyfry znajdowały się na dostawczaku Jury. Nie zwróciła na to wtedy uwagi, bo i po co?

Szła teraz wzdłuż szpaleru równo zaparkowanych aut, szukając jakiegoś kierowcy, którego mogłaby zapytać o chłopaka. Nagle dojrzała blond czuprynę znikającą za budą jednej z furgonetek. Ruszyła w tamtą stronę, a kiedy zobaczyła dym wydobywający się z rury

wydechowej, przyspieszyła kroku. Dopadła szoferki i zapukała w okno. Młody mężczyzna opuścił szybę, ale to nie był on. Mira była tak rozczarowana, że z trudem powstrzymała łzy. Szofer też nigdy nie słyszał o kierowcy imieniem Jura. Zmierzała już zrezygnowana w kierunku bramy, kiedy nagle jej uwagę przykuł samochód z uszkodzonym przodem. Pęknięty zderzak w miejscu, gdzie Jura zahaczył o słupek na parkingu przed kliniką. Zajrzała do środka, nikogo w szoferce nie było. Dostrzegła za to płytę kompaktową wiszącą na lusterku wstecznym i teraz była już pewna, że to jest ten samochód, którym po nią przyjeżdżał.

Rozejrzała się, ale nikogo w pobliżu nie było. Przeszła na drugą stronę parkingu i stanęła w bezpiecznej odległości za blaszaną wiatą. Tu była niewidoczna i spokojnie mogła poczekać, aż przyjdzie. Samochody z towarem wyruszały z bazy o szóstej, pierwsze już ładowano na pobliskiej rampie. Spojrzała na zegarek w telefonie, było za dziesięć. Zaraz powinien być. Kolejne grupki kierowców wchodziły na parking, mężczyźni gasili papierosy i znikali w swoich samochodach, po czym odjeżdżali w kierunku magazynu. Każda pojawiająca się w bramie postać z jasnymi włosami, budziła jej nadzieję, jednak po chwili przychodziło rozczarowanie. Nagle zamrugały kierunkowskazy w uszkodzonym aucie, które obserwowała. Gruby facet z włosami wgramolił się do jego wnętrza.

Mira podeszła, musiała go zapytać, bo to był jej jedyny trop.

– Nie znam żadnego Jury – rzucił mężczyzna na odczepne.

– Kierowca, on jeździł ostatnio tym samochodem. – Nie dawała za wygraną. – Byliśmy w Rzeszowie tym autem. Na pewno tym, bo uszkodził na parkingu przód.

– A, to o tego ci chodzi. – Odwrócił się w jej stronę. – Jak byłem na chorobowym, to jeździł moim autem jakiś siurek i obdarł przód. Na dodatek całe auto zasmrodził. Na pace woził kurczaki w wyłączonej chłodni, aż się całkiem zaśmierdziały. Jak otworzyłem drzwi, to myślałem, że się zrzygam. Matoł jeden.

– Gdzie go znaleźć? – W dziewczynę wstąpiła nadzieja. – Muszę go znaleźć, to mój chłopak.

– Taczki takiemu dać, i to pewnie by coś spierdolił!

– Powie mi pan, gdzie go szukać?

– Nie wiem i chuj mnie to obchodzi!

– Zapłacę. – Wyjęła z portfela sto złotych.

Chwilę się wahał, w końcu wziął z jej ręki banknot i schował do kieszeni.

– Tyle wiem, ile mi dyspozytor powiedział. – Podrapał się po nieogolonym policzku. – Jak poszedłem do starego z pretensjami, że mi ten twój miglanc auto obdarł i zasyfił, to mi szef powiedział, że nie wie, kto to był. Nie zna go i nie ma pojęcia, gdzie jest. Zadzwoiła podobno z biurowca sama dyrektorka i kazała wydać mu na gębę samochód firmowy. Nie osobówkę, tylko dostawczaka. Kazik, kolega co miał za mnie tego dnia towar rozwieźć, kluczyki mu dał. Powiedział mi potem, że to był młody Ukrainiec, ale nie żaden kierowca, bo podjechał podobno drogą furą. Przyjeżdżał co kilka dni, zostawiał na parkingu swoje wypasione auto, przebierał się w robocze ciuchy i zabierał dostawczaka. Jak chłopaki pytali, co on za szopkę odstawia z tymi przebierankami, to im kazał spierdalać. Chcieli mu gębę oklepać, ale podobno klamkę wyjął, to odpuścili. Bandzior jakiś to był.



Zaskoczona jego słowami odsunęła się od samochodu, a mężczyzna zamknął drzwi i odjechał. Stała jeszcze chwilę na parkingu, miała mętlik w głowie. Nic z tego nie rozumiała, poza tym że Jura cały czas ją oszukiwał. Udawał kogoś innego, niż naprawdę był.

Do domu wróciła kompletnie załamana i od razu położyła się do łóżka. Oksanie powiedziała, że źle się czuje i tak przeleżała cały wieczór. Teraz był środek nocy, a ona wciąż nie mogła usnąć, choć była bardzo zmęczona. W końcu usiadła w krótkiej nocnej koszulce na brzegu tapczanu, chwilę patrzyła przed siebie w jeden punkt na ścianie, po czym cicho otworzyła szufladę i wyjęła z niej mały nóż. Uważając, żeby nie obudzić śpiących kobiet, zebrała wiszące pranie, po czym podeszła do ściany i odcięła sznurek. Owinęła go wokół dłoni i ruszyła w kierunku drzwi. Zatrzymała się na chwilę przy łóżku Kseni, pochyliła nad nią i pocałowała w policzek. Dziewczyna poruszyła się, a Mira otarła oczy i wyszła cicho z pokoju. Zanim zniknęła w łazience, rozejrzała się jeszcze po korytarzu.

Kiedy była już w środku, zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę, zapaliła światło i spojrzała w górę, szukając czegoś odpowiedniego. Najpierw rzuciła się jej w oczy rurka, na której wisiała prysznicowa zasłonka, ale stwierdziła, że będzie za słaba. Potem dojrzała klamkę w małym okienku, wysoko pod sufitem. Podsunęła blaszany kosz, weszła na niego i zahaczyła tam sznurek. Przerzuciła jeden koniec, a drugi przewlekła, tworząc pętlę. Odmierzyła odpowiednią długość i mocno przywiązała go do klamki zamkniętego okna. Upewniła się jeszcze, że pętla zaciska się na szyi, po czym zamknęła oczy i kopnęła kosz, na którym stała. Rozległ się huk, ale ona go nie słyszała. Poczula szarpnięcie i zawisła kilka centymetrów nad szarymi płytkami. Nogi wyprężyły się, palce stóp daremnie szukały oparcia, a ręce odruchowo powędrowały do szyi. Chciała zdjąć sznur, ale zacisnął się mocno i nie mogła wsunąć pod niego palców. Zrobiło się jej ciemno przed oczami, rzuciła jeszcze ciałem w agonii i w bezwarunkowym odruchu walki o życie chwyciła zasłonę.

Ocknęła się na podłodze, ciężko oddychając. Chwilę trwała w bezruchu, łapiąc otwartymi ustami powietrze, po czym zdjęła pętlę i uspokoiła oddech. Bolały ją szyja i plecy. Spojrzała w górę i zrozumiała, co się stało. Sznur zsunął się z metalowej klamki. Powoli uniosła tułów z podłogi. Wciąż siedząc na zimnej posadzce, oparła się plecami o ścianę i zebrała włosy z twarzy. Obok leżał przewrócony kosz. Wśród wysypanych na podłogę śmieci zobaczyła zużytyą jednorazową maszynkę do golenia. Podniosła ją.

Drżącą dłonią docisnęła do płytek i wyłamała kawałek plastiku, odsłaniając ostrze. Ujęła je w prawą rękę i mocno wbiła w lewy nadgarstek, przecinając głęboko skórę i otwierając żyły. Odwróciła oczy, bo nie znosiła widoku krwi. Na szare płytki popłynęła czerwona strużka. Powoli położyła dłoń na podłodze i uśmiechnęła się, bo nareszcie poczuła się śpiąca.

Alicja z wprawą chwyciła palczkami kawałek kurczaka, zanurzyła go w miseczce z sosem i włożyła do ust. Chwilę przyglądała się ze zboląłą miną talerzowi pełnemu zieloniny, który

kelnerka postawiła przed jej towarzyszką. Ewa Kwiecień była na permanentnej diecie, z powodu swoich kompleksów.

– No mów. – Alicja uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Bo się udusisz.

Już rano Ewa oznajmiła Romskiej, że ma jej coś ważnego do zakomunikowania, a w związku z tym zaprasza ją po pracy na obiad. Cały dzień siedziała w pokoju jak na szpilkach, ale utrzymała wiadomość w tajemnicy. W końcu nadeszła ta chwila. Odłożyła teraz widelec, położyła obie dłonie na stoliku i na chwilę zamilkła, jakby chciała dodatkowo zbudować napięcie i w ten sposób podkreślić wagę tego, co za chwilę oznajmi.

– Chcę cię o coś prosić.

– O matko... – Dłoń z pałeczkami zawisła na chwilę nad talerzem. – Mam nadzieję, że chcesz pożyczyć kasę.

– Jacek mi się oświadczył – Ewa zignorowała żart i gapiła się rozpromieniona na Alicję. – Chcę, żebyś była świadkiem na moim ślubie.

– Co?! – Teraz Romska naprawdę omal nie zakrztusiła się kawałkiem kurczaka.

Ewa i Jacek byli ze sobą od prawie roku, ale starali się zachować intymną relację w tajemnicy, chcąc uniknąć złośliwych komentarzy w komendzie. Związek dwójki funkcjonariuszy na pewno byłby przedmiotem plotek i żartów, a przełożeni też nie byłiby zachwyceni. Choć para nie afiszowała się ze swoim uczuciem, to Romska była na bieżąco, bo przyjaciółka regularnie się jej zwierzała. Alicja należała do wąskiego grona wtajemniczonych, w końcu pracowały z Ewą w jednym pokoju. Romska nie wypytywała jej o szczegóły, można powiedzieć, że słuchała przez grzeczność. Nie działo się tak bez powodu. Miała do ich związku ambiwalentny stosunek, bo Ewę szczerze lubiła i życzyła jej jak najlepiej, ale z Olkowskim kiedyś coś ją łączyło, o czym przyjaciółka nie wiedziała. Był to krótki, acz burzliwy romans, z łózkowym epizodem. Historia zdarzyła się tuż przed tym, jak Ewa i Olkowski związali się ze sobą. Alicja z czasem wyleczyła się z uczucia, choć początkowo bardzo przeżywała, że Jacek tak szybko odpuścił i zrezygnował z tego, co ich łączyło. Jej przyszło to dużo trudniej. Z czasem jednak uczucie ostygło i przypadkowe spotkania na korytarzu komendy z byłym kochankiem nie powodowały już u niej szybszego bicia serca. Tymczasem ostatnio to on sobie o niej przypomniał i po blisko roku wysłał kilka SMS-ów, sugerując, że nie jest mu obojętna. Po trzeciej wiadomości napisała mu, żeby dał spokój, bo powie Ewie. A teraz dowiaduje się, że się oświadczył!

– A co na to Jacek? – Romska wróciła do jedzenia.

– Na co?

– No na to, że mam być twoim świadkiem.

– Sam mi kazał ciebie spytać.

– To powiedz mu, że się zgadzam. – Upiła łyk ryżowego piwa.

– Świadkiem Jacka będzie jego brat. – Ewa nachyliła się nad stołem i dodała konspiracyjnym szeptem: – Przystojny.

– Proszę cię, tylko bez takich... – Alicja się skrzywiła. – Zresztą przyjdę z facetem.

Trochę się wyrwała przed orkiestrę z tą deklaracją, bo z nikim aktualnie się nie spotykała. Jedyną osobą, która teraz na szybko przyszła jej do głowy, był Aleksander Wilga, dziennikarz z

Bieszczad. Tylko że ostatni raz rozmawiała z nim ponad trzy miesiące temu. Po wizycie w rzeszowskiej komendzie i wymianie zdań z komisarzem Borkiem zadzwoniła do Olka. Bez owijania w bawełnę wyjaśniła, o co toczy się gra. Nie musiała mu zakazywać drażenia sprawy, bo zachował się rozsądnie i właściwie ocenił priorytety. Obiecał nie zajmować się tą historią i nie przeszkadzać policji w śledztwie. Od powrotu z Bieszczad się nie widzieli.

Alicja odwiozła przyjaciółkę po spotkaniu, zaparkowała samochód pod swoim blokiem i wpatrywała się w numer Wilgi na wyświetlaczu telefonu. W końcu wcisnęła ikonę słuchawki i przyłożył aparat do ucha.

– Cholera! – Rozłączyła się szybko, kiedy tylko usłyszała w słuchawce pierwszy sygnał. – Co ja robię!

Bez sensu. I co mu powie? Zapyta, czy nie poszedłby z nią na wesele? Nagle poderwała się przestraszona, bo smartfon zawibrował w jej dłoni. Na ekranie pojawiło się jego imię i nazwisko. Olek oddzwaniał.

– Cześć! – Miał radosny głos. – Co tam?

– Pójdziesz ze mną na wesele? – walnęła prosto z mostu i zacisnęła powieki, przygotowana na odmowę.

– Jasne, nie mogłaś lepiej wybrać. – Wręcz słycać było, jak się uśmiecha. – Jestem świetnym tancerzem.

– Będziemy tylko pić, bo ja nie umiem tańczyć.

– Pijakiem jestem jeszcze lepszym. – Teraz zaśmiał się już głośno. – Nawalę się jeszcze przed rosołem.

– Super. – Jego głos sprawił, że zatęskniła. – Co robisz w sobotę?

– W tę sobotę jest to wesele?

– Nie, właściwie to jeszcze nie wiem kiedy... Tak tylko pytam, jakie masz plany na najbliższy weekend.

– Muszę sprawdzić w gwiazdach.

– Mogłabym przyjechać... – Zabrzmiało to trochę jak propozycja, trochę jak prośba o przyzwolenie.

– Przyjedź.

Rozłączyła się i z ulgą opadła na fotel. Opuściła klapkę nad kierownicą i spojrzała w umieszczone tam lusterko. Poprawiła włosy, podciągnęła dłońmi policzki za uszami i obróciła twarz najpierw lewym, potem prawym profilem. Chwilę przyglądała się swojej twarzy, w końcu złożyła lusterko i wyszła z samochodu, trzaskając drzwiami trochę za mocno. Postanowiła od jutra zacząć biegać. No, może od pojutrze, jutro kupi odpowiednie buty.

Po powrocie z Sycylii, życie Marka rozsypało się jak domek z kart. Można powiedzieć, że zmieniło się w jakiś ponury, lekko psychodeliczny seans. Przyczyną tego stanu rzeczy były

samotność i poczucie winy, będące efektem ostatnich wydarzeń, których doświadczył.

Julia nie podzielała jego obiekcji co do działań adopcyjnych, nie chciała nawet wysłuchać, co go niepokoi. Została u Niny, a Marek wrócił do pustego mieszkania w Warszawie. Snuł się więc całymi dniami po pokojach jak duch i wciąż myślał o tamtej dziewczynie. On, zawsze mocno stąpający po ziemi, tracił kontakt z rzeczywistością.

Nie stało się to nagle, z dnia na dzień. Stopniowy proces degradacji poukładanej dotąd egzystencji postępował powoli, jak gangrena, ogarniając jego świat. Wszystko to, na czym do tej pory mu zależało, straciło znaczenie. Okazało się bowiem, że kiedy pozostał sam, to nie było już ważne. Jego system wartości całkowicie zawalił się w ostatnich miesiącach.

Praca, pieniądze, biznesowe i prywatne relacje, wszystko przestało być istotne. Małżeństwo na odległość też jawiło się czysto teoretycznie. Firma funkcjonowała tylko siłą rozpędu, bo w zasadzie przestał tam być, wciąż wymawiając się niedyspozycją. Nigdzie nie wychodził i nikogo nie zapraszał. Parafrazując klasyka, można powiedzieć, że przy pomocy prymitywnej umiejętności życia, kolejnym dniom ukręcał łeb, wspomagając się przy tym alkoholem. W piątek jednak trzeźwiał, żeby w sobotę wybudzić się z letargu i udać do Rzeszowa. Pakował małą walizkę, zabierał z szafki nocnej zdjęcie, które znalazł w kopertowej torebce żony i wyruszał do hotelu, licząc, że może tym razem spotka dziewczynę z fotografii.

Miał już na jej punkcie prawdziwą obsesję. Od czterech tygodni spędzał w hotelowym barze każdą sobotnią noc, w nadziei, że zobaczy ją lub przynajmniej trafi na jakiś ślad, który pozwoli ją odnaleźć. I dziś wreszcie dopisało mu szczęście. Siedział skulony w ciemnym kącie sali, z trudem panując nad emocjami.

Od kilku minut obserwował chłopaka i dziewczynę, którzy zajęli miejsca przy stoliku nieopodal wejścia. Młodą kobietę widział pierwszy w życiu, ale mężczyzna, to bez wątpienia był ten sam facet. Nawet zamówienie w barze złożył identyczne: dwie pięćdziesiątki wódki i piwo dla siebie i drink dla swojej towarzyszki. Wlał w gardło pierwszy kieliszek, a dziewczyna upiła spory łyk z koktajlowej szklanki. Scena wyglądała bliźniaczo do tej, która rozegrała się w tym samym barze trzy miesiące temu. Wtedy popijając samotnie w kącie sali, Marek rozpoznał dziewczynę ze zdjęcia, którą kiedyś pokazała mu żona. Dziś też wszystko wyglądało bardzo dziwnie, zwłaszcza w kontekście tego, po co kobieta tu się znalazła. Domyślał się, że miała zajść w ciążę, tymczasem sytuacja bardziej przypominała randkę niż przygotowania do zabiegu zapłodnienia. Owszem, do poczęcia dziecka w ten sposób nie potrzeba laboratoryjnych warunków, mimo wszystko jednak sala kliniki byłaby bez wątpienia bardziej odpowiednia na tę okoliczność niż hotelowy nocny klub. A już popijanie drinków w wieczorowej kreacji przez przyszłą matkę nijak miało się do planowego aktu poczęcia. Nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby zauważyć, że coś tu nie gra.

W pewnym momencie młoda kobieta wstała z krzesła, ale kiedy chciała zrobić krok, straciła na chwilę równowagę, zatoczyła się i oparła ręką o stół. Mężczyzna podniósł się, jakby zaniepokojony, pomógł jej przejść do toalety i czekał przed drzwiami. Marek ruszył za nimi, zachowując bezpieczną odległość. Po kilku minutach dziewczyna opuściła łazienkę i po krótkiej wymianie zdań ruszyli w stronę windy. Kiedy wsiedli do środka i winda ruszyła, Marek podszedł bliżej. Obserwował cyfry zmieniające się na wyświetlaczu. Wsiedli na trzecim piętrze. Wrócił do sali klubu. Wykorzystując fakt, że barman odwrócony tyłem poprawiał na

półce butelki z trunkami, dyskretnie zabrał szklanę dziewczyny z niedopitym drinkiem. Wrócił do swojego stolika i ukrył ją pod krzesłem. Chwilę zastanawiał się, co robić dalej. Wreszcie wstał i ruszył w stronę baru.

- To wypadło temu facetowi - zagaił, kiedy barman odwrócił się i spojrzął na dwustuzłotowy banknot, który Marek położył na kontuarze. - Znalazłem pod jego krzesłem.

- Oddam mu. - Mężczyzna sięgnął po pieniądze, ale Marek był szybszy.

- Wolałbym sam mu zwrócić. - Przykrył dwustuzłotówkę dłonią, po czym dodał, żeby załagodzić niezręczną sytuację: - Może dostanę jakiegoś drinka w ramach znaleźnego.

Barman zrobił obrażoną minę, bo odebrał jego zachowanie jako oskarżenie, że zguba nigdy nie trafiłaby do właściciela. Naburmuszony podniósł słuchawkę telefonu i skontaktował się z recepcją.

- Ela, zadzwoń do Jury Balwina i przekaz, że wypadły mu pieniądze przy stoliku w klubie. - Spojrzął na Marka z niechęcią. - Czeka na niego przy barze pan, który je znalazł i uparł się oddać osobiście.

Odłożył aparat, bezceremonialnie odwrócił się do Marka plecami i wrócił do ustawiania butelek etykietami w stronę sali.

Marek nie czekał dłużej, zostawił banknot na stole i wrócił do swojego stolika. Zdjął sweter, ukrył w rękawie szklanę z drinkiem dziewczyny i wyszedł, nie zważając na zdziwione spojrzenie barmana. Zdażył w ostatniej chwili, bo winda właśnie zjechała z góry. Minął ją i pobiegł schodami na trzecie piętro, słysząc za sobą dźwięk rozsuwanych drzwi. Na górze doszedł do końca korytarza i czekał. Po kilku minutach Jura wrócił, wysiadł z windy i maszerował w jego stronę. Serce Markowi waliło jak młotem, ale zachował zimną krew. Odwrócił się do drzwi przypadkowego pokoju i stał przed nimi, jakby czekał, aż ktoś otworzy.

Jura był coraz bliżej, przerażony Marek próbował na szybko wymyślić, co powie, jeśli pechowo stanął przed drzwiami jego pokoju. Na szczęście chłopak otworzył sąsiednie i wszedł do środka. Marek odetchnął, ruszył w kierunku windy, po drodze sprawdzając numer apartamentu, w którym zniknął Ukrainiec. Panowała tam kompletna cisza. Spojrzął teraz na drugą stronę korytarza, dokładnie naprzeciwko znajdował się pokój numer trzysta osiem. Zjechał na parter i poszedł prosto do recepcji.

- Czy pokój numer trzysta osiem jest wolny?

- Chwileczkę. - Młoda kobieta spojrzała w ekran komputera - Tak, to dwójka, z pojedynczymi łózkami.

- Wezmę go na jedną dobę.

- Chce pan zrezygnować ze swojego pokoju? - Recepcjonistka kojarzyła, że jest już hotelowym gościem. - Nie wiem, czy się uda, ale mogę spróbować przebukować.

- Nie trzeba, nie będę robił zamieszania. - Pokręcił przecząco głową. - Zapłacę za oba.

- Jasne, przepiszę pana dane. - Dziewczyna pracowała już kilka lat w tym przybytku, więc słyszała znacznie dziwniejsze prośby. - To karta do trzysta osiem.

Marek wszedł do środka, postawił szklanę na nocnym stoliku, po czym ustawił krzesło tuż przy drzwiach i nasłuchiwał. Słyszał każde otwarcie drzwi na piętrze, więc żaden ruch w

pokoju naprzeciwko nie mógł ujść jego uwadze. Od czasu do czasu ktoś przechodził korytarzem, ale ani Jura, ani jego towarzyszka nie opuszczali swojego lokum.

W pewnej chwili drzwi naprzeciwko się otworzyły. Przystawił bliżej ucho i przełknął ślinę.

– Nie otwieraj nikomu – powiedziała kobieta. – Wyjdźcie rano, zanim zrobi się ruch w hotelu.

Marek rozpoznał ten głos. To była Maria Kurska, przedstawicielka Pro Familia.

Chwilę chodził po pokoju zdenerwowany. W końcu zrozumiał, że do rana nic się nie wydarzy. Odstawił krzesło, zdjął z łóżka materac i położył pod drzwiami na korytarz. Rzucił na niego pościel, usiadł opierając się plecami o ścianę i czekał. Wyjął zdjęcie. Nie potrafił dokładnie określić, jaki to rodzaj uczucia, które żywił do tej, jak by nie było, nieznanym dziewczyny. Bo przecież nie miłość, nie było to też pożądanie. Może troska? A może to była tęsknota za tym wszystkim? Bo w jego życiu zapanowała pustka?

## 25

Mira obierała kartofle w kącie kuchni. Od trzech miesięcy należało to do jej obowiązków, wykonywała więc tę codzienną czynność prawie mechanicznie. Nie zwracała uwagi na krzątającą się obok starszą, grubą kobietę. Wrzuciła do garnka z wodą obranego ziemniaka i schyliła się, sięgając do koszyka po następny. Nagle zakręciło się jej w głowie i poczuła nudności. Drżącą dłonią próbowała dalej skrobać kartofla, ale nie dała rady. Odłożyła go, chwilę walczyła z żołądkiem, aż w końcu poddała się i zwymiotowała do wiaderka z obierkami.

– Idź to wylej świniom. – Kobieta nie przejęła się zbyt jej niedyspozycją. – Pokaż, ile obrałaś? – Zajrzała do garnka. – Starczy.

Mira przeszła przez podwórko i otworzyła drewniane drzwi do chlewu. Smród uderzył ją w nozdrza i znów zwymiotowała, tym razem na betonową posadzkę. Otarła dłonią usta, zaczerpnęła świeżego powietrza i weszła do środka. Wysypała obierki i nadgniłe, odkrojone kawałki kartofli pomieszane z wymiocinami do koryta świń. Jednego była pewna, po powrocie do Ukrainy na pewno zostanie wegetarianką. Nie weźmie do ust ani mięsa drobiowego, ani wieprzowiny.

Wyszła na zewnątrz, usiadła na drewnianej skrzynce i powoli dochodziła do siebie. Na zroszonej potem szyi poczuła chłodny powiew letniego wiatru. Nie wiedziała, co było przyczyną jej dzisiejszego fatalnego samopoczucia. Czy były to objawy ciąży, czy też skutki załamania nerwowego, które przeszła w ostatnich tygodniach po nieudanej próbie samobójczej? A może jedno i drugie. Wtedy w łazience huk upadającego blaszanego kosza obudził Oksanę. Ksenia zaniepokojona pustym łóżkiem przyjaciółki poszła sprawdzić do łazienki, czy coś się jej nie stało. Obawiała się, że Mira upadła na śliskich płytkach i zrobiła sobie krzywdę. Kiedy zobaczyła koleżankę leżącą bez świadomości na podłodze, w kałuży krwi, narobiła takiego rabanu, że obudziła i postawiła na nogi cały dom. Któraś z kobiet była z wykształcenia ratowniczką, zawiązała więc nieprzytomnej dziewczynie opaskę uciskową tuż

poniżej łokcia i krwawienie ustało. Szybko wezwano karetkę, żeby zapobiec obumarciu komórek dłoni. Pogotowie zabrało ranną dziewczynę do szpitala, gdzie lekarze udzielili jej na czas pomocy. Na szczęście rozcięcie nie było bardzo głębokie i po jakimś czasie Mira odzyskała sprawność w ręce. Jej stan fizyczny był stabilny, ale ostatnie wydarzenia uczyniły spustoszenie w jej psychice.

Wielkie rozczarowanie wynikające z miłosnego zawodu, które nałożyło się na permanentny stan napięcia towarzyszący dziewczynie w ostatnich tygodniach, spowodował u niej załamanie nerwowe. Osłabioną i bezwolną przewieziono do kliniki w Rzeszowie, gdzie kiedyś była na badaniach. Nie protestowała, podpisała co trzeba, żeby dali jej święty spokój. Skoro nie mogła umrzeć, to przynajmniej pragnęła być sama. Nie chciała jeść ani pić, karmiono ją więc przez kroplówkę. Spała w dzień, bo w nocy nie mogła usnąć. Obawiała się, że ktoś zrobi jej krzywdę. Nie miała pojęcia, jak długo trzymają ją w szpitalu, ale bała się zapytać lekarza. Pewnego ranka pojawiła się ta elegancka kobieta. Przyniosła krzesło bardzo blisko i usiadła obok Miry. Nachyliła się i długo mówiła. Na początku oznajmiła dziewczynie, że jest w ciąży, a potem obiecała pomóc.

Choć informacja o tym, że spodziewa się dziecka, spadła na Mirę jak grom z jasnego nieba, to na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień, wciąż gapiła się w wyłączony telewizor beznamietnym wzrokiem. W głowie kłębiły się jej tysiące myśli, ale ciało nie wyrażało żadnych emocji. Kobieta uświadomiła ją, że aborcja na żądanie jest w Polsce nielegalna i grozi poważnymi sankcjami. Skrobanki nie może wykonać, a na inne metody, takie jak tabletki wczesnoporonne, jest już za późno. Zaproponowała więc rozwiązanie korzystne dla wszystkich. Otoczą ją opieką w okresie ciąży, a potem Mira odda dziecko do adopcji, a sama wróci do domu i nikt się nie dowie, że urodziła. Nawet jej zapłacą, tyle samo, co dostałaby w zakładzie ciężko pracując. To była bardzo korzystna oferta, tak twierdziła ta elegancka pani. I rozwiązywała wszystkie jej problemy. Bo przecież nie wróci do domu z dzieckiem, na wstyd i pośmiewisko. Studiów też wówczas nie skończy, bo niańcząc niemowlaka po prostu nie da rady. Samotna matka ma mnóstwo obowiązków. Ale jeżeli się zgodzi, to się nią zaopiekują. Wyjedzie do specjalnego domu, gdzie będzie mogła w spokoju doczekać rozwiązania. Jest tam więcej kobiet z przetwórnymi, które mając podobny problem, też wybrały ten sposób załatwienia sprawy. Wszystko będzie dobrze. Opiekę i wyżywienie będzie tam mieć za darmo, więc całą sumę, którą otrzyma, odłoży na powrót. Trzydzieści tysięcy. Za dziewięć miesięcy wróci do domu, z pieniędzmi i nikt się o niczym nie dowie. Położyła na stoliku obok łóżka dokumenty konieczne do oddania dziecka. Powiedziała, że musi podpisać już teraz, datę dopiszą po rozwiązaniu. Kobieta nie usłyszała zgody, nie usłyszała ani jednego słowa z ust Miry. Wychodząc, oznajmiła, że ktoś chce z dziewczyną porozmawiać, a ona wróci za chwilę. Wtedy do pokoju wszedł Jura.

- Posłuchaj mnie uważnie.

Usiadł z tyłu, za jej plecami. Rozpoznała jego głos, ale nie odwróciła się. Wciąż trwała w bezruchu.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą ani z twoim bachorem, rozumiesz? - mówił powoli, dokładnie artykułując każde słowo. - Nie wiem nawet czyje to dziecko, bo na pewno nie moje. Nie wiem, z kim się tam w hotelu po pijanemu puściłaś, ale nie będę tego firmował. Ani tu w

Polsce, ani w Ukrainie. Jeżeli nie posłuchasz tej kobiety i będziesz robić problemy, to wyrzucą cię z tej kliniki w środku nocy w koszuli. Bez pieniędzy i dokumentów. Do granicy nikt cię nie zabierze. Będziesz się włóczyć po ulicach, aż cię ktoś zgwałci albo zabije.

Obszedł łóżko dookoła i stanął przed nią. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni wiatrówki.

– Wiesz, czyj to? – W prawej ręce trzymał paszport. – Twój. Dostaniesz, za dziewięć miesięcy, jak będziesz grzeczna. A ten zgadnij czyj.

W lewej miał drugi, identycznie wyglądający dokument. Otworzył go i przeczytał na głos:

– Oksana Truszkina, urodzona w Kijowie. – Zamknął paszport. – Podobno jest dla ciebie jak siostra. Chyba nie chciałybyś, żeby się jej stała krzywda? Żeby taśma w zakładzie urwała jej palce? Albo żeby poparzyła ją uszkodzona wyparzarka? Wypadki chodzą po ludziach. Ty wiesz najlepiej. Na razie pracuje i wszystko jest w porządku, ale wiele zależy od ciebie. To co, podpiszesz?

Podpisała.

Wyszedł uśmiechnięty, w drzwiach wręczył papiery kobiecie, a ta kiwnęła głową z zadowoleniem. Była teraz bardzo miła, chciała nawet poprawić Mirze poduszkę. Pytała, czy nie potrzebuje czegoś. Może jakiś kosmetyków? Znów nie doczekała się odpowiedzi.

Zanim wyszła, otworzyła szufladę szafki i zabrała jej telefon.

– Nie będzie ci na razie potrzebny.

Trzy dni później wypisano ją z kliniki na własne żądanie. Jura odebrał ją ze szpitala i przekazał jakimś dwóm typom, a ci szarym busem zawieźli ją do jakiegoś domu za wsią. Nie protestowała. Nawet, kiedy jechała wyboistą drogą, z opaską na oczach.

## 26

Alicja usiadła po przeciwnej stronie łódki i oparła się plecami o ściankę kabiny. Położyła bosc stopy na ławeczce przed sobą, objęła ramionami kolana i przyglądała się mężczyźnie bez skrępowania.

Olek w prawej ręce trzymał ster, w lewej jakąś linkę. Trwał prawie w bezruchu, zapatrzony pomiędzy wypełnionymi wiatrem żaglami przed siebie, gdzieś za horyzont. Tak przynajmniej wydawało się Alicji, bo miał na nosie ciemne okulary. Czapeczka z daszkiem dodatkowo chroniła jego oczy przed słonecznym blaskiem i poskramiała długą, chłopięcą ciemną grzywkę. Opalony, z tygodniowym zarostem wyglądał jak prawdziwy wilk morski, wyjęty z kart powieści Londona. Zwyczajny biały podkoszulek podkreślał jego bezpretensjonalne podejście do życia, facet zdecydowanie przedkładał treść nad formę. Alicja nawet zawstydzila się przez moment z powodu swoich drogich, markowych ciuchów. Wydało jej się to takie małostkowe, wręcz żenujące.

Przed wyjazdem spędziła kilka godzin, biegając po galerii handlowej i wybierając garderobę na urlop, a ten gość po prostu założył pierwszą z brzegu czystą koszulkę i wyglądał jak młody bóg. W jego przypadku okulary przeciwsłoneczne, zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem, zwyczajnie chroniły oczy przed słońcem, a nie określały status społeczny



właściciela. Tak naprawdę to nie miała pojęcia, czy jest biedny, czy bogaty. Olek wszędzie w restauracjach płacił rachunki, nie pozwolił jej nawet wyjąć portfela. Od trzech dni roztawiali się tylko na noc, a on ani razu w rozmowach nie poruszył tematu pieniędzy. Mieli mnóstwo ważniejszych kwestii.

Dyskutowali o drzewach, ptakach i książkach. Czasami milczeli, tak jak teraz, w ten cudowny, nieskrępowany sposób. Siedzieli w ciszy, w której mogą razem przebywać, nie męcząc się, tylko bliskie sobie osoby. Takie, które naprawdę się lubią i niczego nie muszą przed sobą udawać. Alicja rozpromieniła się do swoich myśli.

– Co jest? – Poluzował żagiel. – Śmiejesz się ze mnie?

– Nie, uśmiecham się do ciebie. – Zebrała z twarzy włosy, które rozsypał wiatr. – Dlaczego twoja żagłówka nazywa się „Maria”?

– To długa i smutna historia – powiedział to z jakąś nostalgią.

– Mamy czas. – Poczula ukłucie zazdrości, ale udało się jej to ukryć. – Opowiedz.

– Na początku nic nie wskazywało na tragiczny finał. – Spojrzał smutno przed siebie, a na jego twarzy pojawił się grymas, wspomnienia wydawały się bolesne. – Poznaliśmy się w jednym z hipsterskich klubów w Warszawie. Siedziała sama przy barze i z czarującym uśmiechem odprawiała kolejnych adoratorów. Bałem się, że w końcu któremuś się uda, ale jeszcze bardziej obawiałem się podejść i samemu spróbować. Wiesz, nawet nie chodziło o to, że dostanę kosza, ale o to, że na zawsze stracę tę jedną jedyną szansę, a z nią całą nadzieję. Po dwóch godzinach i kilku drinkach w końcu zebrałem się na odwagę, ale kiedy spojrzałem w tamtą stronę, jej już nie było. Barowe krzesło stało puste. Usiadłem z powrotem załamany i wściekły na siebie. Wtedy poczułem delikatny dotyk dłoni na ramieniu. – Zamilkł na chwilę i zamyślił się.

– Co było dalej? – Nie była pewna, czy chce słuchać, ale ciekawość okazała się silniejsza.

– Maria bez słowa wzięła mnie za rękę i poprowadziła na parkiet. – Uśmiechnął się, wciąż patrząc w dal. – Była taka piękna, że ludzie rozstępowali się przed nią, jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Tańczyliśmy, a raczej ona tańczyła, a ja stałem jak słup. Płasała zmysłowo, oplatając mnie ramionami jak bluszcz. Jeszcze tego wieczoru zamieszkaliśmy razem. Wprowadziła się do mnie, tak jak stała, w krótkiej, błyszczącej sukience na ramiączkach. Tej nocy wyznaliśmy sobie miłość i wyznacziliśmy datę naszego ślubu. Postanowiliśmy pobrać się równo za rok, ale przysięgliśmy sobie przez ten czas żyć w czystości.

– Łał. – Alicja uśmiechnęła się cierpko. – Dotrzymaliście słowa?

– Tak, chociaż nie było łatwo. – Wsunął palec pod szkło okularów i dyskretnie otarł oko. – W końcu nadszedł ten dzień, a po nim noc poślubna. Kiedy zsunąłem z ramion Marii białą suknię, moim oczom ukazał się... spory siusiak.

– Co? – Patrzyła na niego zaskoczona. – Jak to?

– Maria okazała się Marianem.

Chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, w końcu Alicja przysunęła się bliżej i zdjęła mu z nosa ciemne okulary. Olek nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Próbowaliśmy uratować nasz związek, ale się nie udało!

- A weź! - W końcu dotarło do niej, że cała opowieść, to żart. - Ja pytam poważnie, a ty pierdoły opowiadasz.

- Nie wiem, dlaczego łódka nazywa się „Maria” - Śmiali się teraz oboje. - Tak się nazywała, kiedy ją kupiłem.

- Czemu nie zmieniłeś nazwy?

- Nie wymyśliłem jeszcze.

- Jak długo masz te żagłówkę?

- Trzy lata.

- Wymyślasz w sekundę całą durną opowieść, a nie wymyśliłeś przez trzy lata nazwy dla łajby?

- To musi być coś wyjątkowego.

- Może po prostu dopisz na końcu „n”.

Znów się zaśmiali, a potem zamilkli oboje na chwilę w zamyśleniu.

- Skoro zacząłeś ten temat. - Usiadła wyprostowana. - Masz kogoś?

- Nie.

- Jesteś po rozwodzie?

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - Trzy lata temu rozstałem się z kobietą, ale nie mieliśmy ani ślubu, ani dzieci. A ty?

- Tak samo - ucieła, bo to ona prowadziła „przesłuchanie”. - Nie dokucza ci samotność?

- Jestem sam. - Założył z powrotem okulary. - A nie samotny.

- A to nie to samo? - Znów mu je zdjęła, chciała widzieć jego oczy, a on się chował za ciemnymi szklami.

- Nie, mam swoje książki, płyty, nawet jeden obraz.

- To wszystko przedmioty.

- Uważam, że ludzie są przereklamowani. - Wzruszył ramionami. - Ilu znasz przyzwoitych?

- Może kilku. - Założyła włosy za ucho. - Na pewno mniej niż książek.

- No właśnie.

- Pokażesz mi ten obraz?

- Jutro. - Spojrzał w niebo. - Gorąco... Wykapiemy się?

- Dobra. - Zerknęła za burtę. - Głęboko tu jest?

- Nie bój się, uratuję cię. - Zaczął zrzucać żagle, żeby łódka im nie odplynęła, kiedy będą w wodzie. - Byłem mistrzem juniorów Województwa Mazowieckiego w kraulu. Codziennie sto basenów na dzień dobry, aż znienawidziłem pływanie. Dopiero tutaj znów mnie to zaczęło cieszyć. Wiesz, bez wytyczonych torów, czasowych rekordów i wrzeszczącego trenera, czysta przyjemność.

- Jasne.

- Z pracą było podobnie, też miałem szefa, co ciągle darł mordę. W korporacji zaharowywałem się całe dnie, żeby zrobić lepszy wynik i zarobić więcej kasy, za którą kupowałem coraz droższe przedmioty. Nie miałem czasu nawet się nimi nacieszyć, najważniejsze było posiadanie. Dziesięć straconych lat. W końcu wyrwałem się z tej matni.

- Praca to praca. - Wzruszyła ramionami. - Trzeba zrobić swoje. Ja też nie jestem swoją zachwycona, babram się w brudach.

- Co ty mówisz? - Spojrzał na nią zaskoczony. - Ty ratujesz ludziom życie, trudno o szlachetniejsze zajęcie.

- Zwykle, jak przyjeżdżam, to już ktoś nie żyje.

- Ale jeżeli złapiesz mordercę, to on nie zabije nikogo więcej.

- To racja. - Wstała i zdjęła przez głowę letnią sukienkę. - Skaczemy?

Oboje wskoczyli do jeziora. Alicja nie oddalała się od jachtu, za to Olek czuł się w wodzie jak ryba. Nurkował, znikał pod powierzchnią na całe minuty, żeby pojawić się zupełnie gdzieś indziej. Znów zanurkował. Alicja utrzymywała się na wodzie, rozglądając wokół. Nagle zobaczyła przepływającą w pobliżu żaglówkę. Zmrużyła oczy, żeby móc lepiej się przyjrzeć pasażerom.

- Kurwa mać! - rzuciła się w stronę drabinki, bijąc dłońmi w taflę wody.

- Co się stało?! - Olek usłyszał przekleństwo, ale nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Wychodź! - Prawie się zakrztusiła.

Kilka szybkich machnięć ramionami wystarczyło, by znalazł się przy łódce. Chwyił się metalowej poręczy i wskoczył na pokład.

- Co się dzieje? - Rozejrzał się po jeziorze.

- Patrz! - Wskazała palcem przepływający obok jacht. - Facet sika do wody!

- Co?! - spojrzął na nią z niedowierzaniem. - To dlatego uciekaliśmy?

- W moczu mamy pływać?!

- Kobieto, tu są miliony litrów wody!

- I tym się właśnie od was, mężczyzn, różnimy. - Wytarła włosy ręcznikiem. - Ty będziesz obliczał nasycenie i pływał w roztworze sików, a ja mogę wejść do tej wody dopiero, jak odpłyną za zakręt i już nie będę ich widzieć.

- Zabiorę cię w takie miejsce, gdzie nikogo nie spotkamy - oznajmił z rozbawieniem. - Tylko że to daleko. Musiałabyś przenocować na łódce.

- A będziesz się do mnie dostawał?

- Nie, obiecuję.

- Trudno, i tak popłynę. - Uśmiechnęła się szelmowsko i zmieniła temat: - Co to za miejsce?

- Piękne i ciche, mało kto tam dociera. - Spojrzał na nią przeciągle, po czym zabrał się do stawiania żagli - Nie ma nazwy, więc nazwałem je Zatoką Syren. Jeżeli będziemy mieli szczęście, może je spotkamy i usłyszysz ich śpiew.

Marek opuścił hotel kilka godzin temu. Zahamował teraz gwałtownie, bo rozpoznał znajomą posesję w ostatniej chwili. Zjechał na pobocze, wzniciając tuman kurzu, i zatrzymał

samochód. Chwilę obserwował puste podwórko, nic się tam nie działo. Nie dostrzegł żywego ducha.

Opuścił szybę i zapalił. Zaciągnął się, ale zaraz skrzywił z niesmakiem i wyrzucił prawie całego papierosa przez okno. Nic dziś nie jadł, a było już po południu. Odchylił się i oparł kark o skórzany zagłówek, przetarł twarz dłońmi i pozostał na dłuższą chwilę w tej pozycji, z zamkniętymi powiekami. Oczy piekły go ze zmęczenia i niewyspania. Na materacu pod drzwiami hotelowego pokoju udało mu się zdrzemnąć może godzinę lub dwie przez całą noc. W dodatku koło pierwszej zszedł na dół, aby przeparkować samochód z miejsca postojowego za hotelowym szlabanem na chodnik przy ulicy przed budynkiem. Zrobił tak z obawy, że formalności przy wyjeździe mogą go zatrzymać, a w tym czasie Jura z dziewczyną znikną. Wolał być przygotowany, by móc od razu za nimi ruszyć. Przetawił więc auto i wrócił do pokoju, ale do rana już nie zasnął. Kręcił się z boku na bok, nasłuchując dźwięków dochodzących z korytarza. Nawet był zaskoczony tym, jak dużo się w nocy działo.

Po godzinie drugiej przemaszerowała pod jego drzwiami grupka pijanych hotelowych gości, a nad ranem tuż obok jego numeru urządziła sobie randkę jakaś parka. Po siódmej usłyszał wreszcie odgłosy dochodzące z pokoju naprzeciwko. Chłopak i dziewczyna kłócili się po rosyjsku. Uchylił lekko drzwi. Nie rozumiał, co mówią, bo nigdy nie uczył się tego języka, ale sądząc po wzburzonych głosach, mieli do siebie wzajemnie pretensje. W końcu wybrzmiały na korytarzu szybkie kroki dziewczyny, którym towarzyszył odgłos kółek ciągniętej walizki. Chwilę później wyszedł Jura i ruszył za nią. Podbiegł, kiedy usłyszał sygnał nadjeżdżającej windy. Marek odczekał chwilę i zbiegł schodami na dół. Z trudem zachował spokój, mijając ich w holu obok recepcji. Bał się, że pracująca tam kobieta zagai zza kontuaru i zwróci na niego ich uwagę. Na szczęście była zajęta wymeldowywaniem gości i nie oderwała nawet wzroku od monitora.

Wsiadł do samochodu i czekał. Po chwili szlaban hotelowego parkingu uniósł się i ku swojemu zdziwieniu Marek zobaczył śledzonego mężczyznę za kierownicą sfatygowanego, dostawczego busa. Spodziewał się raczej osobowego auta, bo hotel był ekskluzywny. Obok, na siedzeniu pasażera siedziała dziewczyna. Ruszył za nimi, a kiedy przejeżdżali obok niego, zdążył jeszcze odczytać nazwę przetwórci drobiu na pace ciężarówky. Z tyłu, na drzwiach, był podany numer telefonu. Podjechał na odpowiednią odległość, zrobił zdjęcie, po czym zwolnił, nie chcąc ryzykować, że zostanie zauważony przez kierowcę.

Wyjechali na rogatki Rzeszowa i dostawczak skręcił na wylotówkę w stronę Sanoka. Marek cały czas trzymał się z tyłu, pozwalając się wyprzedzać innym autom. Jego eleganckie BMW przykuwało spojrzenia, mogło więc też zwrócić uwagę Jury. Nie tracił jednak busa z oczu. Po mniej więcej dwóch godzinach jazdy z niepokojem zaczął obserwować wskaźnik mocy na wyświetlaczu. Co prawda wczoraj naładował maksymalnie akumulatory w swoim elektrycznym suv-ie, ale zasięg auta nie był zbyt duży. Na szczęście furgonetka jechała powoli, więc przy spokojnej, ekonomicznej jeździe samochód zużywał niewiele energii.

Po dwóch godzinach jazdy zatrzymali się przy domu, na jednej z bieszczadzkich wsi. Marek stanął kilkadziesiąt metrów z tyłu, skręcając w zjazd na jakąś posesję. Duży, murowany dom, obok którego zatrzymała się ciężarówka przetwórci, nie wyróżniał się niczym spośród okolicznych piętrosów. Dziewczyna wysiadła, wytargała z wnętrza kabiny walizkę i bez

pożegnania ruszyła w stronę odrapanej furgonki. Energicznie stawiała małe krocзки, bo wąska sukienka i szpilki przeszkadzały w swobodnym marszu. Trzasnęła bramką, aż posypała się rdza. Chłopak nie słyszał tego jednak, bo odjechał i był już dobre kilkanaście metrów dalej.

Marek zastanawiał się przez chwilę, co robić. Nie miał żadnego planu na tę okoliczność, po prostu rano postanowił za nimi pojechać. Teraz, kiedy się rozdzielili, miał dylemat, czy wysiąść i porozmawiać z dziewczyną, czy dalej śledzić chłopaka. W końcu stwierdził, że skoro wie, gdzie dziewczyna mieszka, może później tu wrócić. Postanowił dowiedzieć się, dokąd pojedzie chłopak. Teraz, podążając za nim, na pustej wiejskiej drodze starał się zachować odpowiednio dużą odległość. Nagle jednak dostawczak zatrzymał się w zatoczce autobusowego przystanku. Marek w pierwszym odruchu zwołniał, ale po chwili przyspieszył i przejechał obok, patrząc cały czas przed siebie. Obserwował potem stojącą furgonetkę we wstecznym lusterku, aż do najbliższego zakrętu. Samochód wciąż stał obok przystankowej wiaty. Marek ujechał jeszcze kilkaset metrów, po czym zatrzymał się obok wiejskiego sklepiku. Szczęśliwie był otwarty, wysiadł więc z samochodu, wszedł do środka i przez okno spoglądał na drogę.

– Coś podać? – usłyszał za sobą głos ekspedientki.

– Nie, dziękuję. – Nawet na nią nie spojrzął, wciąż w skupieniu gapiąc się przez brudną witrynę.

Sprzedawczyni przyglądała się obcemu z zaciekawieniem, ale nie pytała już o nic.

Po kilku minutach obserwacji wyszedł bez słowa, wszedł do auta i zawrócił. Nie było już sensu się kryć, jeżeli facet go zauważył, to trudno. Był zresztą przekonany, że go już tam nie będzie. Nie mylił się, zatoczka była pusta. Dostawczak musiał zawrócić i pojechać w przeciwną stronę. W tej sytuacji postanowił pogadać z dziewczyną. Wrócił więc pod dom, w którym zniknęła, zatrzymał się, dał sobie chwilę na uspokojenie i pozbieranie myśli. Oparta w zagłębieniu siedzenia głowa i zamknięte powieki sprawiły, że przegrał ze zmęczeniem. Odpłynął na chwilę i zdrzemnął się w stojącym na poboczu aucie. Obudził go dzwonek telefonu.

– Pan Marek Szulc?

– Tak – odparł zaspany.

– Dzwonię z recepcji. – Kobieta miała zniecierpliwiony głos. – Gdzie pan jest? Godzinę temu skończyła się doba hotelowa, a pana rzeczy wciąż są w pokoju. Nie mamy jak posprzątać.

– Zapomniałem, ja... – Wciąż jeszcze zaspany, spojrzął na zegarek. – Ja jestem poza Rzeszowem...

– Nie możemy udostępnić gościom pokoi – przerwała mu. – Jeżeli nie opróżni pan pomieszczeń w ciągu piętnastu minut, to będzie pan musiał opłacić kolejną dobę za oba. Chyba że sprzątaczką pozbiera pana rzeczy i zniesie do recepcji?

– Nie, zapłacę. – Przypomniał sobie o szklance zabranej z baru. – Proszę niczego nie ruszać.

Rozłączył się, bo na podwórko domu z ulicy weszła starsza kobieta. Miała na głowie chustkę, ubrana była w sfatygowaną, staromodną garsonkę. Marek wysiadł z samochodu i ruszył za nią.

- Dzień dobry! - Zatrzymał ją swoim wołaniem. - Chciałbym porozmawiać z córką!
- Jaką córką? - odparła zdziwiona, miała wyraźny wschodni akcent. - Czyją córką?
- Jakiś kwadrans temu weszła do tego domu młoda kobieta. - Pchnął bramkę. - Blondynka.

To nie jest pani córka?

- Ani ona moja córka, ani ja jej matka. - Patrzyła na niego nieufnie. - A kto pan?
- Nazywam się Marek Szulc. - Ruszył popękany, cementowym chodnikiem w jej stronę. -

Mogę z nią porozmawiać?

- Niedziela jest, daj pan ludziom odpocząć. - Otworzyła drzwi domu i zniknęła w środku.

Marek nie miał zamiaru tak łatwo dać za wygraną. Zapukał, ale nikt nie otwierał. Zaczął łomotać pięścią, zły, że go ignorują. W końcu drzwi uchyliły się i wyjrzała ta sama starsza kobieta, ale z jej twarzy zniknęła życzliwość, a pojawił się wyraz wrogości.

- Czego wali! - warknęła ze złością. - Ja nie znam żadnej młodej dziewczyny! Jak nie przestanie, to zawołam sąsiadów!

Chciała zamknąć mu drzwi przed nosem, ale zdążył wsunąć but. Zanim na dobre się rozdzieliła, w akcie desperacji wyjął z kieszeni zdjęcie i pokazał je kobiecie przez szparę.

- A ją pani zna?

Na chwilę zapanowała cisza, starsza kobieta najpierw przestała napierać na drzwi, a potem powoli je uchyliła. Rozpoznała Mirę. Lubiła dziewczynę, bo kiedyś pomogła jej, kiedy źle się w fabryce poczuła.

- Znam, ja pracowała z tą dziewczuszką. - Spojrzała mu w oczy. - Skąd pan to ma?

- Muszę znaleźć tę dziewczynę, bo może być w niebezpieczeństwie. - Nie wiedział, czy tak rzeczywiście jest, ale postanowił zaryzykować, bo to mogło sprawić, że kobieta będzie rozmowniejsza. - Pani córka zresztą też.

- Ona nie jest moja córka, w tym domu mieszka dużo kobiet, ale jak młoda, to tylko jedna może być. - Otworzyła szerzej drzwi. - Wszystkie pracujemy w przetwórni kurczaków. Legalnie, na pozwolenie.

- Proszę być spokojną. - Zrozumiał jej obawy. - Nie interesuje mnie wasza praca.

- Mira. - Wskazała skinieniem głowy zdjęcie - Ostatnio chciała popełnić samobójstwo, ledwo ją uratowali.

- Co pani mówi?! - Na jego twarzy pojawił się strach. - Gdzie ona teraz jest?

- Mieszka w domu dla pracowników w sąsiedniej wsi, ale jeszcze nie wróciła ze szpitala. - Jego troska wydawała jej się szczerą, dlatego powiedziała mu prawdę. - Tak mi przekazała Oksana, kiedy w piątek zapytałam.

- Kto to jest Oksana?

- Przyjaciółka Miry. - Znowu spojrzała na fotografię. - Razem do Polski przyjechały.

- Mogę porozmawiać z dziewczyną, która tu weszła? - Spojrzał na nią z przejęciem. - To naprawdę ważne.

Wpuściła go do środka i poprowadziła do kuchni, która była w tym domu jedynym pomieszczeniem, gdzie można było usiąść. Zatrzymała się po drodze i krzyknęła w stronę schodów po ukraińsku. Przełknął ślinę, bo w nozdrza uderzył go zapach podsmażonej cebuli i mięsa. Gospodyni umiała chyba czytać w myślach, bo kiedy usiadł, postawiła przed nim miskę

pełną fikuśnie zawiniętych pierogów. Ujął łyżkę, którą mu podała, i zapakował jednego do ust. Ciasto się rozplywało, a intensywny smak dobrze doprawionego mięsa pieścił podniebienie.

- Pójdę po nią.- Poprawiła chustkę na głowie - A ty jedz, na zdrowie.

## 28

W gospodarstwie na odludziu mieszkały w cztery. Mira wyprostowała się masując plecy, zmrugała oczy i spojrzała w niebo. Oparła motykę o biodro i starła pot z czoła brudną ręką. Dochodziło południe, lipcowe słońce przypiekało już niemilosiernie. Do końca grządki zostało jej tylko kilka metrów. Obejrzała się za siebie, Ina była obok, kilka kroków za nią. Daleko między krzakami pomidorów dostrzegła Wierkę. Została z tyłu, nie nadążała za nimi. Dziewczyny były mniej więcej w tym samym wieku, ale Wiera była z nich najmłodsza, nie miała jeszcze skończonych dziewiętnastu lat, a była w siódmym miesiącu ciąży. Spory już brzuch przeszkadzał jej w pracy. Mira bez słowa przeszła do jej rzędu, zamachnęła się motyką i zaczęła pilić chwasty z drugiego końca, zmierzając w jej kierunku.

- Jak cię Luba zobaczy - Ina rozejrzała się. - to będziesz miała przejebane.

- Poszła za stodołę. - Mira pochylona nie przerywała roboty. - Zapalić po kryjomu.

- Ja pierdołę... - Ina dołączyła do niej i teraz już we dwie dziabaly grządkę koleżanki. - Ty jesteś niemożliwa.

Wierka, widząc pomoc dziewczyn, wróciła do pracy. W kilka minut podgoniły robotę, spotkały się i stanęły naprzeciw siebie zmęczone, ale uśmiechnięte.

- Dzięki dziewczynki. - Młoda poprawiła włosy. - Jesteście kochane.

- Nie miaucz. - Ina stroniła od takich ckliwości, była twardą dziewczyną, wychowaną na kijowskim blokowsku. - Kończymy to i spierdałamy, bo przyjdzie stara i na pewno się do czegoś przyczepi.

- Moja babcia mówiła - Wierka ściszyła głos - że jak się kogoś boisz, to trzeba zrymować jego imię i już nie będzie tak straszno.

- Luba, dupa gruba - wypaliła Ina i zaśmiały się wszystkie. - Mniej straszno?

Skończyły robotę i usiadły na chwilę w cieniu. Mira rozlała do szklanek ciepły, mocno rozcieńczony kompot. Przez moment poczuła się, jakby była na swojej rodzinnej wsi. Lubiła pomagać ojcu w pracach, ale tam nikt nie traktował jej jak niewolnicę. Pogodny nastrój przysł, kiedy zobaczyły Lubę, zbliżającą się do nich szybkim krokiem.

- Do domu! - Machała na nie. - Już!

Mira podała Wierce rękę i pomogła jej wstać, Ina zabrała kankę z picciem, po czym wszystkie ruszyły w stronę podwórka. Chwilę później przyspieszyły kroku, bo usłyszały odgłos silnika zbliżającego się od strony lasu samochodu. Jedną z reguł panujących w domu za wsią, jak dziewczyny nazywały gospodarstwo, był zakaz wychodzenia na zewnątrz i wyglądania przez okna, kiedy drogą ktoś przejeżdżał. Na tym odludziu zdarzało się to niezwykle rzadko, ale Luba pilnowała stosowania się do tej zasady z ogromną konsekwencją. Teraz też zebrała

wszystkie dziewczyny w kuchni, a sama odsunęła się od okna i obserwowała drogę przez frankę. Po chwili ukazało się czarne audi. Kobieta się rozluźniła.

– Biercie się za obiad. – Zdjęła chustkę z głowy i poprawiła przerzedzone włosy. – Mira, ziemniaki obierz.

Bracia Dunin przyjeżdżali średnio raz w tygodniu, przywożąc podstawowe produkty spożywcze. Warzywa i owoce mieszkanki domu miały z własnej uprawy, ale pozostałe rzeczy trzeba było im dostarczyć, bo same nie mogły wychodzić do sklepu. Zresztą najbliższy spożywczał był około dziesięciu kilometrów stąd.

Młodszy z braci otworzył bagażnik i wyładował kilka reklamówek z jedzeniem. Na ganku przywitała go uśmiechnięta Luba. Miała czerwoną twarz z sinymi przebarwieniami, popękane żyłki na policzkach były pamiątką po pracy w chłodni. Ważyła dobrze ponad sto kilo, a wysoki wzrost powodował, że wyglądała potężnie. Resztki włosów spięła w mysy ogonek, przez co nabrzmiała facjata wydawała się nieproporcjonalnie duża. Podobno też była w ciąży, ale trudno to było stwierdzić przy jej ogromnej tuszy.

– Zdrastwuj, Kozak. – Spojrzała lubieżnie na jego napięte pod ciężarem toreb ramiona. – Wszystko dobrze?

– Co tak stoisz? – Mężczyzna nie miał ochoty na pogaduszki. – Drzwi otwórz.

W kuchni młodszy Dunin postawił siatki na stole i spojrzał na dziewczyny. Te zajęły się swoimi obowiązkami, uciekając wzrokiem. Luba rozpakowała reklamówki, oglądając z zadowoloną miną ich zawartość. Kilka pudełek makaronu, mleko, ser, proszek do prania. Żadnych słodyczy czy innych artykułów luksusowych nie było, nie rozpieszczali ich tutaj.

– Papierosów nie przywoziłeś? – Spojrzała na Kozaka z rozczarowaną miną. – Miałeś kupić.

– Nie możesz palić, bo byś chore dziecko urodziła. – Uśmiechnął się złośliwie. – Za downa nikt nie zapłaci.

– Piątkę już na świat wydałam – żachnęła się. – Wszystkie zdrowe jak rydze, grube, różowiotkie. Żadnych reklamacji nie było.

– Nie ma papierosów. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Cyryl zabronił.

– Zostaw chociaż swoją paczkę. – Wyjęła wielką pierś przez dekolt i trzymała w dłoni, uśmiechając się lubieżnie. – Ja umiem się odwdziżyć.

– Ty to byś mi musiała dopłacić! – Skrzywił się. – Ja takich starych kurew nie rucham. I schowaj tego cycka.

– To weź którąś z nich. – Poprawiła biustonosz i odwróciła się w stronę dziewczyn.

Te spojrzały przestraszone po sobie, żadna jednak się nie odezwała. Do tej pory przysłuchiwały się rozmowie tylko z zaciekawieniem, bo ich nie dotyczyła. Ukrainiec spojrzał na Wierę i chwilę się jej przyglądał. Najpierw dziecięcej buzi, a potem nabrzmiałemu brzuchowi.

– Ta może być. – Sięgnął do kieszeni i wyjął napoczętą paczkę Marlboro. – Ładna jest.

Położył papierosy na stole i ruszył w stronę przerażonej Wierki. Dziewczyna zrobiła krok w tył i pokręciła głową.

– Zostaw ją. – Mira trzymała w drżącej ręce kuchenny nóż, którym przed chwilą jeszcze obierała ziemniaki. – Bo cię zabiję.



Zatrzymał się i spojrzął w jej stronę.

– Dobrze. – Uśmiechnął się i ruszył w jej kierunku pewnym krokiem. – Możesz być ty.

Mira zrozumiała, że nie przestraszy go kuchennym kozikiem. To był kawał chłopca, na dodatek prawdziwy zabijaka. Oboje wiedzieli, że z łatwością zabierze jej nóż.

– Stój! – Przyłożyła ostrze do swojego brzucha i przycisnęła mocno. – Bo się zabiję i dziecka nie będzie!

Zatrzymał się w pół kroku, bo zobaczył niewielką plamkę krwi, która pojawiła się na białej koszulce dziewczyny i teraz delikatnie się powiększała. Jemu na pewno nie dałaby rady zrobić krzywdy, ale w desperacji i szamotaninie może sobie wbić ten nóż. Słyszał, że już raz targnęła się na swoje życie, więc nie wiadomo, do czego ta wariatka jest zdolna.

W kuchni zaległa cisza, niemal czuć było rosnące między nimi napięcie. Kozak widział w jej oczach determinację, bał się, że spełni swoją groźbę. Stał teraz i kombinował, jak ją przechytryć. Nagle w drzwiach pojawił się starszy z braci.

– Co tu się dzieje? – Cyryl omiółł wzrokiem pomieszczenie, szybko ocenił sytuację i spojrzął z wyrzutem na młodszego brata. – Miałeś tylko zostawić torby i wyjść.

– On chciał mnie zgwałcić za papierosy. – Mira zwietrzyła swoją szansę, choć z tej strony ratunku się nie spodziewała. – Dla niej! – Wskazała głową na starą.

Luba spojrzała na nią, ziejąc nienawiścią. Cyryl podszedł do wyższej o głowę kobiety, popatrzył w jej w oczy i bez słowa uderzył z całej siły na odlew w twarz. Mimo że Luba była ogromna, zatoczyła się od potężnego ciosu. Z nosa popłynęła czerwona strużka. On jednak już na nią nie patrzył. Odwrócił się. Spokojnie, bez pośpiechu podszedł do zszokowanej Miry, wyjął jej z ręki nóż i położył obok na stole. Odwrócił się i bez słowa skierował stronę wyjścia.

– Poszł – rzucił do brata, nawet na niego nie patrząc.

Kozak zgarnął ze stołu paczkę papierosów i ruszył za starszym bratem.

## 29

Olek Wilga powolnym, jednostajnym ruchem grzebał widelcem w zimnej już jajecznicy. Kelnerka dwa razy podchodziła do jego stolika w restauracyjnym ogródku, zagląda przez ramię i oddalała się bez słowa. Nawet na nią nie spojrzął. Alicja wyjechała tydzień temu, a on wciąż nie mógł się odnaleźć w swojej codzienności. Nic go nie cieszyło i wszystko wydawało się bez sensu. Pracę wykonywał bez entuzjazmu, położył nawet ostatni temat i Heniu musiał naprędce napisać reportaż z przygotowań do dożynek w sąsiedniej gminie, aby ratować numer gazety. Nawet nie wysłuchał wyrzutów kolegi, czego wymagały przyzwoitość i dobre wychowanie, tylko rozłączył się po zdawkowym „przepraszam”.

Złapał się na tym, że co kilka minut sprawdza wiadomości przychodzące w telefonie, w nadziei, że Alicja napisze choćby kilka słów. Nie mógł znieść, że wraz z wyjazdem i powrotem do swojego świata przestała o nim myśleć. Tym bardziej że jego głową zawładnęła całkowicie. Wracał wciąż do wspólnie spędzonych chwil, a kiedy się zapominał, to wybiegał w przyszłość, snując plany jak nastolatek. On, który – co by nie mówić – w ostatnim czasie kobiety traktował

raczej przedmiotowo. Z szacunkiem, kulturalnie i nigdy nie robiąc nic wbrew ich woli, ale jednak instrumentalnie. Raz zdarzyło mu się nawet po wyjściu z lokalnej dyskoteki wylądować na łódce z dwoma rozochoczonymi pannami. Następnego ranka miał z tego powodu przez piętnaście minut wyrzuty sumienia. Zupełnie jednak niepotrzebnie, nie czułby się winny, gdyby znał starą zasadę: jeżeli poderwałeś kobietę, która ma na sobie biustonosz i majtki od kompletu, to znaczy, że nie ty ją poderwałeś, ale ona ciebie. W tych rzeczach nie ma przypadku.

Teraz zdawał sobie sprawę, że jego obecny stan nie jest normalny. Zastanawiał się, czy to miłość, czy tylko zauroczenie? Możliwe, żeby w tym wieku zakochał się jak szczeniak? Próbował odświeżyć w pamięci początki związku z Ewą. Nie mógł jednak przypomnieć sobie tak intensywnego uczucia. Może dlatego, że mieli się na co dzień i byli wtedy praktycznie nierozłączni? A może po prostu nigdy tak mocno jej nie kochał? Ale czy można stopniować miłość? To uczucie jest zero jedynkowe. Albo jest, albo go nie ma. Czyli wniosek jest okrutny: nigdy Ewy naprawdę nie kochał. Ich związek był tylko rodzajem życiowego kompromisu. Układu, który był na tyle dobrze zbalansowany, że funkcjonował przez sześć lat. Relacja oparta na rozsądku, kilku kwestiach praktycznych i śmiało artykułowanych potrzebach seksualnych, a wszystko to scalone wysoką kulturą osobistą i umiarkowaną empatią. Idealna receptura na związek pary, która ma jasno określone priorytety: apartament na eleganckim osiedlu, gdzie się segreguje śmieci, do tego niezbyt efekciarski, ale jednak odpowiednio drogi samochód, praca z jasno wytyczoną ścieżką kariery i wakacje za granicą dwa razy w roku. Czyli to, co określa status społeczny współczesnego przedstawiciela wyższej klasy średniej. Wszystko to mieli, ale pewnego dnia w Olku coś pękło. Po kolejnej awanturze z szefem, przy kolacji oznajmił Ewie, że odchodzi z agencji reklamowej i wyjeżdża na urlop. Nie wie gdzie i na jak długo, ale musi odpocząć.

Padło na Bieszczady, ostoję spokoju. Nie namawiała go, żeby został, a on ją, żeby z nim pojechała. Żadnych dram, jak przystało na wykształconych ludzi na poziomie. Tydzień później spacerując chłodnym rankiem nad brzegiem Soliny, zobaczył wyciągnięty na brzeg jacht z napisem „na sprzedaż” i numerem telefonu. Zanim przemyślał temat, już był umówiony na rozmowę z właścicielem. Dalej sprawy potoczyły się same. Facet sprzedał mu łódkę za śmiesznie niską kwotę i pomógł znaleźć człowieka, który zajmie się odświeżeniem jej wnętrza. Olek zapalił się do tego nowego projektu i podszedł do niego zadaniowo. Aby usprawnić roboty remontowe, postanowił osobiście zaangażować się w pracę.

Początkowo nie bardzo mógł dogadać się z majstrem, który miał swój specyficzny rytm zajęć. Na jeden dzień roboty przypadały dwa dni picia. Jak drapieżnik poluje tylko wtedy, gdy jest głodny, tak pan Zbyszek pracował tylko, kiedy zabrakło mu na wódkę. Chcąc nie chcąc, Olek odpuścił po tygodniu i się dostosował, a po dwóch byli już najlepszymi przyjaciółmi. Pewnego ranka Wilgę obudził kac i łagodne kołysanie. Okazało się, że poprzedniego wieczoru wspólnie z majstrem zwodowali łódź, która wyglądała teraz, jakby wypłynęła z renomowanej stoczni, gdzie robią jachty dla arabskich szejków. Błyszczały chromy i drewno pachniało olejem. Chciał podziękować i pożegnać się, ale nie było z kim. Zbycha już więcej nie zobaczył. Podobno w nocy chłop zrobił awanturę na całą przystań, że skradziono jacht, który remontował. Potem wpełznął do wody przypadkowo przechodzące małżeństwo emerytów z

Berlina i zabrała go policja. Od tych dramatycznych wydarzeń upłynął ponad rok, Olek Wilga rozstał się z Ewą i poznał Alicję.

Rozejrzał się teraz po restauracji, jakby chciał przypomnieć sobie, gdzie się właściwie znajduje. Nałożył widelcem jajecznicę na kromkę chleba, przykrył drugą i owinął kanapkę serwetką. Wyjął z kieszeni dwadzieścia złotych, położył na stoliku i przycisnął pustą popielniczką, żeby wiatr nie zwiął banknotu. Ruszył w stronę przystani energicznym krokiem. Nie będzie się tak zamartwiał, musi oderwać od niej myśli, a fale najlepiej ukoją skołataną głowę.

Odbił od kei i chwilę płynął bez celu, po czym zwinął żagle i już na elektrycznym silniku skierował łódź w stronę zakola na krańcach zalewu, które nazywał Zatoką Syren. Często tam ostatnio zaglądał, bo miejsce było odludne, a takie lubił najbardziej. Tutaj mógł całymi godzinami kontemplować bieszczadzką przyrodę, przez nikogo nie niepokoiony. Dwa tygodnie temu też tam pożeglował, spotkała go jednak niespodzianka. Był upalny dzień i kiedy wypłynął z za cypla, zobaczył beztrosko kąpiące się w zatoce młode kobiety. Nie miały strojów kąpielowych, pływały nago. Szybko zrzucił żagiel, włączył elektryczny silnik i odbił sterem w drugą stronę, zanim zajęte beztroską zabawą dziewczyny go dostrzegły. Nie chciał zakłócać ich prywatności, zwłaszcza w tak intymnej sytuacji. Rozbawione i zaabsorbowane swoim towarzystwem, nie zwróciły na niego uwagi. Piski i perliste śmiechy rozchodziły się po tafli wody. Olek obejrzał się za siebie przez ramię i uśmiechnął. Beztroska, z jaką oddawały się zabawie, była rozczulająca. Nagle jedna z nich wyszła na brzeg. Chichocząc i podskakując na jednej nodze założyła majtki, po czym usiadła na ciepłym piasku. Zaczesała dłońmi długie, mokre włosy i po jeziorze poniósł się jej śpiew. Miała śliczny głos, a zatoka, jak najlepsza sala koncertowa podkreślała jego walory. Olek wychwycił wschodni akcent, a słów nie rozumiał. Dziewczyna śpiewała po ukraińsku. Dwie pozostałe, wciąż pozostające w wodzie, też przyłączyły się w trakcie refrenu. Scena miała w sobie coś magicznego. Nie chodziło nawet o ich nagość, raczej o rzewną melodię, która chwytiała za serce. Olek wabiony, jak dawni żeglarze tym syrenim śpiewem, przyplływał tam później kilka razy. Najczęściej zatoka była pusta, ale dwa razy udało się mu je znów zobaczyć. Nie wpływał wówczas do zatoki, cumował jacht, wysiadał wcześniej na brzeg i przyglądał się im z daleka, kuszony wizją wspólnej kąpieli. Nigdy się jednak do nich nie zbliżył.

Tydzień temu pokazał Alicji to tajemnicze miejsce, ale kobiety nie przyszły tego dnia na dziką plażę. Miał nadzieję dziś je zobaczyć. Kiedy po kilku godzinach dopłynął na miejsce, brzeg świecił jednak pustkami. Przycumował jacht do wielkiego, obmytego przez wodę konara leżącego na piasku i powędrował w górę stromym zboczem, zapadając się po kostki w igliwiu i sypkiej ziemi. Na szczycie, wśród drzew dostrzegł wąską ścieżkę i pomaszerował nią dalej. Wydeptany trakt doprowadził go do leśnej drogi.

Olek rozejrzał się w obie strony i po namyśle pomaszerował w lewą, powoli odzyskując oddech po kilkudziesięciometrowej wspinaczce. Minęło parę minut i dostrzegł wśród drzew zarysy dachu domostwa. Gdzieś dalej musiał być wjazd na posesję, ale skrócił sobie drogę, idąc przez las. Postanowił najpierw przyjrzeć się temu miejscu, niekoniecznie będąc od razu dostrzeżonym. Szedł powoli, ale nie skradał się. Nie chciał, żeby mieszkańcy pomyśleli, że ma złe zamiary, gdyby jednak został przez nich zauważony. Położone w gęstym lesie domostwo nie

było ogrodzone, jedynie przy głównym budynku znajdował się niski, drewniany płotek, który kiedyś wyznaczał przydomowy ogródek. Był stary i zmurzały, więc pewnie tylko on pamiętał kwietne rabatki, bo dziś rosły tu chwasty sięgające parapetów okien. Brązowe ramy oblażyły z farby, dom był stary, ale murowany i otynkowany, z poddaszem. Obok znajdował się szereg zabudowań gospodarczych i duża, drewniana szopa. Wszędzie poniewierały się jakieś plastikowe beczki i blaszane bańki po oleju. Miejsce teraz mocno zaniedbane, kiedyś mogło być całkiem przytulnym siedliskiem, bo okoliczności przyrody były wspaniałe. Dziś lata świetności miało za sobą, ale musiało być wciąż zamieszkałe, bo przed drzwiami stała para ubłoconych buciurów.

Wilga chwilę przyglądał się wszystkiemu z ukrycia, po czym przeszedł przez podwórko i zapukał do drzwi. Nasłuchiwał przez kilkanaście sekund, w końcu ponowił pukanie, już dużo mocniej. Efekt był taki sam, czyli żaden. Nikt nie otworzył drzwi, w środku panowała głucha cisza.

Przedarł się przez gąszcz chwastów, przysunął dłońią słońce i zajrzał do środka przez okno. Duże pomieszczenie na parterze było puste. Zastukał w szybę dla pewności, wtedy niedomknięte skrzydło samo się uchyliło. Zamarł na chwilę, ale nikt nie zareagował. Pchnął je mocniej, podciągnął się na parapecie i zawisł nogami na zewnątrz, a tułowiem w środku domu. Trudno mu było oddychać w niewygodnej pozycji, ale zdążył się rozejrzeć po wnętrzu. Ewidentnie ktoś tu aktualnie mieszkał, bo pomieszczenie było w miarę czyste, nie było też kurzu i pajęczyn. Stare meble i kuchnia wyglądały na wciąż używane. W zlewie leżała sterta brudnych naczyń. Olek osunął się i stanął z powrotem na ziemi.

- Dzień dobry! - krzyknął do wnętrza. - Jest tu kto?!

Odpowiedziała mu grobowa cisza.

Pociągnął za brzeg okna i przymknął je z powrotem. Obszedł dom dookoła, zaglądając przez inne okna, nic ciekawego jednak nie zauważył.

Ruszył w kierunku budynków gospodarczych. Na drzwiach wisiały kłódki. Ujął jedną w rękę i przyjrzał się jej dokładnie. Była solidna i całkiem nowa. Uchwyt, na którym była zapięta, też błyszczał od systematycznego używania. Małe okienka zabito deskami, więc nie było szans zobaczyć, co jest w środku. Wilga puścił kłódkę z rezygnacją i obrócił się na pięcie. Jego wzrok zatrzymał się na drewnianej szopie po drugiej stronie podwórka. Tu też była kłódka, a kiedy jej dotknął, usłyszał gardłowe warczenie dochodzące z środka. Odskoczył odruchowo przestraszony, ale po chwili, z bijącym sercem zbliżył się do drzwi ponownie. Znow usłyszał złowrogie dźwięki, a w szparze dostrzegł błyszczące oko stojącego na tylnych łapach psa. Przełknął ślinę i obszedł komórkę dookoła. Cały czas za drewnianą ścianką towarzyszyło mu szuranie pazurów o podłogę i basowe warczenie nie jednego, ale co najmniej dwóch psów.

Z tyłu o szopę oparta była drabina. Wilga spojrzął w górę i szukał dogodnego miejsca, gdzie mógłby odchylić daszek i zajrzeć do środka. Ujął drabinkę i stuknął nią mocno w okap w kilku miejscach. Jedna z desek odskoczyła delikatnie. Oparł w tym miejscu drabinę i wspiał się po przegniłych szczeblach, ostrożnie stawiając stopy. Barkiem wyparł obluzowaną deskę dachu, rozrywając pokrywającą ją starą papę, zablokował szczelinę, wetknął w szparę ramię i wsunął głębiej głowę. Na dole siedziały nieruchomo z zadartymi łbami dwa ciemnobrązowe pitbulle. Żaden nawet nie drgnął, ale każdy mięsień ich ciał był napięty i w każdej chwili były gotowe

zaatakować. Olek uruchomił latarkę w smartfonie i rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu. Znajdowało się tam mnóstwo pudeł, kartonów i drewnianych skrzynek. W drugim kącie stał stary motorower i dziecięcy wózek. Wilga pstryknął telefonem kilka zdjęć, docisnął z powrotem deskę i powoli zszedł. Kiedy był już na dole, zastygł na chwilę w bezruchu, bo miał irracjonalne uczucie, że ktoś go obserwuje. Nagle usłyszał gdzieś za swoimi plecami trzask łamanej gałęzi, odwrócił się gwałtownie w tamtą stronę, ale nikogo nie zobaczył. W lesie znów zapanowała głucha cisza.

## 30

Mryczko, komendant posterunku w Polańczyku przyglądał się brudnej szklance z resztkami napoju, która stała przed nim na służbowym biurku.

– Niech mi pan powie, panie... – Jeszcze raz spojrzął na leżący obok dokument tożsamości – Szulc, co to za dziwne czasy nastały?

– Nie rozumiem. – Marek zmarszczył czoło. – Co pan ma na myśli?

– Ano to, że przychodzi pan na posterunek z drinkiem, jak do jakiejś knajpy.

– To jest dowód w tej sprawie.

– Dla mnie to jest dowód, że lubi pan sobie wypić. – Policjant skrzywił się brzydło.

– Jak już mówiłem pana koleżance...

– Koleżanki, to ma moja żona w maglu – przerwał mu. – A na posterunku obowiązują stopnie i hierarchia służbowa!

Marek zamilkł i szybko przeanalizował sytuację. Miał na sobie trzydniowe, wymięte ubranie, był nieogolony i ogólnie sprawiał mało przyjemne wrażenie. Na dodatek przyszedł tu na piechotę, bo akumulatory w aucie mu padły, a niestety stacji ładowania w pobliżu nie było. Musiał szybko podnieść swoją wiarygodność w oczach komendanta, bo w przeciwnym razie niewiele tu wskóra. Był pewien, że ten arogancki typ za moment odeśle go z kwitkiem. Zawsze szybko myślał, wpadł więc na pewien pomysł.

– Chwileczkę. – Wyjął telefon, wybrał numer teścia i włączył tryb głośnomówiący. – Muszę pilnie wykonać ważny telefon. – Położył aparat na biurku przed sobą.

Mryczko burknął coś pod nosem, ale zaintrygowany czekał, aż ktoś odbierze połączenie.

– Halo – usłyszeli w słuchawce Stanisława Sękuła we własnej osobie.

– Cześć, tato. – Marek spojrzął na komendanta. – W sejmie jesteś?

– Tak, co chciałeś?

– Dostałeś ostatnie badania? – Nachylił się nad aparatem, żeby dobrze go słyszał. – Napisałem w tytule wiadomości twoje nazwisko, Stanisław Sękuł.

– Przecież ci odpisałem, że mam – burknął. – Chociaż mogliście się lepiej postarać.

– Chciałem się tylko upewnić, że mail doszedł.

– Coś jeszcze? Bo nie mam czasu. – Przez chwilę słychać było, jak rozmawia z kimś innym.

– Ważne głosowanie mam zaraz, a ty dupę zawracasz.

- To wszystko, do widzenia.

- Zaczekaj... - Sękul zmienił ton na łagodniejszy. - Co sływać u Julki?

- Wszystko w porządku.

- To dobrze. - Zamilkł na chwilę, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale w końcu zrezygnował. - Muszę kończyć, wołają nas na salę obrad. Zadzwoń wieczorem.

- Jasne. - Marek wiedział, że nie zadzwoni.

Zakończył połączenie i schował telefon do kieszeni. Spojrzał na komendanta i nie musiał nawet pytać. Po minie widział, że Mryczko skojarzył, w końcu teść był jedną z bardziej medialnych postaci w swojej partii. Teraz był pewien, że potraktuje jego zgłoszenie bardzo poważnie.

- Wysłucha mnie pan?

- Oczywiście, stanęliśmy na tym, że szklanka i jej zawartość są dowodem w sprawie. - Policjant wyjął z szuflady kartkę i długopis.

- Tak, w sobotę byłem świadkiem pewnego zdarzenia. - Marek mówił, a komendant notował i już nie przerywał. - Młoda dziewczyna, Ukrainka, w hotelu została poczęstowana drinkiem, po którego wypiciu straciła przytomność. Ktoś musiał dodać jej jakiegoś specyfiku do napoju.

- Tego tu? - Komendant wskazał szklanke.

- Tak, zabrałem to z ich stolika, kiedy poszli do pokoju. - Szulc skinął głową. - Środek zadziałał w ten sposób, że dziewczyna nie pamięta, co się potem wydarzyło, ale istnieje poważne podejrzenie, że została wykorzystana seksualnie w hotelowym pokoju. Przez chłopaka, z którym tam pojechała i z którym była tego wieczoru w barze. Prawdopodobnie to on podał jej to świństwo.

- Jak się ta kobieta nazywa?

- Lena, nie znam nazwiska. - Mina komendanta zbiła na moment Marka z pantafelku, ale po chwili odzyskał rezon. - Ale tu na kartce mam adres, gdzie mieszka z innymi pracownicami.

- To wystarczy. - Policjant zanotował. - Resztę danych ustalimy sami.

- To jeszcze nie koniec.

- Słucham.

- Trzy miesiące temu, w tym samym miejscu w podobnych, a właściwie to w takich samych okolicznościach, została wykorzystana inna dziewczyna. Nazywała się Mira Hejko. - Nachylił się nad biurkiem, sprawdzając, czy policjant dobrze zapisuje nazwisko.

- Też Ukrainka?

- Tak. - Potwierdził ruchem głowy. - Powiedziałem „nazywała”, bo ona zniknęła. Próbowano po tym zająć się samobójstwo, zabrano ją do szpitala i od tamtej pory nikt jej nie widział.

- Może po prostu wróciła tam, skąd przyjechała?

- Nie, koleżanki by wiedziały. - Nachylił się nad biurkiem. - Jej telefon od tamtej pory nie odpowiada, jest wyłączony. Dziwne, prawda?

Komendant miał już przygotowaną ciętą ripostę, ale ugryzł się w język.

- Jak się ta przyjaciółka nazywa?

- Oksana Truszkina - przeczytał z telefonu. - Mieszka w Jankowcach, też w takim domu dla pracowników. Tam była zakwaterowana Mira Hejko. Wszystkie te kobiety pracują w przetwórni drobiu w Jastrzębce.

- Dobrze, to wszystko? - Ostatnie pytanie było retoryczne i miało zasygnalizować rozmówcy, że spotkanie dobiegło końca. - Sprawdzimy te informacje, a pana proszę, żeby się już pan w to nie mieszał i zostawił nam sprawę. Od chwili zgłoszenia prywatne dochodzenie to już będzie utrudnianie śledztwa.

- Zbadajcie zawartość - nalegał Marek, wskazując na szklanekę. - Pewnie będą tu ślady specyfiku, którym kobiety uspio.

- Laboratorium w Sanoku się tym zajmie.

- I myślę, że powinniście zlecić badanie ginekologiczne tej Leny. - Wstał z krzesła. - Próbowałem ją namówić, ale nie chciała. Jako obywatelka innego kraju nie czuje się pewnie i unika wszelkich problemów, ale badanie może być kluczowe.

- Oczywiście. - Położył mu rękę na ramieniu i delikatnie popchnął w stronę wyjścia. - Pomyślmy nad tym.

- Gwałt jest przecież ścigany z urzędu, prawda? - Był już prawie przy drzwiach. - Nawet jeżeli nie będzie zgłoszony?

- Zgadza się. - Komendant wykazywał się teraz nadzwyczajną, jak na niego, cierpliwością. - Może pan być spokojny, zaraz wsiadam w samochód i jadę przesłuchać poszkodowaną.

- Czy może mnie pan informować na bieżąco o postępach? - Mryczko nie odpowiedział, więc Marek ciągnął dalej: - W zasadzie to ja zawiadomiłem was o sprawie. Chodzi mi zwłaszcza o informację, czy odnaleźliście Mirę Hejko.

- To pana rodzina?

- Nie.

- To w takim razie nie możemy formalnie przekazywać panu informacji. - Komendant puścił oko. - Ale mam pana dane i numer kontaktowy, więc jak już dziewczynę znajdziemy, to umówmy się, że po znajomości dam znać.

- Dziękuję. - Marek już wychodził, ale odwrócił się jeszcze w drzwiach. - Macie może namiary na jakąś ławetę?

Dziewczyny leżały już w łóżkach, a jedyne światło w pokoju rzucała mała nocna lampka stojąca na stoliku w kącie sypialni. Zjadły kolację i położyły się wcześniej. Nie miały ochoty na spotkanie z Lubą, zaszyły się więc w pokoju. Ich opiekunka, a właściwie strażniczka, wyszła z domu zaraz po tym, jak odjechali bracia Dunin.

– Pewnie poszła do Lutka. – Ina uśmiechnęła się dwuznacznie. – On nie jest taki wybredny i jak mu da, to jej paczkę fajek z przemytu odpali.

– Co to za jeden, ten Lutek? – Mira już kilka razy słyszała to imię.

– Taki stary dziad, mieszka sam, kawałek dalej, w lesie. – Ina wzruszyła ramionami. – Przyjeżdżał tu na motorku wiosną, jak dach w kuchni zaczął przeciekać. Naprawił. Wypić sobie lubi, to się z naszą Lubą szybko dogadali.

– Dziękuję, Mira. – Wierka wtrąciła się do rozmowy, zmieniając temat. – Uratowałeś mnie dzisiaj.

– Przestań! Ileż można dziękować?! – Ina przewróciła oczami – Jeszcze raz powiesz to słowo, to ja cię zgwałcę!

– Nie boli cię ta rana? – Wierka nie zwracała na koleżankę uwagi. – Może jednak ci opatrzę?

– Nie trzeba. – Mira poprawiła poduszkę pod głową. – To tylko małe skaleczenie, ledwo skórę przecięłam. Nawet nie poczułam wtedy.

– Ale powiem wam, że zdrowo jej Cyryl przyjechał! – Ina zaśmiała się na samo wspomnienie. – Nosił wilk razy kilka...

– Straszny jest ten człowiek. – Mira poczuła nieprzyjemny dreszcz, wyraz twarzy bandyty wrył się jej w pamięć. – Musimy stąd uciec.

– Ciekawe jak. – Ina podniosła się na łóżku i oparła o ścianę. – Sądysz, że o tym nie myślałam? Pewnie, że tak! Jeszcze zanim tu przyjechałaś i potem, kiedy leżałaś jak mumia. Tylko że to jest takie zadupie, że nawet nie wiadomo, w którą stronę iść. Do tego jak kogoś spotkasz, to pewnie ci nie pomoże, bo Polaczki nas nienawidzą. Nawet policja ma nas w dupie, bo siedzą w kieszeni właścicieli przetworni, a oni chcą ukryć całą sprawę.

O tym ostatnim Mira też miała okazję się przekonać. Musiała przyznać koleżance rację.

– Poza tym Luba zaraz zawiadomi Duninów, oni znajdą cię i złapią, a wtedy to już będziesz miała całkiem przejebane.

– Czekaj, mam pomysł. – Mira też podniosła się na łóżku. – Nam pozabierali telefony, ale Luba musi mieć. Na wypadek choćby naszej ucieczki. Musi mieć możliwość zawiadomienia tamtych, w jakimś nagłym wypadku. Pewnie schowała gdzieś w swoim pokoju.

Pomysł wydawał się sensowny. Jeżeli udałoby się znaleźć aparat, mogłyby zadzwonić do domu i zaalarmować bliskich.

– Skontaktujemy się z rodzicami – mówiła dalej, odruchowo ścisząc głos – a oni zadzwonią do ambasady, albo zorganizują inną pomoc i nas uratują.



– Nawet jeśli znajdziemy telefon, to i tak nic to nie da. – Ina oparła głowę zrezygnowana. – Na pewno ma blokadę.

Rzeczywiście, to mógł być problem. Teraz prawie każdy ma zabezpieczony telefon na wypadek dostania się w niepowołane ręce, a w tej sytuacji Luba na pewno była zapobiegliwa.

– A może temu Lutkowi uda się ukrąść? – Mira nie dawała za wygraną. – Takie dziady pijaczyny mają zwykle stare, tanie aparaty i nie włączają zabezpieczeń. Mówiłaś, że mieszka sam, to po co miałby zakładać kod? Na pewno nie założył.

– Ale jak mu zabrać?

– Nie wiem jeszcze. – Ziewnęła. – Ale jutro coś wymyślimy.

– Dobranoc, dziewczynki. – Wierka tylko przysłuchiwała się wcześniejszym knowaniom. – Dziękuję jeszcze raz, Mireńka.

– No nie! Ostrzegłam cię!

Ina zerwała się z pościeli, wskoczyła do łóżka Wierki i zaczęła ją łaskotać. Dziewczyny mocowały się, śmiejąc beztrosko przez chwilę, po czym zmęczona Ina objęła przyjaciółkę, jak młodszą siostrę, i zasnęły przytulone.

Mira nie mogła usnąć jeszcze długo. Dzisiejsza sytuacja uświadomiła jej, w jakim są niebezpieczeństwie. Do tej pory traktowała pobyt tutaj jako przykre, ale przejściowe doświadczenie. Co prawda zmusili ją do tego szantażem, ale poddała się też dlatego, że nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. W pierwszym okresie, kiedy cierpiała na załamanie nerwowe, była zupełnie bezwolna. Skupiona na sobie i swoim miłosnym rozczarowaniu, nie myślała o dziecku. Nie czuła za nie odpowiedzialności. Później, kiedy już doszła do siebie, uznała, że ma jeszcze czas na przemyślenie wszystkiego, poukładanie w głowie i podjęcie decyzji. W ostatnim czasie zauważyła, że jej ciało się zmienia. Spoglądała na lekko zaokrąglony brzuch i wciąż odganiała od siebie myśli o małej osobie, którą nosiła pod sercem.

Cała ta sytuacja była dla niej tak abstrakcyjna, że nie była w stanie objąć wszystkiego rozumem, przeanalizować i wyciągnąć wniosków. Dlatego odsuwała to wszystko w czasie, skupiając się na codziennej egzystencji, oszukując się, że na ważne decyzje przyjdzie czas. Dopiero dzisiejsze wydarzenia uruchomiły w niej instynkt samozachowawczy. Omal nie doszło do tragedii. Gdyby nie zareagowała, ten bandyta zgwałciłby Wierkę, być może na ich oczach. Działała instynktownie, emocje były tak wielkie, że nawet się nie bała. Strach poczuła dopiero, kiedy ten Cyryl podszedł do niej i spojrzął jej w oczy. Zobaczyła w nich zimne, niczym nieograniczone zło. Tylko dlatego je uratował, bo nie widział w gwałcie żadnej korzyści, wręcz przeciwnie, zbędne komplikacje. Nie zrobił tego ze współczucia czy nawet z litości, ale wyłącznie dla świętego spokoju. Wiedziała też, że gdyby to on był na miejscu Kozaka, nie zawahałby się nawet na sekundę i żadna siła by go powstrzymała.

Muszą zdobyć ten telefon i zadzwonić do rodziców. Oni im pomogą. Do taty i do mamy. Do domu. Gdzie ma swój pokój, a w pudle pod łóżkiem lalki z dziecięcych lat. Gdzie w salonie stoi stare pianino. Mama na nim gra. Gra piękną melodię, a ojciec płacze, ale nie jest smutny, płacze ze szczęścia.

Sen zmorzył ją i zabrał do rodzinnego domu. Poczuli się bezpieczna i kochana. Patrzyła na dłonie matki biegające po biało-czarnej klawiaturze. Były takie smukłe i zwinne. Nagle ręce uderzyły w klawisze z całej siły i jakiś ciężar przygniótł Mirze piersi. Prerażona otworzyła

szeroko oczy, łapiąc oddech, i zobaczyła nad sobą wykrzywioną z wściekłości twarz Luby. Wielka kobieta usiadła okrakiem na jej piersiach, unieruchamiając grubymi udami ręce i tułów. Całym ciężarem wcisnęła ją w łóżko i nachyliła się nad Mirą.

– Ty mała, cwana kurewko! – Dziewczyna poczuła jej śmierzdzący papierosami i wódką oddech. – Myślisz, że możesz tu rządzić?! Robić, co ci się spodoba?!

Tłusta łapa z zaciśniętą pięścią uniosła się wysoko i na twarz skrępowanej dziewczyny spadł pierwszy cios.

– Że wszystko będzie teraz po twojemu? – kolejne uderzenie złamało nos, na poduszkę buchnęła krew. – Nigdy, suko! Rozumiesz? Prędzej zdechniesz! Słyszysz? Zajebię cię! Zajebię i będzie spokój!

Pięści spadały na policzki, usta, czoło. Mira, ogłuszona już pierwszymi uderzeniami, nawet nie krzyczała. Głowa bezwładnie podskakiwała po każdym kolejnym ciosie, a cała twarz pokryła się opuchlizną. W końcu stara, kiedy dała upust swojej wściekłości, przestała ją bić. Chwilę jeszcze siedziała nieruchomo, łapiąc oddech, strużka śliny zwisiała jej z ust. W końcu zeszła ze swojej ofiary, uwalniając wątle ciało. Lekko się zataczając wyszła z sypialni i trzasnęła drzwiami.

Ina i Wierka siedziały w kącie łóżka przerażone, wręcz sparaliżowane strachem. Ten atak furii w środku nocy był jak najgorszy koszmar. Wyrwane ze snu nie rozumiały, co się dzieje, żadna z nich się nie odezwała. Nawet teraz, kiedy Luba wyszła, wciąż siedziały nieruchomo w milczeniu.

## 32

Olek Wilga wcisnął się w puchowy śpiwór, zasunął błyskawiczny zamek i przeglądał galerię zdjęć w swoim telefonie. Analizował po kolei zrobione dziś fotki i próbował odgadnąć, co też mogło znajdować się w przykrytych plandeką pudłach i skrzyniach, które widział w starej szopie. Nie było na nich żadnych napisów ani oznaczeń, które mogłyby naprowadzić go na wyjaśnienie. Wilga pamiętał jednak słowa pana Józefa ze związku łowieckiego, z którym rozmawiali jakiś czas temu. Facet wspomniał o niejakiem Lutku Szypule mieszkającym w tej okolicy, który siedział w więzieniu za przemyt spirytusu. Domyślił się więc, że to właśnie dom Lutka odwiedził dziś w ciągu dnia. Gospodarstwo, na które natknął się w lesie, to musiała być jego posesja. Wnioski nasuwały się więc same: w ukrytych pudłach była kontrabanda.

Nie to znalezisko budziło jednak w Olku największe emocje, ale psy, które pilnowały towaru. Wilga od razu skojarzył je z tragiczną śmiercią dziewczyny w lesie. Nie miał pewności, ale gdyby Lutek nie miał z tym nic wspólnego, wówczas byłby to wyjątkowy zbieg okoliczności, bo ciało odnaleziono blisko jego domu. Dwa agresywne pitbulle bez trudu mogły zagryźć bezbronną dziewczynę. Może po prostu uciekły i biedna miała pecha, bo znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie? A może zobaczyła coś, czego widzieć nie powinna i dlatego zginęła? Cokolwiek by się wydarzyło, Wilga nie miał wątpliwości, że jego dzisiejsze odkrycie ma znaczenie dla sprawy śmierci kobiety. Zastanawiał się teraz, co z tą

wiedzą zrobić. Najprościej byłoby zawiadomić policję, ale przecież Alicja wyraźnie zabroniła mu się tą sprawą zajmować. Podobno funkcjonariusze z Rzeszowa kontrolowali sytuację i rozgrywali ją po swojemu. Może i tak, ale co, jeżeli o tym akurat nie wiedzą? Może pomógłby im pchnąć śledztwo do przodu? Postanowił więc przekazać tę informację Romskiej, niech ona zdecyduje, czy dać im znać. Trochę się obawiał, czy nie będzie na niego zła, że nie zastosował się do jasnego zakazu, ale ostatecznie postanowił zaryzykować. Naprędce wymyślił naiwną historię, że trafił tam przypadkowo.

Tak naprawdę to miał też inną, dodatkową motywację, żeby wykonać ten telefon. Pragnął z nią porozmawiać, jednak nie chciał wyjść na natręta. Potrzebował więc pretekstu i takowy się znalazł. Przesunął palcem kolejne zdjęcie z szopy, które okazało się ostatnim, i na ekranie smartfona zobaczył twarz Alicji. W słońcu, uśmiechnięta wyglądała pięknie. Dotknął ekranu i ustawił fotografię jako tapetę w telefonie. Musi je później usunąć, żeby ona nie zobaczyła. Gapił się na to zdjęcie, jak zahipnotyzowany, ze ściśniętym żołądkiem.

Nagle usłyszał głucho uderzenie w burtę łodzi. Nie było zbyt mocne, zaniepokoiło go jednak. Może źle rzucił kotwicę i łódka zepchnięta przez wiatr uderzyła w kłodę, do której była przycumowana? Chcąc nie chcąc, wygramolił się ze śpiwora. Musiał sprawdzić, co tam się stało, nie chciał obudzić się rano na drugim końcu jeziora z uszkodzoną łodzią. Zamarał raptownie, kiedy usłyszał na górze czyjeś kroki. Ktoś wszedł na pokład jachtu.

Przez moment ludził się jeszcze, że to może tylko odgłos fal rytmicznie uderzających o kadłub, ale po chwili nie miał już wątpliwości, bo usłyszał na zewnątrz stłumione głosy. Odruchowo sięgnął po nóż, który leżał w małym zlewku, i spoglądał teraz w górę, ku wejściu do kabiny. Serce podeszło mu do gardła, kiedy właz odsunął się z impetem, i zobaczył na tle gwiaździstego nieba zamaskowaną twarz. Oparty o właz, do wnętrza kabiny zaglądał uzbrojony mężczyzna w czarnej kominiarce na głowie.

- Odłóż to i wyłaż. - Bezceremonialnie przywołał go dłonią, w której trzymał pistolet. - Tylko grzecznie.

Olek przełknął ślinę i powoli odzyskał sprawność umysłu na tyle, aby zareagować na jego polecenie. Odłożył nóż na blat i wychylił się z kabiny. Noc była chłodna, a on miał na sobie tylko bokserki i koszulkę. Nie czuł jednak zimna, bo krew krążyła w nim szybko, pompowana przez przyspieszone bicie serca.

Na zewnątrz stał drugi mężczyzna, znacznie wyższy od pierwszego, potężniej zbudowany. Wilga był przerażony, nie miał z nimi szans w walce. Jedyne, co mogło go uratować, to ucieczka. Przez głowę przemknęła mu myśl, żeby rzucić się do wody, przy najbliższej nadarzącej się okazji. Pewnie będą strzelać, ale może mu się uda. Nie myślał racjonalnie, chciał po prostu się ratować.

- Zaczekaj! - Napastnik jakby czytał w jego myślach. - Daj tu nogę.

Odczepił jedną z przywiązanych do masztu lin i obwiązał mu ją wokół lewej stopy. Pociągnął za sznur, sprawdzając, czy węzeł mocno trzyma.

- Dobra. - Odsunął się od wyjścia. - A teraz chodź tu i grzecznie siadaj.

Wilga wyszedł na pokład i przycupnął na siedzisku. Spojrzał na ich twarze, ale widział tylko oczy i usta w wyciętych otworach. Jeden z nich, ten niższy, był ubrany w dzinsy i sweter; drugi, mocno zbudowany, w czarne, bawełniane dresy. Obaj założyli rękawiczki, a na buty naciągnęli

foliowe reklamówki. To dodatkowo zaniepokoiło dziennikarza. Mieli broń i zadbali, aby nie zostawić śladów na jachcie, a to nie wróżyło nic dobrego.

- Jak się ty nazywasz? - Rozmawiał z nim tylko niższy.

Olek wyczuł wschodni akcent, kolejny powód do niepokoju. Ukraińscy przestępcy słynęli z bezwzględności.

- Aleksander Wilga.

- Masz jakieś dokumenty?

- W kabinie, na półce nad lodówką.

Niższy spojrzął na kompana i ruchem głowy dał mu do zrozumienia, żeby sprawdził.

- Co ty szukał w domu w lesie? - zapytał w międzyczasie.

- Przypadkiem przechodziłem - odpowiedział cicho Olek. - Pić mi się zachciało, to zajrzałem.

Ledwo skończył, otrzymał uderzenie otwartą ręką w policzek. Facet nie wyglądał na wysportowanego, jednak cios wyprowadził tak szybko, że Wilga nawet nie zdążył się zasłonić.

- Co ty szukał w domu w lesie? - powtórzył spokojnie pytanie.

Olek obliznął krew z rozciętej wargi i milczał. Cokolwiek by teraz powiedział, na pewno by mu nie pomogło, a już prawda na sto procent by mu zaszkodziła. Tymczasem z kabiny wrócił osiłek i wręczył starszemu portfel.

- Aleksandr Wilga, zgadza się. - Bandyta odnalazł wśród dokumentów legitymację dziennikarską. - Żurnalist... Znaczy się, ciekawski.

- Robię materiał o kłusownikach. - Olek chwycił się pomysłu, który mu tamten podsunął.

- Dlatego tam zaszedłem. Do tego domu.

- No zobaczymy. - Spojrzął na niego, nie miał nic w dłoniach, a szorty nie miały kieszeni. - Gdzie masz telefon? W środku?

Olek skinął głową. Stary znów spojrzął na kompana, rozumieli się bez słów, bo tamten od razu wrócił do kabiny, po czym przyniósł leżący na stole aparat. Niższy wskazał na Wilgę i drab rzucił telefon więźniowi.

- Odblokuj.

Olek wykonał polecenie, po czym bandzior zabrał mu urządzenie z rąk.

- Popatrzemy, co ty tu napstrykał.

Chwilę przeglądał zdjęcia z domu w lesie, po czym odwrócił ekran w stronę Wilgi.

- Krasawica. - Na ekranie było zdjęcie Alicji. - Szkoda, kto inny będzie teraz ruchał.

Schowwał do kieszeni spodni telefon Wilgi, a z drugiej wyjął swój. Pstryknął zdjęcie legitymacji dziennikarskiej, coś wystukał na klawiaturze i wysłał wiadomość. Czekali w ciszy, którą w końcu przerwał sygnał przychodzącego SMS-a. Bandyta odczytał treść, westchnął i zdjął kominiarkę.

Miał około pięćdziesiątki, zmierzwiłone rzadkie włosy sterczały teraz na wszystkie strony. Jego kompan poszedł za jego przykładem i też odsłonił twarz. Olek nie wiedział, co to oznacza. Czy ich zamiary stały się wobec niego pokojowe, czy wręcz przeciwnie. Siedzący naprzeciwko niego facet wyjął zza pazuchy butelkę wódki. Odkręcił ją i podał dziennikarzowi.

- Pij... - Spojrzął Wildze w oczy.

- Na zdrowie. - odezwał się pierwszy raz osiłek i zaśmiał rubaszenie.

Wilga wziął do ręki butelkę, ale nie zbliżył jej do ust. Wiedział już, co planują. Tak samo zginął Maciej Kołęda, ten dziennikarz z telewizji. Tak wyglądało jego rzekome utonięcie. To nie był nieszczęśliwy wypadek pod wpływem alkoholu, ale brutalne zabójstwo. Jego chcieli załatwić w ten sam sposób. Nie miał zamiaru im tego ułatwiać. Zanim się zorientowali, butelka wyładowała za burta.

- Kurwa! - Młodszy odruchowo wychylił się za nią.

Zaskoczeni spojrzeli najpierw na okręgi rozchodzące się po wodzie, potem po sobie.

- Masz szczęście, że zawsze mówię bratu, żeby kupić więcej. Zepsuć się nie zepsuje, a nie trzeba do sklepu w nocy lecieć. - Skinął na młodego i ten zszedł po drabince na tyle jachtu do przycumowanej łódki, którą przyplynie. - Ale zmarnowałeś butelkę wódki, a w moim kraju to grzech. Jeżeli spróbujesz zrobić jeszcze raz coś takiego, to wcisnę ci flaszkę w gardło tak głęboko, że się zesrasz. Zrozumiałeś?

Wziął od kompana przyniesioną drugą butelkę wódki, odkręcił i stanął przed więźniem.

- Otwórz mordę. - Kiedy więzień nie zareagował, drugą ręką przystawił mu pistolet do głowy. - Liczę do trzech.

Wilga trzęsąc się z zimna i strachu, uchylił wargi. Bandyta wcisnął mu szyjkę do ust. Olek poczuł, jak palący alkohol zalewa mu poranione usta i przełyk. Pociągnął kilka łyków, ale skurcz ścisnął mu gardło. Dławiąc się i kaszłąc, wypluł wódkę i zwymiotował na pokład.

- Nic z tego nie będzie. - Stary podrapał się po lysiejącej głowie. - Odwiąż linę od kłody i wypłyniemy dalej od brzegu.

Wyższy odcumował, włączył silnik i po dziesięciu minutach znaleźli się na środku jeziora.

- Klęknij. - Olek powoli wykonał polecenie, bo niższy stanął za nim i przyłożył mu pistolet do tyłu głowy.

Wilga poczuł zimny metal na potylicy i zacisnął mocno oczy. Odruchowo zaczął się modlić. Nagle poczuł silny ból i upadł nieprzytomny twarzą na pokład. Stary uderzył go z całej siły bomem w tył głowy.

- Odwiąż mu nogę i bierz go z tamtej strony - zakomenderował, a sam schylił się i chwycił bezwładne ciało za lewe udo i dłoń. - Do wody z nim.

Przerzucili Wilgę przez burtę i spuścili głowę w dół, wciąż trzymając nieprzytomnego za nogi i ręce. Zanurzyli mu głowę i trzymali unieruchomionego w tej pozycji. Zimna woda przebudziła ofiarę z omdlenia.

W panice Olek zaczął rzucać się całym ciałem, niczym wyciągnięta z wody ryba. Adrenalina wyzwoliła w nim dodatkowe siły, z trudem go trzymali. Nagle osiłek stracił równowagę i na ułamek sekundy wypuścił z uścisku nogę wiszącego nad wodą Wilgi. Ten wykorzystał okazję i odruchowo, kierowany instynktem przetrwania, kopnął w twarz drugiego z oprawców. Bandyta oszołomiony mocnym uderzeniem puścił mężczyznę i ciało z głośnym pluskiem wpadło do wody. Po chwili obaj rzucili się do burty, ale mężczyzna zniknął.

- Kurwa mać! - Młodszy chwycił pistolet i odbezpieczył.

- Nie strzelaj, bo narobisz hałasu! - Starszy powstrzymał go, chwytając za rękę, i rozglądał się nerwowo wokół. - Jak żeś durniu trzymał?!

- Na jego rzygach się poślizgnąłem! W tej reklamówce na bucie! Nie moja wina!

- Daj latarkę!

Świecili na przemian po obu stronach łodzi, ale ich zbieg nigdzie nie wypłynął. Lustro wody było idealnie równe i niczym niezmacone. Nasłuchiwali i rozglądali się dobrych dziesięć minut.

- No i po kłopotcie - przerwał milczenie Kozak. - Koniec z wścibskim dziennikarzyną.

Cyryl jeszcze raz powoli oświetlił powierzchnię wody, potem skierował światło w kierunku brzegu. Latarka rzucała silny snop, ale do brzegu było tak daleko, że nawet jej światło tam nie dotarło.

- Wylej resztę za burtę, zostaw butelkę i wsiadaj. - Sam wyjął z kieszeni telefon ofiary i wyrzucił go do wody.

Kozak zrobił, co tamten mu kazał.

Usadowili się, młodszy chwycił za wiosła i popłynęli w stronę brzegu, wciąż rozglądając się dookoła.

### 33

Stanisław Sękul wyszedł przed bramę sejmu na ulicę Wiejską i rozejrzał się wokoło. Po chwili dostrzegł zięcia, który wysiadł z samochodu i zmierzał w jego kierunku.

- Co jest? - ofuknął męża swojej córki, jak Szulca w myślach nazywał. - Nie można było przez telefon tego załatwić?

- Woląłem tak, żeby nie narażać na kłopoty. - Marek też wołał zwracać się do niego bezosobowo, bo słowo „tata” z trudem przechodziło mu przez gardło i używał go tylko, kiedy musiał. Zresztą teść również za tym określeniem nie przepadał.

Stwierdzenie o grożących kłopotach i przejęty wyraz twarzy młodego mężczyzny wywołały właściwą reakcję u starego lisa. Może poseł Sękul nie kończył uniwersytetów, ale miał ten życiowy spryt, który pozwalał mu od trzydziestu lat sterować swoją polityczną karierą i płynąć z nurtem, omijając wszelkie mielizny. Był dziś na szczycie również dlatego, że doskonale umiał wyczuć zachowanie otaczających go ludzi i właściwie ocenić sytuację. Marek mógł co prawda zachowywać się dziwnie, bo od dłuższego czasu mieszkał sam i sporo się w jego życiu działo, ale instynkt podpowiadał staremu wydze, że to nie są tylko fanaberie rozedrganego emocjonalnie, odstawionego na boczny tor faceta.

- Jadłeś coś dzisiaj? - Poseł zmienił ton na bardziej poufalej. - Zielony jesteś, jak krowie gównu.

- Jadłem.

- Nie wydaje mi się. - Położył mu rękę na ramieniu i pociągnął za sobą. - Chodź, poszukamy jakiejś przyzwoitej knajpy, ja stawiam.

Po kilku minutach marszu Sękul zobaczył witrynę restauracji i zajrzał przez okno.

- Tu jest sporo ludzi. - Pchnął drzwi i wszedł pierwszy do środka. - Zapamiętaj sobie: jak jest pusto, znaczy chujowe jedzenie, z mrożonki, a jak są klienci, to musi być smacznie i świeżo.

Marka zdziwił wybór lokalu, ale nigdy z teściem nie dyskutował i tym razem też nie miał zamiaru. Zwłaszcza że głowę zajmowały mu poważniejsze sprawy niż to, co zje na lunch.

Usiedli przy stoliku, ale kiedy uśmiechnięty od ucha do ucha Azjata położył przed nimi karty, poseł rozejrzał się podejrzliwie.

- To jakaś chińska knajpa? - Zaniepokojony odprowadził kelnera wzrokiem w stronę baru.

- Koreańska. - Na ścianie wisiała flaga. - Muszę ci powiedzieć coś ważnego.

- Poczekaj, zamówmy coś najpierw, bo zgłodniałem. - Przejrzał menu. - O, są dania główne...

- Ja wezmę zupę.

- Hot dog z białą kielbasą z kimchi. - Zmarszczył czoło, poprawił okulary i przesylabizował jeszcze raz pod nosem nieznaną mu nazwę. - Wolalbym w żurku, ale niech będzie. Z buraczanym majonezem i kwiatostanami kopru - czytał dalej zaaferowany. - Znaczy się, z koperkiem... Nie napiszą żółtki po polsku. Co to, kurwa, jest, karta dań czy tomik poezji? - bąknął złośliwie, po czym przesunął palcem wzdłuż kropek i zmarszczył czoło. - Dwadzieścia dziewięć złotych?!

- Tu jeszcze nie jest tak drogo.

- Trzy dychy za hot doga to nie jest drogo?! - bulwersował się. - Chyba za dużo ci płacę! W Sejmowej dają dzisiaj ozorki w sosie chrzanowym, w zestawie z zupą i kompotem za dwanaście pięćdziesiąt!

- No to faktycznie taniej.

- Powiem ci tak, ja nie jestem rasistą, choć pismaki ciągle mi to zarzucają. - Spoglądał teraz spode łba na krążącego między stolikami kelnera, jakby to on ustalał ceny w lokalu. - Nie mam nic przeciwko temu, że jakiś żółtek z metra cięty pitrasi se tam na zapleczu kota w kociołku. Ale jak pomyślę, że te przybłędy zabierają pracę rodowitym warszawiakom, to chuj mnie strzela! Nie o taką Warszawę dla swoich dzieci walczyli Zośka z Parasolem w powstaniu!

- Świat się zmienia - spuentował filozoficznie Marek, nie zagłębiając się w temat, bo nie po to tu przyszedł, żeby teścia historii uczyć, czy udowadniać mu ignorancję.

- Zmienia, ale na gorsze. - Stary zawsze musiał mieć ostatnie słowo.

Wreszcie zjawił się kelner, zamówili i Marek mógł wyłuszczyć posłowi problem. Dokładnie streścił cały proces przygotowania do adopcji i to, co zaobserwował w rzeszowskim hotelu. Opisał też rozmowy z Ukrainkami i wizytę w komisariacie w Polańczyku.

- To wszystko wydaje się co najmniej mocno podejrzane - zakończył tę część relacji.

- A co na to ta wasza opiekunka? - Sękul wysłuchał go, nie przerywając.

- No właśnie. - Marek znowu się ożywił. - Maria Kurska nie odbiera telefonu.

- Jak to: nie odbiera? - Poseł wziął do ręki swój smartfon. - Sto tysięcy wzięła i nie odbiera telefonu?! Daj mi do niej numer.

- Zaczekaj - powstrzymał go. - Zadzwoń też do tej kliniki i okazało się, że żadna Kurska w niej nie pracuje. Nikt jej tam nie zna.

- Czyli to oszustka? - Sękul zmarszczył czoło. - Nie sprawdziliście jej?

- Myślę, że to bardziej skomplikowane. - Marek pokręcił głową. - No bo na logikę, gdyby po prostu chcieli wyłudzić sto tysięcy, to po co by się ze mną spotkała później w hotelu? Po co kazałaby mi... pobierać nasienie? Wreszcie: w jakim celu cały czas utrzymywała kontakt z Julią?

- Bo chce was wydoić na więcej kasy!

- Zgodnie z umową kolejne transze mamy zapłacić dopiero po przekazaniu nam dziecka, więc to nie ma sensu. - Marek był innego zdania. - Jeżeli jest złodziejką, to powinna zniknąć od razu po zainkasowaniu zaliczki, a nie narażać się kolejnymi kontaktami.

- Wyślij mi tę umowę. - Sękul podrapał się po gładko ogolonym policzku. - Albo nie, przyjadę po nią do ciebie wieczorem.

- Nic z tego, bo umowa zniknęła.

- Jak to: zniknęła?

- Wczoraj chciałem sprawdzić, czy są tam dane tej Kurskiej. Numer dowodu albo coś takiego. Okazało się, że dokumenty z szuflady zniknęły. - Rozłożył bezradnie ręce. - Umowa i dowód wpłaty zaliczki.

- Kurwa jego mać... - Stary myślał intensywnie. - Na pewno nie wsadziłeś gdzieś indziej?

- Na pewno nie - zaprzeczył. - Wszystkie dokumenty trzymamy tylko w tej komodzie, a przeszukałem ją dokładnie. Ktoś musiał się włamać do mieszkania, kiedy byłem w Bieszczadach, i je ukraść.

- No to pięknie - zasępił się poseł. - Tak to jest, kiedy słucha się bab. Sentymalne bzdury, a ja od początku czułem w moczu, że z tego będzie smród. We dwie mi zrobiły wodę z mózgu. Córka i mamusia.

- Może się jeszcze wszystko wyjaśni - przeszedł do rzeczy Marek, po to się z teściem spotkał. - Macie tam możliwości, trzeba znaleźć tę Kurską. Ona powie, gdzie szukać tej zaginionej dziewczyny.

- Policja coś ustaliła?

- Nic. - Szulc wzruszył ramionami. - Zatelefonowałem wczoraj na posterunek w Polańczyku, żeby zapytać, czy coś już wiedzą, ale komendant udawał, że nie pamięta mojej wizyty i nie wie, o co chodzi. Poznałem go po głosie, to był ten sam typ, z którym rozmawiałem. Debila zgrywał.

- Nie dzwoń tam więcej. - Teść znów się zamyślił. - Ja się teraz tym zajmę. Uruchomię moje kontakty i rozpytam o wszystko dyskretnie. Policja może przekazać informację prasie, a ci narobią hałasu na całą Polskę. Potrzebne mi to teraz przed wyborami jak druga dziura w dupie.

- Dobrze, ale trzeba znaleźć tę Ukrainkę.

- Chuj z nią. - Poseł nie widział zagrożenia z tej strony. - Nawet lepiej, że zniknęła.

- Tylko że za kilka miesięcy ona urodzi moje dziecko i sprawa wróci jak bumerang, ze zdwojoną siłą. - Marek miał inne zdanie. - Bo po porodzie ma dostać kasę i nie wiadomo, co zrobi, jak sprawa się rypnie. Pewnie tak tego nie zostawi.



- Napisz, jak się ona nazywa. - Przyznał mu w myślach rację, wyjął serwetkę i podsunął długopis. - Adres tego domu, gdzie mieszkała. Telefon tej Kurskiej też.

Marek spełnił polecenie teścia. Oprócz numeru, który musiał sprawdzić w zapisanych kontaktach, znał informacje na pamięć. Rozmowę zakończyli w samą porę, bo do stolika podszedł kelner, postawił przed nimi zamówione dania i łamaną polszczyzną pożyczzył smacznego.

- Dziwnie wygląda ta kielbasa. - Sękul przekroił parówkę i powąchał. - Może rzeczywiście z kota?

- To wegańskie kielbaski. - Marek zamieszał swoją zupę w misce, a widząc zdziwienie na twarzy teścia dodał po chwili: - Roślinne.

- Kielbasa z roślin?

- Tofu i takie tam.

- Wiesz, co jest najgorsze w byciu osobą publiczną? - Poseł odsunął talerz. - Że nawet nie mogę teraz temu małemu oszustowi dupy skopać. Mało tego, ja jeszcze muszę za te trociny grzecznie zapłacić.

- Ja zapłacę.

- To zapłać i chodźmy stąd. - Ostentacyjnie rzucił sztucce na stół. - Jakoś straciłem apetyt.

## 34

Dziewczyny siedziały w ciszy przy kuchennym stole i nasłuchiwały. W końcu, zgodnie z ich przewidywaniami, w sąsiednim pokoju rozległo się chrapanie. Luba często po obiedzie uciniała sobie godzinną drzemkę. Ina podeszła i dla pewności przyłożyła ucho do drzwi.

- Śpi - szepnęła. - Możemy iść.

- Ja nie idę. - Mira patrzyła przed siebie w jakiś punkt na ścianie.

- Nie bądź taka... Chodź z nami. - Wiera stanęła za nią, ujęła delikatnie w dłonie jej włosy i przeczesała palcami, jakby chciał zapleść jej warkocz. - Ja bez ciebie nigdzie się nie ruszę.

- Zostaw. - Mira zagarnęła włosy i przerzuciła je do przodu, zakrywając pobitą twarz. - I idźcie już.

- Nie wygłupiaj się. - Ina usiadła na krześle obok. - Spacer i kąpiel dobrze ci zrobią. Musimy wyjść z tego domu i zaczerpnąć świeżego powietrza, bo się podusimy. Zwłaszcza po tym wszystkim.

- Ja zostaję.

- Masz do nas żal, że ci wtedy w nocy nie pomogłyśmy? - Wiera była bliska płaczu.

- Nie bądź głupia.

- Bo ja do siebie mam. - Broda się jej trzęsła.

- Nie pleć bzdur, nic nie mogłyście zrobić. - Mira spojrzała na dziewczynę łagodniej. - Po prostu chcę побыć sama. Czasem człowiek tego potrzebuje.

Ina wstała z krzesła i pociągnęła za sobą Wierkę. Wyprawy nad jezioro były jedną z ich nielicznych przyjemności, a dziś był piękny, słoneczny dzień i nie chciała z tego rezygnować. Może rzeczywiście będzie lepiej, jeżeli Mira pobędzie trochę sama.

– Na pewno nie chcesz z nami pójść? – Wierka odwróciła się jeszcze w drzwiach.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, więc spuściła głowę i wyszła, powoli zamykając za sobą drzwi.

Mira stanęła w oknie i poczekała, aż dziewczyny znikną na ścieżce za stodołą. Odwróciła się, powoli podeszła do szafki i wysunęła szufladę. Wyjęła duży, kuchenny nóż z drewnianą rączką, jej ulubiony. Zawsze używała go do krojenia chleba. Miał mocno wyrobione ostrze od pocierania o cementowe schody. Nacisnęła klamkę i pchnęła delikatnie drzwi. Nigdy wcześniej nie była w tym pokoju. Na łóżku pod ścianą, na zmiętej pościeli spała Luba. Był upalny dzień, miała więc na sobie tylko cienką cielistą halkę, spod której wylaniały się bladoróżowe, tłuste uda. W pokoju rozchodziła się nieprzyjemna woń potu zmieszana z przykrym zapachem, wydobywającym się wraz z głośnym chrapaniem z jej uchylonych ust. Smród zepsutych zębów i odór trawionego mięsa, pochodzący z trzewi.

Dziewczyna stanęła u wezłowania łóżka. Przyglądała się jej z obrzydzeniem. W końcu wypatrzyła odsłonięty fragment szyi i tu postanowiła zatopić ostrze. To był najpewniejszy sposób, bo przebić się przez wielkie piersi i żebra do serca mogło się nie udać, a rana zadana w inne miejsce pewnie nie załatwiłaby sprawy od razu. Cios musiał być śmiertelny, w przeciwnym razie mogło dojść do walki wręcz, a w bezpośrednim fizycznym starciu Mira nie miała szans, nawet z raną Lubą. Stara miała zbyt dużą przewagę fizyczną.

Powoli uniosła drżącą dłoń i zastygła na moment. Mimo ogromnej nienawiści, jaką czuła do tej kobiety, nie mogła zebrać się w sobie i uderzyć. Kilka razy wykonała na próbę ruch, tnąc powietrze i mierząc odległość. Była gotowa, jednak coś ją powstrzymywało. Wciąż stojąc z uniesioną ręką, spozrzała na nocny stolik przy łóżku. Oprócz pustej butelki po piwie zobaczyła fotografię w ramce. Mira musiała się dobrze przyjrzeć, żeby dostrzec podobieństwo między postacią ze zdjęcia a leżącą w barłogu kobietą. Nie myliła się, na fotce znajdowała się Luba, ale nie dlatego trudno było ją rozpoznać, że była o kilka lat młodsza i kilkadziesiąt kilogramów chudsza. Największe zaskoczenie budził jej wyraz twarzy, takiej jej Mira nigdy wcześniej nie widziała. Uśmiechnięta kuciała i przytulała małego chłopca, a z jej oczu biła dobroć. Dziewczyna opuściła dłoń i położyła nóż na poduszce, obok głowy śpiącej kobiety.

Opuściła pokój zamykając za sobą drzwi. Wyszła z domu i szła przed siebie, jak zahipnotyzowana. Minęła studnię, przekreśliła klucz w zamku metalowej furtki i ruszyła przed siebie środkiem wąskiej, asfaltowej drogi. Oddychała coraz szybciej, a w oczach zbierały się jej łzy. W końcu coś w niej pękło, wstrząsnął ją głośny szloch i strugi łez popłynęły po policzkach. Rzuciła się przed siebie i biegła, ile miała sił. Uciekała, choć nikt jej teraz nie gonił. Uciekała przed tym koszmarem. Przed Lubą i Cyrylem, Jurą, dyrektorką, martwymi kurczakami. Uciekała przed sobą, głupią i próżną dziewczyną, która wspólnie z tamtymi zgotowała jej ten los. Uciekała, bo podjęła decyzję. Cokolwiek się stanie, nie zostanie tam ani minuty dłużej.

Skreśliła w leśną drogę, korony drzew przelatwały nad jej głową, a ona wciąż biegła na przód. W końcu zabrakło jej tchu, musiała więc zwolnić i dalej szła szybkim marszem, łapiąc

otwartymi ustami powietrze. Uspokoiła się trochę, łyżę też przestały płynąć po spuchniętej, pobitej twarzy. W pewnej chwili między pniami sosen zobaczyła samotne domostwo. Ukryta za drzewem, przyglądała się leśnemu gospodarstwu z daleka. Domyśliła się, że to dom tego mężczyzny, Lutka. Przypomniała sobie swój pomysł sprzed kilku dni. Gdyby udało się jej zdobyć jego telefon, mogłaby zrealizować wymyślony wówczas plan. Musiała zdecydować. Bezmyślnie biec przed siebie, to było wygodne rozwiązanie, ale bardzo głupie. Wiedziała, że w ten sposób nie uda się jej uratować. Zebrała więc w sobie odwagę i ruszyła w stronę posesji.

Po chwili wyszła z lasu na niewielkie podwórko i rozejrzała się wokoło, ale nikogo nie zobaczyła. Spojrzała w stronę domu. Drzwi były otwarte na oścież, weszła po schodkach do ganku.

– Jest tu kto?

Z głębi domu wyłoniła się postać. Mężczyzna miał na sobie podkoszulek na ramiączkach i wojskowe spodnie bliżej nieokreślonego koloru. Na nogach znoszone, ciężkie buty, też z demobilu. Nieogolona twarz nie budziła sympatii, a zmierzwiłone, tłuste włosy podkreślały jego niechlujny wygląd. Wyglądał na około sześćdziesiąt lat.

– Coś ty za jedna? – przywitał ją z siekierą w dłoni.

– Mam na imię Mira.

– Poznając cię. – Od razu wyczuł ukraiński akcent. – Mieszkasz w tym domu dla ciężarnych.

Uspokoił się, oparł siekierę o ścianę i podszedł do gazowej kuchenki, na której coś parowało z dużego garnka.

Mira zrobiła krok do przodu i rozejrzała się po pomieszczeniu. Serce zabiło jej mocniej, bo na stole tuż przed nią leżał telefon. Tak, jak przypuszczała, stary model na przyciski. Pewnie nie miał wprowadzonego kodu zabezpieczającego.

– Po coś tu przyszła? – zapytał wciąż odwrócony plecami.

– Luba wysłała mnie po papierosy – rzuciła wymyślone naprędce kłamstwo i bez zaproszenia usiadła na krześle.

– Nic na tym świecie nie ma za darmo. – Odwrócił się i przyjrzał jej teraz uważnie, taksując od góry do dołu.

– Wiem – rzuciła. – Mogę skorzystać najpierw z łazienki?

– Tam. – Wskazał ruchem głowy, bo ręce miał zajęte mieszaniem bulgoczącej w garnku fasolki.

Mira weszła do małego pomieszczenia, chciała zamknąć za sobą zamek, ale nie było żadnego rygla. Od razu stwierdziła też, że nie przecisnie się przez małe, łazienkowe okienko. Po cichu przysunęła do drzwi stary taboret, żeby je zablokować, i puściła wodę do umywalki. Wyjęła z kieszeni skradziony przed chwilą ze stołu telefon i z bijącym sercem nacisnęła przycisk słuchawki. Ekran zaświecił się na zielono, aparat nie był zablokowany. Uśmiechnęła się do siebie, zakrywając dłonią usta. Nie wierzyła własnemu szczęściu.

Szybko wcisnęła kierunkowy do Ukrainy i wybrała numer telefonu mamy. Przyłożyła aparat do ucha, czekała na połączenie, słuchając bicia własnego serca. Sygnał się jednak nie pojawił. Odsunęła aparat, spojrzała na wyświetlacz i zrozumiała, co jest tego przyczyną. Telefon nie łąpał zasięgu. Jęknęła rozczarowana, ale nie poddawała się.

Opuściła klapę na brudnej muszli klozetowej i weszła na nią. Nacisnęła jeszcze raz zieloną słuchawkę i uniosła rękę wysoko, próbując złapać sieć. Nic to jednak nie dało. Załamana usiadła na ubikacji, niewiele brakowało, a rozplakałaby się znowu. Zebrała się jednak w garść. Jeszcze nie wszystko stracone, ma przecież telefon. Teraz musi tylko wyjść z tego domu i dotrzeć do miejsca, gdzie złapie zasięg.

Założyła buty, schowała telefon do kieszeni, zakręciła wodę i wyszła z łazienki. Mężczyzna siedział przy stole i zjadał fasolkę prosto z dużego garnka.

– Pójdę już. – Starła się zachować spokój. – Powiem Lubie, żeby sama przyszła.

Mężczyzna się nie odezwał, w milczeniu zanurzył łyżkę, obserwując ją znad garnka.

Mira odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Załamana spuściła głowę, bo wiedziała, co to oznacza. On już wiedział, zorientował się, że chciała go oszukać. Musiał zamknąć, kiedy była w łazience. Nacisnęła jeszcze dwa razy dla pewności, bez skutku. Dziurka była pusta, klucz zniknął.

Stała tak chwilę, nie wiedząc, co ma zrobić.

– Siadaj i połóż telefon z powrotem na stole.

Chwilę trwała w bezruchu, w końcu wykonała jego rozkaz.

– Zasięg jest dopiero koło waszej chałupy. – Zawartość kolejnej łyżki zniknęła w jego gębie.  
– Kto cię tak pobił? Cyryl czy Kozak?

– Luba.

– Dlatego uciekłaś?

– Nie. – Spojrzała na niego. – Uciekłam, bo nie dałam rady jej zabić.

Chwilę się jej przyglądał, w końcu odstawił garnek i podszedł do starej, stojącej pod ścianą wersalki. Otworzył ją, wyjął ze środka brudną pościel i rzucił na górę. Mira przyglądała się temu z najgorszymi przecuciami.

– Chodź tu. – Czekał na nią obok łóżka.

Dziewczyna wstała, ale zamiast podejść, chwyciła opartą o ścianę siekierę. Ujęła ją w obie dłonie i z desperacją spojrzała mu w oczy.

– Jeśli mnie dotkniesz, to cię zabiję!

Lutek się nie przestraszył, zrobił dwa kroki w jej stronę i szybkim ruchem, bez zbędnych ceregieli wyrwał jej z rąk trzonek. Teraz on trzymał siekierę.

– Ściągnij bluzkę.

– Nie, proszę...

– Ściągnaj.

Powoli zdjęła podkoszulek, a kiedy zabrał jej go z rąk, skuliła się i objęła ramionami małe piersi. Nie miała stanika. Mężczyzna podszedł znów do łóżka i nie zwracając na nią uwagi, schylił się, zaglądając do środka. Najpierw podniósł pilśniowy spód pojemnika na pościel, a potem fragment podłogi pod nim, który okazał się ukrytą klapą.

– Przeczekaś tu, aż przestaną cię szukać i będzie bezpiecznie. – Wskazał wejście do niedużego, wydrążonego pod podłogą schowka. – Jutro, może pojutrze przeprowadzę cię przez granicę.

Mira podeszła niepewnym krokiem i spojrzała w dół. Wydrążony w ziemi płytki loch był obłożony deskami, w środku zmieścił się stary materac, leżał na nim bochenek chleba w foliowym worku, kilka plastikowych pudełek pasztetu i zgrzewka wody mineralnej. W kącie zwinięty był śpiwór, a obok stało wiaderko po farbie z plastikową przykrywką. Kryjówka była przygotowana, aby można było spędzić w niej nawet kilka dni.

– Nie odzywaj się i nie wychodź, cokolwiek by się działo tu na górze.

Weszła do środka, położyła się na plecach, przykryła śpiworem nagość i patrzyła w górę, obserwując, jak zamyka ciężką klapę. Ich oczy na chwilę się spotkały, po czym zalała ją całkowita ciemność.

## 35

Motorówka zwolniła, a jej dziób, za sprawą siły bezwładności, opadł gwałtownie na tafle spienionej wody. Kierujący łodzią policjant przestawił położenie dźwigni napędu, włączając wsteczne obroty śruby. Silnik zawył i motorowa łódź wyhamowała prawie całkowicie, powoli pokonując ostatnie metry dzielące ją od jachtu. Stojący na jego pokładzie funkcjonariusz złapał rzuconą cumę i przyciągnął przybyłych do burty, jednocześnie zabezpieczając ją odbijaczem przed uderzeniem.

Sierżant Maryla Stawska zeszła po drabince i zgrabnie wskoczyła na pokład żaglówki, ignorując głupkowaty uśmiech posterunkowego, który przed chwilą gapił się na jej tyłek. Włożyła rękawiczki i ochraniacze na buty.

– Po co to? – Policjant spojrział na nią z pobłażaniem.

– Po to, żeby nie zdeptać tego, czego ty jeszcze nie zdążyłeś zdeptać – rzuciła z przyganą.

– Tutaj nie ma co prowadzić dochodzenia, tylko nurków trzeba ściągnąć.

– A ty skąd taki pewny?

– Butelka po wódce się poniewiera po pokładzie – odparł i wskazał pustą półlitrowkę. – Więc raczej kosmici go nie porwali. Chyba że z nimi flaszkę zrobili i polecili po drugą.

– Ciebie to bawi? – Marylka spojrzała na niego z dezaprobatą.

Była mocno przejęta całą sytuacją, bo od razu rozpoznała łódź Aleksandra Wilgi. Zresztą policjanci z posterunku wodnego ją uprzedzili. Oni też znali jego jacht, więc wszyscy wiedzieli, kto zaginął, nawet zanim sprawdzili dokumenty żaglówki. Sierżant jeszcze z posterunku zadzwoniła do gazety, gdzie Olek pracował. W redakcji go nie było, nie odpowiadał też jego telefon. Wszystko to razem nie wróżyło nic dobrego.

Zaalarmowała już strażaków, a ci mieli przysłać nurków jak najszybciej. Poszukiwania mogły jednak zająć wiele godzin, bo nie było wiadomo, jak długo łódka dryfowała, a dodatkowo głębokość jeziora grubo przekraczała w tym miejscu trzydzieści metrów. Musieli więc użyć sonarów do penetrowania zbiornika na większej głębokości. Sprawa przedstawiała się naprawdę kiepsko. Z rozważań wyrwał ją dźwięk telefonu.

– Sierżant Stawska – odebrała.

– Pani Marylko, znalazł się!

- Gdzie?! - Od razu rozpoznała redaktor naczelną „Gazety Bieszczadzkiej”. - Nic mu nie jest?

- Jest w kiepskim stanie, ale żyje! - W głosie pani Marianny słychać było troskę, ale i wyraźną ulgę. - Bogu dzięki! Karetką go przywieźli do Leska.

Godzinę później obie kobiety szły korytarzem leskiego szpitala. Na oddziale ratunkowym lekarz od razu znalazł czas dla pani sierżant, bo choć był profesjonalistą, to miał jednak słabość do pięknych kobiet, a Marylka, nawet w niedopasowanym mundurze, wyglądała jak milion dolarów.

Usiedli w jego gabinecie i doktor zrelacjonował policjantce poranne wydarzenia. Nieprzytomnego Wilgę o szóstej trzydzieści znalazł rybak na brzegu zalewu. Początkowo myślał, że delikwent jest pijany, ale kiedy zobaczył krew na włosach, bez dalszej zwłoki wezwał pogotowie. Na miejscu lekarz stwierdził uraz głowy, a także objawy wyziębienia i skrajnego wyczerpania. Sanitariusze musieli nieść Wilgę kilkaset metrów na noszach, bo nie był w stanie iść o własnych siłach, a karetka nie miała jak dojechać do miejsca, gdzie go znaleziono.

- Udzielili mu pierwszej pomocy i zawinęli w termiczne koce, a ja w szpitalu założyłem mu osiem szwów na głowie - zakończył relację. Odłożył dokumentację na biurko i założył nogę na nogę. - Leży w sali dwieście sześć.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Niestety nie. - Pokręcił głową. - Co prawda po zabiegu odzyskał przytomność, ale potem daliśmy mu kroplówkę na wzmocnienie i coś na sen, żeby organizm się zregenerował.

- Ale mogę go zobaczyć?

- Nie widzę przeciwwskazań. - Zerknął na wiszący na ścianie zegar z logo firmy farmaceutycznej. - Ale obudzi się mniej więcej za godzinę.

Sierżant Stawska weszła do szpitalnej sali, gdzie na stołku obok łóżka rannego Wilgi siedziała już pani Marianna. Kobieta podniosła głowę i uśmiechnęła się do policjantki. Olek miał opatrunek na głowie, spał, ubrany w szpitalną koszulę, cicho oddychając. Marylka usiadła na krześle pod ścianą. Postanowiła tu poczekać, aż się obudzi. Nie było sensu wracać na posterunek, skoro za niecałą godzinę miał odzyskać przytomność. Miała zamiar przyjąć jego zeznanie, gdy tylko wróci mu świadomość.

Patrzyła na jego bladą twarz, która nawet teraz nie straciła nic ze swojej urody. Wręcz przeciwnie, intymność tej sytuacji dodawała jej jeszcze powabu. Młoda policjantka miała ochotę zdjąć buty i położyć się obok niego. Był czas, kiedy podkochiwała się w dziennikarzu. Z czasem jej przeszło, ale teraz znów poczuła, że nie jest jej obojętny. Podobał się jej, nie tylko fizycznie, bo choć można było uznać go za ideał męskiej urody, to dostrzegała w nim głównie inne zalety. Przede wszystkim był bardzo interesujący, inny niż wszyscy mężczyźni, których znała. Inteligentny, odcytany, zabawny i romantyczny. Został outsiderem, ale nie dlatego, że nie mógł sobie w życiu poradzić, jak większość bieszczadzkich zakapiorów, tych wszystkich alkoholików i alimenciarzy. On po prostu był zbyt wrażliwy i uciekł tu przed „gębą tego świata”. Tak jej powiedział, podczas ich pierwszego spotkania. Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, ale uśmiechnął się przy tym tak czarująco, że nie miała mu za złe mądrzenia się. Zbierał wtedy materiał do jakiegoś artykułu o wypadku drogowym, a ona udzieliła mu informacji o zdarzeniu. Potem spotkali się jeszcze wielokrotnie, ale choć zawsze był miły,

nigdy nie odpowiedział na jej subtelne zaczepki i nie zaproponował randki. W końcu pogodziła się z tym i dała sobie spokój.

- Olek? - Pani Marianna nachyliła się nad leżącym. - Chyba się obudził!

- No nareszcie. - Marylka podeszła do łóżka, mężczyzna rzeczywiście otworzył oczy. - Jak się czujesz?

- Dobrze... - Próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach. - Pić mi się chce.

Starsza kobieta podała mu szklankę wody, która stała przygotowana przez pielęgniarkę na stoliku obok, a policjantka przysunęła bliżej swoje krzesło i usiadła. Wilga wypił kilka łyków i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Gdzie ja jestem? - zapytał.

- W szpitalu, pogotowie cię przywiozło. - Pani Marianna odstawiła szklankę. - Ktoś cię znalazł rano na brzegu zalewu.

- Pamiętasz, co się stało? - Policjantka wyjęła notes. - Miałeś wypadek? Wypadłeś z łodzi?

Mężczyzna zmarszczył czoło, a wtedy na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Dotknął opatrunku, po czym położył dłoń na kołdrze i patrzył przez chwilę w sufit, jakby rekonstruując w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. Chwilę to trwało, policjantka nie odzywała się, pozwoliła mu spokojnie zebrać myśli. W końcu spojrzał na nią, a w jego oczach była determinacja.

- Gdzie jest mój telefon?

- Nie miałeś go, kiedy cię znaleźli - poinformowała go pani Marianna z przejęciem. - Leżałeś w samej bieliźnie na brzegu jeziora.

- Na jachcie też go nie było - uzupełniła informację policjantka.

- Ustal numer do Alicji. - Wilga wyszeptał drżącym lekko głosem. - Alicji Romskiej. Tej policjantki z Krakowa.

- Powiedz mi, co się wczoraj stało.

- Ona pracuje w krakowskiej komendzie w wydziale kryminalnym. - Olek zignorował jej pytanie. - Alicja Romska, zapisz sobie.

- Dobrze, zadzwonię do niej. - Sierżant Stawska nachyliła się nad nim. - Ale powiedz, co wydarzyło się na twoim jachcie.

- Marylka, znajdź ten numer. - Chwycił ją za rękę i ścisnął. - Ja muszę z nią porozmawiać.

## 36

Szulc wpuścił teścia do mieszkania. Już drugi raz w ostatnim czasie stary zaskoczył go niespodziewanymi odwiedzinami. Co prawda Sękul wspominał na ostatnim spotkaniu, że wpadnie po umowę dotyczącą adopcji, ale kiedy zięć wyjaśnił mu, że dokumenty gdzieś się ulotniły, zniknął też powód wizyty. Marek wiedział, że musiały być jakaś inna przyczyna jego pojawienia się, bo teść nigdy nie wpadał do nich z czystej kurtuazji. Nawet, kiedy była Julia. Generalnie był człowiekiem bardzo zajęтым, więc wszystko, co robił, robił po coś. Życie

prywatnie ograniczył do minimum i w domu też bywał rzadko, z czego najbardziej była zadowolona jego małżonka, bo nie musiała zbyt często tłumaczyć się z porozstawianych po kątach kieliszków z niedopitym winem.

- Masz tę wódkę, co ostatnio? - Poseł opadł ciężko na fotel.

- Tamtej nie, ale mam inną.

- Nalej. - Kiwnął dłonią. - Sobie też.

Marek sięgnął do barku po kieliszki i butelkę. Nie odezwał się, ale był mocno zaniepokojony. Jeżeli jego teść musiał się najpierw napić, żeby mu o czymś powiedzieć, to musiała to być wiadomość naprawdę dużego kalibru. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to że coś złego stało się tej dziewczynie. Czyżby zdążył się już czegoś dowiedzieć? Marek nie mógł przestać myśleć o tej młodej Ukraince.

- Dzwoniła do mnie Julia. - Sękuł gapił się, kiedy gospodarz napełniał szkło.

- Próbowałem przedwczoraj zadzwonić, ale nie odebrała. - Zięć zmieszał się lekko i odruchowo starał usprawiedliwić, bo rzadko ostatnio kontaktował się z żoną. - Co u niej?

- Powiedziała mi, że nie wraca do Polski. - Stary ujął kieliszek w dłoni.

- Tak ustaliliśmy. - Marek usiadł naprzeciwko. - Ma zostać we Włoszech, aż urodzi się dziecko, żeby gazety nie zwęszyły sensacji. Mówiłem przecież.

- Ona w ogóle nie chce wracać do kraju. - Sękuł wlał sobie wódkę do gardła. - Oznajmiła nam, mi i matce, że zostaje tam na zawsze.

- Jak to: na zawsze?!

- Wypij. - Teść ruchem głowy wskazał stojący przed nim kieliszek.

- Co ty opowiadasz? - Marek wyjął z kieszeni telefon.

- Nie dzwoń do niej.

- Dlaczego?

- Znalazła sobie nowego chłopca. - Poseł przechylił się i podsunął mu bliżej pięćdziesiątkę.

- Wypij.

Marek zastygł na chwilę w bezruchu i spojrział staremu w oczy. Ten patrzył na niego dziwnie. Szulc nie wiedział, czy to współczucie, czy politowanie.

- Jest moją żoną. - Wybrał jednak numer Julii. - Jeżeli to prawda, ona powinna mi to powiedzieć.

Sękuł opadł na fotel i czekał. Był pewien, że córka nie odbierze, bo tak ustalili. To on miał załatwić sprawę, rzeczowo i po swojemu. Wystarczająco już nawywywiała. Skoro tak miało być, wolał mieć to całe szambo pod kontrolą, żeby gównem się nie rozlało. Marek trwał ze słuchawką przy uchu, kolejne sygnały dźwięczały mu w głowie. Stracił już nadzieję, czekał tylko po to, żeby odwlec dalszą rozmowę z teściem i pozbiierać myśli.

- Halo.

- Cześć, Julia. - Wyprostował się zaskoczony.

- Cześć.

- Co słychać?

Chwilę milczała, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

- Był u ciebie mój ojciec?



- Oznajmił mi, że nie masz zamiaru wracać do domu.

- Tak.

- Powiedział mi też, że masz kogoś... - Zawiesił na chwilę głos. - To prawda?

- Tak.

- Kto to jest?

- Nieważne.

- Ale to ja jestem twoim mężem, a ty moją żoną.

- Marek...

- Skoro ty nie masz zamiaru przylecieć, żeby osobiście powiedzieć mi, co się dzieje - przerwał ciszę i przejął inicjatywę - to ja rezerwuję najbliższy lot na Sycylię.

- Nie rób tego, to nie ma sensu.

- Ma sens! - podniósł głos. - Musimy porozmawiać! Twarzą w twarz, a nie przez telefon!

- To niczego nie zmieni - mówiła cały czas tym samym, spokojnym i jednostajnym tonem.

- Proszę cię, nie utrudniaj.

- A dziecko?! - Z trudem zachowywał względny spokój - Przecież czekamy na nasze dziecko.

- Ja już nie chcę tego dziecka.

- Co?! - Zatkanęło go.

- Spróbuj to odwołać.

- Zwariowałaś?! - krzyczał do słuchawki. - Przecież to ty wszystko wymyśliłaś!

- Wiem, ale zmieniłam zdanie.

- Zmieniłaś zdanie?! Chyba sobie żartujesz! - Zaśmiał się sztucznie. - Kurwa, dziecko to nie jest torebka, żebyś sobie tak po prostu mogła zrezygnować, bo ci do płaszcza nie pasuje!

- Wiem... - Ona wciąż była spokojna. - To znaczy, nie wiem, jak to załatwić, ale rób co chcesz, bo ja nie wrócę.

- Kim on jest? - wycedził zimno przez zęby. - Powiedz mi, dla kogo rozwalasz nasze małżeństwo i wyrzucasz do kosza wszystko, co razem przeżyliśmy?

- Nieważne.

- Dla mnie ważne! - Znow tracił spokój. - Jest wart, żebyś zrezygnowała dla niego z upragnionego dziecka?

- Marek...

- No słucham! Jest tego wart?!

- Ja jestem w ciąży.

- Co?

- W trzecim miesiącu.

- Jak to? - Był w szoku. - Przecież lekarze mówili...

- Mylili się. - W jej głosie zabrzmiała delikatna nutka radości. - Oni się mylili, Marek.

Milczał, bo nie wiedział, co powiedzieć. Wytrąciła mu tą wiadomością wszystkie argumenty.

– Sprzedaj mieszkanie, połowę pieniędzy zatrzymaj, a drugą przelej na moje konto. Nie musisz się spieszyć. Najpierw znajdź coś dla siebie. – Teraz ona przejęła inicjatywę. – Adwokat mojego ojca przekaże ci dokumenty rozwodowe. Kontaktuj się ze mną za jego pośrednictwem. Nie dzwoń do mnie, a moje rzeczy z mieszkania po prostu wyrzuć. Przeszłość to dla mnie zamknięty rozdział.

– Czyli to koniec?

– Przykro mi.

Rozłączył się bez słowa i wsparty dłońmi na kolanach wpatrywał się w dywan. Sękul sięgnął przez stół i wychylił zawartość jego kieliszka.

– No i po co ci to było? Chociaż może to i lepiej, bo ja nie muszę się gimnastykować. Mała korekta: po sprzedaży mieszkania przelejesz całą uzyskaną ze sprzedaży kwotę, bo zapłaciłem za całe mieszkanie, a nie połowę. Reszta waszego majątku mnie nie interesuje. Możesz sprzedać lub zatrzymać meble – rozejrzył się po salonie. – i inne wasze rzeczy. Nie ma wielkiego pośpiechu, ale zacznij działać, dobrze by było, jakbyś uwinął się z tym do końca roku. W razie czego, znajdę ci kupca na apartament.

Marek podniósł w końcu wzrok i spojrzał, już spokojny, teściowi w oczy.

– Podpisz papiery rozwodowe – odezwał się zmienionym głosem. – Sprzedam mieszkanie i przeleję całą kwotę, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – Sękul widział w jego oczach determinację. – Słucham.

– Odnajdziesz Mirę Hejko. Tę Ukrainkę, która ma urodzić nasze... moje dziecko – poprawił się. – Ma być cała i zdrowa. Jeżeli się uda, to doprowadzę sprawę narodzin i adopcji do końca, a ty mi nie będziesz w tym przeszkadzał. Nie martw się, sam zapłacę pozostałe pieniądze. – Zrobił pauzę, żeby jego oferta dotarła do rozmówcy. – Ale jeżeli coś jej się stanie, dostaniecie gówna. Będziemy się sędzić o podział majątku, o każdy widelec, a prasa będzie miała używanie.

– A jeżeli już coś jej się stało?

– Lepiej dla was, żeby tak nie było. – Spojrzał na starego. – Bo potraktuję to jako niedotrzymanie warunków umowy i dodatkowo jeszcze zawiadomię policję.

Sękul wyjął z kieszeni długopis i stary paragon, napisał na nim numer telefonu.

– Nie dzwoń do mnie, czekaj i odbieraj. – Podał mu papier. – To ważne, bo cholera wie, kto mnie teraz podsłuchuje.

Marek skinął głową.

Stary wstał i wyszedł bez pożegnania.

## 37

Luba jeszcze spała, kiedy dziewczyny wróciły znad jeziora. Włosy zdążyły im wyschnąć po drodze, weszły więc śmiało do domu, nie przeczuwając nadchodzącej burzy. Po kąpieli i długim spacerze zgłodniały, zaczęły więc krzątać się po kuchni, szykując obiad.

Hałas obudził Lubę, wyszła ze swojej sypialni rozczochrana, w samej halce i usiadła okrakiem przy stole. Ziewnęła przeciągle nie zakrywając ust, i podrapała się między spoconymi piersiami. Zapach podgrzewanej zupy w końcu rozbudził ją, rozejrzała się i zmarszczyła czoło.

- A gdzie Mira? Czemu kartofli nie obiera? - Zgarnęła skołtunione włosy z twarzy. - Ja jej te fochy raz dwa ze łba przegonię. Jak mało ma pysk obity, to zaraz jej moję poprawić!

- Ja to zrobię. - Ina wyjęła z dolnej szafki garnek, wyciągnęła z plastikowego wiaderka worek z ziemniakami i zajrzała do szuflady. - Gdzie nóż?

- Nie brałam. - Wierka wzruszyła ramionami i chcąc ochronić Mirę przed kłopotami, poszła ją zawołać.

Zajrzała do pokoju, ale był pusty, więc wyszła na podwórko.

- Mira! - Wołanie poniosło się po okolicy.

Jeszcze kilkakrotnie usłyszały jej głos, ale bez odpowiedzi.

Wiera wróciła po dziesięciu minutach i z przestraszoną miną oznajmiła, że nigdzie nie ma przyjaciółki. Na polecenie starej obie rozbiegły się po gospodarstwie i przeszukiwały pomieszczenie po pomieszczeniu. Luba weszła do swojego pokoju, chciała się ubrać i też ruszyć na poszukiwania. Nagle zastęła, bo zobaczyła leżący na jej poduszce nóż. Zrozumiała, skąd się tam wziął, i poczuła zimno na plecach. Przełknęła ślinę, ujęła drewnianą rączkę i powoli go podniosła. Drugą ręką odruchowo dotknęła szyi. Rozejrzała się po pokoju, ale nie zauważyła nic nadzwyczajnego, ubrała się więc i szybko wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Szukały przez godzinę. W końcu Luba poddała się, usiadła na betonowych schodkach ganku i paląc papierosa za papierosem, dumiała nad sytuacją, ściskając telefon w dłoni. Nie było na co czekać, musiała do nich zadzwonić.

Dwie godziny później stała w oknie i spoglądając przez szparę między rozsuniętymi lekko firankami, obserwowała otwartą bramę. Kiedy na podwórko wjechało czarne audi, odruchowo cofnęła się o krok. Choć była niewierząca, wymamrotała pod nosem zapamiętany z dzieciństwa fragment modlitwy i przeżegnała się, kończąc znak krzyża dotknięciem lewego ramienia, zgodnie z prawosławnym obrządkiem. Przeszła na drugi koniec kuchni, stanęła naprzeciwko drzwi i czekała w napięciu, płytko oddychając. Ina i Wierka stanęły za nią. Nie liczyły, że je obroni, raczej, że gniew bandytów zatrzyma się na niej i do nich nie dotrze. W końcu to ona miała ich pilnować i nie wywiązała się ze swojego zadania.

Drzwi otworzyły się z impetem i do środka weszli bracia Dunin. Pierwszy wparował Kozak. Cyryl wkroczył za nim i bez słowa usiadł za stołem, wyjął paczkę papierosów i położył ją przed sobą. Włożył jednego do ust, przypalił i zaciągnął się mocno. Dmucnął w górę i na boki, żeby dym rozszedł się po pomieszczeniu, po czym, jakby od niechcienia, bez pośpiechu przyjrzał się każdej ze stojących w kuchni kobiet. Powoli przenosił wzrok z jednej na drugą, a im pod ciężarem jego spojrzenia ugięły się kolana. Wszystkie czuły ogromny strach, ale najbardziej przerażona była Luba. Miała świadomość, że całe to zamieszanie, to jej вина. Nie upilnowała tej gówniary i wiedziała, że poniesie teraz srogie konsekwencje swojego zaniedbania. Zadzwoniła do Kozaka, kiedy przestała się łudzić, że zguba się znajdzie, bo rozumiała, że Mira uciekła. Bała się wykonać ten telefon, ale zdawała sobie też sprawę, że za zwłokę poniesie

dotatkową karę. Teraz przyjechali, aby najpierw dziewczynę odnaleźć, a potem ukarać winnych.

- Daj popielniczkę – zwrócił się stary do Wierki, ale to Luba zerwała się, żeby spełnić jego życzenie. – Nie ty, wy dwie, siadać. – Powstrzymał ją i wskazał na krzesła stojące po przeciwnej stronie stołu.

Luba i Ina usiadły, a Kozak demonstracyjnie wyjął sprężynowy nóż i stanął za ich plecami, budząc w nich dodatkowy strach. Cyryl nie krzyczał, nie podnosił nawet głosu, ale jego polecenia były wykonywane natychmiast. W domu oficjalnie panował zakaz palenia, więc nie było popielniczki. Wierka wyjęła z szafki szklany spodek i postawiła przed starym. Nie zdążyła cofnąć dłoni, bo w tym samym momencie jego potężna, owłosiona łapa chwyciła jej delikatną rękę za nadgarstek. Sekundę później bandyta, bez żadnego ostrzeżenia, złamał wskazujący palec dziewczyny jak zapalną, wrywając go jednocześnie ze stawu. W kuchni rozległ się przeraźliwy, przepełniony bólem wrzask zaskoczonej Wierki. Dziewczyna straciła władzę w nogach i osunęła się na kolana. Nie upadła na podłogę tylko dlatego, że jej dłoń ze złamanym palcem oprawca wciąż przyciskał do blatu stołu.

Krzyk ofiary stopniowo przeszedł w płaczące zawodzenie. Dwie pozostałe kobiety siedziały sparaliżowane strachem i wpatrywały się jak zahipnotyzowane w nienaturalnie wygięty palec. Luba była biała jak papier. Ina cała się trzęsła, a po nodze jej krzesła spłynęła struga moczu. Kozak zobaczył to, uśmiechnął się i zrobił krok w tył.

- Gdzie uciekła twoja drużyna? – Cyryl teraz patrzył prosto w oczy Iny. – Mów.

- Nie wiem. – Po policzkach popłynęły jej dwie strugi łez. – My poszliśmy się wykapać, a Mira została w domu. Jak wróciłyśmy, już jej nie było, przysięgam.

Cyryl nie był zadowolony z odpowiedzi. W kuchni znów rozległ się krzyk przypominający skowyt zranionego zwierzęcia i drugi palec ściskanej przez niego wątłej ręki też teraz sterczał wykrzywiony obok wskazującego. Wierka zanosila się na podłodze płaczem. Jej łzy wymieszane z wydzieliną z nosa, śliną i krwią z zagryzionej z bólu wargi, kapały na podłogę.

- Na pewno mówiła przyjaciółkom, dokąd będzie uciekać. – Stary w ogóle nie zwracał uwagi na klęczącą obok stołu dziewczynę.

- Mówiła, że chce ukraść telefon. – Ina przypomniała sobie ich nocną rozmowę. – I zadzwonić do domu.

Starszy z braci spojrzał pytająco na Lubę.

- Ja swój aparat mam. – Kobieta przelknęła ślinę. – Dzwoniłam po was przecież.

Cyryl znów przeniósł wzrok na siedzącą obok Inę, ujął w grube paluchy drobny kciuk ściskanej dłoni i zastął w oczekiwaniu. Wierka, przeczuwając, co chce zrobić, zaszlochała głośno i spojrzała w górę błagalnie.

- Chciała ukraść telefon Lutka. – Ina rzuciła szybko, przez łzy. – Bo mówiła, że pewnie nie jest zabezpieczony i można zadzwonić. Do Ukrainy po pomoc.

- Przekręć do niego. – Stary wydał bratu polecenie i wszyscy oprócz jęczącej u jego stóp z bólu Wierki zastygli w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- Poza zasięgiem. – Kozak odczekał jeszcze chwilę i schował do kieszeni telefon. – Pewnie jest u siebie w domu, bo tam nie ma sieci.

- No to trzeba będzie odwiedzić starego kompana.

Zanim wstał, dwoma szybkimi ruchami wyłamał palce dziewczyny i kości wróciły na swoje miejsce. Usłyszeli chrupnięcie w stawach i jęk, a po chwili już tylko przeciągłe, płaczące zawodzenie.

- Cichaj, dziecko, już po wszystkim. - Cyryl puścił dłoń i pogłaskał Wierkę po głowie. - Dziewczyna, dobrze się spisałaś.

Uwolniona, na czworakach uciekła pod stół i lypała mokrymi od łez oczami na schodzone półbuty oprawcy. Odprowadziła je przerażonym wzrokiem aż do drzwi.

Obaj bracia wyszli na podwórkę, wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę lasu. Po kilku minutach skręcili w piaszczystą drogę i zobaczyli między drzewami pierwsze zabudowania znajomej posesji. Powoli, żeby czegoś nie oberwać w nisko zawieszonym podwoziu audi, wturlali się na podwórkę.

## 38

Pani Marianna pierwsza zajrzała do pokoju. W kącie na tapczanie, odparty o ścianę, z puchatą poduszką podłożoną za plecy siedział Wilga. Głowę miał opatrzoną czystym bandażem. Spoglądał w skupieniu na szachownicę z rozstawionymi figurami, położoną na stoliku przed łóżkiem. Obok stał pusty kubek po herbacie i talerzyk z nietkniętą szarlotką.

- Oluś, masz gościa. - Gospodyni pchnęła mocniej drzwi i Romska weszła do środka.

Wilga w pokoju nie był sam, Alicja od razu rozpoznała pana Henia, jego kolegę z redakcji. Na jej widok wąty mężczyzna bez słowa podniósł się z krzesła i cofnął o krok, jakby chciał zniknąć, wtapiając się w tło.

- Cześć. - Zatrzymała się dwa kroki przed tapczanem. - Jak się czujesz?

- Dobrze. - Olek uśmiechnął się serdecznie na jej widok.

- Widzę, że masz dobrą opiekę.

- Tak, pani Marianna mnie adoptowała.

- Chciał prosto ze szpitala na żaglówkę wrócić, ale mu nie pozwoliłam, bo jak to, po tym wszystkim, samemu? - Starsza kobieta pozbierała puste naczynia ze stolika. - Zjedz to ciasto, bo się zeschnie.

Przysunęła do niego talerzyk z szarlotką i spojrzała na panią komisarz.

- Nie wiem, w jakie tarapaty się wpakował, bo nic nie chce, gamoń, powiedzieć, ale proszę mu przemówić do rozsądku.

- Spróbuję - zapewniła Alicja z uśmiechem. - Chociaż mnie też nie słucha.

- Chodź, Heniu. - Pani Marianna westchnęła i ruszyła w stronę drzwi. - Zostawmy ich samych.

- Wpadnij jutro. - Olek machnął koledze ręką na pożegnanie. - Dokończymy partyjkę.

Heniu, zanim wyszedł, wyjął bez słowa wyjaśnienia telefon i pstryknął zdjęcie ustawienia na szachownicy, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął w drzwiach za panią Marianną.

Zostali we dwoje.

- Czemu on zrobił to zdjęcie?

- Żebym pionków nie przestawiał.

- A przestawiasz?

- Trochę. - Uśmiechnął się chytrze. - Kapnął się wczoraj, ale poszedłem w zaparte, a on nie miał dowodów.

- Jak dzieci. - Rozbawiona, pokręciła głową z udawanym politowaniem.

- Masz te zdjęcia? - zmienił temat i spoważniał.

- Mam. - Sięgnęła do teczki i rozejrzała się po pomieszczeniu. - Przetawię te szachy. Będziesz to jadł?

- Nie, zabierz.

Ostrożnie umieściła talerzyk z szarlotką na planszy między figurami, podniosła szachownicę i delikatnie postawiła ją na komodzie, żeby nie zburzyć ustawienia. Usiadła na miejscu Henia, dłonią strzepnęła okruszki ciasta ze stolika i dopiero teraz sięgnęła do aktówki po dokumenty.

- Stepan Dunin i Anatol Dunin. - Podała mu zdjęcia. - Wyciągnęłam to z policyjnej bazy danych, obaj byli aresztowani jakiś czas temu i wtedy zrobiono im te fotki. Te same pokazywał mi Borek w komendzie w Rzeszowie. Nie wiem, jak wyglądają teraz, bo minęły od tego czasu trzy lata.

- Wyglądają tak samo. - Ręka w której trzymał zdjęcia, drżała lekko. - To oni byli na mojej łodzi i chcieli mnie zabić.

- Jesteś pewien? - Alicja zapytała z zawodowego przyzwyczajenia, bo determinacja w jego spojrzeniu nie pozostawiała wątpliwości. - Było wtedy ciemno.

- Zwłaszcza temu staremu miałem możliwość się przyjrzeć. - Nie odrywał wzroku od fotografii Cyryla. - Takiej gęby nie da się zapomnieć.

- Pobili cię i wrzucili do wody? - Przez telefon powiedział jej tylko, że bandyci weszli nocą na jego jacht i próbowali go utopić.

Aleksander Wilga dokładnie zrelacjonował Romskiej wydarzenia tamtej nocy. Ze szczegółami, które mimo ostatnich traumatycznych przeżyć pamiętał doskonale.

- Tak samo wykończyli Macieja Kołędę - zakończył swoją dramatyczną opowieść. - Upili i upozorowali utonięcie. Gdyby nie to, że dobrze pływam, nie byłoby mnie tutaj dzisiaj.

- Chcieli cię zabić, bo pisałeś o nim artykuły? O Kołędzie?

- Nie. - Pokręcił głową. - Oni nie wiedzieli, że jestem dziennikarzem. W ogóle nie mieli pojęcia, kim jestem, dlatego sprawdzili moje dokumenty. Zjawili się na łódce, bo kręciłem się koło chaty w lesie. Koło domu tego Lutka.

- Widziałeś tam coś podejrzanego?

- Tak, i zrobiłem zdjęcia. - Wysunął się spod koca i usiadł na łóżku. - Zanim wyrzucili mi telefon, sprawdzali zapisane w galerii fotki i o nie mieli pretensje.

- Co na nich było?

- Pokażę ci.

- Jak? Przecież wyrzucili twój aparat?

- W telefonie miałem uruchomioną funkcję automatycznego zapisu w chmurze kopii zapasowej zdjęć. - Wyjął z teczki laptopa, włączył urządzenie i pokazał jej zapisane na wirtualnym dysku obrazy. - To było ukryte w szopie. - Odwrócił ekran w jej stronę.

- Pokaż. - Alicja usiadła na łóżku obok niego i przyglądała się kolejnym zdjęciom. - W paczkach pewnie są przemycone z Ukrainy spirytus i papierosy.

- Pewnie tak - mruknął pod nosem, jakby niezbyt zainteresowany jej spostrzeżeniem. - Spójrz na to.

Otworzył kolejną fotografię i powiększył. Na ekran Alicja zobaczyła dwa brytany. Siedzieli z zadartymi wysoko pyskami i ze sterczącymi uszami przyglądały się intruzowi.

- Myślisz, że to te psy zagryzły dziewczynę w lesie? - Spojrzała na niego przejęta.

- Jestem tego pewien.

- Wszystko zaczyna tworzyć spójną całość... - Pokiwała głową w zamyśleniu. - Brakującym ogniwem jest Lutek.

- Pewnie u niego w obejściu więzili Tamarę Woronin - myślał na głos. - A kiedy uciekła, urządził na nią obławę, a na koniec poszczuł psami.

- Ale to dziwne. - Alicji coś nie pasowało. - Bo skoro chcieli ją sprzedać za duże pieniądze do Niemiec, to dlaczego pozwolił psom ją zabić? Przecież w ten sposób pozbawił Duninów dużego zarobku. Jeżeli już ją znalazł w lesie, to powinien przyprowadzić z powrotem i po sprawie.

- Może psy ją dopadły i zagryzły, zanim zdążył je powstrzymać?

- Może - zgodziła się z nim, choć wciąż miała wątpliwości. - Mogło tak być.

- W każdym razie ten przemytnik jest w to zamieszany, bo te psiska to nie przypadek. - Odłożył komputer. - No i chcieli mnie zabić, zaraz po wizycie w jego domu.

- Zastanawia mnie jeszcze jedno. - Przesiadła się na krzesło. - Jak cię znaleźli na środku zalewu?

- Myślę, że ten Lutek mnie śledził od swojego domu, aż nad jezioro. Zobaczył, jak wsiadam na jacht, i zapamiętał sobie nazwę. Solina jest dość wąska, cały czas widać brzegi. Ci dwaj musieli płynąć tą samą trasą, sprawdzając zacumowane na noc łódki. Mieli szczęście, że nie odpłynąłem daleko. Jakbym wrócił do Polańczyka i zawinął do którejś mariny, gdzie jest mnóstwo jachtów, toby mnie nigdy nie znaleźli.

- No tak, wszystko się trzyma kupy. - Pokiwała głową. - Zresztą jest jeszcze jedna ciekawostka, która pasuje do historii. Sprawdziłam Lutosława Szypułę i wyobraź sobie, że siedział za przemyt w tym samym areszcie co młodszy Dunin. Anatola oskarżono o pobicie kobiety i o czerpanie korzyści z nierządu, ale prostytutki nie chciały przeciwko niemu zeznawać, a ofiara wycofała zarzuty i sprawę umorzono. Pewnie tam się bandziory skumali i razem zaczęli kręcić interesy. Widocznie Szypułę więzienie nie nauczyło rozumu.

- Kolejny przykład na to, że więzienna resocjalizacja to mit.

- Dobra. - Spakowała dokumenty do teczki. - Wyślij mi te zdjęcia na maila. Zadzwoń dzisiaj do Borka, umówię się na spotkanie i przekażę mu je. Musi wiedzieć, co się dzieje. Nie powiedziałam mu jeszcze nic, bo by tu ze mną na pewno przyjechał, ale nie możemy tego

trzymać w tajemnicy. Przygotuj się na opierdół, bo nie będzie zachwycony, że go nie posłuchałeś.

- Jakoś to zniosę. – Skrzywił się.
- A co poza tym? – Uśmiechnęła się ciepło.
- Jak to: co poza tym? – Nie bardzo rozumiał.
- No... tęskniłeś?

## 39

Marek siedział pochylony nad kontuarem hotelowego baru i bezwiednie bawił się kluczykami do auta. Czekał, aż barman naleje mu kolejną porcję wódki. Ostatnimi czasy pił zdecydowanie zbyt dużo. Widocznie jednak na refleksję było dla niego jeszcze za wcześnie, bo przed chwilą zamówił kolejną pięćdziesiątkę.

Obsługujący mężczyzna napełnił jego kieliszek bez słowa i wrócił do wycierania wyjętych ze zmywarki szklanek. Nie lubił Szulca od czasu znalezienia przez niego na sali pieniędzy. Chował urazę, bo facet posądził go wówczas, że nie oddałby zguby właścicielowi. Zresztą słusznie. W drugim końcu baru, na wysokim stołku usiadła kobieta i zamówiła kieliszek martini.

- Ciężki dzień?

Chwilę trwało, zanim Marek zorientował się, że to jego zagadnęła. W pierwszym momencie pomyślał, że pytanie było skierowane do barmana, ale ten spoglądał na niego wyczekująco w milczeniu. Rozejrzał się. Było wcześnie, on i kobieta byli jedynymi gośćmi w hotelowym nocnym klubie. Czy miał ciężki dzień?

- Ciężki rok – odparł, nawet na nią nie patrząc.
- Spróbuję zgadnąć. – Dopiła jednym haustem drinka i przysiadła się bliżej.
- Nie uda się pani.
- Założymy się?
- Nie.
- Mimo wszystko spróbuję. – Przyjrzała mu się uważnie. – Pijesz, bo masz problem.
- Brawo! – Zaśmiał się ironicznie. – Kurczę, chyba jest pani prawdziwą wróżką.

- Nie jest to jednak kłopot natury finansowej – ciągnęła, niezrażona jego złośliwym komentarzem. – Masz drogie auto – tu spojrzała na leżące przed nim kluczyk – i pijesz dobrą wódkę w barze, a nie najtańszą gorzałę w hotelowym pokoju. Z alkoholem też nie masz problemu, jeszcze – dodała z przekąsem – krzywisz się po każdym kieliszku jak moja babcia. Hazardzistą nie jesteś, bo nie chciałeś się założyć, czyli nie przegrałeś życia w karty. – Zamilkła na chwilę, robiąc teatralną pauzę. – Więc pozostaje kobieta.

- Kurczę, niezła pani jest.

- Chodzi o żonę, prawda? – Spojrzała na jego prawą dłoń, gdzie widać było wyraźny ślad po zdjętej obrączce. – I to ona cię zostawiła, a nie ty ją.



– Skąd ta pewność? – rzucił zaczepnie.

– Bo mówisz „kurczę” zamiast „kurwa” – wyjaśniła z uśmiechem.

Przyjrzał się jej teraz uważnie. Wiek ocenił na około trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Zadbane, kasztanowe włosy opadały na ramiona. Miała na sobie seksowną, ale jednocześnie elegancką, ciemnozieloną sukienkę. Dziwny, fantazyjny krój tworzył falbany, podkreślając jej lekkie krągłości. Sukienka odsłaniała dekolt, ramiona i długie, zgrabne nogi. Na początku wziął ją za prostytutkę, bo kobiety raczej go pierwsze nie zaczepiały, ale delikatny makijaż i inteligentny wyraz twarzy poddały w wątpliwość te przypuszczenia. Kobieta miała klasę.

– Kim pani jest?

– Anna. – Wysunęła w jego stronę rękę. – I przestań mi mówić „per pani”, bo czuję, że starzeję się o rok za każdym razem, kiedy tak się do mnie zwracasz. Nocny klub to nie jest miejsce na konwenanse.

– Marek. – Uściśnął lekko jej ciepłą dłoń. – Miałem na myśli coś więcej niż imię. Kim jesteś?

– Zgadnij. – Uśmiechnęła się i przekręciła na stołku w jego stronę, prezentując całą swoją postać, jakby chciała w ten sposób pomóc mu w rozwiązaniu tajemnicy. – Twoja kolej.

– OK. – Też odwrócił się przodem do kobiety i powoli otaksował ją wzrokiem od stóp do głów. – Jesteś kobietą.

– Bingo! – Kiwnęła głową, z trudem zachowując powagę.

– W takim razie najpóźniej pojutrze wszyscy będą wiedzieć, że zostawiła mnie żona, bo statystyczna kobieta potrafi zachować tajemnicę maksymalnie przez czterdzieści siedem godzin. Ale to nic nie szkodzi, bo pewnie zaraz okaże się, że to ty masz większy problem, i będę musiał cię pocieszać przez resztę wieczoru. Przeciętna kobieta płacze sześćdziesiąt cztery razy w roku, więc zanim pójdziemy do pokoju, będę musiał podawać ci chusteczki przez cały wieczór – kontynuował swój pseudonaukowy wywód przytaczając ciekawostki ze studiów, rozochocony alkoholem. – Ale może być jeszcze gorzej, bo w ciągu całego życia kobieta średnio miesiączkuje przez cztery lata, no to jest spore prawdopodobieństwo, że z seksu nici.

– Mylisz się. – Śmiała się teraz głośno. – Nikomu nie powiem, że cię żona puściła kantem, umiem trzymać buzię na kłódkę. Z pozostałymi informacjami też nie trafiłeś. Widzisz, ja wychodzę z założenia, że wszystkie swoje problemy możemy rozwiązać sami, więc jeżeli nie umiem sobie z jakimś problemem poradzić, to znaczy, że to nie jest mój problem! – Rozłożyła ręce z beztroską miną. – A płaczę tylko w kinie. No i to, co dla ciebie dziś najważniejsze: nie mam okresu.

Anna spojrzała na barmana, który zastygł z mokrą szklanką w dłoni i skinęła na niego.

– Coś podać? – Ocknął się zakłopotany, przypominając sobie, co tu robi.

– Daj drugi kieliszek i postaw nam tutaj butelkę czystej. – Dla niego też znalazł się uśmiech. – Żebyś nie musiał chodzić kilka razy.

Dalszy scenariusz tego wieczoru był łatwy do przewidzenia. Godzinę i trzy kolejki później weszli, a raczej obściskując się, wtargnęli do hotelowego pokoju Anny. Tu kobieta przejęła inicjatywę, a Markowi została drugoplanowa, choć bez wątplenia ważna rola. Zarzuciła mu

ręce na szyję i domknęła nogą drzwi. Pocałowała go namiętnie, a on odwzajemnił pocałunek. Zsunął dłonie po jej wygiętych plecach i chwycił mocno zgrabny tyłek. Stała na palcach napinając pośladki i pojękując cicho, wcisnęła jego twarz w dekolt. Objęła udem nogę mężczyzny i lekko poruszając biodrami, wprowadziła ich w kolejną fazę podniecenia. Po chwili przerwała jednak pieszczoty i cały czas patrząc mu w oczy, powoli uklękała. Oszołomiony obserwował, jak z rozchylonymi lekko ustami rozpina mu pasek i rozsuwa rozporek. Zaciśnął powieki, bo kolejna fala seksualnego napięcia ścisnęła mu żołądek. Julii nie widział już grubo ponad miesiąc, dawno nie kochał się z kobietą. Sam dawał upust swoim potrzebom rzadko i niechętnie, bo będąc żonatym, czuł się w tej sytuacji żałosny. Już po krótkiej chwili musiał więc jej przerwać, aby wszystko nie skończyło się tu i teraz.

Znów na niego spojrzała, chwyciła jego dłoń i wsunęła palce w swoje włosy.

– Złap mnie – wyszeptwała, szybko oddychając. – Mocno.

Wykonał jej polecenie, ale widocznie niezbyt zdecydowanie, bo krzyknęła z wściekłością.

– Mocniej!

Chwycił silnie.

– A teraz zawlec mnie do łóżka!

Nie czuł się dobrze w tej roli, nie bardzo wiedział, jak się zachować. Pragnął jej, ale ta gra nie była w jego stylu. Czując, że jego uścisk słabnie, ujęła swoją dłońią garść, w której trzymała jej włosy i pociągnęła go za sobą w ten dziwny sposób w stronę do sypialni. Tam puściła jej rękę i rzuciła się na materac. Położył się na niej i chciał pocałować.

– Nie! – Uciekła z ustami w bok. – Zerznij mnie!

Próbował całować jej szyję, ale odepchnęła go gwałtownie.

– Nie! – krzyknęła, znów odwracając głowę. – Odwróć mnie i weź, jak zwykłą dziwkę!

Miał dosyć tych zabaw. Był zły, ale też mimo wszystko podniecony. Przewrócił ją na brzuch i przyciągnął w swoją stronę.

– Zedrzyj mi majtki!

Nie tego chciał, jednak kiedy zobaczył nagie, wypięte pośladki, wątpliwości zniknęły, bo żądza znów wzięła nad nimi górę. Opuścił szybko spodnie i wszedł w nią gwałtownie. Wystarczyło kilka ruchów. Po wszystkim opadł na nią całym ciałem, ciężko oddychając.

Chciał ją objąć, przytulić, jak Julkę. Ona jednak wyrwała się, skuliła obok jak ranne zwierzę, a jej ciałem wstrząsnął szloch. Marek zgłupiał, zupełnie nie wiedział co robić. W jakiś irracjonalny sposób poczuł się winny, choć nie zrobił przecież nic złego. W każdym razie nic wbrew jej woli. Nachylił się i dotknął delikatnie jej ramienia, ale znów go odepchnęła i odskoczyła jak oparzona. Usiadła w kącie łóżka skulona, obejmując kolana, i patrzyła na niego z nienawiścią.

– Wynoś się! – Chwyciła stojący na nocnym stoliku flakon i cisnęła w niego z całej siły. – Wynoś się, słyszysz?!

– O co ci chodzi?! – Ledwo zdążył się zasłonić. – Przestań!

– Zostaw mnie! – wrzasnęła na całe gardło. – Bo wezwę policję!

Marek nie czekał dłużej. Wstał, zapiał spodnie i wybiegł z pokoju, nie oglądając się za siebie. Nie miał pojęcia, co tej wariatce odbiło, ale nie chciał jej już więcej w życiu widzieć na

Gospodarz stał na ganku z siekierą w dłoni.

- Lutek! - Cyryl uśmiechnął się do niego po przyjacielsku, wysiadając z auta. - A co ty, z ciupagą gości witasz? Gdzie słynna polska gościnność?

- Czołem. - Mężczyzna odstawił siekierkę, opierając ją trzonkiem o ścianę domu, i spojrzał na młodszego z braci. - Cześć, Kozak.

Duninowie weszli po schodach na ganek i uścisnęli mu na powitanie rękę.

- Nie zaprosisz do domu? - Cyryl uśmiechnął się półgębkiem.

- Zachodź. - Szypuła pchnął drzwi i wpuścił go przodem. - Gość w dom, Bóg w dom, tak?

- Pożyjemy, zobaczymy. - Stary zasiał ziarno niepewności.

Usiedli przy stole przykrytym starą ceratą przypiętą do blatu pinezkami. Lutek wyjął ze zlewu trzy różne kubki, przepłukał je z grubsza i postawił na środku stołu, obok napoczętej butelki z wódką. Stała tu też mała, gliniana beczułka, przykryta kawałkiem folii. Gospodarz zdjął gumkę przytrzymującą prowizoryczne zamknięcie i odłożył woreczek na bok.

- Małosolne - rzucił lakonicznie, wskazując na ogórki. - Na przegrzycę najlepsze.

Rozlał wódkę do naczyń i rozstawił na stole przed nimi. Uniósł jeden z kubków i trzymając go w dłoni, wysunął w stronę starszego z braci.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie, Lutku - odparł Cyryl i chwycił za ucho najbliższej stojący garnuszek.

Wypili wszyscy trzej, jak na komendę. Stary mlasnął kilka razy i pierwszy sięgnął do glinianego skopka. Otrzeptał sporego ogórka z kwaśnej, mętnej wody o brzeg naczynia i ugryzł duży kęs.

- Nie za bardzo rozrabiasz ten spir? - Włożył resztę ogórka do ust, oblizał palce i wytarł rękę o spodnie. - Słaby jakiś. Pięćdziesiąt procent chociaż ma?

- Czterdzieści. - Lutek też zakąsił. - Taki robię, jak wódka u nas.

Stary Dunin nalał sobie jeszcze jedną porcję, jakby chciał się tylko upewnić. Wlał do ust, ale zanim alkohol zniknął jego w przetyku, przepłukał nim zęby, po czym małymi łykami przełknął i znów mlasnął.

- E, chyba nie ma. - Skrzywił się, bynajmniej nie z powodu smaku. - U nas wino mocniejsze - dodał sceptycznie.

- Mieszam zgodnie z przepisem. - Gospodarz wzruszył ramionami. - Chyba że już spirytus dostają chrzczone.

- Spirytus jest, jak trzeba - wtrącił się Kozak, bo to on zapewniał dostawy. - Od Antona zawsze towar pierwszy sort.

- No to w takim razie i wódka ma czterdzieści - zamknął temat Lutek.

- Może ma, a może i nie ma. - Cyryl nalał do kubków. - Ale my nie o tym.

Wypił kolejną porcję, chwilę odczekał i znów pokręcił głową z niezadowoleniem, ale już nic głośno na temat alkoholu nie powiedział.

- Dziewczyna uciekła – rzucił po chwili.

- Znowu? – Lutek udał zdziwienie.

- No widzisz, znowu – teatralnie rozłożył ręce w geście bezradności.

- No to się znowu znajdzie. – Szypuła wrzucił ramionami i uśmiechnął się półgębkiem.

- Ty nie bądź taki filozof. – Cyryl spojrzał na niego zimno. – Bo my nie na dysputy tu przyjechali. Ani się pośmiać.

Nigdy nie było wiadomo, co stary bandyta myśli i w jakim jest nastroju, a to jeszcze potęgowało strach przed nim. Uśmiechał się, a chwilę potem ciskał gromy z oczu.

- Była tu? – Stary spojrzał na gospodarza.

- Kto?

Znów przeszył go wzrokiem, jakby chciał mu przekazać, żeby nie udawał idioty i nie marnował jego czasu, bo nie ma zamiaru powtarzać. W kilka sekund atmosfera zrobiła się gęsta jak olej.

- Nie. – Lutek pokręcił głową i polał dla rozluźnienia. – Cały dzień byłem w domu, dziewczyny tu nie było.

Stary dłuższą chwilę przyglądał się mu uważnie, jakby w oczach miał wykrywacz kłamstw.

- Kozak, zobacz połączenia. – Wskazał palcem leżący na stole między ogórkami a flaszką telefon. – Sprawdź, gdzie ostatnio było dzwoniłone.

Lutec chciał pierwszy sięgnąć po urządzenie, ale nie zdążył, bo Kozak wbił nóż w blat, przekuwając jednocześnie na wylot jego dłoń i unieruchamiając ją w ten sposób. Lutek syknął i zacisnął powieki. Drugą ręką chciał wyjąć ostrze ze stołu i uwolnić się, ale starszy Dunin złapał go za rękę i powstrzymał.

- Zostaw. – Patrzył na niego beznamiętnie. – Niech sobie nożyk stoi.

Mężczyzna zacisnął zęby i cofnął drżącą, zdrową dłoń. Powoli po blacie stołu popłynęła krew, tworząc mały strumyk meandrujący po pomiętej ceracie. Kozak wcisnął przez moment guzik w starym telefonie, marszcząc w skupieniu czoło. Kiedy spróbował przesunąć kciukiem po ciekłokrystalicznym wyświetlaczu, Cyryl westchnął z politowaniem.

- Daj. – Wysunął dłoń.

- Gówno jakieś. Zjebany chyba.

Teraz stary majstrował w aparacie, widać z lepszym skutkiem, bo po chwili uśmiechnął się cierpko i podniósł wzrok na gospodarza.

- Powiedz mi, Lutku. – Odwrócił ekran w jego stronę. – Na co ty dzwonił do Ukrainy?

- Dupę tam mam. – Na czole mężczyzny perlily się krople potu. – W Łopuszkach mieszka. Chodzę sobie tam czasem kolnąć.

- To ci się musiało coś całkiem pomylić. – Ukrainiec znów zerknął w wyświetlacz. – Bo wybrałeś kierunkowy do Kijowa.

Szypuła milczał, bo wiedział, że dalsze kłamstwa na nic się nie zdadzą. Czekał na to, co z nim teraz zrobią, a przecucia miał czarne. Nie pomylił się, na rozkaz brata Kozak zerwał wiszący w łazience sznurek do suszenia prania. Zrzucili wszystko ze stołu, po czym chwycili

szarpiącego się mężczyznę. Rozciągnęli ciało na blacie, twarzą do sufitu i przywiązali członki do nóg stołu. Ręce unieruchomili z tyłu. Sznurka wystarczyło jeszcze na związanie nóg.

- Postaw czajnik na gaz. - Podszedł i rozerwał więźniowi koszulę, a guziki potoczyły się po podłodze. - Więcej wody nalej, to przy okazji napijemy się czaju.

Kozak ustawił największy płomień i po minucie czajnik zaczął gwizdać, dając znać, że woda wrze. Stary podszedł do kuchenki, ujął w rękę gorący uchwyt, obszedł więźnia dookoła i stanął przed nim.

- Wszystko mi powiesz - wysyczał. Gęsta para wydobywała się z otwartego dzióbka czajnika. - A wiesz, skąd wiem? Bo ty jesteś Polak. Wy naród słabieńki, dlatego ja tu przyjechał interesy robić. Mój ojciec z dziadkiem, w czterdziestym trzecim, chodzili od domu do domu i wszystkich polaczków w swojej wsi wymordowali. Tatko miał wtedy czternaście років. We dwóch ze dwudziestu chłopą wyrznęli, a z nimi żony i ich pomiot. Widłami i siekierką. Zanim UPA do wsi przyjechała, to sami porządek z czużyńcami zrobili. We dwóch, dwudziestu do piekła wysłali.

Podciągnął rękaw i obnażył widniejący na ramieniu tatuaż. Stojący na tylnych łapach lew na tle czerwono czarnej flagi i wykaliografowanym gotykiem napisem „SS Galizien”.

- Gdyby Hitler wojny nie przegrał, toby was tu nie było - odwinął rękaw z powrotem. - Wszystko by było nasze, od Donu po Kraków.

Rozsunął teraz na boki poły koszuli Lutka, odsłaniając klatkę piersiową i brzuch. Przechylił czajnik i struga wrzącej wody chlusnęła na gołe ciało ofiary. Dom w środku lasu wypełniły przeraźliwe krzyki torturowanego. W schowku pod podłogą dziewczyna zacisnęła zęby i zakryła dłońmi uszy, ale na niewiele się to zdało.

Tym razem Borek nie pofatygował się na dół, zapowiedział jednak gościa w dyżurce, więc Romska wpuszczono bez problemu. Na dole policjant podał Alicji numer pokoju i choć była w rzeszowskiej komendzie dopiero drugi raz w życiu, trafiła do właściwego pomieszczenia bez kłopotu. Zapukała i weszła do środka, nie czekając na zaproszenie. Komisarz Michał Borek podniósł wzrok znad klawiatury i spojrzał na nią beznamiętnie.

- Krzysiu... - zwrócił się do kolegi przy sąsiednim biurku, ale nie zdążył dokończyć, bo ten przerwał mu, domyśliwszy się, o co chodzi.

- Paliłem przed chwilą.

- Korecki, rusz dupę! - Zmarszczył czoło. - Na zaś sobie zapalisz.

- Ja pierdołę... - Policjant bąknął pod nosem, zgarnął z blatu paczkę papierosów i ruszył do wyjścia. - Ja przez ciebie na raka płuc zejść.

Alicja przepuściła go w drzwiach, a sama podeszła do biurka i usiadła naprzeciwko Borka, na stojącym tu starym, drewnianym krześle.

- Ciebie to chyba ludzie za bardzo nie lubią, co? - Próbowała żartem ocieplić ich nie najlepszą relację.

- Ja nie jestem zupa pomidorowa, żeby mnie lubić. - Oparł się na swoim fotelu. - Co masz dla mnie?

- Może trochę grzeczniej? - Naprawdę był irytujący. - Przejechałam kawał drogi, żeby ci przekazać ważne informacje.

- Słuchaj, ja nie mam czasu na takie pierdolenie. - Znów nachylił się nad klawiaturą i spojrzał w ekran, jakby chciał wrócić do przerwanej zajęcia. - Chcesz coś powiedzieć, to mów, nie chcesz to... nie mów i nie zwracaj dupy, bo jestem zajęty.

Przypomniała sobie, dlaczego ją tak wkurza, chciała załatwić teraz sprawę i wyjść stąd jak najszybciej. Policzyła w myślach do trzech, poskromiła emocje i spokojnym głosem przekazała mu najnowsze rewelacje dotyczące próby zabójstwa Aleksandra Wilgi. Choć budził w niej najgorsze instynkty, zrobiła to dla dobra sprawy. Opowiedziała dokładnie cały przebieg zdarzeń, opisując też, co Olek widział w domu Lutka Szypuły. Skończyła dramatyczną opowieść opisem ucieczki Wilgi z jachtu.

- Mówiłem, żeby siedział na dupie i się nie wychylał. - Zły pokręcił głową. - Miał kupę szczęścia, bo te bandziory zazwyczaj są bardziej skuteczni. Skoro jeszcze żyje, to znaczy, że oni myślą, że jest trupem. Inaczej dokończyliby to, co zaczęli.

Alicja przyznała mu w duchu rację. Przemycnicy nie będą bezpieczni, dopóki świadek będzie żył. To zabójstwo miało zamknąć mu usta na zawsze, więc jedna nieudana próba na pewno ich nie zniechęci i będą chcieli konsekwentnie doprowadzić sprawę do końca.

- Może trzeba zapewnić mu ochronę? - zastanawiała się. - Jest w domu Marianny Kos, naczelnej gazety, w której pracuje.

- Nie. - Patrzył chwilę w okno zamyślony. - Muszę ich zawiązać.

- Aresztujesz Duninów? - Zaskoczył ją. - A twoje śledztwo w sprawie tych kobiet sprzedawanych do Niemiec?

- Teraz już muszę ich zapuszkować - mówił jakby do siebie, wciąż na gorąco analizując sytuację. - Jeśli zorientują się, że świadek żyje i jest pod ochroną policji, to się przestraszą i wyjadą do Ukrainy. Tam się przyczają i będzie po wszystkim. W życiu ich już nie zobaczą. To nie są idioci. Trudno, główny wątek śledztwa chuj strzelił. Trzeba ratować, co się da, i przynajmniej ich posadzić.

- Rozumiem, że jesteś rozgoryczony - przyznała. - Ale oni są zbyt niebezpieczni, żeby chodzić wolno. Mogliby zamordować kolejne osoby, nie możesz do tego dopuścić. W ten sposób ratujemy ludziom życie.

- Dobra. - Nie odniósł się do jej słów i wciąż idąc swoim tokiem myślenia, szukał najlepszego rozwiązania. - Ty jedź do tego dziennikarza i go pilnuj, a ja namierzę Duninów, wezmę czarnych i ich zawiniemy na dołek. Na razie niech się ten twój kochaś nie rusza na krok z domu, tylko siedzi cicho.

- Czy jeżeli na chwilę przestał byś być takim bucem, toby coś się stało? Żyłka by ci w dupie pękła?

- Miejskowa policja wie o próbie zabójstwa?

- Niewiele. - Zastanawiała się, co ją bardziej denerwuje: to, że ją obraża, czy to, że ostentacyjnie ignoruje jej słowa. - Myślą, że zdarzył się jakiś wypadek. Nic im Wilga nie powiedział.

- To dobrze. - Skinął głową. - Mamy trochę czasu, zanim bracia się zorientują.

- Miejscowi policjanci są skorumpowani? - To dodatkowo ją zaniepokoiło.

- Mam takie podejrzenie graniczące z pewnością. - Wyjął teraz z leżącej na biurku teczki plik kartek i chwilę coś sprawdzał. - O której dokładnie chcieli go utopić?

- W niedzielę, tuż po północy.

- Kurwa mać... - zaklął pod nosem.

- Co?

- Cyryl dostał polecenie SMS-em, że mają go zabić.

- Od kogo?

- Od swojego szefa. - Odwrócił kartkę i pokazał jej palcem stenogram wiadomości, którą otrzymał na telefon Stepan Dunin. - Tutaj.

- „Zakończ sprawę” - przeczytała na głos Alicja. - Data i godzina się zgadzają - dodała po chwili.

- Kazał im wykończyć Wilgę.

- Kto? - Alicja oddała mu dokumenty. - Kim jest ten szef?

- Tego nie wiem. - Schował kartki. - Ale to on pociąga za sznurki i nadzoruje wszystko, handel żywym towarem też.

- A ten telefon? - Wskazała ruchem głowy na teczkę. - Nie udało się namierzyć?

- Nie - westchnął i przecząco pokręcił głową. - On siedzi tu, w Rzeszowie, w samym centrum. Wiemy, bo tutaj się łączył jego numer ze stacją logowania, ale na tym obszarze jest tyle biur i mieszkań, że nie jesteśmy w stanie gościa namierzyć. Telefon na kartę kupił Cyryl,

jest zarejestrowany na niego. Na bilingach wygląda, jakby wysyłał wiadomości sam do siebie. Zresztą wiadomości są lakoniczne i to, że jest mózgiem, jest tylko naszym przypuszczeniem.

– Jeżeli wydaje mu polecenia, to na pewno tak jest.

– Najbardziej mnie wkurwia, że siedzi mi pod nosem, być może nawet mijamy się na ulicy, a ja gównu mogę mu zrobić, bo nie mam pojęcia, jak wygląda. – Wstał i podszedł do szafki, gdzie stał elektryczny czajnik. – Od blisko roku śledzimy Duninów, żeby zrobić mu zdjęcie, i gównu. Ani razu się z nimi nie spotkał.

– Może jak złapiesz braci, to go sypaną? – Alicja chciała go wesprzeć na duchu. – Koronnego co prawda z żadnego nie zrobisz, bo już nawet próba zabójstwa Wilgi ich dyskwalifikuje, ale może coś z nich wyciągniesz.

– Nie. – Skrzywił się. – Nie znasz ich. To twarde skurwysyny. Cyryla nic nie ruszy. Ani go nie zastraszysz, ani nie kupisz. Nie boi się niczego. To zimny i wyrachowany bydlak, bez układu nerwowego. Nie uprawia też bandyterki dla pieniędzy. Widziałas zdjęcia, wygląda, jak stary dziad. Nie ma punktu zaczepienia.

– A młodszy? – Też szukała rozwiązania. – Ten Kozak chyba bardziej kasą zainteresowany, skoro drogim samochodem jeździ? Może ma ambicję wyjść z cienia brata i zostać szefem?

– Wątpię. – Borek najwyraźniej w tej materii też był sceptyczny. – Są bardzo emocjonalnie związani, praktycznie się nie rozstają. Cyryl jest dla niego wielkim autorytetem, można powiedzieć: mentorem. Głupio to zabrzmiało, ale bracia się Kochają.

– Może to jest ich słaby punkt?

Ich oczy na chwilę się spotkały i Alicja miała wrażenie, że spojrział na nią jakoś inaczej, jakby z szacunkiem.

– Chcesz kawy? – zapytał.

## 42

Marek, zanim wszedł do restauracji, przyłożył dłoń do dużej witryny i zajrzał do wnętrza, wypatrując tam Stanisława Sękula. Nie był pewien, czy stary nie robił sobie z niego żartów. Zaskoczyło go zaproponowane przez teścia miejsce spotkania, bo raczej nie wyszedł stąd ostatnio zadowolony. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że rzeczywiście Sękul był w środku. Zajął nawet krzesło przy tym samym stoliku co ostatnio.

Marek nie czekał dłużej, był podekscytowany jego telefonem z tajnego numeru. Staremu widocznie zależało, bo szybko zdobył informacje na temat tej dziewczyny, ale w sumie przy jego pozycji i koneksjach, to przecież nie musiało być trudne.

– Dzień dobry – przywitał teścia i usiadł naprzeciwko. – Dziękuję, za telefon.

Marek się uśmiechał, chciał jakoś zatrzeć nie najlepsze wspomnienie ich ostatniego spotkania. Był wówczas, delikatnie rzecz ujmując, dość zasadniczy, ale chciał wtedy, żeby teść potraktował go poważnie. Zresztą cała ta sytuacja z Julią wyprowadziła go z równowagi, był więc usprawiedliwiony. Teraz już to przetrwał, tak, jak jego organizm przetrwał i wydalil wypity w ostatnim czasie alkohol.



Od powrotu z Rzeszowa nie miał w ustach kropli wódki. Po całej tej awanturze w hotelowym pokoju, poprzedzonej seksualnymi ekscesami, miał potężny absmak. Za każdym razem, kiedy wracał w myślach do tej chorej sytuacji, kłął pod nosem i kręcił głową z zażenowania. Jasne, że gdyby był trzeźwy, nie dałby się wmanewrować w to wszystko, dlatego przyrzekł sobie solennie, że nie weźmie już alkoholu do ust. To pozwoliło mu powoli odzyskać równowagę i szacunek do siebie.

Inna sprawa, że z oczywistych względów nie czuł się już w żaden sposób zobowiązany do wierności Julii. To ona zachowała się wobec niego wstrętnie, nic nie był winny wiarołomnej żonie. Jeżeli już kogoś zdradził, to tę dziewczynę. Oczywiście było to dość irracjonalne stwierdzenie, bo ona nawet nie miała pojęcia o jego istnieniu. Nie wiedziała, że ojcem jej dziecka jest Marek Szulc. Cała ta płątana myśli i dylematów była wyłącznie wytworem jego skołowanego umysłu. To przed sobą samym czuł wstyd i to siebie tak naprawdę zdradził. Swoje wartości i ideały. Trudno. Było, minęło. Musi teraz zapomnieć i wyciągnąć wnioski. Miał nadzieję, że znaleźli Mirę Hejko i będzie mógł wszystko naprawić. A raczej zacząć od nowa. Odda im te pieniądze, wynajmie coś skromnego i wróci na uczelnię. Rozmawiał już z rektorem, profesor pamiętał go i dobrze wspominał, nawet po latach. Nie miał też Markowi za złe, że odszedł na swoje. W tej chwili potrzebowali nawet kogoś do katedry statystyki, a on ze swoją wiedzą teoretyczną i zdobytym w ostatnim czasie doświadczeniem nadawał się idealnie. Oczywiście będzie musiał odstąpić leasing swojego BMW, bo z pensji nauczyciela akademickiego na pewno nie będzie go stać na raty, ale w ogóle się tym nie przejmował. Pasowało mu to nawet do romantycznej historii, jaką sobie w głowie ułożył.

- Przemyślałeś sprawę? - Sękul poprawił chustkę wsuniętą za kołnierzyk białej koszuli i włożył do ust kawałek jakiegoś warzywa.

- Jaką sprawę? - Ten ton nie wróżył nic dobrego.

- Sprzedają mieszkania.

- Moja propozycja jest nieodwołalna. - Marek się usztywnił. - Chcę się dowiedzieć, gdzie jest dziewczyna. Wówczas zrobię to, co chcecie.

Więc tylko po to go tu ściągnął? Żeby przekonać go do zmiany zdania? Szulc był rozczarowany.

- Powiedz mi, Maruś - ciągnął stary z pełnymi ustami. - Czy ty myślisz, że ja mógłbym zająć tak wysoko, gdyby tak łatwo było mnie wydymać?

- Nie wiem. - I nie obchodziło go to.

- Ale pomyśl, przecież ty nie jesteś głupi chłopak. - Sękul postukał się widelcem w czoło. - Wiesz przecież, kim jestem. Nie tylko zwykłym posłem, jak to oficjalnie wiadomo. Rozumiesz przecież, że jestem jedną z najważniejszych osób w partii. Pełnię odpowiedzialną funkcję i mam ogromną władzę. Muszę ją mieć, bo codziennie w zarodku duszę zakusy jakichś szczyli, którzy chcą mnie wyruchać w moją starą, pomarszczoną, poselską dupę. No to się zastanów, czy ja nie mam sposobów na takich mądrali, jak ty?

Marek nie bardzo rozumiał, do czego zmierza, ale nie miał zamiaru tym razem teściowi ustąpić. Czuł, że coś mu się należy, skoro wszystko ma być tak, jak zaplanowali córeczka i tatuś.

- Ja cię tylko proszę, żebyś znalazł kobietę, która ma urodzić moje dziecko. - Nie miał zamiaru ustąpić. - Skoro masz taką władzę, to chyba nie jest to dla ciebie problem?

- Nie, Maruś. - Stary pokręcił przecząco głową. - Ty mnie nie prosisz. Ty żądasz i mnie straszysz. A ja tego nie lubię. Ostatni raz się pytam po dobroci: sprzedaż to jebane mieszkanie i oddasz grzecznie pieniądze?

- Nie.

Sękul patrzył przez chwilę na niego gniewnym wzrokiem, po czym wstał, wyjął zza kołnierzyka chustkę i położył obok talerza.

- Idę się wylać, zaraz wrócę. - Wstał i zniknął za drzwiami toalety.

Marek czuł, że to nie koniec rozmowy, bo teść nie zwykł odpuszczać. Powziął jednak mocne postanowienie, że tym razem mu nie ulegnie. Nie da się zastraszyć jakimiś sztuczkami. W końcu do niczego nie mogą go zmusić. Miał mocną pozycję negocjacyjną, bo w świetle prawa połowa mieszkania była jego. Nie zależało mu też na dalszej biznesowej współpracy z teściem.

Nagle z zamyślenia wyrwał go facet, który bez słowa usiadł naprzeciwko niego, na krześle Sękula.

- To miejsce jest zajęte - rzucił zaskoczony, ale facet nic sobie z tego nie zrobił.

- Obejrzyj to sobie. - Położył przed Szulcem telefon komórkowy. - Tylko bez wygłupów, mam kopię.

Mężczyzna był marnej postury, ubrany na szaro i ogólnie jakiś taki, nijaki. Na nosie miał tanie, niemodne okulary w rogowych oprawkach. Marek spojrział jeszcze raz na niego, w życiu nie widział faceta na oczy, przynajmniej sobie nie przypominał. Musiała zajść jakaś pomyłka, bo nic z tego nie rozumiał. Tamten jednak zachowywał się pewnie i spokojnie, jakby dokładnie wiedział, co robi. Szulc przeniósł wzrok na telefon. Przez pierwsze kilka sekund w pustym pomieszczeniu, które było widać na ekranie nic się nie działo.

Nagle w kadrze pojawiła się para i zobaczył, jak jakiś mężczyzna rzuca kobietę na stojące w głębi pokoju łóżko. Zamarł, bo ją rozpoznał. To była Anna, kobieta z hotelu. Chwilę później dostrzegł siebie, jak najpierw próbując pocałować wyrrywającą się kobietę, a potem odwraca gwałtownie ciało i zdziera z niej majtki. Film był bez dźwięku, co jeszcze potęgowało wrażenie, że dzieje się tam coś naprawdę złego. Nie patrzył już dalej na ekran. Wiedział, co stało się później.

- Co to, kurwa, jest?! - zadał retoryczne pytanie, kipiąc z wściekłości.

- Film przedstawiający gwałt na bezbronnej kobiecie.

- Co ty pieprzysz?! - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Ona sama tego chciała, zachęcała mnie cały czas.

- Nic takiego tu nie słyhać - Mężczyzna był spokojny. - Widać, że ją trzymasz za włosy, rzucaasz na łóżko i siłą bierzesz od tyłu. Po wszystkim ona płacze i w końcu udaje jej się zmusić cię do opuszczenia pokoju. Rzuca wazonem, a ty, spłoszony, uciekasz.

- Gówno prawda! - ściszył głos, bo ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli mu się ukradkiem przyglądać. - Wcale tak nie było!

– To już policja rozstrzygnie. – Facet spokojnie sięgnął po swój telefon. – Acha, no i na uniwersytecie też to się może nie spodobać.

Mężczyzna wstał i wyszedł bez słowa z restauracji, zostawiając Marka w osłupieniu. Po minucie znów przed nim usiadł teść i jakby nigdy nic chwycił za widelec.

– To co, namyśliłeś się? – Przyglądał się cały czas zięciowi, ale ten milczał. Odłożył telefon i siedział z wzrokiem wbitym w stół. – Na środę jest umówiony notariusz. Apartament kupi poważny gość. Pieniądze przeleje na konto Julii. W mieszkaniu możesz zostać, jak długo chcesz. Nie musisz nawet płacić odstępnego, tylko czynsz do wspólnoty i opłaty na bieżąco. Dasz sobie spokój z uniwerkiem i wrócisz grzecznie do biura. Czeka tam już na ciebie kilka intratnych zleceń. Zrozumiałeś?

Spojrzał na zięcia, ten wciąż milczał.

– Pytam się, kurwa, czy rozumiałeś? – Nachylił się nad stołem w jego stronę.

– Tak.

– No widzisz, inteligentni ludzie zawsze się dogadają. – Zebrał z talerza resztę jedzenia i wsunął do ust. – Ja jestem dobry człowiek, tylko ze mną trzeba żyć w zgodzie. Jak będziesz mnie słuchał, to ci się krzywda na tym świecie nie stanie.

– Ja jej nie zgwałciłem, tej kobiety na filmie – odezwał się w końcu. – To ona zaczepiła mnie w barze i sama zaciągnęła do pokoju. Uprawiałem z nią seks, ale za jej zgodą, a to, co tam widać, to była jej inicjatywa. Ta szarpanina. Ale ty to wszystko wiesz, prawda?

– Żebyś ty wiedział, ile głosowań żeśmy dzięki niej wygrali. – Teść zaśmiał się pod nosem, po czym znów spoważniał. – Musiałem ci utrzcęć nosa, bo za bardzo cwaniakowałeś.

– Czyli to wszystko było ukartowane?!

– Spójrz na to z drugiej strony. – Sękuł wzruszył ramionami. – Mieszkanie nie było twoje, bo ja za nie zapłaciłem, więc niczego nie tracisz. Zachowasz firmę, dam ci robotę, wystawisz kilka faktur i szybko się odkujesz. No i jeszcze dmuchnąłeś za darmo fajną dupę. To chyba krzywda ci się nie stała?

Marek nie powiedział nic więcej, chciał wstać i wyjść z restauracji, bo nie mógł już dłużej słuchać jego bełkotu.

– Zaczekaj. – Stary powstrzymał go i sięgnął do teczki. – Podpisz to. Tu są pełnomocnictwa dla mnie do sprzedaży apartamentu. Na wszelki wypadek, jakby ci coś odbiło. Nie musisz iść do notariusza, ja wszystko załatwię. W urzędach też. Ty się tylko wymelduj.

## 43

Stali wokół stołu. Dwóch Ukraińców i trzeci mężczyzna, który zjawił się przed chwilą.

– Gdzie jest dziewczyna?! – Mężczyzna nachylił się nad Lutkiem i zapytał czystą polszczyzną. – Gdzie poszła?!

– Z drugiej strony musisz mówić. – Cyryl wskazała na zakrwawioną głowę ofiary. – Brat mu ucho uciął.

- Kurwa, trzeba było mu jeszcze język upierdolić. - Pokiwał głową z politowaniem. - Wtedy by na pewno wszystko powiedział.

- I tak nic by nie sypnął. - Starszy Dunin nie zareagował na sarkazm. - Twardy jest. Musiała się jego mać na jakiegoś naszego zapatrzyć.

- Dobra, szkoda czasu. - Facet sięgnął do plecaka, wyjął wojskową mapę sporych rozmiarów i rozejrzał się, szukając odpowiedniego miejsca, żeby ją rozłożyć. - Ściągnijcie go! - zakomenderował w końcu.

Kozak rozciął nożem krępujące ciało więzy i zepchnął Lutka. Bezwładne ciało z łoskotem uderzyło o drewnianą podłogę. Obolały mężczyzna skulił się w sobie. Polak rozłożył mapę na stole i wszyscy pochylili się nad nią.

- Tamtą dopadliśmy tutaj - wskazał palcem na wytyczoną na mapie drogę - cztery kilometry stąd.

- Nie wiadomo, gdzie ta poszła.

- Jeżeli tu była, a Lutek nie chce nam pomóc, to pewnie skierował ją w inną stronę. - Przyglądali się chwilę. - Najpierw spróbujemy w kierunku Lutowski.

- Psy powinny złapać trop. - Kozak postukał nożem w mapę. - Tę też znajdują.

- Oby. - Młody mężczyzna objął palcami miarę na legendzie i zatoczył na mapie krąg wokół domu Szypuły. - Ja wezmę busa i zatrzymam się przed wsią, żeby w razie czego odciąć jej drogę. Dziewczyna zniknęła około pięciu godzin temu. Człowiek porusza się z prędkością mniej więcej czterech kilometrów na godzinę. Ona jest zmęczona, ucieka w trudnym terenie. Przez krzaki, pewnie błądzi. Nawet, jeżeli maszeruje bez przerw, to mogła w tym czasie zrobić w linii prostej około ośmiu kilometrów, nie więcej. Czyli wciąż jest w lesie.

- Dobra, pójdę po psy.

- Otwórz po drodze garaż i przeparkuj wasz samochód - rzucił mu na odchodne. - Żebym mógł busem wyjechać.

- A co z nim? - Cyryl stanął okrakiem nad ciałem. - Żyje jeszcze.

- Nie jest lojalny, więc na nic nam się już nie przyda. - Mężczyzna przyglądał się nieprzytomnemu Lutkowi. - Zwiążcie go z powrotem i wrzucicie do bagażnika, żeby nie spierdolił. Potem się go gdzieś zakopie.

- Nie no! - Kozak zaprotestował. - Upierdoli mi całą tapicerkę krwią!

- Trudno, nie trzeba było go ciąć!

- Załóż mu reklamówkę na łeb, to nie pobrudzi - Cyryl wskazał leżącą w kącie plastikową torbę, w środku były grzyby. - Może przy okazji się uduśi.

- Do jeziora go wpierdolmy! - Kozak nie miał ochoty kopać dołu, a zgadywał, że jemu przypadnie w udziale ta fucha. - Tak jak tamtych dwóch.

- Nie, za dużo już tych topielców. - Mężczyzna uciął temat. - Dwóch wystarczy.

Kozak nie dyskutował więcej, wywalił na podłogę wszystko z reklamówki i wsunął plastikową torbę za gumkę dresów, żeby mieć wolne ręce. Schylił się, chwycił bezwładne ciało za nogi i pociągnął w stronę drzwi.

- Zaczekaj. - Młody Polak zatrzymał go w pół drogi. - Weźcie go we dwóch, bo będą ślady na podłodze. Policja zobaczy, że ciało było wleczone.

- Lubę tu przysię. - Cyryl miał rozwiązanie. - Posprząta wszystko na błysk.

- Dobra - przystał na ten pomysł i skinął na Kozaka, dając mu znak, że może działać. - Tylko zwiąż mu ręce z tyłu.

- Przecież on już prawie trup.

- Będziesz jeszcze jego, kurwa, po lesie ganiał?! - krzyknął zniecierpliwiony jego ciągłymi obiekcjami. - Bo ja nie!

- Dobra, nie drzyj się.

Młodszy Dunin wziął półprzytomnego Lutka pod ręce, przeniósł na podwórko i położył na brzuchu obok audi. Mocno skrępował mu ręce z tyłu i oparł ciało plecami o zderzak. Założył reklamówkę na głowę i wsunął jej brzegi pod koszulkę. Teraz zobaczył, że reklamówka była dziurawa, ale machnął na to ręką. Otworzył bagażnik, poprzestawiał znajdujące się w nim rzeczy i wrzucił Szypułę do środka, najpierw tułów, potem nogi. Mimo że był silny i wysportowany, zmęczył się całą operacją. Otarł więc pot z czoła i przez moment szybko oddychał, chcąc uspokoić tętno. W tym czasie dwaj pozostali pochyleni nad mapą, ustalali szczegółowy plan działania. Dwaj Ukraińcy mieli pójść z psami śladem dziewczyny, a trzeci mężczyzna poszukać jej na drogach, gdyby postanowiła jednak znaleźć pomocy u ludzi.

- Jak kogoś spotka i zadzwoni na policję w Polańczyku, zaraz będę wiedział. - Facet nie odrywał oczu od mapy. - Tym nie musimy się przejmować, nawet by to ułatwiło sprawę.

Po chwili młodszy Dunin wrócił, na smyczy trzymał dwa pitbulle. Psiska podekscytowane tym, że opuściły zamknięcie, szarpały się na smyczach, mimo raniących je w karki kolczatek. Pobudzone zapachem świeżej krwi skamlały cicho.

- Spokój! - Kozak z trudem trzymał je w ryzach. - Siad!

Psy nie mogły ustać w miejscu, zaczęły warczeć i szczekać.

- Zabierz je stąd! - W domu zapanował straszny jazgot. - Wyprowadź je. Masz ubranie dziewczyny?

- Mam.

- To ruszamy. - Wyjął z plecaka dwie krótkofalówki i jedną podał Cyrylowi. - Będziemy się porozumiewać na ósmym kanale.

Sprawdzili, urządzenia działały bez zarzutu. Przed domem podali sobie na pożegnanie ręce. Polak wszedł do szarego busa, wyjechał tyłem z garażu na leśną drogę i ruszył w kierunku Lutowisk. Kozak wyjął z audi błękitną sukienkę i dał do powąchania psom. Pitbulle wciągnęły do nozdrzy zapach Miry i zaczęły się kręcić nerwowo.

- Zrób z nimi rundkę po lesie wokół chałupy. - Cyryl zapalił papierosa. - Niech sobaki złapią trop.

Stał tak chwilę, nasłuchując ujadania, i miał poczucie, że coś przeoczył. Spojrzał w stronę domu. Jakaś myśl wierciła się w jego czaszce, nie dając mu spokoju.

- Cyryl! - Usłyszał głos brata dochodzący z lasu. - Dawaj! Jest ślad!

Mężczyzna zaciągnął się ostatni raz, wytrzeptał i przydepnął żar, a niedopałek schował do kieszeni, żeby nie zostawiać śladów. Westchnął głośno na myśl o czekającym go kilkukilometrowym marszu i ruszył w stronę, skąd dobiegało wołanie. Za stary był już na tę gangsterkę. Pomyślał, że już czas chyba przejść na emeryturę. Gdyby nie Kozak, zrobiłby to

nawet jutro, ale zdawał sobie sprawę, że wtedy jego młodszy brat w ciągu tygodnia wylądowałby w więzieniu albo w piachu.

## 44

Alicja otworzyła oczy i poczuła umięśnione ramię wokół swojej szyi. Nie poruszyła się, jedynie jej gałki oczne przesunęły się w bok. Kątem oka dostrzegła jego twarz. Była nieruchoma, skupiona. Olek w wyciągniętej przed sobą ręce trzymał książkę, jakby pozował do obrazu.

Przeglądała mu się chwilę ukradkiem. Położył książkę na pościeli przed sobą, jedną ręką przewrócił kartkę, po czym znów ją ujął i podniósł na wysokość oczu. Oderwany na chwilę od lektury spojrział na nią. Szybko zamknęła powieki, żeby nie zorientował się, że już nie śpi. Chwilo, trwaj! Było jej tak dobrze.

Teraz, kiedy nic nie widziała, poczuła jego zapach. Nie był przykry. Mimo że Wilga leżał od kilku dni w łóżku, nie pachniał potem. Pachniał... jagodami. Tak, jak jej ojciec. Pamiętała ten zapach z dzieciństwa. Tata też kładł się czasem obok i czytał jej na głos. Nagle przypomniała sobie, co tu robi. Musiała chronić Olka, bo ci bandyci chcieli jej go odebrać, na zawsze. Poczuła wzbierającą w niej złość. Wstała, bo na skutek czarnych myśli, przyjemny nastrój gdzieś się ulotnił.

- Usnęłam.

- No. - Odłożył książkę i patrzył na nią zadowolony.

- Zamiast pilnować, to śpię.

- Jesteś idealnym ochroniarzem. - Wciąż się do niej uśmiechał. - Czuję się bardzo bezpiecznie.

- Nie żartuj. - Ziewnęła, zakrywając usta.

Miała zmiętą bluzkę i gniazdo z włosów odciśnięte od poduszki z tyłu głowy. Uznał, że wygląda cudnie. Takiej jej pragnął, bez tego chitynowego panczerzyka pani komisarz, koniecznie niezależnej i silnej. Podniosła ze stolika swój telefon i przeglądała coś przez chwilę.

- Muszę zadzwonić.

Poprawiała włosy, jakby ktoś mógł ją zobaczyć przez telefon, i oparła dłoń o biodro, przyjmując wyczekującą postawę. Przyłożyła słuchawkę do ucha i patrzyła przed siebie przez moment. Po chwili uśmiechnęła się, bo usłyszała znajomy głos aspirant Ewy Kwiecień.

- Cześć. - Przeszła na drugi koniec pokoju i usiadła na krześle. - Dzwoniłaś, wiesz już coś?

- Tak - odpowiedziała konspiracyjnym tonem.

- Możesz oddzwonić później, jeżeli nie możesz teraz rozmawiać.

- Mogę.

- To czemu szepczesz?

- Nie wiem.

- Dobra. - Romska przewróciła oczami. - Mów, co znalazłaś.

- Lutostaw Szypuła jest właścicielem domów w gminie Lutowska.

- Domów?

- Tak, ma dwa domy, oba we wsi Przygrody. - Przez moment było słycać klikanie w klawiaturę. - Numery dwanaście i dwadzieścia siedem. W zasadzie to w okolicy zostały tylko te dwa domostwa, reszta gospodarstw we wsi popadła w ruinę po śmierci właścicieli. Na przestrzeni kilkadziesiątu ostatnich lat miejscowość wyludniła się prawie zupełnie. Chyba został tam tylko on.

- Te dwa numery to pewnie ta sama posesja - komentowała Alicja na bieżąco. - Tam jest kilka budynków.

- Nie - przerwała jej Ewa. - Sprawdziłam na mapie w Internecie i oba są od siebie oddalone o około dwa kilometry. Zresztą dom z numerem dwanaście kupił stosunkowo niedawno, niecałe dwa lata temu.

- Serio? - Ten fakt ją zaskoczył. - Po co mu drugi dom, skoro mieszka sam?

- Tego nie wiem, ale w księdze wieczystej jest jedynym właścicielem.

- Może tam mieszka, a w domu w lesie ma tylko bazę swojego przemysłowego interesu. - Romska pokiwała głową, sama siebie utwierdzając w tym przekonaniu. - Pewnie dlatego go nie było, kiedy, mój znajomy sprawdzał posesję. To by nawet miało sens. A czego dowiedziała się o Borku?

- No tutaj to zapnij pasy. - Ewa znów ściszyła głos. - Facet jest typem samotnego szeryfa. Rozmawiałam z koleżanką ze szkoły, która pracuje teraz w Rzeszowie. Powiedziała mi, że nikt go tam nie lubi.

- Wcale mnie nie zaskoczyłaś - weszła jej w słowo Alicja. - Mamy już pewność, że rozmawiamy o tym samym typie.

- Nikt go nie lubi, ale wszyscy szanują - dokończyła myśl. - Gburowaty mruk, który ma wszystko i wszystkich dookoła gdzieś.

- No jakbym go widziała.

- Ma też niekonwencjonalne metody i bardzo dużą skuteczność. Wykrywalność w ostatnich latach na poziomie dziewięćdziesięciu procent.

- Co znaczy, że ma nietypowe metody?

- Podobno jest w stanie zniknąć na kilka dni i nikt nie wie, co się z nim dzieje. - Ewa była wyraźnie przejęta. - Pojawia się potem nad ranem w komendzie skacowany i przyprowadza ze sobą jakiegoś bandziora, zwykle z podbitym okiem.

- Taki kowboj? - powiedziała to pół żartem, pół serio, ale z wyczuwalnym szacunkiem w głosie.

- Trzy lata temu zginął jego partner. Nazywał się Sowa. Janusz Sowa. Był dla Borka kimś więcej niż tylko kolegą z pracy. Kimś w rodzaju mentora. Wprowadził go do służby i nauczył wszystkiego. Byli nierozłączni.

- Jak zginął? - spytała. - Na służbie?

- Spłonął w samochodzie i to nie był wypadek, został zamordowany - mówiła dalej szczerze przejęta Kwiecień. - Świadkowie zeznali, że ciężarówka zajęchała mu drogę i zepchnęła go do rowu, potem auto zostało ostrzelane z broni maszynowej i podpalone. Sprawcy zbiegli.

- Cholera... - To rzeczywiście była wstrząsająca historia. - Złapali ich?

- Nie. - Ewa dobrze przygotowała się do rozmowy. - Okazało się, że TIR-a bandyci porwali z parkingu pobliskiej stacji benzynowej. Tam też ślad się urwał, bo kierowca bał się zeznawać.

- Typowo mafijne metody. - Alicja słuchała z uwagą. - Jak z lat dziewięćdziesiątych.

- To po tym zabójstwie Borek aresztował Duninów - ciągnęła opowieść. - Te ich zdjęcia, które wysłałam ci ostatnio, są właśnie z tego zatrzymania. Musiał ich jednak wypuścić z powodu braku dowodów, prokurator też coś tam spał. Od tamtej pory pracuje sam, ale wszyscy wiedzą, że to, co dotyczy braci Duninów, ma trafiać na jego biurko.

- Potraktował śmierć partnera bardzo osobiście. - Romska była przejęta tą historią. - Policjantów rzadko się morduje, nawet ukraińska mafia tego nie robi ot tak. Wiadomo, czym im zależał za skórę?

- Podobno wykrył korupcję w wojewódzkiej w Rzeszowie i jechał z tym do Warszawy - zakończyła swoje nieformalne sprawozdanie. - Ale to nie jest nic pewnego, żadne dokumenty tego nie potwierdzają. Możliwe, że to tylko legenda.

- Grubo. - Alicja się zamyśliła.

Jakoś inaczej teraz postrzegała komisarza Michała Borka. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, miał prawo być trudny w obejściu. Nabrała do niego szacunku i puściła w niepamięć wszystkie uszczypliwości i docinki, które jej serwował. Przez moment nawet chciała z nim o tym wszystkim porozmawiać, ale szybko wybiła sobie ten pomysł z głowy. Przez trzy lata zmagał się z traumą, więc pewnie nieraz posyłali go do policyjnego psychologa. Skoro nie pomogło, to dlaczego niby ona miałaby okazać się panaceum na jego duchowe rozterki. Skończyłoby się pewnie jak zwykle, jakąś nieprzyjemną wymianą zdań.

- A co słychać u ciebie? - Alicja zmieniła temat na, jak się jej wydawało, przyjemniejszy. - Jak przygotowania do wesela?

- Dobrze.

- Coś nie słyszę entuzjazmu - ciągnęła ją za język. - Co jest?

- Nie wiem. - Ewa brzmiała mało radośnie. - Przyjedziesz, to pogadamy.

- Ale coś się stało?

- Nie, niby wszystko w porządku - westchnęła. - Ale jakoś tak...

- Co: jakoś tak?

- Pogadamy, jak wrócisz.

- Dobra. - Dała jej spokój. - A jak Kumpel?

Alicja zawsze zostawiała swojego labradora u przyjaciółki, kiedy wyjeżdżała. Kwiecień miała dom jednorodzinny i uwielbiała zwierzęta.

- Śpi z moją mamą w łóżku. - Ewa się zaśmiała. - Pilnuje ją, ale ciągle mu coś tam pod stołem daje. A wczoraj zeżał klapka Jackowi.

- O cholera, odkupie! Ale mam nadzieję, że to nie z tego powodu wasz związek jest w tarapatach?

- Nie - zaprzeczyła. - Ale powiem ci, że jakby mi kazał wybierać, to chyba wybrałabym Kumpla.



- Przestań, każda kobieta ma wątpliwości przed ślubem – próbował poprawić jej humor. – Przyjadę, to weźmiemy dwie butelki wina i zabarykadujemy się u ciebie na górze na całą noc.
- Kiedy będziesz? – W jej głosie słychać było, że się uśmiecha.
- Nie wiem – powiedziała zgodnie z prawdą. – Muszę najpierw załatwić tu wszystkie sprawy.
- Pozdrów go ode mnie. – Ewa wiedziała tylko, że przyjaciółka pojechała w Bieszczady, bo facet z którym się ostatnio spotykała, miał problemy ze zdrowiem. – Jak on w ogóle ma na imię?
- Olek – Alicja spojrzała na leżącego w łóżku Wilgę, który słysząc swoje imię, podniósł na nią wzrok. – Ma na imię Olek.

## 45

Marek Szulc od trzech dni koczował na granicy w Medyce. Obudził się teraz cały spocony. Chwycił kierownicę i podciągnął się, unosząc zdrętwiałe ciało z rozłożonego fotela. Zaklął w myślach i po raz kolejny przyrzekł sobie solennie, że sprzeda tego grata przy najbliższej okazji i nie kupi już elektrycznego auta, dopóki nie zrobią normalnej sieci stacji ładowania. Jego BMW znów było unieruchomione, bo wszystkie baterie rozładowały się całkowicie. Nawet oparcia fotela nie mógł podnieść. Było oczywiście regulowane elektrycznie i pozostało zablokowane w pozycji leżącej.

Zmarszczył czoło i spoglądając w lusterko, potarł dłońmi nieogolone policzki. Tłuste włosy i wory pod oczami dopełniały żaloszny obraz. Wyszczrzył zęby, po czym sięgnął po szczoteczkę, leżącą na siedzeniu pasażera. Mycie zębów było jedyną czynnością higieniczną, jakiej nie zaniedbał w ostatnich trzech dniach. Żył jak bezdomny, śpiąc w samochodzie wartym więcej niż przeciętne mieszkanie w Warszawie.

Otworzył drzwi, przeciągnął się, prostując kości, wysiadł i zacerpnął do płuc haust świeżego powietrza. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaki zaduch panował w nagrzanym od słońca samochodzie. Na dodatek wczoraj kupił na kolację serek z marynowanym czosnkiem, postawił opakowanie na dywaniku i włożył w nie, wylewając śmierdzącą, mętną ciecz na wycieraczkę. Rozejrzał się, zamknął drzwi i ruszył do publicznej toalety.

Umył zęby, twarz i szyję nad umywalką. Nie miał ręcznika, więc parsknął tylko i przetarł oczy dłońmi. Musiał jeszcze skorzystać z ubikacji, ale na samą myśl o tym robiło mu się słabo. Toalet używali głównie kierowcy ciężarówek, czekający na przejściu granicznym, czasami ponad dobę. Umilali sobie ten czas, popijając w szoferkach rozcieńczany spirytus, w małych grupkach lub samotnie. Rano wypróżniali się, wyrzucając z siebie odchody ze strawionym alkoholem. To pewnie niezdrowy tryb życia i nieregularne odżywianie były przyczyną permanentnego rozwolnienia, które gnębiło wielu. Rano znalezienie kabiny, do której dałoby się wejść, graniczyło więc z cudem. Tym razem Markowi się ta sztuka nie udało, hamując wymioty, wyszedł na zewnątrz. Postanowił zajrzeć tu trochę później, licząc naiwnie, że może ktoś posprząta ten przybytek.

W barze U Staszka zamówił hot doga i czarną rozpuszczalną kawę. Stołował się tu od trzech dni. Miał już status stałego klienta, więc pan Staszek spełniał jego fanaberię i podawał mu „czarną amerikanę” w dular eksowym kubku, a nie w jednorazówce z plastiku. Szulc czekał teraz na posiłek, popijając gorącą lurę, i obserwował stojące w kolejce auta. Na posterunku granicznym zmienili się właśnie celnicy i dzienna zmiana rozpoczęła pracę. Kolejka powoli ruszyła.

Pamiętał dobrze, na którym samochodzie skończył wczoraj wypytywać, więc mógł spokojnie zjeść śniadanie. Włożył do ust ostatni kawałek bułki, posprzątał papierki ze stolika i odniósł kubek do okienka. Wyjął ze swojego samochodu schowaną tam wczoraj tekturową, niewielką kartkę. Młoda Ukrainka, na co dzień studiująca w Lublinie, na jego prośbę napisała na niej cyrylicą krótką informację: „Szukam tej dziewczyny. Nagroda za pomoc 1000 dolarów”. Wpadł na to proste rozwiązanie, bo próby wypowiedzenia tej kwestii po ukraińsku nie wychodziły mu najlepiej. Podszedł teraz do sznura samochodów, powoli przemieszczających się w stronę białoczerwonych szlabanów i po kolei zaglądał do uchylonych okien. W jednej ręce trzymał kartkę z napisem, w drugiej telefon ze zdjęciem Miry Hejko. Nie odzywał się, żeby nie prowokować pytań ciekawskich, bo nie chciał tracić czasu na tłumaczenia. Zresztą i tak niewiele rozumiał z tego, co do niego mówili.

Większość zaczepionych ludzi z ciekawością spoglądała na zdjęcie ślicznej dziewczyny, kręcili przecząco głową i ze współczuciem przyglądali się mężczyźnie w bocznych lusterkach, kiedy odchodził do następnego pojazdu. Ci, którzy pracowali po polskiej stronie lub robili w Polsce interesy i z tego powodu codziennie przekraczali granicę, znali go już z widzenia. Witali go z daleka, nie pytali jednak o efekty poszukiwań, bo jego obecność tutaj mówiła sama za siebie. Niektórzy bardziej ciekawscy próbowali dowiedzieć się, kim jest dla niego dziewczyna. Pierwszego dnia zapytany zniechęcony, rzucił bez namysłu, że to jego narzeczona i teraz się tej wersji trzymał.

Wczoraj, przed zaśnięciem, zastanawiał się, kim naprawdę ona dla niego jest. Próbował być wobec siebie szczerzy i odpowiedzieć sobie, dlaczego jej szukał. Czy to możliwe, żeby się zakochał w dziewczynie, którą raz widział na oczy? Przecież nawet z nią nie rozmawiał. Przez pięć minut podziwiał, jak tańczy. To wszystko. Więc dlaczego jej szuka tak zawzięcie, narażając się na te wszystkie wyrzeczenia? Czy to rzeczywiście uczucie do tej Ukrainki, czy może gniew na Julkę był powodem tej desperackiej akcji? Chciał swojej niewiernej żonie coś udowodnić? Poczł się upokorzony i starał się jej odplacić pięknym za nadobne? Czy może nienawiść do teścia go tu przygnała? Jak ten bydlak mógł mu to zrobić? Wykorzystał swoje mętne układy, żeby wrobić go w tę aferę z gwałtem. Co za człowiek?! W dodatku jemu się chyba wydaje, że nic się nie stało, skoro proponuje mu mieszkanie i dalszą współpracę. Cynizm i zimna kalkulacja to jest to, czym stary kieruje się w życiu. Ten człowiek nie ma serca, jedyne, co czuje, to przemożną żądzę władzy. Nie chciał go znać.

Co więc nim kierowało? Która z tych rzeczy była siłą sprawczą jego działań? Co spowodowało, że przyjechał do Medyki i od trzech dni koczując na przejściu granicznym? A może to wszystko naraz? Wszystko po trochu? Miał mętlik w głowie. W końcu jednak, tuż przed zaśnięciem, a może już kiedy utonął w sennej malignii, jego umysł się oczyścił. Doznał jakiegoś dziwnego stanu świadomości i w tej chwili był pewny, że tylko ona się dla niego liczy.

Mira Hejko jest miłością jego życia. Jest jego przeznaczeniem. Kiedy rano się obudził, już tego nie pamiętał, ale dziwne przeświadczenie pozostało z tyłu głowy. Cały dzień o niej marzył.

- Ja ją znam.

Te słowa, wypowiedziane po polsku wyrwały go z zamyślenia i w sekundę oprzytomniał.

- Znam ją - powtórzyła łamaną polszczyzną kobieta. - Pracowała w fabryce kurczaków.

- To wiem. - Marek szedł obok wolno jadącego starego volkswagena. - Wiem też, jak się nazywa, ale nie wiem, gdzie jej szukać.

- Mira - przypomniała sobie Ukrainka. - Tak ma na imię.

- Zgadza się, Mira Hejko. - Poczul nadzieję, serce zabiło mu szybciej. - Wie pani, gdzie ona teraz jest?

- Nagroda się będzie należała?

- Tak, jeżeli pomoże mi pani ją znaleźć - potwierdził z zapalem. - Tysiąc dolarów.

- A skąd taki obdartus ma tyle pieniędzy? - Była szczerza do bólu.

- Mam, proszę się nie obawiać, to mój samochód. - Wskazał zaparkowane eleganckie BMW. - Od trzech dni w nim śpię, dlatego tak wyglądam.

Widocznie ją przekonał, bo wymieniła kilka zdań po ukraińsku ze swoim towarzyszem podróży, mężczyzną koło trzydziestki. Chwilę się kłócili, w końcu znów się do niego odwróciła.

- Muszę zatelefonować do koleżanki, poda mi adres - mówiła ciszej. - A ty nie chcesz jej aby czegoś złego zrobić?

- Nie skrzywdzę jej. - Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy. - Muszę jej coś ważnego powiedzieć.

- Pokaż pieniądze.

- Przyniosę, muszę wybrać z bankomatu i kupić dolary w kantorze. - Pokazał na budę cinkciarza. - Za pięć minut będę z powrotem.

Znów się chwilę naradzali w samochodzie. W końcu mężczyzna wyjechał z kolejki i zatrzymał samochód na poboczu, włączając światła awaryjne. Kobieta wyjęła telefon i chwilę z kimś rozmawiała.

- Mira jest blisko, piętnaście minut stąd. - Schowała do czerwonej torebki smartfona. - Ale potrzeba jeszcze drugi tysiąc dolarów.

- Piętnaście minut stąd? - Serce mało mu nie wyskoczyło z piersi. - Dobrze, pójdę po pieniądze.

Marek pobiegł do bankomatu, po drodze w telefonie sprawdził kurs dolara. W kantorze mógł być trochę inny, ale postanowił wybrać równo dziesięć tysięcy złotych, wystarczy na zakup dwóch tysięcy dolarów i na powrót do Warszawy, albo na jakiś hotel. Nie wiadomo dlaczego założył od razu, że ją ze sobą zabierze. Nie myślał w tej chwili racjonalnie, po prostu chciał ją zobaczyć i porozmawiać. Ona zrozumie, jak dużo ich łączy. Przecież jest matką jego dziecka. Szybko wybrał pieniądze, kupił walutę i wrócił na drogę, jednak samochód zniknął! Rozejrzał się spanikowany. Cholera, nie było ich! Nagle usłyszał klakson, spojrzął w tamtą stronę. Z okna volkswagena machała na niego ta sama kobieta.

- Mam pieniądze. - Wysunął z kieszeni zwitek banknotów. - Tylko musimy pojechać naszym autem, bo moje się zepsuło. Dołożę stówę.

– Niech wsiada. – Kobieta wskazała mu drzwi.

Wgramolił się na tylne siedzenie, między wielkie, kraciaste plastikowe torby. Samochód zawrócił powoli i ruszył wolnym pasem w stronę Przemysła.

## 46

Bandytów w domu Lutka już nie było. W pomieszczeniu panowała cisza, wypełniało je gęste, gorące powietrze. Słyszać było tylko brzęczenie much, kursujących od zalegającego w miednicy brudnego garnka po fasoli, do kawałka ucha, leżącego w zaschniętej na stole małej kałuży krwi. Latały jak zwariowane, jakby się im od tego dobrobytu w głowach pomieszało.

Nagle ciszę zakłóciło stłumione stuknięcie, a po nim skrzywienie starej wersalki. Siedzisko uniosło się najpierw o kilka centymetrów, a potem całkowicie otworzyło. Ze schowka na pościel wyjrzała zapłakana twarz. Mira była silną dziewczyną, ale to, co przeszła w ostatnich dniach, było ponad jej siły. Obrzuciła pokój spojrzeniem, jakby chciała umiejscowić w tej ponurej scenarii wydarzenia, których była niemym świadkiem.

Ukryta pod podłogą, słyszała dokładnie rozmowę na górze. Poznała głos Cyryła i sparaliżowana strachem trwała tam w bezruchu. Kiedy torturowali Lutka, zacisnęła powieki i zatkała dłońmi uszy z całych sił. Po ich wyjściu wpadła w histerię. Wcisnęła głowę w śpiwór i wstrząsana raz po raz spazmami płaczu dała upust tłumionym emocjom.

Dopiero potem zdobyła się na odwagę i po kilku minutach nasłuchiwania powoli otworzyła klapę i wyjrzała z kryjówki. Lutek kazał jej siedzieć cicho w schowku, bez względu na to, co się stanie. Teraz jednak prawdopodobnie nie żył i nie miała na co czekać. On już jej nie pomoże, nie przeprowadzi jej przez granicę.

Powoli wygramoliła się z wnętrza łózka, wciąż rozglądając jak zaszczute zwierzę. Lekko zgarbiona podeszła do szafy i uchyliła ją. Zamarła, bo stare drzwi zaskrzypiały przeraźliwie. Nic jednak się nie wydarzyło, nikogo dźwięki nie zaalarmowały. Dom był pusty. Sięgnęła w głąb półki i wyjęła czerwony podkoszulek. Po namyśle odłożyła go, przrzuciła kilka rzeczy i zabrała zieloną koszulę w kratę. Założyła ją na gołe ciało i wciąż skulona podeszła ostrożnie do okna. Idąc, zobaczyła wśród potłuczonych naczyń leżący na podłodze telefon Lutka. Podniosła go i schowała do kieszeni.

Wyjrzała na zewnątrz, wokoło nie było żywego ducha. Drzwi domu były otwarte, rozejrzała się po podwórku. Nie usłyszała nic oprócz śpiewu ptaków. Poczula przypływ adrenaliny, nie oglądając się za siebie, przebiegła przez dziedziniec gospodarstwa i zniknęła w krzakach wśród sosen. Pędziła przed siebie w amoku przez chwilę. W końcu jednak zatrzymała się.

Uciekając, minęła stojący na podwórku samochód. Słyszała, jak bandyci ustalali, że zamkną w nim Lutka. Walczyła ze swoim strachem. Wiedziała, że on ją uratował. Nie wydał, nawet kiedy go torturowali i była mu za to wdzięczna, ale bała się. Bardzo się bała tam wrócić. Przecież oni mogli nadejść w każdej chwili. W końcu spojrzała w niebo, odwróciła się powoli i zaczęła iść w stronę domu. Najpierw powoli, jakby jeszcze się wahała, potem coraz szybciej. Skoro podjęła już tę głupią decyzję, musiała się spieszyć. Zapukała w klapę bagażnika i

przyłożyła do niej ucho. Nic nie usłyszała, spróbowała więc jeszcze raz. Teraz z wnętrza dobiegło do niej głuche uderzenie. Było słabe, ale ewidentnie on tam był. Żywy. Nie mogła go tak zostawić, nie po tym wszystkim, co dla niej wycierpiał.

Przyjrzała się zamkowi bagażnika, po czym pobiegła do domu po nóż. Włożyła go w szparę pod bagażnikiem, ale wygiął się, a kłapa nawet nie drgnęła. Nacisnęła z całych sił, wtedy ostrze złamało się w połowie. Spróbowała podważyć kłapę siekierą, ale nie mogła wcisnąć jej w wąską szparę. Chwilę stała, szukając rozwiązania. W końcu podbiegła do domu, gdzie obok rynny stała sterta poukładanych starych cegieł z rozbiórki. Chwyciła pierwszą z brzegu, stanęła dwa kroki od samochodu i zamachnęła się. Wstrzymała w płucach powietrze, zamknęła oczy i cisnęła z całej siły w tylne okno auta. Skurczyła się w sobie, przygotowana na wycie alarmu, ale wokoło panowała teraz cisza, spotęgowana jeszcze milczeniem przestraszonych hałasem ptaków. Szyba rozprysła się w drobny mak.

Mira oczyszczała łokciem ramę okna z resztek szkła i zajrzała do środka. Próbowana otworzyć drzwi od wewnątrz, ale nic z tego nie wyszło. Centralny zamek był zablokowany. Wślizgnęła się więc do środka przez otwór, pociągnęła za uchwyt i opuściła oparcie tylnej kanapy. W słabym świetle zobaczyła leżącego w bagażniku mężczyznę. Opuściła drugą połowę oparcia i zdarła z jego głowy reklamówkę. Zapierając się nogami, chwyciła bezwładne ciało za ubranie i szarpnęła z całych sił. Nie było to łatwe zadanie i wyciągnięcie Lutka na tylną kanapę zajęło jej dobre dziesięć minut. Nie zważała jednak teraz na czas, cała jej uwaga była skupiona na ratowaniu mężczyzny. Kiedy już wydarła całego z bagażnika, sama wyszła przez okno na zewnątrz i pociągnęła go za rękę. Po chwili puściła, bo nie miała już sił. Bezwładne członki opadły. Była już bliska poddania się, bo zadanie było ponad jej siły, kiedy Lutek się poruszył. Odzyskał przytomność i powoli otworzył oczy.

– Żyjesz... – wymamrotała. – Pomóż mi, musisz mi pomóc.

Chwyciła go za ramię i przełożyła je na zewnątrz. Lutek podparł się długą ręką i powoli wysunął głowę na zewnątrz. Po kolejnych kilku szarpnięciach tułów zwiślał już poza autem. Mira chwyciła za pasek spodni, zapała się nogą o drzwi, jęknęła głośno z wysiłku i ciało wypadło wreszcie na ziemię. Osłabiony mężczyzna znów stracił świadomość. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami.

Mira zajrzała do samochodu, wydawało jej się, że w bagażniku widziała czerwone pudełko. Miała rację, wyjęła apteczkę i sprawdziła zawartość. Były tam tylko plastry i bandaże. Rany należało zdezynfekować. Pobiegła do domu, chwyciła jedną ze stojących pod ścianą butelek z ukraińską etykietą. Dla pewności odkręciła i powąchała, w środku był alkohol. Przyłożyła język do gwintu i przechyliła. Poczula ostry, palący smak. Nawet po spróbowaniu kilku kropel nie miała już wątpliwości, że to czysty spirytus.

Uklękła obok Lutka. Wciąż był nieprzytomny, ale akurat teraz było jej to na rękę. Powoli przechyliła jego głowę i przyjrzała się ranie. Miał odcięty fragment małżowiny, kawałek mięsa zwiślał bezwładnie. Zrobiło jej się niedobrze, ale powstrzymała mdłości. Chlusnęła spirytusem na otwartą ranę. Mężczyznę wstrząsnął ból, syknął i próbował sięgnąć do ucha brudną ręką, ale powstrzymała go w porę. Cierpienie wróciło mu znów przytomność. Patrzył na nią wilgotnymi, przekrwionymi oczami. Mira polała teraz włosy wokoło, żeby obmyć okolicę rany.

Podtrzymała udem szyję leżącego i opatrzyła głowę wyjętym z apteczki bandażem. Potem to samo zrobiła z ranną od noża dłonią. Na szczęście nie miała uszkodzonych ścięgien.

Mężczyzna spróbował się dźwignąć i przy jej pomocy usiadł, opierając się o koło samochodu. Spojrzał jej w oczy, potem na butelkę i bez słowa wyciągnął rękę. Podała mu spirytus. Pociągnął spory łyk, ale krztusząc się, wypluł alkohol. Chwilę kasłał, po czym znów przechylił i teraz już przełknął sporą porcję.

– Jak się czujesz? – Mira wciąż przy nim klęczała.

– Która godzina?

– Nie wiem. – Rozejrzała się. – Pewnie koło ósmej, bo już wieczór się robi.

– Pomóż mi wstać. – Ledwo uniósł lewą rękę.

W kucki wsunęła się pod jego ramię i wspólnym olbrzymim wysiłkiem postawili go na nogi. Rzeński, wieczorny wiatr schłodził mu twarz.

– Daj jeszcze łyka.

Podawała mu całą butelkę.

Wypił i spojrzał na nią, już bardziej przytomnym wzrokiem.

– Musisz uciekać – westchnął. – Bo oni tu wrócą.

– Kiedy? – Zadrżała.

– Jak psy znajdują twoją koszulkę, którą wyniosłem nad jezioro dla zmylenia tropu. – Wypił resztkę spirytusu i wyrzucił fiaskę. – Zorientują się, że to oszustwo i wrócą.

– Możesz iść?

– Nie na tyle szybko, żeby nam się udało.

– To co zrobimy? – Nie miała zamiaru go tu samego zostawić.

Nie po tym, co dla niej zrobił. Teraz, kiedy go opatrzyła i spojrzała mu w oczy, stał się jej naprawdę bliski. Porzuciłaby go na pewną śmierć. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, co w zemście by mu zrobili. Lutek też nie chciał umierać.

– W szopie jest motor. – Wskazał palcem kierunek. – Nie powinno być zamknięte.

Na skoblu wisiała otwarta kłódka. Mira pociągnęła drewniane drzwiczki i zajrzała do wnętrza szopy. Stał tam oparty o ścianę motorower starego typu. Pochwyciła go i powoli wyprowadziła na zewnątrz. Leciwy simson musiał być regularnie używany, bo części były nasmarowane i nigdzie nie było widać rdzy.

– Umiesz jeździć na motorze?

– Nie.

– A na rowerze?

– Tak.

– To tak samo. – Przekręcił kluczyk, który cały czas znajdował się w stacyjce. – Musisz kopnikiem zapalić, ja nie mam siły. Przekręć najpierw ssanie, ten kranik. Tam.

Przytrzymał zdrową ręką kierownicę, odchylając jednocześnie manetkę gazu, a ona z całej siły naparła na wystającą wajchę. Kopnik z impetem opadł w dół i silnik zaskoczył za pierwszym razem, Lutek uśmiechnął się, dziewczyna była sprytna. To dobrze wróżyło ich desperackiej ucieczce. Przez ułamek sekundy uwierzył nawet, że im się uda.

Alicja postanowiła dziś odwiedzić dom Lutosaława Szypuły. Coś z tyłu głowy mówiło jej, że nie jest to mądre posunięcie, ale cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Nic jej tak nie męczyło jak siedzenie z założonymi rękoma.

Olek poczuł się już lepiej i nie dał się dłużej zatrzymać w łóżku, więc ręce miała wolne. Rano ubrał się i poszedł do pracy. Nie mogła cały dzień za nim łączyć, postanowiła więc zrobić rekonesans podejrzanego miejsca. Miała zamiar tylko tamtędy przejechać i rzucić okiem, bez robienia zbędnego zamieszania. Próbowwała zresztą skonsultować to z Borkiem, ale nie odbierał od rana telefonu. Wczoraj po południu zakomunikował jej, że numery aparatów braci Dunin są poza zasięgiem. Zapewnił jednak, że wyznaczony policjant cały czas monitoruje sytuację i jeżeli tylko ich komórki połączą się z siecią, natychmiast bandytów namierzą i aresztują.

Jechała teraz wąską, asfaltową drogą, malowniczo wijącą się wśród pól i lasów. Z tej strony jeziora praktycznie nie było już żadnych miejscowości, letnicy też się tu nie zapuszczali, więc od ostatniego skrzyżowania nie napotkała żywego ducha.

Wyłączyła klimatyzację i uchyliła szybę, chciała poczuć urok tego słonecznego poranka wszystkimi zmysłami. Nie było jeszcze dziewiętej, więc do wnętrza samochodu wpadało rześkie powietrze, a wraz z nim odgłosy świerszczy, dochodzące z kołyszących się za rowem łąnów żyta. Wśród zboża wykwitwały gdzieniegdzie czerwone maki, nadając scenerii bajkowego charakteru. Pomyślała sobie, że jak to wszystko się już skończy, to przywiezie Olka w to miejsce, weźmie za rękę i poprowadzi przed siebie. Położą się w zbożu na plecach, trochę oddaleni od siebie, ale nie za daleko, tak żeby się mogli dotykać palcami i będą patrzeć w niebo. Jej włosy się rozsypią, a słońce będzie ich oboje laskotać po nosach. Przeleci biały motyl. Alicja wyciągnie rękę, ale on nie przysiądzie na niej, bo to by było zbyt kiczowate. Po prostu przefrunie i tyle. Będą tak leżeć, a potem się znudzą tym patrzaniem, ona wtuli się w niego i zasną.

Nagle szarpnęła kierownicą, bo koła zjechały z asfaltu na nierówne, wąskie poboczne. O mało nie wpadła do rowu. Wyprostowała się na fotelu i skupiła na drodze. Sama nie wiedziała, czy tak się zamysliła, czy przysnęła. Spojrzała na nawigację, do celu pozostało około trzech kilometrów. Wtem zobaczyła w oddali niebieski samochód. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną nad głową, aby móc się lepiej przyjrzeć. Teraz nie miała wątpliwości, to był radiowóz ustawiony w poprzek drogi. Obok stał policjant z uniesionym lizakiem. Kiedy zbliżyła się dostatecznie blisko, okazało się, że to była policjantka, a dokładniej rzecz ujmując, sierżant Maryla Stawska z posterunku w Polańczyku. Alicja rozpoznała ją, zatrzymała się dwa metry przed policyjnym samochodem i wysiadła z auta.

– A co ty tu robisz? – Była zaskoczona widokiem dziewczyny. – Stało się coś?

– Dzień dobry, pani komisarz. – Miały okazję się trochę poznać po wypadku Wilgi. – Mam nikogo nie przepuszczać dalej.

– Dlaczego?

– Komisarz Borek namierzył tych bandytów w pobliskim domu i kazał zamknąć ruch.

– I co? Tylko we dwoje? – Komisarz Romska się ożywiła. – Długo to już trwa?

– Nic się jeszcze nie dzieje. – Pokręciła głową. – Komisarz Borek tylko obserwuje dom, żeby nie uciekli. Czeką na oddział antyterrorystów z Rzeszowa.

– Sam tam teraz jest?

– Tak.

– Masz broń? – Romska zostawiła swojego służbowego walthera w domu w Krakowie. – Drugą sztukę?

– Jest strzelba w radiowozie.

– Daj.

– No nie wiem... – Marylka otworzyła bagażnik, ale zawahała się. Nie mogła sobie przypomnieć w tej chwili procedury, więc nie była pewna, w jakiej sytuacji może udostępnić broń innemu policjantowi, nawet wyższemu rangą. Nie chciała kłopotów. – Może poczekajmy na tych z Rzeszowa?

– Posłuchaj, dziewczyno. – Alicja zdjęła już kurtkę, związała włosy i bez pytania sięgnęła do bagażnika po leżącą tam kamizelkę kuloodporną. – To są bardzo groźni bandyci, nie zostawię komisarza Borka samego. Jeżeli nic się nie stanie, to nic nikomu nawet nie wspomnimy.

– A jeżeli coś się stanie? – Sierżant mimo młodego wieku znała życie i wiedziała, że jeżeli może wydarzyć się coś złego, to pewnie się wydarzy. Zasada ta obowiązywała zwłaszcza w ich robocie.

– Co wtedy będziesz wołała? – Romska przerzuciła szelki przez głowę. – Pisać raport z użyczenia broni, czy ze śmierci policjanta?

Marylka nie odpowiedziała na retoryczne pytanie, wyjęła strzelbę z uchwytu w bagażniku i podała ją Romskiej. Alicja przekreśliła broń, wyjęła naboje z przyczepionego z boku plastikowego zasobnika i załadowała wszystkie do magazynka. Obie stały w napięciu, któremu towarzyszyła cisza. Każdy kolejny nabój znikając w komorze, wydawał ciche kliknięcie, co przypominało odliczanie przed rozpoczęciem niebezpiecznej misji. W końcu Romska uniosła broń, przesunęła chwyt przedni umieszczony pod spodem karabinu, przeładowując pierwszy nabój, i kliknęła bezpiecznik, blokując przed przypadkowym użyciem broń. Była gotowa.

– Jak się porozumiewacie?

– Komisarz zabronił używać krótkofalówki, żeby go nie zdradził dźwięk. – Marylka spojrzała w stronę zakrętu, po prawej stronie wzdłuż drogi rósł las. – Poszedł tą stroną. Kazał przekazać tym z oddziału, jak przyjadą, że ukryje się za drzewami naprzeciwko wjazdu na posesję. Tu mają zostawić samochód.

– Przeparkuj moje auto z drogi. – Rzuciła kluczyki sierżant Stawskiej, bo nie chciała już tracić czasu.

Sama przeskoczyła przez niewielki rów i lekko pochylona, truchtem wbiegła do lasu. Trzymała się kilkanaście metrów od drogi, szła rozglądając się w poszukiwaniu Borka. Choć bandyci byli w oddalonym domu po drugiej stronie jezdni, starała się nie robić hałasu. W pewnej chwili zobaczyła leżącą postać, komisarz przez lornetkę obserwował podwórko, na którym stało czarne audi. Podeszła powoli, żeby go nie wystraszyć, wówczas mógł zareagować



nerwowo. Spodziewał się co prawda policjantów z oddziału antyterrorystycznego, ale w stresie mógł zachować się gwałtownie.

- Cześć – powiedziała spokojnym głosem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Co ty tu, kurwa, robisz? – Odwrócił się i zastął w bezruchu.

- Też się cieszę, że cię widzę.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Przypadek. – Kucnęła koło niego. – Poczekam tu z tobą, żeby nie było dwóch na jednego.

Chwilę się jej przyglądał, analizując sytuację. W końcu jego spojrzenie złagodniało. Podał jej lornetkę, Romska odwróciła się w stronę posesji i przyłożyła ją do oczu.

- Przed domem stoi ich auto, oni są w środku – komentował na bieżąco to, co obserwowała. – Nocowali tu, ale ten baran, który sprawdzał logowania, zadzwonił dopiero rano, bo nie chciał mnie obudzić! Debil. Mogliśmy ich zawiązać o świcie, kiedy jeszcze spali, a teraz pewnie trzeba będzie się strzelać. Czarni z Rzeszowa już jadą, powinni być najdalej za godzinę. Będą mieli papiery od prokuratora.

- W porządku. – Oddała mu lornetkę. – Poczekamy.

Dobre kilka minut leżeli w krępującej ciszy, Borek obserwował posesję. Alicja zawzięta się w sobie i postanowiła nie odzywać się pierwsza. W końcu on przerwał milczenie.

- To prawdziwe skurwysyny. – Odczekał chwilę i spojrzał jej w oczy. – Jeżeli będzie gorąco, nie wahaj się.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz – powiedział zimnym, stalowym głosem. – Jeżeli chcesz tam ze mną wejść, to celuj w głowy.

Nie odezwała się. Wiedziała, że Borek nie chce ich aresztować. Domyśliła się, że chce zemsty. Wyglądało na to, że nie darował im śmierci partnera i postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość.

## 48

Stanisław Sękuł długo tłumaczył coś eleganckiemu mężczyźnie, stojąc przed drzwiami kancelarii notarialnej. W końcu zaśmiał się nieszczerze i podszedł do czekającego kilkanaście metrów z boku Marka.

- Po coś tu przyszedł?! – Jego twarz przybrała surowy wyraz. – Mówiłem ci, że sam wszystko załatwię. I jak ty wyglądasz? Jak ostatni menel. Wstyd mi tylko przynosisz. Kto ci tak mordę obił? Zresztą nieważne. Jak jesteś głupi, to już twoja sprawa.

- Poczekam tu na ciebie. – Szulc zignorował wszystkie jego pretensje i zaciągnął się papierosem.

- A na chuj ty będziesz na mnie czekał?! – Wysyczał stary przez zęby. – Powiedziałem ci, że żadnych pieniędzy nie dostaniesz. I radzę ci, uważaj, bo już cię wymeldowałem i jak mnie

wkurwisz, to jeszcze dziś wylądujesz w kartonie pod mostem. Zresztą, jak tak na ciebie patrzę, to widzę, że już ci niewiele brakuje.

– Poczekał – powtórzył Szulc, patrząc mu spokojnie w oczy.

– Widzę, że źle cię ocenilem. – Stary próbował się uspokoić, choć swoim stoickim zachowaniem zięć działał mu wybitnie na nerwy. – Myślałem, że ty jesteś coś wart. Dałem ci dobrą robotę, a ty wszystko spierdoliłeś. Nie dziwię się, że Julka cię zostawiła. Wcześniej, nawet przez chwilę było mi cię żal, ale teraz jestem zdania, że dobrze zrobiła.

– Idź już, bo się spóźnisz – Marek spokojnie przydeptał niedopałek.

Sękuł spojrział na zegarek, rzeczywiście powinni już wejść do kancelarii, notariusz czekał na nich od kilku minut. Spojrział na zięcia z nienawiścią, zaczesał obiema dłońmi włosy do tyłu, żeby uspokoić nerwy, i na jego twarzy, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znów zagościł uśmiech. Energicznym krokiem podszedł do mężczyzny, który czekał na niego, wymownie stukając palcem w zegarek. Widać sytuacja lekko go zaniepokoiła, bo wskazał ruchem głowy w stronę Szulca. Sękuł wziął eleganta delikatnie pod ramię i machnął ręką lekceważąco, po czym lekko popchnął mężczyznę w stronę dużych, dębowych drzwi. Marek odprowadził ich wzrokiem. Sięgnął do kieszeni po pomietą paczkę papierosów, wyjął z niej ostatnią sztukę i znów zapalił.

Skrzywił się. Dostał te cygarety jeszcze na granicy w Medyce, od jakiegoś Ukraińca. Przemyczone marlboro były najpewniej podrabiane, bo smakowały jak siano wymieszane z krowim łajnem. Darowanemu koniowi się jednak w zęby nie zagląda. Na granicy nie mógł sobie normalnych kupić w kiosku, bo nie miał za co. Ludzie, którzy zaoferowali mu pomoc w odnalezieniu Miry, okazali się oszustami. Już wsiadając do samochodu, miał co do ich zamiarów poważne wątpliwości, nie posłuchał jednak głosu rozsądku. Jego podejrzenia nasiliły się jeszcze podczas jazdy, bo kobieta unikała rozmowy o poszukiwanej dziewczynie. W końcu kazała kierowcy zatrzymać się na leśnym parkingu, informując go, że musi za potrzebą. Marek przeczuwając, że za chwilę może zdarzyć się coś złego, postanowił wykorzystać ten moment i uciec. Nie zdążył jednak, bo kiedy tylko wysiadł z samochodu, dostał potężny cios w skroń. To jedno uderzenie wystarczyło, żeby padł na ziemię. Kilka kopniaków w brzuch i plecy pozbawiło go tchu i resztek chęci stawiania jakiegokolwiek oporu. Dwaj obcy mężczyźni stali nad nim, jeden splunął i wspomniął coś po ukraińsku o Berezie, bardziej chyba, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia niż z patriotycznych pobudek. Kobieta tymczasem, rozglądając się nerwowo wyjęła z jednej kieszeni spodni leżące zwitki dolarów, a z drugiej portfel. Po krótkiej wymianie zdań, zabrali mu też telefon, ale zostawili dokumenty.

Kilka minut zajęło Markowi dojście do siebie, a kiedy się wreszcie podniósł, po napastnikach nie było już śladu. Chwilę stał na poboczu drogi, próbując zatrzymać któryś z jadących samochodów, ale kierowcy omijali go drugim pasem i dodawali gazu. W końcu zdesperowany stanął na środku drogi z uniesionymi rękoma, a kiedy zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka, zamknął oczy i czekał. TIR z piskiem opon zatrzymał się kilka metrów przed nim. Kierowca wyskoczył z kabiny i zaczął wymachiwać mu nad głową wielkim, stalowym kluczem. W końcu, kiedy już obrzucił Szulca wszystkimi znanymi mu wyzwiskami, pozwolił opowiedzieć, co się stało. Ulitował się i podrzucił go z powrotem na granicę. Szulc nie zgłosił napadu na policji. Zatrzymaliby go i wypytywali o wszystko, a tamtych i tak by nie złapali, bo

pewnie pojechali na inne przejście graniczne. Poprosił tylko o pomoc celnika i ten zadzwonił po autolawetę. Kierowca zjawił się swoim specjalistycznym pojazdem po godzinie. Co prawda wygląd klienta nie wzbudził w nim entuzjazmu, ale kiedy zobaczył, jaki samochód ma transportować, zgodził się bez większego problemu. Ustalili stawkę za transport samochodu do Warszawy i od razu wyruszyli w drogę. Facet trochę kręcił nosem, kiedy Marek oznajmił mu, że ukradli mu karty i po pieniądze muszą pojechać do banku, ale w końcu dał się przekonać. Szulc wybrał w oddziale w Rzeszowie środki i wręczył mu od razu całą sumę. Wieczorem dojechali do stolicy.

Na następny dzień była wyznaczona data podpisania aktu notarialnego sprzedaży apartamentu. Marek zjawił się w kancelarii pół godziny przed transakcją. A teraz był w środku jego teść ze świeżo narajonym kupcem.

– Tu są zaświadczenia wybrane z urzędu i oryginały pełnomocnictw do reprezentowania przeze mnie córki i zięcia. – Sękul położył plik kartek na biurku notariusza. – Kopie wysłała mailem w zeszłym tygodniu moja sekretarka.

Usiadł teraz obok kupującego, a ten kiwnął głową z aprobatą. Notariusz rzucił okiem na dokumentację, zaznaczył coś w swoich notatkach i wyprostował się, co oznaczało, że przystępuje do rozpoczęcia czynności.

– Wszystkie wymagane dokumenty są w porządku.

– Obaj mężczyźni mający za chwilę dokonać transakcji uśmiechnęli się na te słowa. – Tylko, że w mieszkaniu wciąż jest zameldowana osoba.

– Nie. – Lekko zirytowany niekompetencją, jak mu się zdawało, notariusza Sękul, wskazał palcem na jego biurko. – Tam jest zaświadczenie, że nikt nie jest zameldowany. Osobiście wymeldowałem oboje państwa Szulców.

Ostatnie zdanie powiedział, już patrząc na kupującego, chcąc go dodatkowo uspokoić.

– Zgadza się. – Notariusz ujął w prawą dłoń zaświadczenie z urzędu meldunkowego, po czym spojrzął na dokument, który trzymał cały czas w lewej ręce. – Ale ja mam tutaj świeże zaświadczenie, z dzisiejszą datą, i jest zameldowana jedna osoba.

– Zaraz to załatwię. – Sękul aż pokraśniał na twarzy i wstał z krzesła. – Poproszę tutaj zięcia i oświadczy, że zaraz pojedzie się wymeldować. Zanim skończy pan czytać akt, on dostarczy konieczne zaświadczenie.

– Tylko że to nie on jest zameldowany. – Słowa rejenta zatrzymały starego w drzwiach.

– A kto?

– Niejaka Mira Hejko, obywatelka Ukrainy.

– Co?!

– Pan Szulc zameldował tę panią w przedmiotowym lokalu dziś rano.

Marek wciąż czekał na teścia, nie zdążył nawet wypalić papierosa, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i z budynku kancelarii wyszedł elegancki mężczyzna, a za nim wybiegł Sękul.

– Nieładnie, Stanisławie. – Elegant pokiwał mu palcem przed oczami. – Chciałeś nas oszukać? Z Ukraińcami mieszkanie sprzedać. To nie po katolicyku.

– Ale, Tadius, Bóg mi świadkiem!

- Boga niech Stanisław do swoich machlojek nie miesza - przerwał mu. - I pozostaniemy przy oficjalnej formie.

Jutro na koncie diecezji chcę zobaczyć zadatek z powrotem, ma się rozumieć podwójnej wysokości, zgodnie z zapisami umowy przedwstępnej.

- Jutro wszystko będzie wyprostowane - próbował ratować sytuację stary. - Będzie mógł ksiądz prałat podpisać umowę.

- Jutro to już musi Stanisław innego kupca znaleźć. - Kierowca otworzył przed nim drzwi czarnego samochodu.

Stary odprowadził wzrokiem auto, odwrócił się na pięcie i podszedł energicznym krokiem do zięcia.

- Co ty, kurwa, odpierdalasz?! - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Pożałujesz tego.

- Nie zastraszysz mnie. - Szulc stał wyprostowany i patrzył na niego z góry. - Jeżeli chcesz wymeldować tę dziewczynę, to musisz ją znaleźć.

- Mylisz się. - Patrzył na niego zimno. - Notariusz powiedział, że mogę ją wymeldować administracyjnie.

- Powiedział też pewnie, że to będzie bardzo czasochłonne i skomplikowane. - Był spokojny, bo dokładnie dowiedział się w urzędzie, jak wygląda procedura. - Bez obecności dziewczyny wymaga to orzeczenia przez sąd. A nawet jeżeli ci się w końcu uda, to jeszcze tego samego dnia znowu ją zamelduję. I tak do usranej śmierci. A filmik możesz nawet w tej waszej telewizji puścić, mam to w dupie.

Chwilę trwali w niemej konfrontacji. W końcu Sękul zrozumiał, że przegrał tę rozgrywkę. Nie miał na niego żadnego haka, nie mógł go w żaden sposób już szantażować, ponieważ Szulcowi na niczym już nie zależało. Z takim przeciwnikiem swoimi brudnymi metodami nie wygra.

## 49

Ostatnie dwa kilometry pokonali pieszo przez las, w zupełnych ciemnościach. Motorower ukryli w zaroślach przy drodze, przykrywając gałęziami. Oboje słaniali się na nogach z wycieńczenia, bo Mira cały czas podtrzymywała rannego mężczyznę. W końcu, tak jak zapowiadał Szypuła, dotarli do starej, drewnianej szopy. Ledwo żywi, podrapani gałęziami, stanęli przed zbitymi z desek drzwiami.

- Na tamtym drzewie wisi na gwoździu klucz. - Wskazał rosnącą nieopodal sosnę. - Z tyłu.

Do środka pierwszy wszedł Lutek. Włączył wiszącą pod sufitem elektryczną latarkę na baterie i słaba poświata wypełniła pomieszczenie. Mężczyzna ocieżale podszedł do kąta, gdzie stało połowe łóżko i usiadł na nim ciężko.

- Musimy tu przeczekać do jutra - powoli oparł się o ścianę, krzywiąc z bólu. - Jutro na granicy mój kolega ma drugą zmianę, to cię przepuści na ukraińską stronę.

Mira wysłuchiwała go bez słowa. Rozejrzała się po szopie, była bardzo skromnie, ale praktycznie urządzona. Oprócz połówki znajdował się tu mały stolik z jednym krzesłem, a pod

ścianą na nieheblowanym, sosnowym regale stała turystyczna butla gazowa. Obok niej menażka i czajnik. Mira podeszła do prowizorycznego aneksu kuchennego.

- W pudełku pod spodem jest schowane jedzenie. - Szypuła wodził za nią wzrokiem. - Żeby myszy nie zjadły. Dziewczyna zaglądała do stojącego obok pięciolitrowej bańki z wodą plastikowego pojemnika. Wyjęła słoik z flakami i bochenek czerstwego chleba. Bez słowa odpaliła małą, gazową butlę zapalarką na baterie i zabrała się do przygotowywania posiłku.

- Tam w skrzynce powinna być też napoczęta butelka. - Położył się powoli na łóżku, z ulgą opierając głowę na poduszce. - I papierosy.

- Zjedz coś najpierw.

- Daj, jak mówię.

- Nie pij dużo, tylko na ból. - Podała mu flaszkę i papierosy. - I musisz coś zjeść, żebyś miał jutro siłę iść.

- Nie bój się, dam radę. - Upił prosto z butelki. - Stąd do granicy są tylko dwa kilometry.

- Nie możemy teraz przejść? - Głos łamał jej się ze wzruszenia. - Tak blisko do domu.

- Blisko i daleko. Polscy strażnicy cię namierzą, jak tylko wleziesz do strefy przygranicznej, i zgarną, zanim zdążysz dojść do swoich. - Szypuła wyjął papierosa z paczki i podał go dziewczynie. - Przypał mi od kuchenki.

Mira przeszła przez pomieszczenie, nachyliła się i odpaliła. Wypuściła chmurę dymu, krztusząc się, bo niechcący się zaciągnęła, i oddała Lutkowi. Ten sztachnął się z lubością i pociągnął łyk wódki. Dziewczyna wróciła do przygotowywania jedzenia. Zamieszała flaki w menażce, były już gorące. Zakręciła się po szopie i przystawiła krzesło do łóżka. Postawiła na nim menażkę z zupą i podała Lutkowi łyżkę. Musieli posilić się po kolei, bo schronienie Szypuła użytkował sam i wszystko tu było pojedyncze, sztućce też.

- Odlej trochę flaków z powrotem do słoika dla siebie - powiedział.

- Jest drugi słoik, jedz. - Przsunęła bliżej krzesło. - Nie znajduj nas tu?

- Chyba nie. - Siorbnął głośno, bo było gorące. - Pewnie szukają cię w okolicy mojego domu, a my jesteśmy o dziesięć kilometrów dalej.

- A jak zauważą, że nie ma ciebie i motoroweru?

- Pomyślą, że uciekłem. - Znow nabrał zupy. - Ale mnie na razie nie będą ściagać, na to mają czas. Ciebie będą najpierw szukać, a nie przyjdzie im do głowy, że jesteśmy razem.

- Co zrobisz potem? - Patrzyła na niego z wdzięcznością. - Nie możesz wrócić do domu.

- Wyjadę, do Włoch. - Ugryzł kawałek chleba. - Do żony i córki.

- Masz żonę i córkę?

- Mam. - Patrzył teraz w menażkę, jakby mógł z mętnej zupy odczytać swoją przyszłość. - Jola jest mniej więcej w twoim wieku. Mam nadzieję, że córka mnie pamięta, a żona stare grzechy zapomniiała.

- Każdy ma prawo do drugiej szansy w życiu.

- Nie mądruj się. - Oddał jej puste naczynie. - Tylko nastaw wodę, napijemy się kawy.

Wstała i zrobiła, co kazał. Przetarła menażkę starą gąbką, oplukała wodą i wlała trochę flaków z drugiego słoika. Wsypała do jedynego kubka kawę z puszki i czekała na wrzątek.

- Sprawdzalam po drodze, ale nie ma tu zasięgu. - Odkrecila zawór gazu i zwiększyła płomień. - Moglibyśmy zadzwonić na policję.

- Masz telefon?

- Twój. - Wyjęła z kieszeni aparat i podała mu. - Znalazłam w domu na podłodze.

- Mało baterii. Jak wyjdiesz z domu, skręć od razu w prawo i idź aż do zagajnika dębów. Potem dalej prosto, ale już cały czas sprawdzaj sieć. Powinien pojawić się zasięg. Masz tylko minutę. Nie możesz tam być dłużej, musisz wyjść ze strefy przygranicznej, bo namierzą cię wojskowi i przyjadą tutaj.

- Co powieście policji? - Ożywiła się. - Gdzie teraz jesteśmy? - Wzięła od niego z powrotem telefon.

- Nie dzwoń na policję. - Zmarszczył czoło i pokręcił głową. - Cyryl ma z policją układ. Jeszcze dzisiaj trafiłabyś z powrotem do domu dla ciężarnych, a ja do piachu.

- To do kogo zadzwonić?

- Zadzwoń do domu i powiedz, że jutro będziesz we wsi Łopuszka, niedaleko Starego Sambora. - Patrzył na nią smutnym wzrokiem. - Gdzie mieszkają twoi rodzice?

- W Kozenach, to wieś niedaleko Kijowa.

- Niech ojciec nie dzwoni na waszą policję. Tam też mogą mieć swoich. Oni wszędzie korumpują albo pieniędzmi, albo znajdują haka i zmuszą uczciwego człowieka do współpracy.

- Na ciebie też mieli haka?

- Nie. - Uśmiechnął się gorzko. - Ja byłem głupi i chciwy.

Nie męczyła go dłużej pytaniami, zostawiła samego pogrążonego we wspomnieniach. Otworzyła drzwi, zatrzymała się na progu i rozejrzała wokół. W lesie panował mrok. Przełknęła ślinę.

- Weź lampę. - Szypuła wskazał na wiszące pod sufitem światelko. - Mnie niepotrzebna, prześpię się.

Mira podstawiła krzesło, weszła na nie i zdjęła z przymocowanego do belki haczyka latarkę. Wyszła na zewnątrz, zgodnie z instrukcją od razu skręciła w prawo i szła przed siebie, wypatrując dębów. Maszerowała szybkim krokiem, ale w miarę, jak oddalała się od domu, zwalniała. Dopadły ją wątpliwości. Co powie rodzicom? Co oni powiedzą? Czy jeszcze będą chcieli ją znać? Oszukała ich, nie powiedziała, że wyjeżdża, a kiedy zadzwoniła pierwszy raz z Polski, ojciec rzucił słuchawkę. Rozmawiała potem kilka razy z mamą, ale ona też była zła i nie chciała słuchać wymyślonych przez Mirę opowieści o ciekawej pracy i wysokich zarobkach. Córnka nie mówiła jej prawdy, bo najzwyczajniej w świecie wstydziała się swojej głupoty. Nie chciała też, żeby znów wyszło, że to oni mieli rację. Była dorosła i sama podjęła decyzję. Najgłupszą w swoim życiu.

W słabym, rozproszonym świetle lampki zobaczyła kilka rosnących obok siebie drzew. Podeszła bliżej i rozpoznała liście dębu. Minęła je i wyjęła z kieszeni telefon. Szła dalej, spoglądając na bladezielony wyświetlacz. Potknęła się i wyrzuciła, w ostatniej chwili podpierając rękoma. Komórka wypadła jej z dłoni. Przerzucała teraz liście bliska płaczu, klnąc pod nosem. W końcu wyczuła prostokątny kształt i podniosła zgubę. Spojrzała na wyświetlacz, stwierdziła z ulgą, że aparat działał. Pojawiła się nawet pierwsza kreska, informująca o

połączeniu telefonu z siecią komórkową. Mira sprawdziła numer i szła dalej, spoglądając cały czas na ekran. Pokazała się druga kreska, wprowadziła numer i w nocnej ciszy usłyszała sygnał połączenia. Serce waliło jej teraz jak młotem, poczuła suchość w ustach.

- Halo. - W słuchawce zabrzmiał spokojny, męski głos.

Oczy zaszyły jej łzami, coś ścisnęło gardło. Przyłożyła dłoń do ust, kucnęła i wstrząsana niemym szlochem nie mogła wydusić z siebie słowa. To był jej ojciec.

- Halo!

Chciała już się odezwać, pożalić, ale nie zdążyła, bo usłyszała szybki, przerywany sygnał. Ojciec rozłączył się. Upadła na kolana i płakała teraz głośno, jak mała dziewczynka, przepełniona poczuciem wielkiej krzywdy, która ją spotkała. Łzy płynęły po jej policzkach, a ona wycierała je brudnymi rękoma. Nagle telefon zawibrował jej w dłoni. Przez łzy zobaczyła znajomy numer.

- Kto to dzwonił? - Głos ojca brzmiał surowo. - Żarty sobie po nocy robisz?

- Tato...

Na chwilę po obu stronach zapanowała pełna wyczekiwania cisza.

- Mira?

- Tato, przepraszam...

- Córeczko. - Głos mu się łamał. - Gdzie ty jesteś?!

- Przepraszam... - Wzruszona do granic możliwości, znów rozplakała się na dobre.

- Powiedz mi, gdzie jesteś? - Ojciec odzyskał przytomność umysłu. - Jesteś cała? Podaj adres, gdzie jesteś? Wszyscy cię szukamy! W fabryce powiedzieli, że uciekaś z jakimś chłopakiem!

- Jestem jeszcze w Polsce.

- Nic ci nie jest? - Głos też mu się łamał od nadmiaru emocji. - Powiedz mi, gdzie jesteś?!

- Jutro będę już w Ukrainie, we wsi Łopuszki koło Starego Sambora - szlochała. - To tuż przy granicy.

- Zaraz wsiadam w samochód i jadę po ciebie - mówił szybko. - Kochana, czekaj tam na mnie i nigdzie się nie ruszaj! I odbieraj telefon!

- Dobrze, tato. - Łzy wciąż płynęły po jej twarzy. - Muszę kończyć.

- Miroczka... - Głos drżał mu z niepokoju. - Wszystko będzie dobrze. Już teraz wszystko będzie dobrze, córeczko!

- Wiem, tato. - Uśmiechnęła się do niego. - Do zobaczenia. Kocham was.

## 50

Policjanci wciąż obserwowali posesję z ukrycia, kiedy drzwi domu otworzyły się nagle i na ganek stanął Kozak. Borek odruchowo zniżył głowę i czekał w napięciu na rozwój wypadków. Alicja chciała przyjrzeć się gangsterowi przez lornetkę, ale komisarz w porę ją powstrzymał, chwytając za rękę.

- Uważaj, pod słońce jest - wyszeptał. - Mogą się promienie odbić od szkielek i nas zauważą.

Nie odezwała się, ale przyznała mu słuszność i zgaśniła się w myślach za nieroztropność i brak profesjonalizmu. Mimo że mieli ten sam stopień, to takie drobne rzeczy ustalały w tej chwili hierarchię w ich duecie. Czekala więc na jego decyzję. Poza tym to w końcu było jego śledztwo.

- Kurwa - szepnął. Wciąż obserwował podwórko, Kozak kręcił się teraz koło samochodu. - Chyba się zbierają.

- Jeżeli wyjadą, to natknął się na radiowóz. - Alicja obawiała się o pozostawioną na drodze policjantkę. - Dziewczyna sama nie da sobie rady.

- I stracimy przewagę wynikającą z zaskoczenia.

- To co robimy?

- Jak wejdzie do domu, to ruszamy.

Nie była pewna, czy to dobra decyzja. Pytając, raczej spodziewała się taktycznego odwrotu. Ich dwoje przeciwko tym uzbrojonym typom, to było bardzo ryzykowne posunięcie. Na dodatek nie mieli pewności, że bracia są sami, bo przecież mogli przyjechać z obstawą. Nie zdziwiłaby się też, jakby wyciągnęli z bagażnika kałachy, jak podczas zabójstwa Sowcy. Jeśli bandyci mają broń maszynową, to będzie po nich. Kamizelka nie na wiele się zda.

- Na pewno są tam tylko oni dwaj?

- Tak, zawsze pracują tylko we dwóch. - Spojrzał na Romską, wyczuwając targające nią wątpliwości. - Możesz tu zostać, będziesz obstawiać drogę, żeby nie uciekli.

- Nie - ucięła krótko. - Idę z tobą.

Nawet nie miał kamizelki. Chciała już coś na ten temat wspomnieć, ale darowała sobie. Domyślała się jego reakcji, znowu wyszłaby na tchórza, o on na twardziela. Musiała zresztą przyznać, że facet ma charakter i odwagę.

- Chyba wraca do środka. - Borek odpiął kaburę, wyjął broń i powoli odbezpieczył. - Przygotuj się.

Rzeczywiście Kozak wrzucił na tylne siedzenie samochodu ostatnią torbę, zatrzasnął drzwi auta i powoli poczłapał w stronę domu. Nie czekali dłużej, bo każda sekunda mogła być na wagę życia. Kiedy tylko zniknął w środku, przebiegli skuleni przez drogę i ukryli się za krzakiem bzu, obok bramki. Borek wychylił się, nacisnął rozchybotaną klamkę i ostrożnie otworzył furtkę. Nie stawiała oporu. Przemierzył kilka metrów i przylgnął plecami do ściany domu. Alicja była tuż za nim. Powoli przesuwali się teraz po ścianie. Mijając okno, przykucnęli, żeby nie zdradzić swojej obecności. Borek wskoczył na ganek i podał rękę Alicji. Ta zignorowała jego pomoc, sprawnie wspięła się na najwyższy schodek i ustawiła po drugiej stronie drzwi.

- Na trzy - wyszeptał.

Romska skinęła głową, wzięła głęboki wdech i odbezpieczyła strzelbę. Borek zdążył doliczyć do dwóch, kiedy ku ich kompletnemu zaskoczeniu drzwi domu nagle otworzyły się i wyszła z niego młoda kobieta w zaawansowanej ciąży. Komisarz nie stracił zimnej krwi. Momentalnie znalazł się za jej plecami, chwycił ją mocno za szyję i zatkał usta dłonią. Alicja delikatnie zamknęła wejście, żeby siedzący w środku nie usłyszeli szamotaniny.



- Nie krzycz. - Borek oddychał płytko. - Jesteśmy z policji, nic ci nie zrobimy.

Przeżrana dziewczyna zastygła w bezruchu z wytrzeszczonymi oczyma.

- Rozumiesz po polsku? - Alicja przysunęła do niej twarz, pokazując jednocześnie służbową blachę. - Będziesz cicho?

Młoda Ukrainka pokiwała głową. Nie wiadomo, czy chciała w ten sposób dać im do zrozumienia, że rozumie język polski, czy że będzie milczeć. Policjant puścił ją i powoli odwrócił twarzą w swoją stronę.

- Gdzie oni są? - mówił cichym, ale stanowczym tonem. - Cyryl i Kozak?

- W kuchni. - Drżała ze strachu.

- Gdzie jest kuchnia? - Ścisnął ją dłońmi, nie do końca świadom, że robi to tak mocno.

- Zaraz przy wejściu. - Dziewczyna zaciągała po ukraińsku. - Pierwsze drzwi po lewo.

- Dobra. - Borek puścił jej ramiona. - Wejdz teraz pod schody i nie wychodź, aż cię zawołam.

Wiera zbiegła i na czworakach wślizgnęła się we wnękę pod betonowymi stopniami. Komisarz nacisnął powoli klamkę lewą ręką i otworzył na oścież drzwi, cały czas mierząc przed siebie z pistoletu. Skinął głową i Alicja wsunęła się do środka. W domu panowała cisza. Romska wskazała ruchem głowy otwarte wejście do pomieszczenia po lewej stronie. Zgodnie ze wskazówkami dziewczyny, tam była kuchnia, a w niej bracia.

Borek nabrał powietrza w płuca i wpadł do wnętrza. Alicja wskoczyła za nim ze strzelbą gotową do strzału.

- Policja! - huknął Borek. - Nie ruszać się!

- Ręce na głowę!

Mimo panującego poruszenia Alicja zdążyła zlustrować pomieszczenie. Za stołem siedział Cyryl, pod ścianą stał jego młodszy brat. Po drugiej stronie, bliżej drzwi przycupnęły dwie kobiety. Spoglądały zaskoczone, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co się dzieje. Nagle Kozak podniósł prawą rękę. Romska dojrzała, że trzyma w niej pistolet i próbuje wycelować w policjanta. Nie zdążył jednak pociągnąć za spust, bo w pomieszczeniu rozległ się potężny huk i jego ciało poleciało bezwładnie do tyłu. Strzelba miała potężną siłę rażenia. Osunął się po ścianie, pozostawiając na niej krwawy ślad.

Z lufy jeszcze unosił się dym, Alicja wciąż była skupiona na martwym teraz mężczyźnie, nie zauważyła więc szarżującej w jej stronę ogromnej kobiety uzbrojonej w wielki kuchenny nóż. Luba nie zdążyła uderzyć, bo w porę trafił ją nabój z pistoletu Borka. Zanim jednak kula sparaliżowała jej układ nerwowy, ciało siłą rozpędu zrobiło jeszcze dwa kroki i zważyło się w miejscu, gdzie stała Romska. Ta w ostatniej chwili zdążyła odskoczyć w bok. W tym samym momencie usłyszeli brzęk tłuczonego szkła i zobaczyli, jak Cyryl wyskakuje przez okno. Rzucili się w tamtą stronę, zanim jednak zdążyli wycelować i oddać strzał, mężczyzna zniknął po drugiej stronie samochodu. Padły strzały. Wsunął się do środka i kuląc na siedzeniu kierowcy, odpalił silnik, włączył bieg i ruszył z impetem.

- W koła wal! - Alicja dwoma celnymi strzałami przebiła tylną oponę audi.

Borek wystrzelał cały magazynek, ale nie trafił bandyty, bo auto już nabrało rozpędu. Romska wychyliła się przez rozbite okno, złożyła się błyskawicznie i strzeliła. Tylna szyba

samochodu rozprysła się na drobne kawałki. Mimo to Cyryl zdołał utrzymać kontrolę nad samochodem, uderzył z potężnym impetem w bramę, aż jej skrzydła odskoczyły na boki. Policjanci strzelali teraz oboje, ale kule podziurawiły jedynie tylną klapę bagażnika.

Gangster wyjechał na drogę i z piskiem opon skręcił w lewo. Romska z ulgą stwierdziła, że nie pojechał w kierunku, gdzie drogę zablokował radiowóz z sierżant Stawską. Ruszyli w pościg, ale zatrzymali się bezradni na drodze, bo samochód, choć z przebitą oponą, to jednak oddalał się z dużą prędkością.

– Dawaj tu z radiowozem! – Borek wrzeszczał do krótkofalówki. – Szybko, kurwa!

Po chwili siedzieli już w policyjnym aucie i pędzili w kierunku leśnej drogi, w której zniknął samochód Cyryla. Kilometr dalej zobaczyli przed sobą porzucone auto bandyty. Wyszli i wyjęli broń.

– Teraz to naprawdę nie mamy wyjścia – szepnęła Borek do Alicji. – On, póki żyje, nie daruje ci śmierci brata.

Prokurator Mateusz Nowakowski robił mylne pierwsze wrażenie. Szpakowaty i elegancko ubrany, wyglądał na inteligentnego i kulturalnego człowieka. Szybko jednak pokazał swoje prawdziwe oblicze. Wypożyczył sobie teraz śledczych, zamknął drzwi od pokoju i nie zostawił na Alicji i Borku suchej nitki.

Siedzieli na krzesłach ze spuszczoneymi głowami, od czasu do czasu podnosząc wzrok, kiedy na chwilę milkł, niestety tylko po to, żeby złapać oddech. Ich nadzieja na rychły koniec reprimendy szybko znikała, kiedy prokurator znów wpadał w słowotok i wydawało się, że może tak bardzo długo.

– Borek, ja ciebie już mam, kurwa, po kokardy! – Wymachiwał w powietrzu rękoma. – Ile razy ci, kurwa, mówiłem, żebyś łaskawie informował mnie, co ścibolisz na boku? Zwłaszcza w tej sprawie! Pytam się ciebie, kurwa, ile razy?!

– No nie wiem... kilka? – bąknął policjant, bo Nowakowski stał nad nim w wyczekującej pozie i wydawało się, że pytanie nie jest retoryczne.

– Kilka?! Kilka lat to ja będę przez ciebie krócej żył! – Podniósł oczy w górę, jakby tam szukał ratunku. – W chuj razy! Rozumiesz?! To jest bardzo dużo razy! Znacznie więcej niż kilka! Ale ty masz to w dupie!

– Nie mam w dupie, tylko nie zdążyłem zadzwonić.

– Przez godzinę leżałeś w lesie i nie zdążyłeś zadzwonić?! – Rozłożył ręce w udawanym geście bezradności. – Wpadliście tutaj i zaczęliście strzelać do ludzi jak do kaczek! Tak policja nie działa!

– To byli groźni bandyci i to oni zaczęli strz... – Romska chciała trochę Borkowi pomóc.

– Pytał się pani ktoś o coś? – warknął prokurator. – Groźni bandyci, tak? A ta ciężarna, to też był groźny bandyta?! Jak to będzie wyglądało w telewizji?! Jak ja to opinii publicznej wytłumaczę?!

– Komisarz Borek uratował mi życie. – Wiadomość, że Luba była w ciąży, wstrząsnęła Alicją, ale nie zmieniało to faktu, że kobieta chciała pchnąć nożem policjantkę. – Nie było wyjścia.

– Dobra. – Prokurator machnął lekceważąco ręką. – Komisarzu Borek, od tej chwili jest pan oficjalnie zawieszony w czynnościach, do wyjaśnienia okoliczności zajścia. A pani – wycelował Alicji palcem w twarz – nie chcę już nigdy w życiu widzieć na oczy. Jeżeli jeszcze raz zobaczę panią na moim terenie, to obiecuję, że zrobię wszystko, żeby przesłała pani na wcześniejszą emeryturę z najniższym uposażeniem! Zrozumiano?!

Kiwnęli jednocześnie głowami w milczeniu.

– To żegnam was bez żalu! Komisarz Borek jedzie do domu i czeka na dupie na mój telefon, a pani życzę bardzo szerokiej drogi do Krakowa! – Ruszył w stronę drzwi. – Ja teraz idę posprzątać po was ten burdel.

Nie musiał im dwa razy powtarzać. Oboje wyszli z domu i z przyjemnością odetchnęli głęboko świeżym powietrzem. Przed chwilą nad okolicą przeszła burza, co uczyniło dzień przyjemniejszym, ale zatarło ślady i dodatkowo utrudniło schwytanie zbiega. Psy tropiące siedziały teraz beczynn timer przy nogach swoich opiekunów. Zresztą był już wieczór, więc akcję wstrzymano. Zanosilo się na długie i żmudne poszukiwania.

– Podwieź cię gdzieś? – Romska wskazała na swój samochód, wciąż stał na poboczu drogi dojazdowej, gdzie zaparkowała go Marylka.

– Nie.

– W każdym razie, dziękuję. – Podała mu rękę.

Uściskał jej dłoń w milczeniu, odwrócił się i odszedł w stronę jednego z zaparkowanych na podwórku radiowozów i stojących tam antyterrorystów. Alicja odprowadziła go wzrokiem, uśmiechnęła się pod nosem i pokręciła głową.

Wyszła na jezdnię i powoli ruszyła w stronę swojego auta. Droga do Krakowa dłużyła się jej, bo emocje opadły, a w ich miejsce pojawiło się zmęczenie, potęgowane przez rosnące przygnębienie. To był ciężki dzień. Zabiła człowieka. Wiedziała, że zrobiła to w sytuacji wyższej konieczności, ochroniła kolegę. Nie winiła siebie, ale czuła ciężar swojego czynu. Chociaż Anatol Dunin był bydlakiem, który zasłużył na śmierć, to odebranie życia stanowiło, nawet po latach służby, mocne przeżycie. Do tej pory strzelała do człowieka tylko kilka razy, ale pierwszy raz pozbawiła kogoś życia. Policyjny psycholog, który pojawił się na miejscu zdarzenia, chciał z nią porozmawiać, ale odesłała go do dwóch ciężarnych kobiet, które co prawda wyszły z tego zamieszania bez szwanku, ale ich stan psychiczny był straszny. Obie płakały, tuląc się do siebie. Alicja nie potrzebowała pomocy, radziła sobie sama z traumą. Marzyła jednak, żeby zanurzyć się w wannie, zmyć z siebie to wszystko, a potem zasnąć. Jutro będzie przecież nowy dzień.

Nawet było jej na rękę, że musiała natychmiast wyjechać. Co prawda z każdym pobytom w Bieszczadach stawali się sobie z Olkiem bliżsi, ale dziś wyjątkowo chciała być sama. Zobaczy się z nim za kilka dni. Umówili się, że teraz on przyjedzie do niej do Krakowa.

Pod swoim blokiem zjawila się już po północy. Pozostawiła samochód na podjeździe śmietnika, ignorując tabliczkę z zakazem zatrzymywania się. Nie miała dziś siły jeździć w kółko i szukać wolnego miejsca parkingowego. Wysiadła i trzaskając drzwiami wypłoszyła ze śmietnika kilka bezdomnych kotów. Stały teraz w bezpiecznej odległości w ciemnościach i gapiły się na nią zielonymi ślepiami. Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę bloku. Słabe światło żarówki wabiło ćmy i inne latające robactwo.

Alicja spojrzała z obrzydzeniem i otworzyła drzwi na klatkę. Weszła po schodkach i nacisnęła przycisk przywołujący windę. Nie zaświecił się jednak, podniosła wzrok i zatrzymała na przyklejonej taśmie kartce. Była tam informacja o awarii dźwigu.

– Cholera. – Ręce opadły jej z bezsilności.

Pchnęła drzwi obok i zaświeciła światło na klatce schodowej. Ciężkie kroki Romskiej niosły się echem w górę pionowego szybu. Na trzecie piętro było dziś trudno wejść pani komisarz, bo dźwigała brzemię ciężkiego dnia. Szła więc powoli, krok za krokiem, wspierając się dłonią na poręcz jak staruszka.

Nagle, kiedy była na półpiętrze, światło zgasło. Weszła wyżej i rozejrzała się w poszukiwaniu włącznika, wtedy żarówka tuż nad jej głową rozbłysła mocnym światłem, rażą ją w oczy. Ktoś u góry wcisnął przycisk. Zadarła głowę, ale nikogo nie zauważyła. Nie wiedziała, że stojący dwa piętra wyżej mężczyzna spoglądał w dół i obserwował rytmicznie przesuwaną się po poręczy jej drobną dłoń. Ukrył się tutaj, bo nie chciał, żeby zobaczył go ktoś z sąsiadów. Czekał na nią już od godziny, a myśli kłębiły mu się w głowie. Miał do niej pretensję, może nawet żal i to bolało. Ona zachowała się podle, a tymczasem to on cierpiał. To było niesprawiedliwe. Na dodatek wciąż nie była mu obojętna.

– Jacek? – Alicja spojrzała zaskoczono. – Co ty tu robisz?

– Czekam na ciebie.

– O tej porze? – Spojrzała na niego z niepokojem. – Stało się coś?

Po chwili uświadomiła sobie jednak, że nic, co jej powie, nie przykryje dramatycznych wydarzeń dnia dzisiejszego, ominęła go więc i zatrzymała się przed drzwiami swojego mieszkania, szukając w torebce klucza.

– Chcę z tobą porozmawiać. – Jacek Olkowski wpatrywał się w jej plecy.

– Nie dziś.

– A kiedy?

– Wracaj do domu. – Włożyła klucz w zamek. – Ewa wie, że tu jesteś?

– Nie.

– To tym bardziej nie będę z tobą rozmawiać.

– Musimy sobie wszystko wyjaśnić. – Zrobił krok w jej stronę.

Spojrzała na niego ze złością. Narzeczony jej przyjaciółki stał przed drzwiami jej mieszkania na tydzień przed ślubem i chciał wyjaśnić sprawy romansu sprzed roku. Nie miała na to ani siły, ani ochoty.

– Słuchaj, to co wydarzyło się kiedyś między nami jest nieważne...

– Dla mnie jest ważne.

– Nie przerywaj mi. – Miała poważną minę. – Ważne jest natomiast to, co naprawdę czujesz do Ewy. Jesteście razem od roku, za tydzień masz się z nią ożenić, a ty piszesz do mnie jakieś pierdoły, a teraz przychodzisz i chcesz rozmawiać o starych sprawach. Zdecyduj się, czy chcesz być jej mężem, czy nie. Jeżeli jej nie kochasz, to zostaw dziewczynę w spokoju, póki jeszcze nie jest za późno.

– A dla nas jest za późno?

– Posłuchaj, masz odwołać ten ślub. – Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na niego jeszcze raz. – Wolę pocieszać ją przez tydzień teraz niż potem przez całe życie. Jeżeli tego nie zrobisz, to wszystko jej powiem i będziesz się musiał tłumaczyć.

– Jesteś zazdrosna. – Uśmiechnął się półgębkiem i oparł ręką o framugę.

– Co?! – Zanim zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, zdążyła jeszcze popukać się w czoło. – Weź ty się, człowieku, lecz!

Mira otworzyła oczy i wzdrgnęła się, bo w pierwszej chwili wydawało się jej, że zobaczyła diabła. Dopiero po kilku sekundach rozpoznała mężczyznę i przerażona się na dobre. Zakrwawiony, upocony i brudny jak nieboskie stworzenie stał nad nią Cyryl. Cała jego prawa ręka była oblepiona zaschniętą krwią. Resztki podartej, białej koszuli i czarne na kolanach spodnie wisały na nim, jak na strachu na wróble. Na ramieniu, wokół dziury po kuli, niczym róża wykwitła czerwona plama. Lewa ręka też spoczywała wzdłuż ciała, w dłoni trzymał pistolet skierowany lufą do dołu. Patrzyła na dziewczynę beznamiętnie.

– Wstawaj. – Kopnął ją w stopę czubkiem obdartego buta. – Daj mi wody i przygotuj coś do jedzenia.

Mira, która spędziła noc pół leżąc, pół siedząc oparta o ścianę, wstała teraz powoli z podłogi. Ominęła go szerokim łukiem, cały czas obserwując przerażonym spojrzeniem. Stała przy kuchence, odkręciła mały kurek i zapaliła płomień. Drżącą ręką postawiła na ogniu garnek z resztką flaków. Kroiła chleb, a na kromki kapą jej łzy. Powoli docierało do niej, że wszystko na darmo. Ucieczka z domu, ukrywanie się pod podłogą i wczorajszy wyczerpujący marsz w deszczu. Wszystko na nic. Nie uda się jej wrócić do domu, do Ukrainy. Nie zobaczy taty i mamy. On zabije ich oboje. Poczekaj, aż mu zrobi jedzenie, a kiedy nie będzie mu już do niczego potrzebna, zabije ją. Lutka też, za zdradę.

– Wstawaj, Lutek. – Szypuła wypił wczoraj cały alkohol, żeby uśmierzyć ból, więc spał teraz na połowym łóżku mocnym, pijackim snem. – Obudź się, carewiczu – Szturchnął go lufą pistoletu w ramię.

Mężczyzna otworzył w końcu oczy i poderwał się. Chciał sięgnąć po stojącą na krześle butelkę, ale nie zdążył zaatakować, bo otrzymał potężny cios rączką pistoletu w skroń. Pociemniało mu w oczach i osunął się na łóżko bez świadomości.

– Swolocz. – Cyryl zabrał krzesło i usiadł przy stole. – Jeszcze kasa.

Mira postawiła przed nim menażkę z zupą, obok na stole położyła chleb.

– Wody jeszcze daj. – Położył pistolet obok talerza, ujął łyżkę w lewą dłoń, bo prawa ręka wisiła mu bezwładnie wzdłuż ciała. Próbował nabrać jedzenia, ale nic z tego nie wyszło. – Chodź tu, nakarmisz mnie.

Dziewczyna postawiła przed nim blaszany, półlitrowy kubek z wodą i drżącą dłonią ujęła łyżkę.

– Nie trzęś tak, bo mi zęby powybijasz. – Chwycił jej rękę i przytrzymał. – Prosto trzymaj.

Powoli uspokoiła nerwy. Powtarzalność czynności spowodowała, że udało jej się w końcu opanować drżenie. Nie patrzyła mu jednak w oczy. Bała się, był dla niej uosobieniem zła. To, że nie wpadał w gniew, nie wrzeszczał, było najgorsze, bo świadczyło, że on jest całkowicie wyzuty z ludzkich uczuć. Na pewno nie mogli też liczyć na litość, tego uczucia też nie znał.

W końcu zjadł wszystko, na dnie aluminiowego garnuszka zostały resztki, których nie dało się już nabrać łyżką. Cyryl bez słowa ujął ostatnią kromkę chleba i maczając w tym, co zostało na dnie menażki, dojadł ją do końca. Beknął głośno, chwycił kubek z wodą i wstał od stołu. Upił kilka łyków, a resztką wody chlusnął w twarz Szypuły.

Lutek się ocknął. Teraz już powoli uniósł się i usiadł.

– Czego chcesz? – Przetarł oczy dłonią.

Wiedział, że skoro jeszcze żyją, to muszą mu być do czegoś potrzebni. Inaczej zabiłby ich we śnie. Tak byłoby prościej, a on lubił najprostsze rozwiązania. Mordowanie nie stanowiło dla niego żadnego problemu, ale też nie sprawiało przyjemności. W tej kwestii był bardzo praktyczny.

- Pytanie, czego ty chcesz?

- Co?

- Chcesz, żeby ona przeżyła? – zapytał nie odwracając od niego wzroku.

Lutek milczał, bo wyczuwał podstęp, ale nie miał pojęcia do czego ten bandyta zmierza.

- Pytam się ciebie, czy chcesz, żeby dziewczuszka wróciła cała i zdrowa do domu? – Nie usłyszał odpowiedzi, więc ciągnął dalej: – Chyba ci na niej zależy? Skoro ją tu przyprowadziłeś, to chcesz ją przeprowadzić przez granicę. Narażałeś życie. Była cały czas w domu, prawda? Nie przeszukaliśmy dokładnie chałupy i to był błąd. Wiedziałem, że coś przeoczyłem. Teraz to już nie jest ważne. No, w każdym razie nie doceniłem cię i drugi raz tego błędu nie popełnię.

- Nie wierzę, że ją puścisz.

- Puszczę, jak ty mi pomożesz.

- Co mam zrobić?

- Wrócisz ze mną, pójdziesz na policję w Przemyślu. – Wyjął telefon i odwrócił w jego stronę. – Pokażesz im to zdjęcie i opowiesz całą prawdę.

- Po co?

- Zabili mi Tolka, bo nas nie ostrzegł. – Spojrzał na zdjęcie na ekranie. – Oszukał mnie.

Szypuła przełknął ślinę, teraz dopiero sobie uświadomił, że Cyryl był sam, a przecież on nigdy nie rozstawał się z bratem. To musiała być prawda, zresztą Cyryl nigdy nie kłamał. Nie musiał. Okłamuje się kogoś, kogo się trzeba obawiać, a on nie bał się nikogo.

- Jak zginął?

- Policyjna suka go ubiła. – Stary gangster pokiwał głową. – Dlatego ty wsadzisz do więzienia tego skurwysyna.

- Też pójde siedzieć.

- Pójdziesz – zgodził się z nim. – Ale to chyba lepsze niż zdechnąć tu z kulą w głowie?

- Dlaczego sam go nie wydasz?

- Ja nie mogę.

- Bo co?

- Bo ja muszę zabić tę policyjną kurew. – Patrzył mu w oczy. – Inaczej spokoju do końca moich dni nie zaznam.

Lutek spuścił oczy, myślał teraz nad tym, co mu powiedział. Cyryl czekał spokojnie, nie napierał. Wiedział, że nie ma wyjścia i musi się zgodzić.

- Gdzie to się stało? – odezwał się w końcu.

- W domu ciężarnych.

- W takim razie po tej stronie się nie przedostaniemy – myślał głośno. – Musimy przeprowadzić się na drugą stronę jeziora, tam cię nie szukają.

- Jak przeplniemy?

- Łódkę mam ukrytą, spirytus nią wozilem naokoło. - Spojrzał na Cyryła. - Nikt się kontrabandy od zachodniej strony nie spodziewał.

- No dobra.

- Ale najpierw puść dziewczynę - spojrzał na Mirę. - I muszę zadzwonić do mojego człowieka, żeby ją strażnicy przepuścili.

- Dzwoni.

Szypuła wyciągnął dłoń w kierunku dziewczyny, ta sięgnęła do kieszeni i podała mu aparat. Wskaźnik poziomemu baterii wskazywał jedną kreskę. Szypuła wybrał numer, krótko i lakonicznie ustalił z przekupionym pogranicznikiem, że nikt dziewczyny nie zauważy, kiedy będzie przechodziła przez zieloną granicę. Kiedy skończył, Cyryl zabrał telefon.

- Możesz iść. - Lutek uśmiechnął się do niej. - Idź cały czas na wschód, aż zobaczysz linię elektryczną. To już będzie Ukraina. Skręcisz w lewo i wzdłuż drutów dojdiesz do wsi. Tak jest dalej, ale się nie zgubisz.

Mira patrzyła z obawą na Cyryła.

- Idź. - Ukrainiec machnął dłonią.

Dziewczyna spojrzała ostatni raz na mężczyznę, który uratował jej życie, i wyszła z szopy. Zostali sami. Cyryl podniósł się powoli.

- No to chodźmy, Lutku. - Wpuścił koszulę w spodnie i machnął pistoletem, puszczając go przodem. - Na nas też już czas.

## 53

Lutek wszedł po pas do wody i wypchnął starą, drewnianą łódkę z trzciny. Przeciągnął ją kilka metrów dalej, gdzie było płycej, i ranny Cyryl wgramolił się do środka. Przytrzymał chyboczącą się krypę zdrową ręką, w której cały czas trzymał pistolet. Było już południe i słońce mocno przygrzewało, a jego trawiła gorączka. Szypuła usiadł na rufie i wyjął spod ławki wiosła. Coś zabrzęczało i czujne ucho starego wychwyciło znajomy dźwięk.

- Co tam masz?

- Spirytus z ostatniej dostawy. - Lutek schylił się i wysunął drewnianą skrzyneczkę. - Wyrzucę, i tak po nią nie wrócę.

- Zostaw - powstrzymał go stary. - To grzech.

- Będzie lżej wiosłować.

Szypuła też miał zranioną rękę, a dodatkowo piekły go oparzenia na brzuchu. Wiosłowanie szło mu więc ciężko.

- Dasz radę. - Dunin kiwnął głową. - Zresztą otwórz jedną, upijemy. Będzie ci trochę lżej.

- Tak samo będzie, jak z flaszki przelejesz do brzucha. - Wyjął pierwszą z brzegu butelkę.

- Ty, Lutku, nie jesteś głupi chłop. - Odkręcił. - Jak dobrze się spiszesz, to po wyjściu z ciurmy będzie na ciebie czekała nagroda. Może nawet popracujemy razem? Co ty na to? Będę teraz potrzebował pomocnika.



Nie czekając na odpowiedź, Dunin podniósł butelkę i wlał czysty alkohol w gardło. Chuchnął, znów złapał powietrze i podał flaszkę Lutkowi. Szypuła upił mniejszy łyk i oddał mu spirytus.

- Ładnie tu, można by na urlop przyjechać. - Ukrainiec rozejrzał się po jeziorze. - Ale najpiękniej jest w Odessie. A morze tam takie cudne! Podobne jak u was, tylko cieplejsze. Byłeś kiedyś w Odessie, Lutku?

Szypuła wiosłował w milczeniu. Zabawiania Cyryła konwersacją nie było w umowie.

- A zjesz tam, jak nigdzie na świecie - rozmarzył się stary. - Na śniadanie chaczapuri i zimna wódeczka, potem suszona solana rybka prosto z targu Privoz, zawinięta jeszcze w gazetę. No i badridżani. Jadłeś kiedyś, Lutku?

- Nie.

- Żałuj, niebo w gębie. - Upił łyk spirytusu i wyciągnął rękę z flaszką w jego stronę. - Bakłażany z orzechami. Musisz kiedyś spróbować, ale tylko w Odessie.

- Na razie to przez najbliższe kilka lat będę wpierdalał czarny chleb.

- Nie dostaniesz więcej jak pięć lat. - Skrzywił się Dunin rozczarowany jego pesymistycznym podejściem do życia. - Nic wielce złego nie zrobiłeś, a jak sam przyjdiesz na posterunek i zaproponujesz współpracę, to ci karę dadzą niedużą.

- Ale w więzieniu będę miał potem przejebane. - Pociągnął mocniej prawym wiosłem, żeby wyrównać kurs. - Byłem, to wiem, jak kapusiów traktują.

- O to się nie bój. - Cyryl machnął ręką, w której cały czas trzymał pistolet. - Powiem ludziom, żeby cię nie ruszali. Nikt cię nawet paluszkami nie dotknie.

- Paluszkami to jeszcze pół biedy. - Wiosłował teraz równo. - A o tobie też mam policji powiedzieć?

- Mów wszystkim prawdę, żeby ci uwierzyli.

- I nie będziesz się potem mścił?

- Nie będę - uśmiechnął się. - Jeszcze razem na kanikuły do Odessy pojedziemy. A po drodze zajedziemy do Kozenów, twoją przyjaciółczkę odwiedzisz.

- Skąd wiesz, gdzie ona mieszka? - zapytał pełnym niepokoju głosem.

- Powiedziała mi, kiedyś ty spał. - Cyryl uciekł w bok oczyma.

Szypuła zamilkł i zaczął jakby silniej wiosłować. Dunin znał miejsce pobytu dziewczyny, a ona wiedziała o gangsterze dużo. Za dużo. Tu w Polsce może nawet to nie miało większego znaczenia, bo przecież sam mu kazał szczerze zeznawać również na jego temat, ale w Ukrainie mogła przeciwko niemu świadczyć. A to pewnie w swoim ojczystym kraju chciał się Cyryl zaszyć i dożyć spokojnej starości.

Lutek przełknął ślinę. Próbował znaleźć choć jeden powód, dla którego ten stary bandyta miałyby zostawić Mirę przy życiu, i nic mu nie przychodziło do głowy. Bzdury o wdzięczności wobec niego odrzucił od razu. W więzieniu też pewnie mu nie pomoże. Zimna kalkulacja podpowiadała Szypule, że najwygodniej dla Dunina będzie, jeśli go tam zabiją, zaraz po procesie. Rozejrzał się, byli na środku jeziora, do brzegu było bardzo daleko.

- Daj się napić. - Przechylił się w stronę starego i wyjął z jego dłoni flaszkę. - Masz jeszcze co zakurzyć?

Cyryl oddał mu butelkę, położył na chwilę pistolet na kolanach i wolną ręką sięgnął do kieszeni po papierosy. Lutek chwilę kalkulował, czy zdąży rzucić się na niego i odebrać mu broń. Odległość była jednak duża, a bandyta spoglądał cały czas na niego czujnie. Szypuła napił się i postawił butelkę przed sobą. Włożył papierosa do spierzchniętych ust.

- Zapalki jeszcze daj.

Dunin rzucił mu pudełko, a on zapalił jedną. Jednak zamiast przysunąć ogień do papierosa, chwycił flaszkę i cisnął z całej siły w stojącą przed nim, pełną szklanych butelek skrzynkę. Zanim Dunin zorientował się w jego zamiarach, rzucił zapałkę na rozlany spirytus.

Ogień buchnął momentalnie. Zaskoczony Cyryl zakrył odruchowo oczy przed uderzeniem płomieni. Lutek nie czekał dłużej, przechylił się przez burtę i wpadł do wody. Rzucił się w pław przed siebie, uderzał mocno obiema rękami, chcąc jak najszybciej oddalić się od drewnianej krypy. Nagle usłyszał strzał, obok plusnęła woda. Potem drugi i trzeci. Uderzał ramionami w taflę wody, nie zwracając uwagi na przelatujące kule.

Był już kilkanaście metrów od łódki, kiedy znów usłyszał huk i poczuł szarpnięcie pod prawą łopatką. Ręka zastygła pod powierzchnią, głowa wynurzyła się i poczuł mokro w ustach. Wypluł i wokół jego warg woda zabarwiła się na czerwono. Nie miał już siły płynąć. Uspokoił oddech i odwrócił się, próbując utrzymać na powierzchni. Zobaczył jeszcze, jak z zajętej ogniem łódki wyskakują płonący niczym olbrzymia pochodnia Cyryl. Woda chlusnęła wysoko, stary przez chwilę próbował się utrzymać na powierzchni przy pomocy jednej sprawnej ręki. Po chwili jednak zniknął, a na lustro wody jeszcze przez chwilę wyskakiwały pęcherzyki powietrza.

Szypuła obserwował to wszystko z coraz większym spokojem. W pewnym momencie zrobiło mu się zimno, zamknął oczy i rozluźnił mięśnie. Ostatnią jego myślą było wspomnienie dziewczyny.

W tej samej chwili Mira zobaczyła dach pierwszego domu. Drewniana chałupa stała na obrzeżach wsi.

- Dziękuję, Lutek - wyszeptwała pod nosem i uśmiechnięta ruszyła w stronę zabudowań.

Stara kobiecina skubiąca na podwórku kaczkę z piór odpowiedział skinieniem głowy na jej przywołanie. Mira podeszła bliżej, zauważyła stojący obok wózek ze śpiącym dzieckiem i ściszyła głos.

- Dzień dobry - powiedziała. - Ta wieś to Łopuszki?

- Ano Łopuszki. - Babina otarła pot zewnętrzną stroną dłoni.

- Dziękuję. - Mira uśmiechnęła się szczęśliwa i ruszyła w stronę dalszych zabudowań.

Zanim odeszła, spojrzała do wózka, gdzie w samych śpiocach spał chłopczyk. Miał kilka miesięcy, a w różowej piątce ścisnął sfatygowany, błękitny kocyk.

- Ty od Lutka? - Kobieta patrzyła teraz na nią, zakrywając oczy przed słońcem.

- Nie znam żadnego Lutka - zaprzeczyła przelękniona Mira.

- To jego najlepsza koszula. - Babuleńka przyglądała się jej ubraniu. - Powiedz mu, że mleko się kończy małemu.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, odwróciła się i odeszła, nie mając nawet pojęcia, jak wiele łączyło ją ze śpiącym maluchem. Jego też kiedyś Lutek uratował. Zdjął długim kijem z

gałęzi, żeby nie zostawić śladów w pobliżu ciała jego martwej matki i ukrył tutaj, po ukraińskiej stronie.

Mira szła teraz dziurawą, asfaltową drogą, rozglądając się na boki. Minął ją starszy mężczyzna na rowerze i grupka chłopców. Jeden z malców cisnął za nią ogryzkiem. Nie trafił, ale i tak uciekli w popłochu, śmiejąc się i popychając wzajemnie. Już miała się odwrócić i krzyknąć za nimi, kiedy zobaczyła jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą zaparkowany znajomy samochód. Obok stała para. Mężczyzna obejmował kobietę, a ta pochylona, mówiła coś, kręcąc głową. Nagle zobaczyli idącą w ich kierunku dziewczynę. Mira nie była jeszcze pewna, czy to oni. Nie widziała dokładnie, bo oczy miała zalane łzami. Przyspieszyła jednak kroku, a kiedy kobieta rzuciła się pędem w jej stronę, też zaczęła biec. Biegła, głośno szlochając.

– Mama... – Gnała z całych sił. – Mama!

Rzuciły się sobie w ramiona, a po chwili obie objął i przytulił mężczyzna. Stali tak i płakali wszyscy troje, ze szczęścia, z ulgi i z gniewu, nad nią, nad sobą, nad światem.

## 54

Alicja spoglądała zza swojego biurka na uśmiechniętą Kwiecień. W przeciwieństwie do niej, była dziś w beznadziejnym humorze, a dobry nastrój przyjaciółki tylko ten stan pogarszała. Romska obawiała się, że uśmiech zaraz zniknie z twarzy koleżanki, i to niestety stanie się za jej sprawą.

Wczorajsza wizyta Jacka wyprowadziła ją z równowagi. Długo o tym myślała dziś rano, rozważając za i przeciw i definitywnie postanowiła powiedzieć Ewie o skandalicznym zachowaniu jej narzeczonego. Przy tej okazji będzie musiała przyznać się też do krótkiego romansu z Jackiem, który mieli przed rokiem. Wtedy co prawda Ewa i Olkowski nie byli jeszcze razem, ale Alicja знаła życie i wiedziała, że Kwiecień będzie jej to miała za złe. Jest taka zasada w relacjach damsko męskich, że jeżeli ktoś trzeci się wtrąci, nawet w dobrej wierze, i zaburzy pozorną sielankę, to prędzej, czy później zostaje wrogiem numer jeden obojga. To jego obarczają rozżaleni partnerzy winą za zniszczenie ich związku. Może w pierwszej chwili Ewa będzie jej wdzięczna, że nie zataiła przed nią zachowania wiarołomnego narzeczonego, ale po jakimś czasie podświadomość zadziała i zepsuje relację kobiet. Może nawet ona też posądzi ją o próbę rozbicia ich związku z zazdrości? Nie, w tej kwestii mogła liczyć na zdrowy rozsądek Ewki. Całą drogę do pracy układała sobie tę rozmowę, chciała być delikatna i empatyczna.

– I z czego się tak od rana cieszysz? – zagadnęła w końcu.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Ewa zignorowała zaczepkę. – Pewnie pomyślisz, że zwariowałam na stare lata, ale trudno.

– Ja też muszę ci coś powiedzieć – przerwała jej Alicja. – Pierwsza.

Nie chciała teraz słuchać o różowych balonach rozrzuconych po podłodze podczas pierwszego tańca, czy fantazyjnej czcionce na weselnych zaproszeniach.

- Zresztą nie ma na co czekać. - Ewa była tak przejęta, że przyjaciółki w ogóle nie słuchała.
- Zerwałam zaręczyny z Jackiem. Ślubu nie będzie.
- Co?!
- Wiem, idiotka ze mnie. - Kwiecień oparła się łokciami na biurku i wsunęła dłonie w gęste blond loki, targana wątpliwościami. - On jest taki przystojny, a ja gruba. Wszystkie kobiety się za nim oglądają. Zaliczka zapłacona za sałę, po znajomości termin załatwiany. Wczoraj też takie dwie w restauracji ciągle pokazywały go sobie palcami i się głupio chichrały. Wesele już przygotowane, nawet kwiaty zamówione. Suknia z welonem, tym co ci się podobał. Ciotki go uwielbiają. Nie pije i nawet, kurwa, nie przeklina, ale ja nie chcę z nim spędzić reszty życia. Bałam się, że robię wielki błąd, ale dziś rano wstałam i okazało się, że świat istnieje i nawet świeci słońce. A teraz znowu nie wiem...
- Bardzo dobrze zrobiłaś. - Alicji spadł kamień z serca.
- Naprawdę tak myślisz?
- Tak. - Romska pokiwała głową energicznie. - Jeżeli miałaś wątpliwości, to głupotą byłoby brnąć w to dalej. Potem byście oboje byli nieszczęśliwi. Wzięlibyście kredyt i męczylibyście się do końca życia z przyzwoitości. Podjęłaś dobrą decyzję, dla siebie, dla Jacka i dla waszych nienarodzonych dzieci. I nie miej wyrzutów sumienia.
- Dziękuję ci. - Znów się uśmiechnęła. - Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie.
- Zadzwoił telefon Romskiej.
- Dziś wieczorem jestem u ciebie w siatką wina - rzuciła jeszcze w kierunku Ewy, zanim odebrała. - Komisarz Alicja Romska, słucham?
- Cześć, Borek z tej strony. - miał spokojny głos. - Możesz rozmawiać?
- Tak, mogę. - Właśnie ten spokojny głos ją niepokoił. - Stało się coś?
- Wczoraj znaleźliśmy ciało Stepana Dunina. - Od razu przeszedł do rzeczy. - Jesteś już bezpieczna.
- Gdzie?
- W Solinie - rzucił krótko, ale po chwili milczenia odezwał się znowu: - Żeglarze zobaczyli płonącą łódkę na jeziorze. Widzieli, jak wyskoczyło z niej dwóch ludzi. Jeden się już palił. Wyłowiliśmy te ciała. Dzisiaj rano patolog potwierdził tożsamości obu. Mieliliśmy ich w kartotece.
- Kim był drugi?
- Lutosław Szypuła. Musieli się pokłócić, bo świadkowie słyszeli też strzały. Broni jeszcze nie znaleźliśmy, poszła na dno, a tam jest głęboko. W ciele Szypuły była kula więc pewnie strzelał Cyryl. Co prawda on też miał ranę postrzałową, ale sekcja wykazała, że to od broni gładkolufowej.
- Czyli go trafiłam.
- Tak, dostał w ramię ze strzelby - mówił wciąż jednostajnym tonem. - Nie była to bardzo groźna rana, ale pływać nie mógł, więc kiedy wyskoczył z płonącej łodzi, to poszedł na dno.
- Na pewno to on? - Romska poczuła ulgę, ale chciała się upewnić. - Czasem bandziory pozorują swoją śmierć, żeby policja przestała ich szukać, a spalone ciało jest trudne do identyfikacji.

- Na sto procent. - Nie miał wątpliwości. - Nie był bardzo poparzony, bo szybko wskoczył do wody, więc rozpoznaliśmy go bez problemu. Dodatkowo odciski palców i analiza materiału DNA nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości. Jesteś już bezpieczna.

- Nie wiadomo - analizowała na gorąco przekazywane przez niego informacje. - Może Dunin wydał na mnie wyrok za zabicie brata i teraz jego ludzie próbują mnie dopaść. Dodatkowo mogą dowiedzieć się, że pośrednio zabiłam też ich szefa.

- Nie ma obawy. - Borek był wyraźnie innego zdania. - To tak nie działa. Umarł król, niech żyje król. Lojalność w ich bandyckim świecie opiera się na strachu, a Cyryla już się nie boją. Zresztą z moich informacji wynika, że tam już w żmijowisku się zakotłowało. Już się złapali za łby, walka o schedę po Duninach się rozpoczęła. Wczoraj po ukraińskiej stronie ktoś ostrzelał mercedesa, w którym jechał syn właściciela największej w zachodniej Ukrainie nielegalnej fabryki spirytusu. To jego produkty znaleźliśmy w szopie na terenie gospodarstwa Szypuły.

- Chcą od razu przejąć kanał dostaw.

- W burdelach na Podkarpaciu też spore zamieszanie. Dwóch Ormian chodzi od jednego do drugiego i tatuuje prostytutkom numery, jak w obozie koncentracyjnym. Są też dwa trupy drobnych alfonsów. Tak że dzieje się i teraz mają inne sprawy na głowie niż zemsta.

- No to masz trochę roboty - podsumowała jego relację. - A co poza tym u ciebie? Wszystko w porządku?

- Tak - rzucił krótko. - Muszę kończyć, na razie.

Rozłączył się. Alicja odłożyła telefon zamyślona. Dziwny facet z tego Borka. Z jednej strony go podziwiała, za odwagę i konsekwencję w walce z najgorszymi szumowinami tego świata, z drugiej, za każdym razem po skończonej rozmowie miała przemożną ochotę kopnąć go w dupę. Facet ewidentnie miał dar wkurzania jej. Mniejsza z tym. Najważniejsze, że ona i Olek są bezpieczni. Postanowiła zaraz do niego zadzwonić i opowiedzieć mu najnowsze rewelacje. Wiedziała też, że pisze artykuł o całej sprawie, a to będzie doskonała puenta.

- Zaraz wracam - rzuciła do Ewy. - Kupię po drodze coś do kawy.

- Co chciałaś mi powiedzieć? - Kwiecień przypomniała sobie początek ich rozmowy.

- Słucham?

- Mówiłaś, że chciałaś mi coś powiedzieć?

- Nie pamiętam. - Alicja machnęła ręką. - Ale skoro zapomniałam, to nie mogło być nic ważnego.

## 55

Olek Wilga leżał na oddalonej od ścieżki ławce z jedną ręką pod głową. W drugiej trzymał zawiniętą książkę. Marylka podeszła i stanęła na wprost ławki. Nie rozpoznał jej od razu, bo raziły go promienie słoneczne, a w dodatku zwykle widywał sierżant Stawską w mundurze, ze „służbowym” kucykiem. Teraz stała przed nim w letniej sukience odsłaniającej jedno ramię. Rozpuszczone włosy opadały, wijąc się wokół długiej szyi.

- Cześć. - Usiadł zaskoczony. - Nie poznałem cię bez munduru.

- Prywatnie jestem kobietą.
- No widzę! I to jaką! - Zaśmiał się i posunął na brzeg ławki. - Siadaj.
- Nie chcę przeszkadzać.
- Nie przeszkadzasz, książka zaczeka.
- Wszystko już dobrze? - zapytała, szukając wzrokiem rany na jego głowie. - Nie ma już nawet śladu, włosy zakryły.
- Tak, wszystko w porządku. - Uśmiechnął się z wdzięcznością.
- Słyszałeś, że wyłowili ciała z jeziora?
- Tak, Alicja do mnie wczoraj dzwoniła.
- W strasznym stanie były zwłoki, poparzone i wymoczone w wodzie. - Młoda policjantka pokręciła głową. - No ale sprawa zamknięta.
- Właśnie powiem ci, że nijak nie mogę tego posklejać.
- Czego?
- Bo zobacz - wyprostował się. - Po co oni trzymali tam te kobiety? Podobno chcieli je sprzedać do domów publicznych na zachodzie. No to dlaczego od razu nie wywieźli, tylko trzymali miesiącami? Przecież to bardziej ryzykowne. Dodatkowo wszystkie trzy były brzemiennie. To znaczy dwie są, a trzecia nie żyje.
- Rzuciła się na policjantów z nożem.
- To też ciekawe - wzruszył ramionami. - Ofiara, zamiast się cieszyć z uwolnienia, próbuje zabić policjanta. Syndrom sztokholmski?
- Może.
- Początkowo przyszło mi do głowy, że trzymali je tam tak długo, bo chcieli dostarczyć do domów publicznych w Niemczech w zaawansowanej ciąży, jako ekstra atrakcję dla jakichś zboczeńców. Świat jest pełen bogatych dewiantów. Ale dlaczego w takim razie tej pierwszej kobiecie, która zginęła zagryziona w lesie, pozwolili urodzić? W dokumentach z jej sekcji była informacja, że urodziła kilka dni przed śmiercią. Chyba że uciekła i urodziła gdzieś wbrew ich woli? I gdzie jest to dziecko?
- Mogła urodzić martwe. - Też szukała odpowiedzi. - Może to były po prostu prostytutki z ich agencji, które zaszły w ciążę podczas usługi?
- I co? Przez dziewięć miesięcy mieszkaly w kupionym na tę okazję domu? - Skrzywił się z niedowierzaniem. - Tyle zachodu, a potem miały wrócić do prostytuowania się, a dzieci co? Do przedszkola? Bez sensu. Przecież dużo prościej było je odprawić, a na ich miejsce znaleźć nowe dziewczyny. Dużo tańsze rozwiązanie. Więc po co? Raczej w tym zawodzie urlop macierzyński nie przysługuje, a o empatię bandytów nie podejrzewam.
- Ja też nie.
- Do tej pory wszystko wydawało się nawet sensowne. Zagryziona w lesie dziewczyna uciekła z domu Lutka, wiedziała o kontrabandzie, wcześniej świadczyła usługi seksualne przy stręczycielskim udziale Duninów. Żeby chronić przemytniczy interes przed dekonspiracją, zamordowali biedaczkę. Straszne, ale logiczne.
- Trzeba zapytać te dwie kobiety, które mieszkaly w domu.

– Chciałem. – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Ale Borek powiedział, że prokurator już je odesłał do Ukrainy.

– Nie będą zeznawać? – Marylka też była zaskoczona.

– Nie – ciągnął dalej wzburzony. – Pan komisarz na odczepnego zapytał się mnie, kogo mają sądzić, jak winowajcy nie żyją?

– Zeznania powinni przyjąć, nawet zamykając sprawę.

– Podobno przyjęli na piśmie i puścili je, bo nie chcieli zaognić stosunków z Ukrainą, a już ambasada zaczęła się interesować, zwłaszcza tą martwą kobietą w ciąży, zastrzeloną przez policję.

– Jak się do śledztwa polityka wmiecha, to zawsze tak jest. – Zamyśliła się. – Przypomniało mi się coś, a propos polityki. Parę tygodni temu był u nas na komisariacie facet, straszyl komendanta, że ma ojca posła. Dziwne... – Zamilkła zamyślona.

– Co jest dziwne?

– Wtedy nie wzięłam go poważnie – drażyla w pamięci. – Wyglądał na skacowanego, przyszedł na posterunek z drinkiem. Zbadałam faceta alkomatem, ale był trzeźwy, więc go nie wyrzuciłam, tylko spisałam zeznanie. Potem jeszcze z komendantem rozmawiał, ale Mryczko go olał. Wtedy to, co mówił, brzmiało idiotyczne, ale teraz wydaje mi się, że mogłoby mieć sens.

– Czyli co? Co mogłoby mieć sens?

– Twierdził, że jacyś ludzie odurzają Ukrainki w hotelu w Rzeszowie, następnie porywają i zapładniają – mówiła coraz bardziej przejęta. – Mówił, że potem te dzieci miały trafić do adopcji do bogatych rodzin. Jedno dziecko miało być dla niego i żony. Nie wyglądał na bogatego, więc nie brzmiało to wiarygodnie, ale podał też nazwisko dziewczyny, która miała urodzić jego dziecko.

– Jego dziecko? – Olek nie nadażał. – On ją znał?

– Nie – próbowała uporządkować swoją relację, ale była zbyt przejęta, tym co teraz układało się w jej głowie. – On był dawcą nasienia.

– Cholera! – Wilga uderzył dłonią w oparcie ławki. – Teraz wszystko jasne. Oprócz sutenerskiego interesu bracia handlowali też żywym towarem, a konkretnie noworodkami. Hodowali – zrobił w powietrzu umowny gest oznaczający cudzysłów – na zamówienie dzieci w ciałach matek, a potem, pewnie za grube pieniądze sprzedawali!

– Na posterunku, mam gdzieś dane tego mężczyzny.

– Marylka. – Chwycił ja za rękę. – Jesteś najlepszym policjantem na świecie!

Nie był to komplement, jaki chciała z jego ust usłyszeć, ale podniosła się z ławki i pomaszzerowali w kierunku komisariatu.

Na środku stołu leżało sfatygowane zdjęcie Miry Hejko. Marek Szulc spoglądał teraz na nie. Był przygnębiony. Choć początkowo wizyta policjantki i dziennikarza wywołała u niego entuzjazm, to rozczarowanie szybko wzięło na nim górę, bo zorientował się, że oni niewiele wiedzą. Mówiąc precyzyjnie, miał wrażenie, że nie wiedzą nic. Opowiedział więc im historię od początku, ze szczegółami. Policjantka i dziennikarz notowali, każde w swoim kajeciku, od czasu do czasu zadając pytania.

– Będziecie jej szukać? – Kiedy skończył swoją relację, ujął fotografię w dłonie.

– Z formalnego punktu widzenia, nie ma podstaw. – Alicja przeglądała zapiski, jakby chciała upewnić się, że wszystko jest dla niej jasne i niczego nie pominęła. – Ale sprawa śmierdzi na kilometr, więc będziemy drążyć. Sprawdzimy wszystkie poszlaki i zgromadzimy materiał dowodowy, a na jego podstawie sprecyzujemy kierunek śledztwa.

– Będziemy jej szukać. – Olek powiedział to, co mężczyzna chciał usłyszeć.

– Czyli nie ma pan żadnych dokumentów potwierdzających istnienie Marii Kurskiej? – Romska porządkowała notatki. – Ani zdjęć?

– Umowę i potwierdzenie wpłaty skradziono, a fotografii żadnych nie było. – Szulc pokręcił przecząco głową. – Jedynie zdjęcie dziewczyny, które żona dostała od tej kobiety.

– Żona to potwierdzi?

– Raczej nie. – Szulc westchnął. – Nie mamy od jakiegoś czasu kontaktu. Mieszka we Włoszech, ma nowe życie i wątpię, żeby chciała się angażować w wyjaśnienie tej sprawy.

– Zawsze można ją wezwać formalnie, tak? – Wilga spojrzał pytająco na Alicję.

– Na tym etapie raczej nie – zaprzeczyła. – Musimy mieć coś więcej, żeby wzywać świadków.

– Zwłaszcza, że jest córką posła. – Marek wiedział, że teść może skutecznie utrudnić śledztwo na tym etapie, więc starał się im odradzić ten pomysł.

– Co pan wie o tej Kurskiej? – Romska szukała punktu zaczepienia. – Proszę ją opisać.

– Elegancka, koło czterdziestki, może trochę starsza. Zadbana, szykownie ubrana. Miała na sobie drogie rzeczy.

– Lekarka?

– Nie, ale kiedyś przy innej okazji wspomniała, że była pielęgniarką.

– Zapisał pan numer rejestracyjny ciężarówki, którą odjechał z hotelu ten mężczyzna? – drążyła dalej, zerknęła do notesu: – Jura miała na imię, tak? Jego nazwiska pan nie pamięta?

– Jakoś na B chyba miał na nazwisko... Ale głowy nie dam sobie uciąć, bo to wszystko było w emocjach. Zrobiłem fotkę, bo na pace samochodu był telefon tej przetwórci, zaraz... – Dłuższą chwilę szperał w telefonie, w końcu odwrócił ekran w ich stronę. – Mam.

– Proszę mi to przesłać na ten numer. – Przysunęła do niego swoją wizytówkę, którą już wcześniej położyła na stole. – Teraz, w tej chwili, dobrze?

Poczekali w milczeniu, aż skończy.

– Gotowe, poszło.

Kilka sekund później telefon Romskiej zawibrował, potwierdzając odebraną wiadomość.

– Coś jeszcze z konkretów przychodzi panu do głowy? – Alicja schowała legitymację i telefon do torebki. – Coś, co nam może pomóc?



- Chyba nie... - Wzruszył ramionami. - Reszta jest w tym zeznaniu, które macie z komisariatu w Polańczyku. Adresy tych domów, w których mieszkały Ukrainki. Nic więcej sobie nie przypominę. Wszystko tam podałem. Wtedy miałem na świeżo w pamięci.

- Dobrze, w takim razie zbieramy się. - Komisarz Romska, zanim wstała, podniosła ze stołu zdjęcie Miry. - Będziemy potrzebowali tego zdjęcia.

- Oczywiście. - Wyraźnie posmutniał, choć nie chciał dać tego po sobie poznać.

- Oddam panu, przy następnym spotkaniu - dodała, bo zauważyła, że fotografia jest dla niego bardzo ważna. - Jak tylko zrobimy kopię.

- Dobrze.

Wyszli na klatkę schodową, ledwo zamknęły się drzwi od mieszkania Szulca, Olek zatrzymał ją chwytając za ramię.

- Co o tym sądzisz?

- Uważam, że to, co do tej pory wyszło na jaw w tej sprawie, to dopiero wierzchołek góry lodowej.

- To zorganizowana szajka - podchwycił i kontynuował, kiedy szli w stronę windy. - Dunin raczej nie mógł tego stworzyć.

- Czytasz mi w myślach. - Alicja wcisnęła przycisk przywołujący windę. - On może i był sprytny, ale to nie jego świat. Kliniki, zabiegi, umowy, on by na to nie wpadł. Sutenerstwo, przemyt, nawet handel dziewczynami, to tak. Nie ma mowy, żeby coś takiego wymyślił.

- To kto tym wszystkim kierował?

- Nie wiem, ale się dowiem. - Drzwi windy się otworzyły. - Sprawdzimy po kolei wszystkie tropy. Zaczniemy od kliniki Pro Familia. Potem odwiedzimy ten hotel w Rzeszowie, a na końcu pojedziemy do ubojni kurczaków.

- Trzeba też odwiedzić domy, w których mieszkają Ukrainki - zasepił się. - Chociaż obawiam się, że one są tak zastraszone, że nie będą chciały nic mówić.

- Musimy działać metodycznie, krok po kroku. - Alicja miała już plan. - Włączę w to Ewę Kwiecień, ona ma analityczny umysł i umie wyciągać ciekawe wnioski z niekompletnych, chaotycznych informacji.

- No to się przyda, bo chaos to jest odpowiednie słowo na opis tej sytuacji.

- Poprowadzisz auto, a ja zadzwonię do niej i prześlę jej wszystkie informacje, jakie w tej sprawie mamy. My jedziemy prosto do Rzeszowa.

## 57

Komisarz Romska siedziała w sekretariacie, dokładnie na tym samym fotelu, na którym kilka miesięcy temu czekała na rozmowę z dyrektorką przetwórci Mira Hejko. W końcu jej telefon zadzwonił i Alicja odebrała natychmiast.

- No i?

- Ma ją w kontaktach.

- Jak jest zapisana?

- Wandzia.

- Wandzia... - Romska się uśmiechnęła. - Zadzwoń do niej, gdy puszcze ci sygnał.

Rozłączyła się, bo dyrektor Wanda Jasińska właśnie otworzyła drzwi i weszła energicznym krokiem z korytarza do sekretariatu.

- Pani Sandro - nie zwróciła nawet uwagi na siedzącą pod ścianą Alicję. - szklanke wody i tego idiote, kierownika magazynu, natychmiast do mojego gabinetu.

Sekretarka wybrała numer w telefonie stacjonarnym i czekając na sygnał, nalała do szklanki wody mineralnej. Po chwili odebrał jakiś mężczyzna.

- Panie Tadku, natychmiast do pani dyrektor.

- Stało się co?

- Jak przyjdzie, to się dowie.

Sekretarka rozłączyła się, nie czekając na dalsze pytania, zapukała i weszła do gabinetu.

- Woda. - Drobiąc jak gejsza podeszła do biurka i postawiła na blacie szklanke.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła w drzwiach Alicję.

- Acha, pani z policji czeka.

- Z policji? - Dyrektorka wychyliła się i zmierzyła Romską wzrokiem. - W jakiej sprawie?

- Jak wejdzie, to się dowie. - Alicja mrugnęła do sekretarki.

Kiedy zostały same, komisarz Romska bez słowa przysunęła krzesło do biurka dyrektorki i usiadła naprzeciwko. Jasińska obserwowała jej zachowanie; mało kto w jej gabinecie czuł się tak swobodnie i to ją zaniepokoiło. W napięciu czekała, aż policjantka zacznie rozmowę.

- Nie musisz mi nic mówić. - Komisarz bezceremonialnie przeszła na ty. - Wszystko powiedziała nam już Maria Kurska.

- Nie wiem, o czym pani mówi. - Mięśnie twarzy zadrżały jej lekko, ale zachowała zimną krew. - Nie znam nikogo takiego.

- A Dominikę Szymkowiak znasz? - Uśmiechnęła się i spojrzała na leżący na biurku telefon pani dyrektor.

- Nie znam - szła w zaparte.

W gabinecie zapanowała cisza. Alicja wyjęła telefon i puściła Ewie Kwiecień sygnał. Wanda Jasińska zagryzła nerwowo wargi, zjadając przy okazji czerwoną szminkę. Po chwili jej telefon zawibrował na biurku, spojrzała na niego i zbladła.

- Nie musisz mi nic mówić, Wandziu - powtórzyła Romska. - Wiem wszystko. Poczekajmy w ciszy na radiowóz.

Alicja rzeczywiście wiedziała już wszystko. No, może prawie wszystko. Ewa Kwiecień z przekazanych jej strzępek informacji zrobiła dobry użytek.

Na wstępie sprawdziła, czy w rzeszowskim hotelu była zameldowana kiedykolwiek Maria Kurska. Tu uzyskała negatywną informację. Wyciągnęła więc, jak się później okazało słuszny wniosek i założyła, że kobieta zameldowała się pod innym nazwiskiem. Prawdziwym, bo przecież w hotelu została wylegitymowana. Z uzyskanej listy gości, przebywających w rzeszowskim hotelu we właściwym dniu, Ewa wyselekcjonowała kobiety w wieku od trzydziestego piątego do pięćdziesiątego roku życia. Dostała z recepcji listę dwunastu pań. Po

sprawdzeniu w bazie urzędu skarbowego okazało się, że jedna z kobiet jest pielęgniarką, a dokładniej rzecz ujmując położną. Dominika Szymkowiak, bo tak się nazywała, od dwóch miesięcy była zatrudniona w jednym z krakowskich szpitali i tam zakład pracy składał w jej imieniu rozliczenia podatkowe. Ustalenie adresu zamieszkania nie było więc trudne. Dodatkowym ułatwieniem okazał się fakt, że mimo dojrzałego wieku, Szymkowiak wciąż była panną. Tylko kwadrans zajęło aspirant Kwiecień odnalezienie w odmętach internetu absolwenckiego zdjęcia pani Dominiki ze szkoły położnych. Fotografia była co prawda sprzed kilkunastu lat, jednak Marek Szulc bez żadnych wątpliwości na przesłanej fotce rozpoznał kobietę przedstawiającą się jako Maria Kurska. Godzinę później Dominika Szymkowiak siedziała już w pokoju przesłuchań i skonfrontowana telefonicznie z Szulcem zeznała, że uczestniczyła w nielegalnym procederze adopcyjnym.

Na tę chwilę komisarz Romskiej te informacje wystarczyły, skupiła się na ustaleniu pozostałych winowajców, zamieszanych w przestępczą działalność. Sprawę znów ułatwiła Kwiecień. W czasie, kiedy Alicja przesłuchiwała Dominikę Szymkowiak, pani aspirant dowiedziała się, kto płacił rachunki Ukrainek za pobyt w klinice położniczej Pro Familia. Za badania w prywatnej placówce Iny Kovlowej, Wiery Yuszko i Miry Hejko zapłaciła Przetwórnia Drobiu w Jastrzębce, a osobą wskazaną przez kobiety, do kontaktu była dyrektor tego zakładu Wanda Jasińska. Podobno wpisano ją, bo młode kobiety nie miały w Polsce bliskich. Kiedy nazwisko pani dyrektor padło w pokoju przesłuchań, Dominika Szymkowiak pękła zupełnie i opowiedziała całą prawdę o niemoralnym procederze. Okazało się, że znały się z Wandą Jasińską jeszcze z dawnych lat, Szymkowiak opiekowała się Jasińską przed jej pierwszym porodem. Zaprzyjaźniły się wówczas.

Nielegalny interes rozpoczął się trochę przypadkowo. Jasińska zadzwoniła pewnego dnia z prośbą delikatnej natury. Jedną z pracownic przetworni, Ukrainka „nie całkiem po dobroci”, jak to eufemistycznie określiła Jasińska, zaszła w ciążę. Kierownika zmiany wyrzucili, a dziewczynie trzeba było pomóc, żeby nie było afery. Na nieszczęście dobre imię przedsiębiorstwa mogło poważnie ucierpieć, bo było już za późno na usunięcie ciąży. Wanda zwróciła się więc do zaufanej koleżanki, żeby ta poprowadziła dyskretnie ciążę, a następnie zadbała o szczęśliwe rozwiązanie. Dominika Szymkowiak pracowała już wówczas w jednej z warszawskich klinik leczenia bezpłodności. Zgodziła się za niewielkim wynagrodzeniem dyskretnie zaopiekować dziewczyną, a kiedy okazało się, że ta postanowiła po urodzeniu oddać dziecko do okna życia, wpadła na pomysł, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Skontaktowała dziewczynę z pewnym zamożnym małżeństwem prawników, które od dawna bezskutecznie starało się o dziecko, a ci sprawnie, w legalny sposób, doprowadzili do uzyskania opieki nad dzieckiem. Jakież było zaskoczenie położnej, kiedy tydzień później niespodziewanie odwiedził ją nowo upieczony tatuś i z wdzięczności wręczył pięćdziesiąt tysięcy złotych gotówką. Pani Dominika okazała się uczciwa wobec przyjaciółki, bo przekazała Wandzie połowę otrzymanej kwoty. Po wypiciu kilku lampek koniaku, wielkodusznie uradziły, że pięć tysięcy przekażą biologicznej matce dziecka. Na drugi dzień, na trzeźwo, już trochę głupio było im się wycofać, zrzuciły się więc po dwa i pół tysiąca i przekazały pieniądze dziewczynie.

Wszystko by się pewnie skończyło happy endem, gdyby pewnego dnia nie pojawił się w gabinecie dyrektorki mężczyzna. Przedstawił się jako prokurator, ale nie podał nazwiska. Za to dokładnie opisał wszystkie okoliczności gwałtu, bo ta niewdzięczna dziewczyna, zamiast podziękować za pomoc, zgłosiła wszystko na policji, podając też informację o zarobionej w ten sposób kwocie. Prokurator oznajmił pani dyrektor, jak i za jej pośrednictwem Bogu ducha winnej położnej, że za ukrywanie sprawcy gwałtu i zacieranie śladów grozi obu paniom pięć lat więzienia. I to nie do podziału po dwa i pół. Wiedział również od matki dziecka, że zostało ono oddane do adopcji, za co wszystkie otrzymały zapłatę. Zażądał za milczenie podwójnej kwoty lub procentu od każdej kolejnej takiej transakcji. Kobiety przystały na tę drugą opcję, bo raczej podobne sytuacje zdarzały się rzadko, a szczerze mówiąc po tej nauczce nie miały zamiaru już się w takie sprawy angażować.

Jakież było jednak zdziwienie pani dyrektor, kiedy dwa miesiące później przyszedł do niej ten sam człowiek, wręczył kartkę z nazwiskiem jakiejś kobiety. Poinformował przy tym Jasińską, że dziewczyna jest w ciąży i nie chce dziecka. Zażądał, aby zaoferować jej pomoc i zrobić to dokładnie w ten sam sposób, jak ostatnio. Pani Wanda, chcąc nie chcąc, znów poprosiła o pomoc przyjaciółkę. Dominika Szymkowiak odmówiła jednak, bo sprawa wydawała jej się mocno ryzykowna i obawiała się utraty pracy. Zmieniła jednak zdanie, kiedy następnego dnia zajechali jej drogę czarnym samochodem dwaj Ukraińcy i zagrozili, że jeżeli nie załatwi sprawy adopcji, to będzie musiała te pięćdziesiąt tysięcy w ich firmie, jak się wyrazili: odrobić dupą. Zgodziła się więc na współpracę, a sprawa znów zakończyła się podziękowaniami szczęśliwych rodziców i sutym zarobkiem. Dalej już samo życie nadało procederowi rozmachu, bo w wyniku zmiany przepisów klinika leczenia bezpłodności straciła rządową dotację i pani Dominika została zwolniona w ramach redukcji etatów. Ostatniego dnia pracy zrobiła kopię bazy danych pacjentów czekających na zabieg in vitro i teraz dysponował listą kilkuset potencjalnych klientów. Metoda działania została też dopracowana od strony prawnej, dziewczyny nie były już po odurzeniu gwałcone przez podrywacza, który je zapraszał na randki do eleganckiego hotelu. Teraz były zapładniane sztucznie, co wydawało się bardziej etyczne i jakby bliższe medycznym metodom. Dodatkowo ułatwiało przekonanie małżeństw do propozycji i przyspieszało procedury adopcyjne. To ostatnie miało niebagatelne znaczenie, bo nie trzeba było czekać na zapłatę miesiącami. W ten sposób powstał nielegalny proceder, funkcjonujący w sprawnym modelu, który pozwolił przeprowadzić adopcję kilkorga dzieci i zarobić na tym milion złotych, z czego większość zatrzymywał pomysłodawca i mózgi całego przedsięwzięcia.

- Prokurator. - Alicja Romska spojrzała teraz na Wandę Jasińską. - Podaj mi jego nazwisko.
- Chcę zadzwonić do mojego adwokata. - Drżącą ręką sięgnęła po telefon.

Borek wszedł na zaplecze pokoju przesłuchań. Skinął głową Alicji i podał Wawrowi rękę na przywitanie. Naczelnik wydziału kryminalnego był w mundurze, więc Borek domyślił się, kim

jest mężczyzna. Antoni Wawer pozwolił Romskiej na poprowadzenie nowego wątku sprawy, ale zażądał też, żeby Rzeszów był o wszystkim informowany. Komisarz Romska przekonała go jednak, że ze względu na możliwość zaistnienia korupcji, przynajmniej na tym etapie dochodzenia poprowadzą śledztwo sami. Poprosiła jedynie o pomoc Borka.

- Macie wydruki? - Komisarz z rzeszowskiej komendy ujął w dłoń podany mu przez Alicję plik kartek. - Wszystkich?

- Tak, wszystkie nazwiska z twojej listy.

- Nowakowski też?

- Tak. - Romska kiwnęła głową. - Aspirant Ewa Kwiecień, nasz analityk, wyszperałam jeszcze dwóch prokuratorów, którzy mogli wiedzieć o zgłoszeniu pierwszego gwałtu.

- Dobra. - Przeglądał teraz na szybko fotografie. - Wejdę tam i postraszę ją.

- W obecności mecenasa będzie ciężko. - Pani komisarz spojrzała przez weneckie lustro na siedzących w pokoju przesłuchań Jasińską i jej adwokata. - Strasznie zhardziła przy nim.

- Tym bardziej dobrze, żeby pokazał jej to ktoś nowy. - Borek patrzył to na Romską, to na naczelnika. - Może pęknie, jak nacisnę.

- Tylko proszę pamiętać o włączonej kamerze. - Naczelnik słyszał od Alicji, że z Borek ma niekonwencjonalne metody. - Żebym nie musiał się jeszcze za pana tłumaczyć.

- Jasne. - Borek uznał tę uwagę za pozwolenie na rozpoczęcie przesłuchania i ruszył do wyjścia, po drodze zostawiając na stoliku broń. - Żeby nie kusiło - rzucił na odchodne.

Naczelnik i Romska spojrzeli po sobie, jakby chcieli wzajemnie upewnić się, że to był dowcip, bo mina komisarza na to nie wskazywała. Po chwili wszedł do pomieszczenia, Alicja pogłośniła dźwięk z mikrofonu, słyszeli teraz nawet szelest nogawek jego spodni, kiedy mijał kamerę.

- Komisarz Borek, wydział kryminalny komendy w Rzeszowie - przedstawił się. - To ja podczas zatrzymania zastrzeliłem tę kobietę w ciąży.

Policjanci ukryci za weneckim lustrem znów spojrzeli po sobie.

- To, kurwa, zaczął z grubej rury. - Naczelnik poglądził się nerwowo po brodzie.

Borek tymczasem przed Wandą Jasińską rozkładał - jedno obok drugiego - wydrukowane zdjęcia podkarpackich prokuratorów.

- Wiem, że jesteś za głupia, żeby to wszystko wymyślić. - Usiadł naprzeciwko i wpatrywał się jej w oczy. - Zresztą to dla sądu może być nawet okoliczność łagodząca.

- Przepraszam bardzo. - Mecenas wyprostował się na krześle. - Moja klientka nie musi odpowiadać na takie obraźliwe pytania.

- To nie było pytanie, tylko stwierdzenie - rzucił w jego kierunku, po czym znów spojrzął Jasińskiej głęboko w oczy. - Który z nich? To jest pytanie. Najważniejsze i jedyne. Będziemy ci je zadawać do znudzenia, aż go wskażesz.

- Moja klienta odmawia odpowiedzi na to pytanie.

- Który? - zignorował zupełnie mecenasa.

- Powtarzam, że pani Jasińska nie odpowie na to pytanie.

- Zamknij się! Słyszałem! - wrzasnął na prawnika, a kiedy ten zamilkł, przeniósł z powrotem wzrok na coraz bardziej przestraszoną dyrektorkę. - Który?! Kurwa!

Wawer szturchnął Romską.

- Dobra, wystarczy. - Pchnął ją lekko w stronę drzwi. - Zabierz go stamtąd.

Po chwili we dwójkę wrócili do naczelnika.

- Co ty odpierdalasz?!

- Spokojnie, wiem co robię.

- Ja też wiem! - Naczelnik był zaskoczony jego arogancją. - Koło dupy mi robisz! Wypierdalaj do Rzeszowa! I żebym cię tu więcej nie widział!

- Alicja - rzucił na odchodne Borek. - Nie odpuszczaj jej.

- Wyprowadź go stąd - zwrócił się Wawer do podwładnej, bo miał dosyć jego bezczelnego zachowania. - Zanim stracę cierpliwość.

Szli korytarzem w milczeniu. Romska zwlekała, ale musiała mu w końcu powiedzieć, że jeszcze dzisiaj wypuszczą Jasińską. To przesłuchanie to była ostatnia szansa zdobycia jakiegoś punktu zaczepienia. Dyrektorka nie przyznała się do niczego, a policjanci mieli tylko zeznania Dominiki Szymkowiak vel Kurskiej, a to było zdecydowanie za mało, żeby sąd wydał nakaz tymczasowego aresztowania. Jedyne, co łączyło Wandę Jasińską ze sprawą, to zapłacone rachunki za opiekę medyczną. Mecenas wyjaśnił zresztą tę kwestię na piśmie: działała w imieniu firmy, w interesie pracujących tam kobiet.

- Wiesz, że muszę ją wypuścić. - Stali przy windzie. - Nic na nią nie mam.

- Potrzymaj ją chociaż pełne czterdzieści osiem.

- Teraz pewnie naczelnik przeprosza jej mecenasa. - Nie chciała, ale zabrzmiało to trochę jak wyrzut. - Na pewno nie pozwoli jej dłużej trzymać.

- To co zrobimy?

Romska milczała przez chwilę, analizując po raz setny sytuację. W zasadzie to niefortunne przesłuchanie niczego nie zmieniło. Prawnik miał świadomość dowodowej słabości zarzutów i na pewno ją z tego wyciągnie.

- A z tej położnej nic się nie da wycisnąć? - Borek wciąż stał w miejscu, choć drzwi windy otworzyły się.

- Nie widziała tego prokuratora na oczy. - Alicja też była zawiedziona.

- Tylko z Jasińską się kontaktował?

- Tak.

- Przynajmniej ta Szcześniak pójdzie siedzieć. - Uśmiechnął się kwaśno.

- To też nic pewnego, bo nie ma ofiar. - Alicja poszła dalej w wyjaśnieniach. - Ina Kowlowa i Wiera Yuszko nie żyją, znaleziono ich ciała po ukraińskiej stronie. Żadna nie dotarła do domu.

- A Mira Hejko? Znalazłaś ją? Sprawdziłem na przejściach i podobno nie przekroczyła granicy.

- Tak, a właściwie to znalazł ją teść Marka Szulca. - Alicja kiwnęła twierdząco głową. - Przeszła zieloną granicą, podobno Lutek Szypuła jej pomógł. Ukrył ją pod podłogą w swoim domu przed bandytami. Słyszała głosy na górze, dwa z nich należały do braci Dunin, a trzeci do naszego poszukiwanego.

- To trzeba ją koniecznie tu ściągnąć!

– Próbuję, na różne sposoby. – Rozłożyła ręce bezradnie. – Ale ona nam nie wierzy, nie ufa policji. Boi się, że przyjedzie tutaj i zamkniemy ją do więzienia. Słowo policjanta to dla niej żadna gwarancja. Rodzice też zresztą nie chcą nawet o tym słyszeć.

– A nie można przesłuchać jej tam? – Borek wyraźnie nie chciał odpuścić. – U niej w domu?

– Próbuję to załatwić formalnie, ale to nie jest takie proste. – Machnęła ręką z rezygnacją. – Tu już zaczyna się polityka, a nikomu nie zależy, żeby to całe gówno wypłynęło. W każdym razie możesz być pewny, że nie odpuszczę i w końcu znajdę sposób, żeby odebrać od niej zeznanie. Mam zamiar jej powiedzieć o śmierci koleżanek i liczę, że zmieni zdanie.

– To ją może skłonić do przyjazdu i złożenia zeznań. – Komisarz się zamyślił. – Były podobno sobie bardzo bliskie.

## 59

Borek zszedł po stromych, wąskich schodkach do ciemnego korytarza. Piwnice opuszczonej cegielni pełne były śmieci i szurzących odchodów. Przeszli prawie po ciemku jeszcze kilka metrów, tu zrobiło się widniej za sprawą małego, zakratowanego okienka. Osilek, który prowadził go przez te katakumby, zatrzymał się przed metalowymi drzwiami. Zarzucił pasek kałasznikowa z obciążoną kolbą na ramię i przeszukał Borka i jego plecak. Zabrał mu z kabury pistolet. Policjant niechętnie rozstał się ze swoim glockiem, ale nie protestował, bo widział, że inaczej osilek nie wpuści go do szefa. Potem mężczyzna cofnął się o krok i jeszcze raz zmierzył gościa wzrokiem od stóp do głów. Nawet w słabym świetle jego doświadczone oko dojrzało odstającą w kostce nogawkę spodni.

– Daj. – Wyciągnął wielką jak bochen łapę. – Ten z nogi też.

Borek wyjął waltera z uchwytu na nodze. Podał mu, a tamten wsunął go do kieszeni bawełnianych dresów. W końcu po dopełnieniu formalności związanych z bezpieczeństwem, odwrócił się i zapukał w metalowe drzwi. Borek patrzył na jego ogolony kark i czuł narastający niepokój. Niby wszystko było dogadane, ale z tymi ruskimi nigdy nic nie wiadomo. Usłyszał szcęk metalowej zasuwki i drzwi otworzyły się na oścież i ze środka wyrzała kolejna ogolona głowa. Za nią, w głębi pomieszczenia, zobaczył znajomą twarz.

– Wlazł! – Borek rozpoznał Lonię.

Spotkał gangstera kilka razy na jakiejś popijawie u Duninów. Bandyci żyli w zgodzie, bo każdy z nich uprawiał inne przestępcze poletko i nie wchodzili sobie w drogę. Cyryl z Kozakiem zarządzali prostytutką na Podkarpaciu i przemytem spirytusu, a Lonia handlował narkotykami i bronią. Teraz po śmierci braci przejął też schedę po nich. Z dnia na dzień stał się panem na włościach i zawdzięczał to policjantowi z Polski, bo to on doprowadził do śmierci braci.

– Witaj, Borku. – Rozłożył szeroko ramiona i ukazał żółte zęby w nieszczerym uśmiechu. – Kopę lat!

– Cześć, Lonia. – Policjant trochę nieswojo czuł się w tej zapyziałej, komunistycznie bandyckiej tradycji przywitań, ale nie przyjechał ich tu uczyć manier, więc starał się

dostosować.

- Schudłeś, czy mi się wydaje? – Lonia spojrzała na niego z udawaną troską.

- Wydaje ci się. – Postanowił uciąć te żenujące gadki.

- Może i mi się wydaje. – Znów się uśmiechnął. – A może u ciebie bieda jakaś i ty jeść nie możesz?

- Z tym do ciebie przyjechałem. – Też wysilił się na uśmiech. – Żebyśmy coś razem zaradzili.

- Chyba ja zaradził, bo ty chuja możesz. – Zaśmiał się, a z nim jego ludzie. – Ty sponsorem będziesz.

- Jak chcesz. – Borek czuł wiszące w powietrzu napięcie. – Coś zawdzięczasz mi, teraz ja coś będę zawdzięczał tobie.

- A co ja takiego tobie zawdzięczam? – zapytał z udawanym zdziwieniem.

- To, że nie ma już na tym świecie Cyryla.

- Nigdy ja tego banderowca nie lubił. – Lonia skrzywił się na dźwięk imienia. –. Mój dziadek się w krasnej armii z faszystami bił, a ta swołocz nóż w plecy. Ale zaraz zawdzięczasz?

- Interes przejąłeś.

- A na co mnie to? – Rozłożył ręce. – Chyba na kłopot. Mało to ja mam swoich problemów? No ale cóż, świat pustki nie zna, więc ja musiał przytulić sieroty. – Spojrzał z bólem na wielkiego osiłka stojącego pod ścianą za jego plecami. – Bo by inny jaki skurwysyn się zagnieździł.

- Czyli zniżki nie będzie? – Policjant sięgnął do plecaka.

- Po prawdzie ja myślał, że ty jeszcze coś dołożysz... – Spojrzał na stojącego tuż za nim mężczyznę.

Borek podążył za jego wzrokiem, zaniepokoiła go obecność nieznanego. Nie wyglądał na bandytę, nie pasował do nich. Skromnie ubrany, z zaczesanym przedziałkiem, cały czas milcząc świdrował go nienawistnym wzrokiem.

- Kto to jest?

- Mój księgowy. – Uśmiechnął się Lonia.

- Dobra. – Chciał stąd już jak najszybciej wyjść, więc sięgnął do plecaka – Tak, jak się umawialiśmy. Dwadzieścia tysięcy dolarów. – Zrobił krok do przodu i wysypał pieniądze powiązane w paczki na stół.

- Może dorzuc z pięć tysiączków? – Lonia zrobił smutną minę. – Za tego... jak mu tam było?

- Jura – podpowiedział jeden z obstawy.

- No, wtedy z tym Jurą na równo po dwadzieścia by wyszło.

- Było umówione dwadzieścia i jest dwadzieścia.

- Ale benzyna podróżowała – targował się zawzięcie. – A Kozeny daleko, aż pod Kijów trzeba jechać, żeby dziewczynę ubić.

- Nie mam więcej. – Mimo strachu czuł narastającą wściekłość. – Bierzesz, czy nie? Jak nie, to sam sprawę załatwię.

Lonia spojrzał teraz na stojącego dotąd w milczeniu mężczyznę. Ten odczytał znak i podszedł do stołu, na którym leżały pieniądze. Borek myślał, że księgowy zaraz zacznie liczyć,



sprawdzać, czy kwota się zgadza. Ten jednak położył na stole starą aktówkę, zapięcia strzeliły głośno, a on podniósł wieko i zaczął powoli układać na stole paczki dolarów. Borek przyglądał się temu w zupełnym zaskoczeniu.

- Dwadzieścia i dwadzieścia, razem sorok. - Mężczyzna zamknął teczkę i cofnął się dwa kroki. - Dwa razy tyle, co on.

- Co to za licytacja? - Polak patrzył zdezorientowany.

- To jest dwadzieścia tysięcy żeby nie zabijać dziewczyny. - Bandzior pokazał palcem pierwszą kupkę banknotów. - A to drugie dwadzieścia, żeby zajeść ciebie.

- Co to za głupie dowcipy? - Uśmiechnął się sztucznie, bo wiedział, że to nie są żarty. - Dam dwa razy tyle, ile on!

- A mówiłeś, że nie masz.

- Mam, w domu. - Cały się trząśł.

- W domu... - Lonia machnęła ręką z lekceważeniem. - W domu to ja mam babę z dwoma kutasami.

- Dostaniesz sto tysięcy dolarów!

- Widzisz, ja twoich pieniędzy to bardzo nie potrzebuję. - Spojrzał na mniejszą kupkę pochodzącą z jego plecaka. - Takich to ja mogę sobie ukraść i ze sto razy więcej!

Przesunął się krok w bok.

- Ale widzisz, te - wskazał dolary od nieznanego mężczyzny - to są pieniądze od ojca. Zastawił w banku wszystko, co miał cennego, żeby córkę ratować. A dla mnie to piękne, bo ja się w sierocińcu wychowałem. Ja sierota jestem, to mnie aż łza się w oku kręci. Dlatego zapierdoliłbym cię z miłą chęcią, ale nie mogę.

- To wypuść mnie. - Borkowi wróciła nadzieja.

- Puścić cię też nie mogę. - Wyjął zza paska pistolet i bez ostrzeżenia strzelił mu w kolano.

W małym pomieszczeniu jeszcze przez chwilę dudnił huk, który wraz z potwornym krzykiem rozniósł się po wszystkich piwnicznych korytarzach.

- Cichaj. - schował broń. - Witja, zabierz pieniądze i jedziemy na kolację. Nic tu po nas. Pan Hejko sobie dalej sam poradzi.

Mężczyzna nie odezwał się. Nie spuszczać wzroku z wijącego się w spazmach bólu na betonowej podłodze Borka, podszedł do ściany i ujął za szyjkę leżącą tam starą butelkę. Bandyci wyszli po kolei z piwnicznego pokoju, ostatni przymknął za sobą drzwi. Idąc po schodach usłyszeli najpierw dźwięk tłuczonego szkła, a potem przeraźliwe krzyki człowieka.

## 60

Marylka siedziała w radiowozie zaparkowanym na poboczu obok kiosku Ruchu. Musiała cofnąć fotel, żeby rozłożyć gazetę, artykuł zajmował całe dwie strony. Zapowiedź tekstu znajdowała się na pierwszej stronie pod wielkim tytułem „Policjant pomagał bandytom”, jednak dopiero wewnątrz opisana była już szczegółowo cała dramatyczna historia:

## **Początek sprawy**

Jak ustaliliśmy podczas naszego wielomiesięcznego dziennikarskiego śledztwa, te wydarzenia miały swój początek przed czterema laty, gdy Michał Borek, z wyróżnieniem ukończył szkołę policyjną i dostał przydział do Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Wojewódzkiej Komendy Policji w Rzeszowie.

– „Był zdolny, ambitny i szybko się uczył, a miał od kogo, bo trafił pod skrzydła jednego z najlepszych, najbardziej doświadczonych oficerów w rzeszowskiej komendzie – komisarza Janusza Sowy” – opowiada nasz informator z rzeszowskiej KWP.

Borek i Sowa prowadzili wtedy dochodzenie w sprawie sutenerskiego procederu na Podkarpaciu, nadzorowanego przez ukraińską mafię, która budowała swoją pozycję na terenie południowo-wschodniej Polski. Nasi rozmówcy, są zgodni, że była to bardzo gruba sprawa, bo raz, że miała charakter międzynarodowy, a dwa, że bandyci byli wyjątkowo brutalni i skuteczni, bo w zaledwie pół roku usunęli konkurencję i stali się jedyną liczącą się siłą w bandyckim światku.

## **Uczeń zdradza mistrz**

Przypadek sprawił, że komisarz Sowa dowiedział się, że w namierzaniu konkurencji wspierał Ukraińców jego młodszy partner. Jedna z zatrzymanych w innej sprawie prostytutek na korytarzu komendy rozpoznała w Borku przyjaciela swoich mocodawców. Sowa szybko połączył fakty i odgadł przyczynę ostatnich sukcesów mafii. To Borek wspierał po cichu bandytów. Przy pomocy policyjnych metod i przy użyciu struktur komendy namierzał przeciwników. Sowa postanowił w tajemnicy przed wszystkimi przekazać operacyjne informacje bezpośrednio znajomemu służącemu w wydziale wewnętrznym w komendzie głównej. Zrobił tak, aby sprawa nie została zamieciona pod dywan przez przełożonych w rzeszowskiej komendzie, którzy mogli obawiać się, że rykoszetem korupcyjne zarzuty im zaszkodzą. Przyjaźnili się jeszcze w czasach służnie minionych i jako jedni z nielicznych przeszli pozytywnie weryfikację w okresie ustrojowych przemian. Sowa miał do przyjaciela pełne zaufanie. Nie docenił jednak przeciwnika.

Borek domyślił się jego zamiarów i chcąc ratować swoją skórę oraz intratny układ, zlecił zabójstwo partnera swoim wspólnikom. Bracia Dunin, bo tak się nazywali szefowie gangu, wiedzieli, że stawka jest wysoka, podeszli więc do zadania bez skrupułów. Uprawdzili ciężarówkę, terroryzując jej kierowcę, i zepchnęli samochód policjanta z drogi. Tam podziurawili jego skodę, ostrzeliwując karabinami maszynowymi, a na koniec podpalili wrak. Sekcja wykazała, że policjant już nie żył, zanim auto spłonęło. Sowa nie zdążył przekazać przyjacielowi z Warszawy żadnych szczegółów ustaleń, a dochodzenie w sprawie tragicznej śmierci komisarza nie przyniosło żadnych rezultatów.

– Jak to możliwe? – pytaliśmy kilku policjantów znających sprawę. – Przecież w każdej policji świata zabójstwo kolegi to sprawa honorowa i nierzadko najważniejsza w życiu?

– Brutalność bandytów skutecznie zamknęła usta świadkom. Ani kierowca ciężarówki, ani nikt z obsługi stacji benzynowej nic nie widział. Zapisy kamer też zostały w porę wyczyszczone, choć oficjalna wersja mówiła o awarii kamery. Zresztą bandyci mieli na twarzach kominiarki – odpowiadali zgodnie.

## **Komisarz nie żyje, młody rozwija skrzydła**

Komisarz został oficjalnie ogłoszony bohaterem, który oddał życie w walce z ukraińską mafią. Borek tymczasem, wolny od podejrzeń, kontynuował współpracę ze Stepanem Duninem, pseudonim Cyryl. Aby uwiarygodnić swoją osobę w oczach przełożonych, co było też w interesie Ukraińców, co jakiś czas w spektakularny sposób dokonywał aresztowania jakiegoś przestępcy. Pomagali mu w tym Duninowie, w ten sposób piekli dwie pieczenie na jednym ogniu: wzmacniali pozycję swojego cichego sojusznika w policji i jednocześnie pozbywali się konkurencji. Współpraca trwała przez rok, z korzyścią dla obu stron.

W tym czasie przypadkowo na biurko Borka trafiło zgłoszenie gwałtu młodej Ukrainki. Dziewczyna sama zjawiała się na policji. Sprawa zainteresowała Borka i postanowił się jej przyjrzeć. Wkrótce odkrył, że gwałt na pracownicy próbowało zatuszować kierownictwo dużego zakładu drobiarskiego, w którym ofiara pracowała. Podrzążył sprawę i dowiedział się, że dziewczynę też przekonano, aby zgodziła się oddać narodzone dziecko bogatemu małżeństwu prawników. Ci ostatni usankcjonowali cały proces od strony formalnej. W zamian matka otrzymała niewielką kwotę pieniędzy. Borek spotkał się z nowymi rodzicami dziecka, przycisnął ich i dowiedział się dalszych szczegółów. Okazało się, że przekazali znacznie wyższą sumę, większość pieniędzy trafiła jednak do dyrektorki zakładu i pośredniczącej w adopcji dziecka położnej.

– I wtedy Borek zwietrzył znakomity interes, bo wykorzystując swoją wiedzę, zmusił kobiety do współpracy, w zamian chowając sprawę gwałtu do szuflady – dowiedzieliśmy się z policyjnych źródeł.

## **Nowy biznes się rozkręca**

Borek miał teraz haka na kobiety, mógł więc zmuszać je, aby wykonywały jego polecenia. Doszedł jednak do wniosku, że nie będzie czekał, aż znowu jakaś pracownica zajdzie w niechcianą ciążę i postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Zaangażował w przedsięwzięcie jednego z drobnych alfonsów, który miał spore doświadczenie w rekrutowaniu na Ukrainie dziewczyn do agencji towarzyskich Duninów.

– Jura był wygadany i miał dar przekonywania. W drogim samochodzie i dysponując odpowiednim budżetem mógł zawrócić w głowie niejednej biednej dziewczynie – opowiada jego były znajomy.

Mechanizm był prosty: wystawna randka kończyła się w hotelowym pokoju, gdzie odurzona ofiara była gwałcona przez chłopaka. Później kochanek zniknął, a dziewczyna dowiadywała się, że jest w ciąży i łatwo w tej sytuacji dawała się namówić na oddanie niechcianego dziecka rodzinie zastępczej. Pojawiała się pani dyrektor i oferowała dziewczynie „pomoc”.

Na polecenie Borka Cyryl postarał się o dom na odludziu, gdzie ciężarne były kwaterowane. Nieruchomość kupił za pieniądze Ukraińców na swoje nazwisko znajomy młodszego z braci Dunin z więziennej odsiadki, niejaki Lutek Szypuła. Starsza Ukrainka, o imieniu Luba, która jako jedyna dobrowolnie zachodziła w ciążę, czerpiąc z tego finansowe korzyści, była namiestnikiem w tym dziwnym więzieniu. Wszystko działało zgodnie z planem, jednak minusem całego przedsięwzięcia były skomplikowane procedury finalizacji adopcji, a co za tym idzie długie oczekiwanie na zapłatę. Borek nie był zadowolony, że musi tak długo czekać na pieniądze, zasięgnął więc porady prawnej i usprawnił proces, skupiając się na adopcji ze wskazaniem. Tym sposobem nadali też w swoim mniemaniu całemu przedsięwzięciu bardziej moralny charakter, bo zamiast gwałtu w tradycyjnym rozumieniu

tego słowa, kobiety były zapładniane podczas „medycznego zabiegu”. Udało się im w ten sposób zarobić na sprzedaży kilku noworodków.

## **Śmierć redaktora**

Sprawy wymknęły się spod kontroli, kiedy jedna z dziewczyn po urodzeniu odmówiła oddania dzieciaka. Uciekła z domu na odludziu i pojawiło się duże ryzyko, że sprawa się wyda. Wezwani na pomoc bracia Dunin wraz z Borkiem odszukali dziewczynę. Skończyło się to tragiczną śmiercią matki. Kobieta zginęła zagryziona przez psy.

– Borek zrobił wszystko, żeby to on zajął się śledztwem w tej sprawie. Udało mu się i ukreślił sprawie łeb – opowiada jeden z rzeszowskich funkcjonariuszy.

Ale nie do końca, bo śmiercią kobiety zainteresował się dziennikarz z krakowskiej telewizji, policjant musiał więc zneutralizować nowe niebezpieczeństwo. Zwabił Macieja Kolędę pod pretekstem przekazania informacji w sprawie, a jego siepacze zrobili resztę. Utopili dziennikarza, pozorując utonięcie. Jednak kłopoty bandytów wydawały się nie mieć końca, bo sprawę zaczęła drążyć nasza gazeta, a potem, co gorsza, policjantka z Krakowa. Na nią Borek nie miał żadnego przełożenia, bo jego władza i znajomości ograniczały się do rzeszowskiej komendy i podlegającego jej regionu Podkarpacia. Późniejsza ucieczka kolejnej dziewczyny, Miry, dodatkowo skomplikowały sprawy. Borek, wobec zaciskającej się wokół niego pętli, podjął decyzję o zakończeniu przedsięwzięcia i zlikwidowaniu swoich współników. Chciał w ten sposób zatrzeć ślady i zrzucić na nich całą winę. Udało się zabić jednego z braci, Anatol Dunin pseudonim Kozak, zginął podczas próby policyjnego zatrzymania. Zginęła też Luba, która na co dzień pilnowała uwięzionych dziewczyn. Cyryl i zamieszany w sprawę Lutostaw Szypuła szczęśliwie wykończyli się sami. Dwóm dziewczynom uratowanym z domu na odludziu Borek też zamknął usta. Pozwolił im wyjechać do domów, ale po ukraińskiej stronie czekał na nie Jura. Wykonał polecenie Borka, Ina i Wierka pozostały na zawsze w lesie niedaleko wsi Bykowce.

Borek działał dalej, konsekwentnie likwidując wszystkich, którzy mogli doprowadzić śledczych do jego osoby. Użył więc ponownie swoich kontaktów i zlecił mafii zlikwidowanie Jury, ostatniego ogniwa łączącego skorumpowanego policjanta z brudnym interesem. Kiedy wydawało się, że już nic nie mogło go połączyć z przestępczym procederem, dowiedział się od komisarz Romskiej, że odnalazła Mirę i ma zamiar skłonić ją do złożenia zeznań. Na dodatek dziewczyna słyszała jego głos i być może też go widziała.

## **Dobra policjantka kontra zły policjant pp**

Borek nie wątpił, że Alicja Romska zrobi wszystko, żeby dziewczyna złożyła zeznania. Nawet, jeśli policjantka z Krakowa będzie musiała w tym celu nawiązać współpracę z ukraińską policją i pojechać do dziewczyny. Zniknął więc i ukrywa się przed sprawiedliwością. Co prawda policja jeszcze go nie znalazła, ale za to pozbawione jego opieki kobiety uczestniczące w procederze handlu dziećmi przyznały się do winy i obu, dyrektorce i położnej, zostały postawione zarzuty.

Grozi im wieloletni wyrok pozbawienia wolności.

Marylka była zaskoczona, bo wiedza dziennikarza wykraczała znacznie poza dane zawarte w policyjnych aktach. Nie miała pojęcia skąd Olek uzyskał te informacje, jednak musiała

przyznać, że historia trzyma się kupy. Dodatkowo opisaną historię uwiarygadniał fakt, że przetwornia została objęta kontrolą kilku służb i głośno się mówiło o panujących tam nieprawidłowościach.

## Epilog

Minął prawie rok, odkąd Marek wyjechał z Polski. Nic tam nie zostawił, więc nie tęsknił. Wpatrywał się teraz w ekran komputera i pochłonięty zadaniem, całkowicie stracił rachubę czasu. Nie usłyszał też kroków za swoimi plecami. Wzdrygnął się, kiedy smukłe ręce oploty jego szyję. Kobieta objęła go i przytuliła się do pleców męża. Poczul jej twarde piersi, głowę położyła na jego ramieniu i pocałowała w policzek.

- Usnęła? - Marek przechylił głowę w jej stronę.

- Tak. - Znow go pocałowała. - Nie skończyłeś jeszcze?

- Sprawdzam.

- Sprawdzales już dziesięć razy.

- No wiem. - Skrzywił się. - Ale od tego zlecenia wiele zależy i chcę, żeby ci w Brukseli byli zadowoleni.

- Będą. - Uśmiechnęła się. - A kto ma największe szanse, żeby wygrać te wybory?

- Nie wiem, czy im się to spodoba, ale wygląda na to, że ten aktor.

- Ten z serialu?

- Tak.

- I co będzie?

- Zobaczymy, ale badania były zrobione rzetelnie - odparł, jakby się usprawiedliwiał. - Reagan też był aktorem, a okazał się wielkim mężem stanu.

- Żeby jemu też starczyło charakteru.

W wieczornej ciszy usłyszeli bijące w oddali dzwony z Ławry Peczerskiej. Echo niosło je po Dnieprze.

- Ósma. - Mira odwróciła siedzisko obrotowego fotela i usiadła mu na kolanach. - Mamy dla siebie godzinę.

- Muszę to jeszcze wysłać - westchnął.

Wychyliła się w kierunku stojącego na biurku laptopa, chwyciła myszkę i kliknęła odpowiednią ikonę.

- Już. - Uśmiechnęła się rozbrajająco.

Pocałował ją, wziął na ręce i zaniósł do sypialni. W kącie w łóżeczku spała mała dziewczynka. Zajrzał do niej, byli podobni do siebie jak dwie krople wody. Miała pół roku i burzliwe życie przed sobą.

**Koniec**